

M.L. LONGWORTH

MORDERSTWO



NA

↑  
ILE

SORDOU

Głos Lonworth jest jak wykwintny rocznik  
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— *Booklist*

M.L. Longworth

Morderstwo na Ile Sordou

Przekład:

Małgorzata Trzebiatowska

smak  słowa  
Sopot 2020

Tytuł oryginału: *Murder on the île Sordou*

Copyright © Mary Lou Longworth, 2014.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

All rights reserved. The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2020 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Skład: Piotr Geisler

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

ISBN: 978-83-66420-16-8

Druk: Drukarnia Abedik

Smak Słowa

ul. Bohaterów Monte Cassino 6A

81-805 Sopot

tel. 507-025 195

Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa



[www.smakslowa.pl](http://www.smakslowa.pl)





# Spis treści

[Od autorki](#)

[1 Lacydon](#)

[2 Powitanie](#)

[3 O szefie kuchni](#)

[4 Kolacja na dziesięć osób](#)

[5 Dziwniejsze niż fikcja](#)

[6 O kierownicze](#)

[7 Lunch poems](#)

[8 Little squid, Shirley](#)

[9 O sterniku](#)

[10 Podnoszący się poziom morza](#)

[11 O gospodyni](#)

[12 Piraci](#)

[13 O barmanie](#)

[14 Oda do ryby rouguet i ryby św. Piotra](#)

[15 Samotnik](#)

[16 Mistrz pływacki](#)

[17 Pieśń modlitewna](#)

[18 Paulik i rzesze dziennikarzy](#)

[19 Wymyślny zagraniczny makaron](#)

[20 Jesteśmy obcy](#)

[21 Marzenie o uniwersytecie](#)

[22 Przeszłość](#)

[23 Rue Valois](#)

[24 Architektura wernakularna](#)

[25 Sprawy Billa](#)

[26 Le Buzz](#)

[27 Le Cercle des Nageurs](#)

[28 Obrona Marsylii](#)

[29 Amore](#)

[30 Gość Prospera](#)

[31 Uczta Antoine'a](#)

[32 Bieg do pociągu](#)

[33 Stara historia](#)

[34 Pływanie](#)

*Dedykuję moim kuzynkom i kuzynom*

## Od autorki

U wybrzeży Marsylii leży wiele wysp. Niektóre nie są dostępne dla ludzi, ale z marsyjskiego Starego Portu można wybrać się łodzią na Frioul i île d'If.  
Jednak Sordou jest wytworem mojej wyobraźni.

# 1

## Lacydon

Widział stąd La Canebière zsuwającą się prosto w dół do Starego Portu i dzielącą centrum miasta na dwie równe części tak, jakby ktoś narysował patykiem linię na piasku. Nie było nic dziwnego w tym, że główna ulica wpadała do wody, ponieważ kiedyś była rzeką, La Lacydon. Eric Monnier próbował zaprzeć się biodrem o poręcz na łodzi, by ponownie zapalić to, co zostało z jego cygara. Zauważył, że im bardziej oddalali się od Marsylii, tym większe wydawały się góry za miastem, jakby na to miasto nacierały, wręcz wpychały je do morza. „Zabawne – pomyślał – kiedy jest się w mieście, nie dostrzega się kredowobiałych wapiennych wzgórz. Słyszysz się tylko klaksony samochodów, krzyki mew, widzi kurz i czuje zapach morza i brudu”. Wiedział, że Marsylia nie starała się podobać turystom, i za każdym razem gdy wracał do miejsca, w którym się urodził, przez kilka dni uczył się kochać je na nowo.

*Lacydon* to tytuł jego pierwszego i jedyne go tomiku poezji, napisanego na początku lat sześćdziesiątych, kiedy miał dwadzieścia dwa lata, i opublikowanego za bezcen przez jego przyjaciela z Arles. Była to oda do Marsylii i jej historii, jej jasnego światła i szybko mówiących mieszkańców. Sprzedał około dwunastu egzemplarzy na weekendowych pchlich targach, a resztę rozdał rodzinie i przyjaciołom. Wciąż miał pod łóżkiem kartonowe pudło z wierszami po korekcie – zrobionej przez starszą siostrę kolegi – i pięć pozostałych egzemplarzy cienkiej eleganckiej książeczki.

Ponieważ jego poezja nie odniosła sukcesu, Monnier podjął pracę w liceum w Aix-en-Provence, gdzie zamierzał nauczać do czasu, gdy jego wiersze zostaną docenione. Cioteczna babka ze strony ojca zostawiła mu w spadku mieszkanie przy Quartier Mazarin. Wciąż tam mieszkał, otoczony przez bogactwo – jego sąsiadami byli hrabia i hrabina (piętro niżej) oraz paryski architekt (piętro wyżej). I tak oto znalazł się tutaj, jako świeżo upieczony emeryt, skończywszy długoletnią pracę w tym samym zawodzie, w tej samej szkole. Nigdy więcej nie nadał swoim utworom formy książkowej. Nowe wiersze, spisane ręcznie, spoczywały w notesach w czarnej oprawie, kupionych u Michela na Cours Mirabeau. Wiedział, że kiedy tylko wychodzi ze sklepu, sprzedawcy nazywają go *Le Poète*, ale nie miał im tego za złe.

Oczy Monniera zaszyły mgłą, gdy spojrział na Marsylię. Zawsze kochał port, strzegące go średniowieczne forty z kamienia, złote w blasku słońca,

i podobny do fortecy kościoł, Saint-Victor, piękniejszy w swojej prostocie niż wymyślny dziewiętnastowieczny Notre Dame de la Garde. Obrócił się w prawo i zobaczył schrony, zbudowane przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej na wzgórzu poniżej Palais du Pharo. Jako dzieci bawili się przy tych schronach, dopóki nie przegonił ich strażnik. W miarę jak łódź wypływała dalej w morze, dało się objąć wzrokiem coraz większą część Marsylii: znajdujący się nad schronami prywatny klub pływacki, w którym członkostwo wymagało obecnie lat czekania i licznych rekomendacji, a za nim trzygwiazdkowa restauracja *Passédat*.

Teraz odwrócił się tyłem do miasta, bynajmniej nie dlatego, że mu się nie podobało, ale by osłonić się od wiatru. Przy trzeciej próbie cygaro chwyciło ogień – w postaci ledwie widocznych ogników na krańcu – i Monnier zaciągnął się desperacko, by znów się rozpałiło. Stojąc plecami do miasta, widział, że zbliżają się do Île d'If, uwiecznionej przez Aleksandra Dumasa w powieści *Hrabia Monte Christo*. Dwie większe wyspy w archipelagu Frioul połączone były groblą z dużym naturalnym portem zwróconym na Marsylię. Zwieńczeniem obu wysp, znaczonych jasnozielonymi krzewami, były urwiste klify z piaskowca. To wszystko połyskiwało w promieniach późnolipcowego słońca na tle turkusowego morza. Kiedy był dzieckiem, jego wujek (matka, córka włoskich imigrantów, miała jedenaścioro rodzeństwa, ojciec zaś był jedynakiem) miał łódź na Frioul i Eric spędzał na niej całe tygodnie. Pływał, łowił ryby z kuzynami, a gdy był sam, pisał.

Wypływali coraz dalej w morze i fale rosły. Łódź uderzyła w jedną z nich i ciężko opadła. Poeta usłyszał głos, coś w rodzaju „Ju-hu!”, wydany przez parę w średnim wieku, która weszła na pokład tuż przed nim. To kobieta krzyknęła. Stała plecami do miasta, ramionami obejmowała barierki, podczas gdy jej mąż zabawnie skakał dookoła, starając się złapać równowagę, by zrobić zdjęcie. Miał na sobie białe tenisówki, które wydawały się na niego za duże, i jedną z tych czapek z daszkiem, przeznaczonych do ochrony przed słońcem, które miały otwór na czubku głowy. Zawsze uważał, że te czapki są bez sensu. Nie wiedział, jak się nazywały, lecz zarówno one, jak i okrzyk kobiety wskazywały, że tych dwoje to Amerykanie. Kobieta zobaczyła, że Monnier im się przygląda, uśmiechnęła się i pomachała.

– Wzburzone morze!

Monnier pomachał jej w odpowiedzi swoim kapeluszem panama, zrozumiawszy, że powiedziała coś o falach.

Poeta starał się nie gapić na nich, ale urzekła go radość tej amerykańskiej pary, ich wspólny entuzjazm. On sam miewał romanse, ale nigdy nie był żonaty. Kobieta, z którą miał się ożenić, zmarła przed prawie pięćdziesięcioma laty i chodzenie na randki już nigdy nie sprawiało mu przyjemności. Poezja służyła mu za pretekst do tego, by być samotnikiem, ludzie mu wierzyli, ponieważ pisanie wierszy było dla nich zbyt



abstrakcyjne.

Tydzień na wyspie zafundował sobie w nagrodę za czterdzieści lat uczenia niewdzięcznych (z małymi wyjątkami) siedemnastolatków tego, jak piękne są powieści Flauberta. Jako emerytowany pracownik budżetówki będzie otrzymywał całe swoje wynagrodzenie – małe, bo wynoszące zaledwie dwa tysiące euro miesięcznie, ale to i tak więcej niż trzeba dla kogoś, kto nie płaci czynszu, nie ma dzieci i nigdy nie podróżuje. Zaciągając się cygarem, popatrzył na swoje odbicie w oknie łodzi i pomyślał, że wygląda jak każdy emerytowany nauczyciel, który uwielbia jeść i pić (właśnie na to wydawał pieniądze). Z okularami w kształcie półksiężyców, które zawsze zwisały mu na szyi, z wystającym brzuchem, w białych koszulkach guayabera, które przyjaciel kupił w czasie pobytu na Kubie (zauważył, że tę, którą miał teraz na sobie, poplamił wczoraj wołowym gulaszem), z czerwonym kartoflowatym nosem i zaniedbaną białą brodą, z przerzedzonymi miękkimi i białymi włosami.

Amerykanom najwyraźniej nadal kręciło się w głowie, a on cieszył się, że bariera językowa będzie wymówką, by nie utrzymywać z nimi kontaktów towarzyskich, kiedy już znajdą się na wyspie. Niezbyt społeczny nawet w swoim najlepszym okresie, Monnier pragnął ciszy, czasu na refleksję i pisanie. I wtedy usłyszał język francuski.

Po jego stronie burty pojawiła się nowa para – musieli być na sterburcie i wsiaść na pokład po nim i po Amerykanach. Byli jakieś pięć lat młodszy niż przybysze z Ameryki i może ze dwadzieścia od niego. Przynajmniej ona. Skinął głową, kiedy przechodzili obok, a oni w odpowiedzi uśmiechnęli się i pokiwali głowami. Kobieta była wysoka i szczupła, lecz nie chuda, z burzą kręconych kasztanowych włosów, które rozwiewał wiatr, tak jak u Élodie. Miała długi wąski nos, wysokie kości policzkowe, wąskie usta i dużo piegów. Jej partner był równie atrakcyjny, choć nie mógł się poszczycić jej klasyczną urodą. Był jej wzrostu, może nawet odrobinę niższy, szeroki w ramionach, z niewielkim brzuszkiem. Miał złamany nos... czy to wskutek wypadku? Kontuzja sportowa? Jego gęste czarne włosy przetykane były siwizną, oczy przybierały ciemniejszy odcień niż oczy kobiety, choć była z nich taka sama inteligencja. Duże szerokie usta układały się w serdeczny uśmiech.

Monnier dokończył cygaro i odwrócił się do tyłu, by spojrzeć na Marsylię. Trudno już było dostrzec poszczególne części miasta, z wyjątkiem Notre Dame de la Garde, niegdyś kościoła dla żeglarzy, pełniącego funkcję latarni morskiej, usytuowanego na szczycie wzgórza na wschód od centrum, prawie tak jak paryskie Sacré-Cœur. Łódź opłynęła wyspę Frioul i kierowała się teraz dalej na morze, na południowy wschód, w stronę szerokiej na sto metrów i długiej na dwa kilometry wyspy.

– Czy pali pan kubańskie cygaro? – usłyszał z boku głęboki męski głos. To był Złamany Nos, ten z piękną piegowatą towarzyszką.

– A cóż by innego? – odparł Monnier. Być może był skromnym pracownikiem budżetówki, ale palił wyłącznie kubańskie cygara. – Upmann. Ale już się skończyło, trzymam je, bo nie chcę go wyrzucać za burtę.

– Mam upmanna w kieszeni – odpowiedział mężczyzna, poklepując się po lnianej marynarce, którą niewprawne oko Monniera oceniło jako bardzo drogą. – Magnum czterdzieści sześć. Ale zachowuję go na chwilę, kiedy dotrzemy do wyspy. Moja towarzyszka uważa palenie w płynącej po morzu łodzi za idiotyczne. Sądzę, że jej zdaniem cygaro i świeże powietrze nie idą w parze.

Monnier roześmiał się.

– Proszę to powiedzieć Kubańczykom. – Wyciągnął rękę. „Do diabła” – pomyślał. – „Mówią po francusku i będziemy razem na małej wyspie”. – Eric Monnier – przedstawił się.

– Antoine Verlaque – odrzekł Złamany Nos, ściskając jego dłoń. Spojrzał na Monniera i znowu się uśmiechnął. – Pan na wypoczynek?

– Mam nadzieję – odparł Monnier. – Właśnie przeszedłem na emeryturę po czterdziestu latach nauczania. A wy?

– My też na wakacje.

– Czy wziął pan ze sobą więcej cygar? – zapytał Monnier. – Nie jestem pewien, czy w hotelu będą je sprzedawać.

Verlaque skinął głową i uśmiechnął się. Zauroczyła go naiwność nauczyciela – hotele takie jak ten, do którego zmierzali, zawsze miały humidor. Zabrał ze sobą cygara, ale wiedział, że jeśli mu zabraknie, będzie mógł skorzystać z hotelowych zapasów.

– Zajmują mniej więcej połowę mojej walizki – odpowiedział Verlaque. – Ona nie wie. – W tym momencie obaj spojrzeli na towarzyszkę Verlaque’a, która fotografowała morze.

– Jest piękna – skomentował Monnier, zdziwiony swoją bezpośredniością.

– Tak, i świetnie sobie z tym radzi. Uroda gubi niektóre kobiety, ale nie Marine.

Monnier pomyślał, że ten mężczyzna, Antoine, był przyzwyczajony do komplementów pod adresem swojej dziewczyny czy żony, a przynajmniej wcale nie był zaskoczony komentarzem nieznajomego.

– Marine – powtórzył Monnier. – Odpowiednie imię dla kogoś, kto fotografuje morze.

Verlaque skinął głową.

– Zgadza się. Myślę jednak, że robi zdjęcia fal, bo tak naprawdę się ich boi.

Na twarzy Monniera pojawił się lekki uśmiech.

– Kiedyś znałem kogoś takiego jak pańska Marine. Cudowna dziewczyna...

Łódź uderzyła o falę i obaj mężczyźni chwycili się burty.

– Nigdy nie podróżowałem dalej niż na Frioul – powiedział Verlaque. – Wspaniale jest płynąć tak głęboko w morze i mieć widok na Marsylię.

– Musimy pokonać jeszcze dziesięć kilometrów – odparł Monnier. – Sordou była pierwszą wyspą, do której dopływali śródziemnomorscy marynarze, stąd znaczenie tamtejszej latarni morskiej. Pozostałe wyspy Archipelagu Riou są niezamieszkane...

– Tak, wiem...

– Chronione przez straż przybrzeżną, wykorzystywane tylko przez naukowców, nurków i mewy...

W Monnierze najwyraźniej odezwał się belferski nawyk i Verlaque czekał, aż choć na chwilę przerwie, ale nie miał szansy się odezwać.

– Neolityczni ludzie przybyli na Sordou w poszukiwaniu owoców morza – mówił Monnier.

– Uhm – mruknął sędzia. – Niewątpliwie dostaniemy na wyspie mnóstwo dobrych ryb. Słyszałem wiele dobrego o tym młodym szefie kuchni...

– Oczywiście jest tam masa królików i trochę rzadkich ptaków, jak chroniony burzyk żółtodzioby...

– Oczywiście, z żółtym dziobem i popielatymi piórami...

– Ale żółtodzioby ukrywają się w rozpadlinach skalnych, więc raczej żadnego nie zobaczymy.

Łódź zwolniła, a Marsylia stanowiła teraz złotą mgiełkę na horyzoncie.

– No to jesteśmy! – oznajmił Monnier, kapeluszem zasłaniając oczy przed słońcem. Teraz, kiedy łódź dobijała do portu, pasażerowie poczuli czerwcową gorączkę. Amerykańska para w podnieceniu wbiegła do wnętrza łodzi po walizki, kobieta przypomniała swojemu mężowi, Billowi, by uważał na kręgosłup.

– Och... Sordou – powiedział Monnier, patrząc na wyspę.

– Czy był pan tu wcześniej? – zainteresował się Verlaque. – Jak rozumiem, wyspa Sordou była opuszczona przez dziesięciolecia.

– Tak, kiedyś już tu byłem, *mon ami*, kiedyś już tu byłem.

## 2

### Powitanie

– Proszę uważać – powiedział kapitan łodzi *Le Sunrise* do pasażerów, kiedy wysiadali i wskakiwali na główny pomost na Sordou. Chciał jak najszybciej popłynąć z powrotem do Marsylii, bo morze było coraz bardziej wzburzone i kiedy wróci, jego przyjaciele będą już przy drugiej anyżówce w Barze de la Marine.

Na gości czekał około trzydziestoletni przystojny mężczyzna o surowej urodzie, który miał pomóc im z bagażami. Hugo Sammut cieszył się, że ma tę pracę, zimą pracował w Alpach jako instruktor narciarski, ale musiał też zarobić trochę gotówki w sezonie letnim. Został więc ogrodnikiem i sternikiem – posiadał odpowiednie uprawnienia i mógł zabierać gości na przejażdżki łodzią, kiedy tylko sobie życzyli. Nie okazywał także zdumienia, gdy proszono go o wykonywanie prac dorywczych, takich jak witanie gości na pomoście – podczas pierwszego spotkania na początku maja był mocno zdziwiony, że personel hotelu składa się jedynie z sześciu osób oraz właściciela hotelu i jego żony.

– *Tenez, madame* – rzekł Sammut, podając ramię kobiecie w średnim wieku, która wysiadała z łodzi.

– Och, skorzystam! – odpowiedziała po angielsku i chichocząc, ujęła go pod opalone muskularne ramię.

– Shirley! – zawołał z tyłu jej mąż. – Musisz uważać z tymi Francuzami!

Kiedy tylko poczuła solidny grunt pod stopami, poklepała Sammuta po rękę i jeszcze raz mu podziękowała. Sięgnęła po walizkę męża, który podczas wysiadania z łodzi stracił równowagę.

– Chory kręgosłup – powiedziała głośno do Sammuta, wskazując na męża i kierując rękę na dół swojego kręgosłupa. – I parkinson – dodała.

Eric Monnier wzdrygnął się, otwartość kobiety w kwestii schorzeń jej męża wprawiała go w zakłopotanie.

– W takim razie, *madame*, proszę pozwolić, że zabiorę wasze bagaże do hotelu – rzekł Sammut, posługując się nienaganną angielszczyzną, w której wszakże pobrzmiwał francuski akcent. W górach taki akcent był szalenie lubiany przez anglosaskich narciarzy, w szczególności kobiety.

– Och, dziękuję ci...

– Hugo – odpowiedział.

– Hugo, *dear*. Jestem Shirley Hobbs, a to mój mąż, Bill.

– Miło mi cię poznać, synu – rzekł Bill Hobbs, ściskając dłoń Sammuta.

Monnier był zdumiony bezpośredniością Amerykanów. Zauważył, że dłoń mężczyzny drżała przy powitaniu. Monnier nigdy nie był w Stanach, jak nazywali ten kraj – ku jego irytacji – niektórzy spośród byłych kolegów.

– Hugo, jesteś pewien, że dasz radę z dwiema walizkami? – zapytał Bill Hobbs. – Obawiam się, że nie bardzo mogę pomóc.

– Tak, *sir*. To nie będzie problem – odparł Sammut i poczuł ulgę na widok Serge’a Canzano, hotelowego barmana, szybko zmierzającego w stronę doku.

– Pomogę panu z walizkami, *sir* – zwrócił się Canzano do Monniera, podczas gdy Sammut posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie, które mówiło: „Gdzie byłeś?”. Canzano nie miał jednak szansy wyjaśnić Sammutowi, że kiedy łódź dotarła do brzegu, przygotowywał dla jednego z gości drugie mojito. Kiedy skończył, zadzwonił do pracującej w pralni Marie-Thérèse, by obsługiwała bar, dopóki on nie wróci.

– A potem przyjdę po państwa bagaże – powiedział Sammut do Antoine’a Verlaque’a i Marine Bonnet.

– Nie, nie – zaprotestowali jednocześnie. – To nie będzie konieczne – odezwał się Verlaque. – Poradzimy sobie.

– Ja wezmę państwa walizki – usłyszeli gardłowy kobiecy głos. Cała grupa odwróciła się i zobaczyła drobną krótkowłosą kobietę około trzydziestki, która wbiegła na pomost i wzięła z rąk Marine jej torbę. – Witamy na Sordou – rzekła. – Jestem Niki Darcette, kierowniczka hotelu.

Marine spojrzała na chude opalone ręce i nogi Niki Darcette i oceniła, że kobieta nosi rozmiar zero. Darcette miała na sobie białą bluzkę z czystej bawełny z krótkimi rękawami, czerwoną spódniczkę mini i sandały na wysokich obcasach. Marine zerknęła na Verlaque’a, który poruszał brwiami w górę i w dół. Żartobliwie klepnęła go w pośladki.

– Mme i M. Le Bonowie, właściciele hotelu, powitają państwa w lobby – mówiła dalej Darcette. – Kilkoro gości dotarło już wcześniej, następnych dwoje przybędzie wieczorem późniejszą łodzią, a potem już nic nie przerwie naszego błęgiego tygodnia.

Dla Marine zabrzmiało to tak, jakby Darcette nauczyła się tego powitania na pamięć. Dodanie słowa „błogi” było lekką przesadą. Ale podobał jej się niski ochryply głos, nawet jeśli chrypkę należało przypisać najprawdopodobniej nadmiernemu paleniu.

– M. Verlaque – odezwała się Darcette, idąc obok sędziego. – Mam nadzieję, że podobała się panu podróż łodzią.

– O tak, dziękuję – odparł Antoine, obracając się, by puścić oko do Marine.

Marine z ulgą zauważyła, że Mlle Darcette nie powiedziała „panie sędzio”. Dziewczyna Antoine’a upierała się, by jego profesja – a pełnił funkcję sędziego śledczego w Aix-en-Provence – pozostała w tym tygodniu tajemnicą. To miały być wakacje, żadne z nich nie planowało udzielać

darmowych porad prawnych. Skończyła semestr nauczania w maju, ale od tamtej pory prowadziła badania i pisała.

– Oj, oj, oj – odezwała się Shirley Hobbs, rozejrzawszy się wokół siebie, dodając do tego pogwizdywanie.

– Shirley, to cztery „oj” – powiedział do żony Bill Hobbs.

Port na wyspie otaczały strome białe klify, znaczone zielonymi krzewami, w niektórych miejscach ze skał wyrastały pinie. Klify opadały gwałtownie do turkusowego morza, jak *calanques*, które Hobbsowie widzieli w Cassis w trakcie poprzedniego pobytu w tej części Prowansji. To właśnie tamten rejs łodzią wycieczkową przed pięcioma laty, kiedy to odwiedzenie trzech *calanques* kosztowało, jak pamiętał Bill, piętnaście euro, przekonał ich, by zarezerwować ten luksusowy tydzień na Sordou.

– To jak miejsce z jednego z tych pism dekoratorskich, które zawsze czytasz, prawda, Shirley?

– Pisma dizajnerskie, nie dekoratorskie, Bill – poprawiła go żona.

Goście wpatrywali się w hotel – jasnoróżowy budynek z suszonej cegły, usytuowany na niewielkim wzniesieniu z widokiem na morze. Układał się łukiem wzdłuż wzgórza, nie narzucając się pofałdowanemu krajobrazowi, lecz się weń wpisując. Front hotelu znaczyła linia zaokrąglonych balkonów i tarasów, niektóre były wielkie z szerokim widokiem, inne zaś – małe i intymne. Ta część wyspy wychodziła na południe, oprócz białych klifów po obu stronach widać stąd było tylko morze. Po wejściu na najwyższy stopień schodów prowadzących do hotelu wszyscy goście jak na komendę odwrócili się, by jeszcze raz podziwiać ten widok.

– Morze i tylko morze aż do Afryki – zwrócił się do nich Hugo Sammut. Przebywał na wyspie od dwóch miesięcy i wciąż zachwycał go ten widok.

– *Messieurs-dames* – usłyszeli głos. W zwieńczonym łukiem wejściu do hotelu stał Maxime le Bon i podtrzymywał drzwi z podwójnego szkła. – *Bienvenus* – mówił dalej. – *Welcome* – zwrócił się do Hobbsów, wnioskując o ich pochodzeniu z przeciwstóncznego daszku Billa Hobbsa. Le Bon miał na sobie strój odpowiedni na czerwcowe upały – lniane spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem. Wyglądał schludnie i był opalony (jak reszta personelu). Marine Bonnet odniosła wrażenie, że jest szczerze uradowany przybyciem gości. – Moja żona, Catherine, czeka w środku. Wszyscy nazywamy ją Cat-Cat. Proszę...

Le Bon i Sammut przytrzymywali wielkie szklane drzwi, kiedy goście wchodzili do hotelowego lobby.

– Już żadnych więcej „oj”, Shirley – odezwał się Bill Hobbs, rozglądając się po sklepionym pomieszczeniu. Ściany pomalowano tu na ciepły kremowy kolor, a elementy wystroju – framugi okienne i oświetlenie – były czarne. Na prawo od drzwi wejściowych znajdowała się zwieńczona łukiem wnęka – Marine pomyślała, że kiedyś mogła pełnić funkcję kaplicy – a w środku stał zakrzywiony drewniany blat recepcji. Zza niego szybkim



krokiem wyszła elegancka kobieta w średnim wieku.

– *Bonjour* – przywitała się z uśmiechem. – Jestem Catherine Le Bon. Proszę, nazywajcie mnie Cat-Cat. Wraz z Mlle Darcette zameldujemy państwa, a w tym czasie państwa walizki zostaną zaniezione do pokoi. Zapraszamy też wszystkich do baru... nazywamy go Barem Jacky'ego na cześć jednego z barmanów na Sordou z lat pięćdziesiątych... na gratisowy kieliszek szampana.

Eric Monnier zasalutował Mme Le Bon i skierował się prosto do baru, mówiąc:

– Sprawdź to ostatnie. Meldujcie się pierwsi. – I wyszedł z lobby.

– Cóż, jesteśmy bardzo zmęczeni – rzekła Shirley Hobbs, gdy Niki Darcette przetłumaczyła powitanie Cat-Cat. – Bardzo chcę zobaczyć nasz pokój i wyciągnąć nogi do góry.

– Oczywiście, Mme Hobbs – odparł Maxime Le Bon. Wskazał na recepcję. – Proszę...

Verlaque zwrócił się do Marine:

– Jeśli chcesz iść do baru, to ja nas zamelduję.

– Mogę poczekać z tobą – odpowiedziała Marine.

– Nie chcesz poszukać Sylvie? – zapytał. Tak naprawdę wolał zameldować ich sam, bo zamierzał poprosić o pokój o wyższym standardzie.

– Masz rację – zgodziła się Marine. – Bar to dobre miejsce, by zacząć.

– *Putain de merde!* – zawołał jakiś nastolatek, przechodząc pomiędzy nimi tak, że oboje musieli zrobić krok do tyłu.

– Słucham? – odezwała się Marine, najwyraźniej poirytowana.

Chłopak odwrócił się i rzucił szybko:

– Przepraszam. – Następnie gwałtownie otworzył drzwi frontowe i wybiegł z hotelu.

– Brice! – krzyknęła za nim kobieta, która pospiesznie weszła do lobby.

– Pobiegł tędy – poinformował ją Verlaque, wskazując ręką kierunek.

– *Merci, monsieur* – rzekła kobieta. – Nastolatki! – Obdarzyła go przelotnym uśmiechem w drodze na zewnątrz.

– M. Verlaque – zawołał Maxime Le Bon. – Możemy już pana zameldować.

– Do zobaczenia za chwilę – odezwała się Marine. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

\*

Podczas gdy wystrój lobby cechowała toskańska elegancja, bar prezentował szalony styl Capri z około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Marine stała w drzwiach z rękoma na biodrach i rozglądała się po barze z uśmiechem. Hugo Sammut przyniósł jej kieliszek szampana.

– Dziękuję – powiedziała. – To piękny bar.

Mężczyzna rozejrzał się, jakby nigdy wcześniej nie widział tego miejsca,

wzruszył ramionami i odszedł.

– Hej! – zawołała Sylvie Grassi z końca białego wygiętego w łuk baru, znaczonego dużymi czarnymi kropkami. – W końcu!

Marine szybko podeszła do swojej najlepszej przyjaciółki, obdarzyła ją *bise* i uściskała.

– Tak się cieszę, że tu jesteśmy!

Sylvie uniosła w górę swoje mojito i stuknęła kieliszkiem w kieliszek Marine.

– Za letnie wakacje – powiedziała.

– *Chin-chin* – odparła Marine, sącząc wytrawnego szampana.

– Usiądź, bo się przewrócisz, kiedy ci powiem, kto tu jest – rzekła Sylvie, lekko przeciągając słowa.

Marine roześmiała się.

– Czy to twoje pierwsze mojito?

Sylvie pokręciła głową.

– Drugie, a potem mam zamiar udać się na popołudniową drzemkę. Nie ucięłam sobie drzemki, od kiedy urodziła się Charlotte.

– Jak ona się ma? – zapytała Marine, myśląc o swojej dziesięcioletniej córce chrzestnej.

– Rozmawialiśmy wczoraj, zanim dotarłam na wyspę... Tak przy okazji, nie ma tu zasięgu telefonicznego – wyjaśniła Sylvie. – Była na dwugodzinnej wyprawie po alpejskich łąkach z moimi rodzicami, później mieli zamiar kupić jej lody na jej ulubionej farmie.

Marine westchnęła.

– To zbyt sielankowe.

– Uhm, podobnie jak to mojito i ten hotel! Czy ten bar to nie przesada?

Marine spojrzała na turkusowe i zielone wygięte sofy, które stały wzdłuż ścian, jasnozielone fotele, stoliki z brązu o szklanych blatach i białe żaluzje chroniące przed słońcem. Nad ich głowami powoli obracały się skrzydła wentylatora, nadającego barowi tropikalny sznyt. Zobaczyła Erica Monniera, który, jak powiedział jej Antoine, był emerytowanym nauczycielem. Teraz siedział samotnie przy okrągłym marmurowym stoliku pod ogromną czarno-białą fotografią kubańskiego rolnika. Zapisywał coś w notatniku i chyba wypił już swojego szampana, bo stała przed nim szklaneczka whisky.

– Marine – odezwała się Sylvie.

– O, przepraszam. Co?

– Muszę ci powiedzieć, kto tu jest. Jako gość.

– Dobrze. Więc kto?

– Proszę, okaż choć trochę entuzjazmu!

Marine roześmiała się i upiła łyk szampana.

– Przepraszam, sądząc z tonu twojego głosu, to jakaś gwiazda filmowa, a wiesz, że nie znam się na filmach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam

w kinie. Dla mnie gwiazdy to średnio zdolni ludzie, którzy wygrali urodę na loterii już przy urodzeniu i niewiele mają tutaj... – powiedziała, wskazując na swoją głowę.

– Mówisz o gwiazdach Hollywood. Tej osoby nie mogłaś ostatnio widzieć w filmie, *chérie*.

– Jej kariera się skończyła? – zapytała Marine.

Sylvie zmarszczyła brwi.

– Nagrywa teraz reklamy. Słyszałam, że na planie filmowym bywał trudny. Wciąż nie zgadłaś, kto...

– Hej, wy dwie – zawołał Verlaque, pochylając się nad Sylvie, by złożyć *bise* na jej policzku. – Nie wstawaj – powiedział.

– Nawet nie mogę – odparła Sylvie.

Verlaque głośno się roześmiał, a Marine szeroko uśmiechnęła, zadowolona, że dwie najbliższe jej osoby w tym tygodniu dogadują się ze sobą.

– Właśnie mówiłam Marine, że mamy wśród nas na Sordou francuskiego gwiazdora filmowego – rzekła Sylvie, głośno dopijając swoje mojito.

Verlaque uniósł brwi.

– Naprawdę?

– I ciągle dochodzi do awantur pomiędzy nim a jego żoną – która przeszła miliony operacji plastycznych – oraz jej opryskliwym nastoletnim synem.

– Widzieliśmy ich w lobby! – oznajmiła Marine, bardziej zainteresowana problemami chłopaka niż żoną gwiazdora.

– M. Verlaque, na pewno przyda się panu trochę dobrego schłodzonego szampana – powiedziała Niki Darcette, wręczając mężczyźnie *coupe*.

Sylvie Grassi spojrzała na Marine, a ta szepnęła:

– Chyba wszystkie kobiety tutaj z nim flirtują!

– Słucham? – zapytał Antoine.

Marine upewniła się, że Niki odeszła na tyle daleko, by ich nie usłyszeć, i powtórzyła swoje słowa.

Verlaque wybuchnął śmiechem.

– To wariactwo.

– Nie, to Sordou – wyjaśniła Sylvie. Antoine i Marine spojrzeli na przyjaciółkę, która nie wyglądała na czterdzieści lat i utrzymywała swoje szczupłe ciało w dobrej formie. „Zupełnie jak Mille Darcette” – pomyślał Verlaque.

– Faceci z personelu robili do mnie słodkie oczy. Myślę, że po części z powodu piękna tej wyspy, ciepłego słońca na skórze i soli, która przyjemnie pozostaje na ciele po kąpieli morskiej.

Jej przyjaciółka roześmiała się.

– Nie bez znaczenia jest też fakt, że nie mogą opuścić wyspy, dopóki na przybędzie następna łódź – skomentowała.

Sylvie zmarszczyła brwi, ale po chwili wyszeptała z podnieceniem:

– Nie patrzcie teraz za siebie...

Marine i Verlaque jak na komendę odwrócili się, by spojrzeć w tył.

Sylvie jęknęła i próbowała ukryć twarz za szklanką po mojito.

– Alain Denis! – szepnął Verlaque.

– To jedyny gwiazdor filmowy, którego nazwisko pamięta moja mama – powiedziała Marine cicho. – Bardzo jej się podobał w tym filmie z lat sześćdziesiątych nakręconym w Wenecji...

– *Aqua alta* – podpowiedziała Sylvie.

– Moja mama też go uwielbiała – rzekł Verlaque, otwarcie wpatrując się w aktora, który stał teraz przy barze i zamawiał drinka. – Jeżeli dobrze pamiętam, *Czerwona noc* to był jej ulubiony film.

– Moim faworytem jest *Długa droga do domu* – oznajmiła Sylvie. – Ta świetna scena, nakręcona w czerni i bieli. Ekran podzielony na dwie części drewnianym słupkiem, on po lewej stronie, sam, ale zza kadru słycać kobiecy głos, ona mówi z płaczem...

– Ach, tak, Isabella Piccolini – pospieszył z podpowiedzią Verlaque, uśmiechając się. – Ona z kolei była skrytą ekranową miłością mojego ojca.

Marine dyskretnie spoglądała na aktora, wyglądał prawie tak jak w młodości: miękkie proste włosy nadal były nieco dłuższe, ale teraz już niemal siwe. Wciąż rzucał się w oczy jego długi orli nos, podobnie jak pełne, prawie dziewczęce usta oraz wydatne kości policzkowe. Ale jego skóra pozbawiona była zmarszczek, co, jak pomyślała Marine, zaskakiwało u kogoś, kto tak jak jej rodzice musiał dobiegać siedemdziesiątki.

– A tak w ogóle, jak potoczyła się jego kariera? – zapytała.

Sylvie pochyliła się do przodu.

– Zaczęło się od konfliktów na planie pomiędzy nim a Isabellą Piccolini – wyjaśniła szeptem, bawiąc się pustą szklanką po mojito i zastanawiając się nad zamówieniem trzeciego koktajlu. Czytała „Paris Match”, kiedy tylko miała okazję, była zbyt wyrafinowana, by to pismo kupować, ale zawsze zabierała je, gdy zobaczyła u dentysty lub u lekarza albo u swojej siostry. – Nie dość, że był leniwy, to jeszcze miał problemy z zapamiętaniem tekstu. – Sylvie dotknęła swojego nosa i chrząknęła. – I do tego napastował seksualnie swoje koleżanki, w tym Piccolini, szczęśliwie zamężną miłą włoską dziewczynę z czwórką dzieci: Daniellą, Dario, Davide i... nie pamiętam ostatniego...

– Mów dalej – rzekł Verlaque.

– W trakcie kręcenia filmu zaczął stawiać kolejne żądania, domagał się coraz więcej i więcej pieniędzy, z których spora część szła prosto do jego dilera kokainy.

– Jak uważasz, co on tutaj robi? – zapytała Marine.

– Przyjechał na wakacje – odparła przyjaciółka.

– Sądzę, że Marine ma na myśli, co robi tutaj, na Île Sordou, a nie

w Saint-Tropez albo na Ibizie – zasugerował Antoine.

– Dobre pytanie – skwitowała Sylvie. – Może chciał uciec od światła reflektorów?

– Myślałam, że gwiazdy filmowe go pragną – powiedziała Marine.

Sylvie odchyliła się do tyłu na swoim stolku barowym i spojrzała z ukosa na Alaina Denisa.

– On zdecydowanie wygląda na kogoś, kto byłby szczęśliwy, mając kamery wycelowane prosto w twarz – stwierdziła. – Szczególnie od kiedy zdegradowano go do kręcenia reklam karmy dla psów. Ale kto wie?

Marine i Antoine spojrzeli na nią, zaskoczeni tym, że skończyła dyskusję o Alainie Denisie pseudofilozoficzną nutą.

– Czy mam wypić kolejne mojito, czy uciąć sobie drzemkę? – zapytała Sylvie.

– Drzemka – powiedzieli unisono Marine i Antoine.

### 3

## O szefie kuchni

Jednym z elementów dekoracyjnych oryginalnego wystroju Baru Jacky'ego były koła. Podczas ciągnącego się dwa lata generalnego remontu Émile Villey przekonał Le Bonów do zachowania obrazoburczego stylu lat sześćdziesiątych. Z boku białego zakrzywiającego się baru znajdowały się pomalowane na czarno drewniane okręgi. Dyskretne koła zdobiły wełniane i jedwabne chodniczki wyznaczające różne strefy pomieszczenia. Na ścianach wisiały obrazy i lustra w okrągłych ramach. Villey uważał, że koła działają relaksująco, a właśnie tego trzeba było w nadmorskim hotelu. Taki kształt miały również okna wychodzące na bar i sąsiadującą z nim restaurację, jako że cztery z wykonanych z brązu okręgów zostały przekształcone w lustra weneckie. Dzięki temu szef kuchni mógł ze swojego miejsca obserwować klientów i pracowników.

Émile Villey, młody, dwudziestoczteroletni kucharz, miał szczęście i wiedział o tym. Prowadzenie własnej restauracji, nawet niewielkiej, było wymarzoną pracą. Maxime i Cat-Cat Le Bon traktowali go jak równego sobie – konsultowali z nim nawet remonty w kuchni i restauracji i przekazali mu pełną kontrolę nad menu i gotowaniem. Zakochał się w wyspie, kiedy tylko ją zobaczył. Urodził się i wychował w Berry, w środkowej Francji. Tam, począwszy od piętnastego roku życia, szkolił się w podobnych do siebie, oddalonych od morza restauracjach od Pikardii do Paryża. Podczas pierwszej rozmowy w sprawie pracy na wyspie, w trakcie jednego z nielicznych wolnych weekendów w Le Meurice w Paryżu, Émile gotował dla Le Bonów i użył roślin, jakie znalazł na skalistych klifach Sordou – rozmarynu, tymianku, lawendy i dzikiej rukoli. Zatrudnił jedyne stałego mieszkańca wyspy, Prospera Buffę, by złowił mu trochę ryb na grilla (i za dużo mu zapłacił). Posiłek był prosty, ale świeży i Le Bonowie byli zachwyceni. Powiedzieli Villeyowi, że z radością powitają go wczesną wiosną. Przygotuje kuchnię i wypróbuje na personelu różne dania, dopóki w czerwcu nie pojawią się pierwsi goście. Émile Villey i Maxime Le Bon zakończyli wtedy spotkanie, pijąc dwudziestoletni armaniak i marząc o gwiazdkach Michelina.

Dopiero kiedy Villey podpisał trzyletni kontrakt, przez skuteczną i rozległą sieć francuskich kucharzy dotarła do niego informacja, że Le Bonowie okazali taki entuzjazm, ponieważ Villey był jedynym kandydatem. Po kilku kolejnych pobytach na wyspie zorientował się,



dlaczego tylko on zgłosił się do tej pracy – ze względu na znaczne oddalenie wyspy od lądu przygotowanie tu różnorodnego menu graniczyło z cudem. Nie uda się pozyskać egzotycznych składników, nawet te podstawowe trzeba będzie sprowadzać łodzią z Marsylii. A to miasto wciąż było dzikie i pomimo inwestycji, takich jak te, które realizowali Le Bonowie, nigdy nie zbliżył się do poziomu Saint-Tropez, Capri, a nawet Aix-en-Provence. Zaniepokojony Villey gotów był zerwać kontrakt, dopóki nie wrócił na Sordou w sierpniu na kolejne spotkanie z gospodarzami, którzy rozbili obóz na zewnątrz i nadzorowali remont hotelu. Po burzy mózgów poszedł popływać wzdłuż klifów, dryfował lekko na plecach i patrzył w błękitne niebo. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie pluskiem wody, gdy uderzał w nią rękami, i dalekim dźwiękiem wydawanym przez *cigales*, siedzące na nielicznych drzewach Sordou. Założył okulary pływackie – prezent od rodziców, którzy tylko raz byli nad morzem – i płynął wzdłuż podwodnych klifów, podziwiając morskie życie. Każda malutka kolorowa rybka płynęła w tym samym kierunku co on, każda żyła w grupie, a jednocześnie w samotności.

Kiedy wspiał się na płaską skałę i wysychał na słońcu, przypomniał sobie lata terminowania: trudne pobudki o szóstej rano w przerażająco zimnym Berry, kiedy wciąż panowała ciemność, a mróz pokrywał ziemię i każdą inną powierzchnię. Ciężka praca w dużej restauracyjnej kuchni i te chwile, gdy zaczynały go boleć pokaleczone ręce. I tak sześć dni w tygodniu. Soboty były jedynym pocieszeniem dla czeladnika, spędzał je z uczniami szkoły pielęgniarskiej, położonej na drugim krańcu miasta, na picu piwa i graniu w piłkarzyki. Później przygotowywał sosy, a następnie pełnił funkcję zastępcy szefa kuchni, czyli maniakalno-depresyjnego kucharza w dwugwiazdkowej restauracji w okolicach Lille, który uważał za zabawne robienie pracownikom kuchni dowcipów w trakcie niedzielnego lunchu przy pełnej sali. A następnie jego sukces: stanowisko kucharza odpowiedzialnego za potrawy z ryb w Le Meurice w Paryżu. Reprezentacyjny hotel i trzygwiazdkowa restauracja, lecz mimo to warunki pracy nie były tam lepsze niż w jego pierwszym *apprentissage* w Auberge des Oiseaux w Berry. W nocy padał na małe łóżko w wynajmowanym pomieszczeniu, żaden z sąsiadów nie pracował i wszyscy przez cały dzień i całą noc słuchali rapu. Wynajem kosztował go osiemset pięćdziesiąt euro – połowę jego zarobków.

Sordou będzie jego wyzwaniem, zdecydował Émile, wycierając się na skałach tego gorącego sierpniowego dnia. Czy nie było innych wspaniałych restauracji w dalekich miejscach? Na przykład na Islandii? Albo na wyspach Oceanii? Prawie biegiem wrócił do hotelu, usiadł i naszkicował plan, w którym uwzględnił kuchenny ogród i donice z ziołami. Jeśli zasieje i zasadzi rośliny wiosną przed pierwszym sezonem, będzie miał prowansalskie letnie warzywa do letniego menu. A skoro Villey chciał

uprawiać ogród, gospodarze wydzielili mu kawałek ziemi. Architekt zaplanował nawet wysoki na półtora metra kamienny mur, który ochroni *le potager* przed morskimi wiatrami.

Jeszcze wieczorem w pociągu powrotnym do Paryża Villey sporządzał notatki. Będzie kupował sezonowe owoce i przygotowywał przetwory, tak jak robiła to jego babka. Stworzy likier z tymianku i lawendy. W menu poczesne miejsce zajmą ryby, umówi się z miejscowymi rybakami, by zatrzymywali się na wyspie w drodze powrotnej do Marsylii. Nie mógł polegać na Prosperze, który wyraźnie okazywał, że nie podoba mu się obecność Le Bonów na jego wyspie. Émile wiedział, że jeśli chce się spotykać z rybakami, to będzie musiał wstawać o jakiejś nieludzkiej godzinie, ale przynajmniej nie będzie musiał skrobać lodu z wewnętrznej strony okna, tak jak to robił w Le Berry. Trudności przysporzy mu z pewnością kupowanie mięsa, ale postanowił sprowadzać prowansalską baraninę albo wysłać po nią Hugo Sammuta. Makaron jest jego atutem, uwielbiał go robić i wszyscy uwielbiali go jeść. Le Bonowie zgodzili się także zainwestować we włoską maszynkę do krojenia mięsa, która kosztowała tyle, co mały *citroën* lub *renault*. Jednak była to najpiękniejsza maszyna, jaką Villey kiedykolwiek widział – jasnoczerwona, o błyszczących chromowanych częściach. Jej mechanizm był równie precyzyjny, jak ten w teleskopie i po jednym delikatnym dokręceniu *bellota*, szynka z tylnej nogi, lub *pata negra* z Andaluzji mogły zostać pokrojone na plastry o grubości jednej dziesiątej milimetra. Inne nogi mogły zwisać z belek w kuchni, a nawet w barze.

Przez jedno z *hublots* popatrzył na klientów, popijających powitalnego szampana. Podobał mu się ten widok. To będzie dobra grupa na początek – Le Bonowie relacjonowali, że przybyły bardzo różne osoby: jest bogaty gwiazdor filmowy, są paryżanie, Amerykanie i mieszkańcy Aix-en-Provence w średnim wieku. Szczególnie intrygowała go kobieta, która teraz piła mojito. Ubrana w punkowe ciuchy, z kolorowymi bransoletkami na szczupłych, lecz umięśnionych przedramionach wyglądała jak artystka. Podobał mu się jej śmiech, słyszał, jak żartuje z przyjaciółmi – mężczyzną i kobietą – którzy właśnie przyszli. Był tam też gwiazdor filmowy, wyglądał na przygnębionego, udawał, że jest zajęty swoim iPhone'em, chociaż nie było tu zasięgu. Przy narożnym stoliku siedział zaniedbany starszy mężczyzna, który pisał coś w swoim notatniku. A może dzienniku? Villey przyjrzał mu się uważnie i uznał, że jego poplamiona kubańskimi cygarami koszula i kudłata broda mogły stanowić przebranie krytyka kulinarnego. Restauracyjnego albo hotelowego. Ale tak szybko? Serge i Marie-Thérèse muszą na niego uważać.

Émile Villey zdecydował, że będzie zawodowym kucharzem, kiedy miał dwanaście lat. Pomagał matce i ciotce gotować i podawać jedzenie na przyjęciu – pięćdziesiątej rocznicy ślubu jego dziadków. Pracował w kuchni

z leniwym starszym kuzynem, zerkając od czasu do czasu na szczęśliwych gości. Cieszył go ten widok. Gdyby wiedział, jak trudne będą lata nauki, być może wybrałby inny zawód. Ale jakie możliwości miał niezainteresowany książkami chłopiec, którego ojciec był rolnikiem w środkowej Francji? Jego dwaj starsi bracia mieli podzielić gospodarstwo między siebie. Leniwy kuzyn był teraz najgorszym elektrykiem w kraju, a on dotarł tutaj, na słoneczną śródziemnomorską wyspę, gdzie przyjeżdżali bogaci ludzie, żeby się zrelaksować.

Ten poranek był jak wymarzony – Émile popływał, jak co dzień, po czym wybrał się na wschodnią stronę wyspy i na skaliste wzgórze. Droga biegła przez niewielki sosnowy las, gdzie natrafił na mały dziki sad. Ktoś przed laty, niewątpliwie w czasach świetności hotelu, zasadził tu drzewa owocowe. Były one w opłakanym stanie – jako syn rolnika potrafił to ocenić. Ale z dwóch drzewek zwisało mnóstwo brzoskwiń, choć sezon już się kończył. Émile zerwał jedną, podzielił na połówki i zjadł soczysty słodki miąższ. Zapakował do plecaka tyle owoców, ile zdołał, i ruszył, by przekazać Maxime’owi Le Bon dobrą wiadomość. W sadzie rosło też drzewo figowe o kształcie parasola, pokryte małymi twardymi figami. Dojrzeją pod koniec lata. Piekł tarty brzoskwiniowe i figowe od czasów terminowania. Korzystał z zaskakująco prostego przepisu na kruche ciasto nasączone wyciągiem z migdałów, eliksirem nieznanym we Francji. Kiedyś pokazał mu go angielski zastępca szefa kuchni. Émile woził ze sobą małe szklane butelki, podobnie jak noże, od kuchni do kuchni. Miał przyjaciół, którzy jeździli do Londynu i przywozili mu eliksir razem z serem cheddar i ciasteczkami owsianymi.

Ten tydzień przyniósł mu inny dar, od Isnarda Guyona, zaprzyjaźnionego rybaka z Pointe Rouge w Marsylii. Rybak tej wiosny dostarczał Émile’owi wspaniałe ryby, ale ostatnio zaoferował też przywożenie mięsa i innych produktów – oczywiście z uwzględnieniem pewnej prowizji – od kuzyna, rzeźnika, znanego ze świeżej baraniny ze wzgórz Prowansji, oraz produktów mleczarskich z alpejskich farm. Wczoraj o piątej rano Guyon przybył do doku na Sordou i zgodnie z obietnicą miał pierwszą partię produktów. Kiedy tylko Villey znalazł się w kuchni, skosztował śmietany, była gęstsza i bogatsza w smaku niż wszystkie, których próbował do tej pory.

Émile Villey odwrócił się od okrągłego okienka, związał gęste kręcone włosy w koński ogon, założył fartuch i umył ręce. Przyszedł czas, by popracować nad wieczornym menu – goście będą mieli wybór pomiędzy zupą cukiniową z dodatkiem *crème fraîche* a warzywnym pasztetem przygotowanym z warstw ciasta filo, przyozdobionym gałązką rozmarynu. Danie główne to świeżo złowiona dorada, duszona w oliwie z oliwek z pomidorkami cherry, czarnymi oliwkami i karczochem lub kotlet barani, smażony na otwartym ogniu, podawany z polentą, z kremem waniliowym,

który Émile przygotował, zanim położył się spać. Teraz zerwał lawendę, którą zamierzał wykorzystać do upieczenia ciasteczek podanych z delikatnym słodkim winem z Beaumes-de-Venise w Luberonie.

Nie przeszkadzało mu, że nie ma pomocy kuchennej. Le Bonowie nie oszczędzali za to na wyposażeniu kuchni, a poza tym był nauczony sprzątać od razu podczas gotowania. Tak naprawdę wolał tę ciszę i spokój. Przyciśnięty do muru Serge obiecywał wprowadzić swoje usługi przy sprzątaniu i krojeniu warzyw, ale wkrótce okazało się, że to był raczej pomysł Maxime'a niż barmana. Marie-Thérèse zaproponowała Émile'owi pomoc w kuchni, ale jak dotąd jej entuzjazm przewyższał doświadczenie. Dziś wieczorem zostanie podana pierwsza kolacja i Émile wiedział, że jeśli się uda, będzie to zapowiedź sukcesów na resztę lata, a nawet dalszą przyszłość Sordou.

## Kolacja na dziesięć osób

Marine siedziała na prywatnym tarasie ich pokoju, opierając gołe stopy na balustradzie z kutego żelaza. Miała na sobie krótką dopasowaną różową sukienkę i duży beżowy kapelusz z opadającym rondem wykończonym na niebiesko. Zaczynał wiać chłodny wiatr i słońce miało niedługo zniknąć za horyzontem. Jednak ona cieszyła się tymi kilkoma chwilami na dworze, z dala od jej komputera i badań. Patrzyła na wzburzone morze i poruszała palcami u stóp, które właśnie przeszły kiepski pedikiur. Przyglądała się miejscom niedopracowanym, gdzie czerwony lakier przeciekł jej na palce. Przekonywała samą siebie, że nikt tego nie zauważy, a jeśli nawet, to na pewno nie będzie tym zainteresowany.

– Czy wtarłaś w nogi krem z filtrem? – zapytał Antoine Verlaque. Wyszedł na taras, by dotrzymać jej towarzystwa.

Marine spojrzała na swoje uda, a potem na swojego chłopaka.

– Jeszcze nie, ale zrobię to jutro, obiecuję – odparła. – Te białe piegowate nogi od tak dawna nie widziały słońca. – Przesunęła nogi z prawej strony na lewą i zmarszczyła brwi.

Verlaque sięgnął w dół i popukał w rondo jej kapelusza.

– Kocham twoje białe piegowate nogi – powiedział. – Pasują do kropek na dole balustrady.

– Dziękuję – odparła Marine, wznosząc oczy ku niebu.

– Nie jesteś głodna?

Marine roześmiała się.

– Nie, ale ty jesteś. Czy w minibarze nie ma jakichś przekąsek?

– Była mała torebka orzeszków ziemnych, ale już je zjadłem.

– Dzięki, że się podzieliłeś! – powiedziała z wyrzutem.

– Była naprawdę malusieńka – bronił się Verlaque. – Mniej więcej taka – dodał, oddalając kciuk od palca wskazującego o około trzy centymetry.

Marine spojrzała na swój zegarek z białego złota, inkrustowany delikatnymi diamentami. To był prezent od Verlaque'a. Bała się nawet pomyśleć, ile kosztował. Pewnie tyle, ile wynosił czynsz za małe mieszkanie w Aix.

– Zejdźmy na kolację – powiedział Verlaque, zacierając ręce. – Jest już prawie wpół do dziewiątej.

– Dobrze, nie poganiaj mnie – rzekła Marine, powoli podnosząc się z najwygodniejszego leżaka, na jakim kiedykolwiek siedziała. Jeszcze raz

spojrzała na morze.

– Chodźmy, ślamazaro – odezwał się Verlaque, kierując się do drzwi. – Znajdźmy dobry stół.

– Poczekaj chwilę, Antoine – zatrzymała go, lekko chwytając jego rękę. – W tym tygodniu nie chcę być pośpieszana i zestresowana. Są tu inni goście i czy coś się stanie, jeśli otrzymają stół z najlepszym widokiem? Spójrz na widok z tej sypialni.

– Po prostu jestem głodny.

– Wiem, że jesteś głodny – odpowiedziała Marine ze śmiechem. – I wiem też, że jako niezależny finansowo sędzia śledczy jesteś przyzwyczajony do stawiania na swoim. Ale są tu również inni ludzie przyzwyczajeni do tego samego. Więc pozwólmy im robić wszystko po swojemu...

Verlaque wziął Marine w ramiona. Pocałował ją, a następnie cofnął się i zapytał:

– Czy wolno mi odesłać kieliszki do wina, jeśli mi się nie spodobają?

Marine roześmiała się i wymownie podniosła oczy, wiedząc, że Antoine nie uspokoi się przez całą kolację, jeśli kieliszki do wina okażą się zbyt małe lub ich krawędzie zbyt grube.

– Tak – odpowiedziała.

Znów przyciągnął ją do siebie i pocałował, podniósł tył jej sukienki i przesunął dłonie w górę jej nóg ku pośladkom.

– Antoine – upomniała go Marine, sięgając do tyłu i ujmując jego rękę. – Od kiedy tu przyjechaliśmy, kochaliśmy się już dwa razy. Pamiętasz?

– Tak – odparł, całując ją. – Na tym polega problem. Pamiętam.

– Poza tym...

Chwilę bliskości przerwało pukanie do drzwi.

– Kto to może być? – zdziwił się Verlaque.

– Sylvie – szepnęła Marine.

– Dlaczego? – zapytał, także ścisząc głos. – Czy nie możemy spotkać się na dole?

Marine pokręciła przecząco głową.

– Nie, ona nie lubi sama wchodzić do jadalni czy na przyjęcia. Ciii...

– To śmieszne – stwierdził Verlaque, kiedy gość zapukał ponownie, ale tym razem głośniej.

– To rodzaj fobii – szepnęła Marine, przesuwając się w kierunku drzwi. – Kiedy wchodzi gdzieś sama, uważa się za przegraną.

Verlaque postukał się w głowę. Opuścił rękę w samą porę, bo Marine właśnie otworzyła drzwi, a Sylvie wpadła do ich pokoju.

– Nie słyszeliście, jak pukam? – zapytała. – Ładna sukienka, Marine. – Spojrzała na Verlaque'a, który wcześniej przebrał się w niebieską lnianą koszulę z krótkim rękawem i czyste spodnie khaki. Na bosych stopach miał nową parę todsów. – A ty, Antoine, wyglądasz bardzo...

– Elegancko? – chciał wiedzieć Verlaque.



– No, to taki sportowy szyk – odparła Sylvie. – Ale tobie pasuje.

Verlaque ściągnął usta. Dobrze wiedział, że określenie „sportowy szyk” w ustach współczesnego fotografika – który tego wieczoru miał na sobie sukienkę i złote sandały na wysokich obcasach – było obraźliwe, ale obiecał Marine, że postara się dobrze żyć z jej najlepszą przyjaciółką. Spojrzał na Marine, która mrugnęła do niego z uśmiechem.

– Co robiliście przez całe przedpołudnie? – zapytała Sylvie, wchodząc do ich pokoju dziennego i rozglądając się dookoła.

– Dwa razy uprawialiśmy seks, a potem się zdrzemnęliśmy – powiedziała Marine beznamiętnie.

Verlaque roześmiał się.

Sylvie cofnęła się o krok i spojrzała na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczyma.

– Czy jesteś pod jakimś urokiem tej wyspy?

– Być może – odparła Marine.

– No cóż, ja też ucięłam sobie drzemkę – odezwała się Sylvie, nadal patrząc z ukosa na Marine. – A potem poszłam popływać w basenie, gdzie zarówno boski młody kucharz, jak i szorstki sternik pożerali mnie wzrokiem. Później byłam świadkiem kłótni pomiędzy Alainem Denisem i jego botoksową żoną, która, jak się dowiedziałam, ma na imię Emmanuelle.

Verlaque ziewnął.

– Kto jest głodny?

\*

Wystrój jadalni był bardziej subtelny niż ten w Barze Jacky’ego, ale równie interesujący i także inspirowany stylem Capri. Cat-Cat Le Bon i Émile Villey spędzili całe tygodnie, przeszukując Internet i pisma wnętrzarskie, wybierając najwygodniejsze ich zdaniem krzesła, najbardziej eleganckie obrusy i gustowną zastawę stołową. Żyrandole wykonano z kolorowego szkła Murano, wszystko inne było w odcieniach kości słoniowej z wyjątkiem blad różowych piwonii na kredensach.

Nikki Darcette, która przebrała się w czarną wieczorową sukienkę, czekała na gości, by ich witać. Poprowadziła Antoine’a, Marine i Sylvie do okrągłego stolika nakrytego dla trzech osób. Mieli stąd widok na morze, podobnie jak większość pozostałych gości. Dziś wieczorem było ich zaledwie dziesięcioro.

– Przykro mi, że pierwszego dnia państwa pobytu jest zbyt zimno, by jeść na zewnątrz – powiedziała Darcette. – Nie sądziliśmy, że zerwie się taki silny wiatr.

– To jak w Prowansji – odparła Sylvie. Mimo że mieszkała i pracowała w Aix-en-Provence od ponad dwudziestu lat, nadal nie znosiła prowansalskiego wiatru.

Sala restauracyjna była duża, ale nie było w niej chłodno, po części dzięki niskiemu sufitowi i dobrej jakości oknom. Architekt przeprowadził renowację drugiej, mniejszej jadalni, którą teraz zamykały drewniane drzwi przesuwne. Mogła ona zostać otwarta i połączona z głównym pomieszczeniem, kiedy hotel osiągnie maksymalną liczbę gości, co miało nastąpić – jak liczyli Le Bonowie – do przyszłego lata.

Cała trójka uprzejmie skinęła głowami w kierunku reszty gości, a ci odwzajemnili powitanie. Eric Monnier właśnie wpychał róg serwetki w kołnierzyk koszuli, kiedy Verlaque uściśnął mu rękę i życzył miłego wieczoru. Gdy mijali stolik Hobbsów, którzy byli już w połowie drugiego dania, powiedział:

– *Bon appétit.*

– *Merci* – odparła Shirley Hobbs, najwyraźniej zachwycona tym, że zrozumiała życzenia.

– Cholernie dobre kotlety baranie – odezwał się Hobbs, wskazując mięso lekko drżącą dłonią z widelcem.

Verlaque zatrzymał się i rzekł po angielsku:

– Tak? To ja też je zamówię.

– O Boże – szepnęła Sylvie do Marine, kiedy siadały. – Teraz będziemy grali z innymi gośćmi w gorące krzesła.

Marine uśmiechnęła się.

– Antoine uwielbia rozmawiać o jedzeniu, zwłaszcza kiedy ma okazję posłużyć się swoim angielskim.

– Jaki to sos wokół polenty? – zwrócił się do Hobbsa Verlaque.

– Mięśny, prosty i doskonały – odparł mężczyzna.

Verlaque pogłaskał się po brzuchu.

– Brzmi świetnie. Przyjemnego posiłku.

– Dziękujemy – odpowiedzieli Hobbsowie jednym głosem.

Odchodząc, Verlaque słyszał, jak Shirley Hobbs szepce: Francuzi są tacy mili, zupełnie nie tak, jak mówili Susan i Ian Bertwhistle'owie.

Verlaque uśmiechnął się, zadowolony, że mógł udowodnić, iż Bertwhistle'owie się mylili. Ale dlaczego miałby być niezadowolony czy zgorzkniały? Lubił swoją pracę sędziego śledczego w sennym i bogatym Aix-en-Provence. Był zakochany w Marine Bonnet, najbardziej inteligentnej, kulturalnej i profesjonalnej profesor prawa, jaką kiedykolwiek spotkał. Lubił i szanował kolegów z Palais de Justice, poza prokuratorem Yves'em Rousselem. Co więcej, był bardzo zamożny, jako że dziedziczył zbudowaną na mące fortunę. Czy czegoś mu brakowało? – zadał sobie pytanie, siadając, wciąż z uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego nie pójdziesz i nie pogawędzisz z resztą gości? – zapytała Sylvie.

– Zrobiłbym to – odrzekł Verlaque, jednym potrząśnięciem rozkładając sobie na kolanach jasnoniebieską lnianą serwetkę. – Ale jestem zbyt

głodny...

Nagle przerwał mu odgłos jakby wystrzału, po którym nastąpiły kolejne dwa. Sylvie przyłożyła rękę do piersi i zawołała:

– Co u licha?

– Myśliwi? – zgadywała Marine. – Ale jest poza sezonem...

Maxime Le Bon wbiegł do jadalni, wyciągając w górę otwarte dłonie.

– Proszę się nie denerwować – uspokajał.

– To były wystrzały – stwierdził Bill Hobbs.

– Drodzy goście – mówił dalej Max Le Bon. – Tak jak powiedziałem, proszę się nie denerwować. Jak widzieli państwo z łodzi w drodze na Sordou, na naszej wyspie jest jedna z najwyższych latarni morskich we Francji...

Goście przytakiwali z konsternacją.

– I w tej latarni mieszka nasz najbardziej ekscentryczny wyspiarz – każda wyspa potrzebuje takiego, ha, ha. To Prosper Buffa.

Verlaque pochylił się do przodu i szybko przetłumaczył wszystko Hobbsom.

– M. Buffa, który nigdy nie mieszkał na stałym lądzie, poluje i łowi na swoje potrzeby – kontynuował właściciel hotelu. – To na pewno był Prosper, poluje na króliki. Bardzo mi przykro, poproszę go, żeby pozostawał na swojej stronie wyspy i ograniczył swoje polowania do wczesnego ranka.

– To takie niebezpieczne – rzekł Bill Hobbs, szukając aprobaty u innych gości.

– *Mais oui, certainement! Très dangereux!* – zawołała jakaś mieszkanka Paryża.

– Och, Bill – odezwała się Shirley Hobbs. – Nie bądź takim starym nudziarzem. Jesteśmy we Francji, a ludzie tu nadal polują. – Uśmiechnęła się miło do Verlaque'a, Marine i Sylvie. Sylvie pomachała jej.

– *Zank you for ze understanding* – powiedział Max Le Bon z silnym francuskim akcentem. – *Bon appétit!*

– Dobrze, idzie kelnerka – ucieszył się Verlaque.

– *Bonsoir* – przywitała się Marie-Thérèse Guichard, wciąż zdenerwowana pierwszego dnia pracy w nowej roli. Przez cały czerwiec uczyła się podawać do stołu swoim współpracownikom, ale nie traktowała tego poważnie, szybko bowiem ich poznała i poczuła się z nimi swobodnie. Miała dwadzieścia dwa lata i była najmłodsza wśród personelu. O pracy dowiedziała się od swojego wujka, który podczas remontu hotelu nadzorował prace kamieniarskie. – Dzisiaj wieczorem mamy proste menu – zaczęła. – Tak naprawdę mamy proste menu przez cały ten tydzień.

Verlaque i Sylvie roześmiali się, a Marine pod stołem kopnęła każde z nich w kostkę.

Marie-Thérèse zakasłała i mówiła dalej:

– Uhm, specjalność tego wieczoru to... zupa z cukinii podawana na zimno z *crème-fraîche* z Alp... to znaczy śmietana, nie cukinia... i pieczone warzywa przekładane ciastem filo zrobionym przez naszego szefa kuchni. –

Powiodła poważnym spojrzeniem od Marine do Sylvie i mówiła dalej, nie mając dość śmiałości, by zerknąć na pulchnego mężczyznę, który wychylał się do przodu, usilnie się w nią wpatrując, z łokciami na stole i brodą opartą na pięściach. – Uhm, jako danie główne... świeżo złowiona dorada... Isnard ją złowił... to nasz rybak... jest bardzo miły...

Verlaque wybuchnął śmiechem, a Sylvie i Marine podniosły serwetki do ust. Czy Marine wypełniły się łzami.

– ...uduszona w oliwie z oliwek z pomidorkami cherry, czarnymi oliwkami i karczochem. Albo pieczone w piecu opalonym drewnem kotlety baranie podawane z polentą. – Marie-Thérèse westchnęła i przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, ośmielając się zerknąć na mężczyznę, który teraz odchylił się do tyłu, skrzyżował ręce na piersiach i wciąż się uśmiechał.

– Ja proszę zupę – zdecydowała Marine.

– Ja też – dodała Sylvie.

– Dla mnie warzywa z ciastem – rzekł Verlaque.

Marie-Thérèse skinęła głową.

– Dobrze. A co potem?

– Doradę poproszę – powiedziała Marine.

Sylvie zamówiła baranie kotlety.

– Tutaj też baranina – podniósł rękę Verlaque.

– Dziękuję – powiedziała Marie-Thérèse, obracając się szybko na pięcie.

– Ach, a tutaj jest lista win! – dodała, wręczając Verlaque'owi grubą białą książeczkę.

– Imponujące – skomentował Verlaque. – Niewielki wybór potraw i duży wybór win. Tak właśnie powinno być.

Marie-Thérèse skinęła głową, ale wyglądała na zakłopotaną.

– Zaraz wrócę! – oznajmiła.

– Proszę się nie spieszyć – powiedziała Marine z uśmiechem. – Mój przyjaciel z pewnością potrzebuje więcej czasu, by przyjrzeć się liście win.

– Będziemy potrzebowali czerwonego i białego – zdecydowała Sylvie. – Marine zamówiła rybę.

– Och, ja lubię czerwone do ryby...

– Tak, zdecydowanie dwie butelki – przerwał jej Verlaque i założył okulary do czytania. Studiował listę i cichutko pogwizdywał, przewracając kartki. – Białe z Cassis?

– Nie – odpowiedziały obie kobiety jednocześnie.

– Zbyt blisko domu? – zapytał. – Dobrze, zatem Nuragus di Cagliari z Sardynii. A czerwone... z Sycylii?

– Doskonale – rzekła Sylvie, nie mając pojęcia, czym było Nuragus. Ale

jeśli podobało się Antoine'owi, będzie dobre. Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Alain Denis i jego żona są tutaj bez nastolatka.

– Biedny dzieciak – powiedziała Marine. – Chyba musi jeść sam, w swoim pokoju?

– Najwyraźniej – odrzekła Sylvie. – Kłócili się o niego przez całe popołudnie.

– To musi być ta nowa para, która przybyła późniejszą łodzią – odezwała się Marine, spostrzegłszy, że Sylvie spogląda na elegancko ubraną dwójkę czterdziestolatek siedzącą w milczeniu po drugiej stronie sali.

– Paryżanie – uznała Sylvie. – Na pewno.

Verlaque ignorował swoje towarzyszkę i dalej czytał listę win, dla niego równie interesującą jak dobra powieść. Zajrzał na ostatnią stronę, by sprawdzić, jakie oferują tu armaniaki i whisky.

– Mam nadzieję, że nie będziemy się tutaj czuć jak na jakimś firmowym wyjeździe rekreacyjnym – powiedziała Sylvie. – Gdzie połowa gości się ze sobą nie dogaduje, a pozostali przyglądają się sobie nawzajem.

– Teraz to ty przyglądasz się innym – skomentował Verlaque, patrząc na Sylvie znad okularów.

– Nie mogę się powstrzymać – tłumaczyła się Sylvie. – A tam siedzi ten mężczyzna i je kolację sam.

– To nauczyciel literatury francuskiej z Aix – wyjaśniła Marine. – Wygląda na szczęśliwego. Być może któregoś wieczoru zaprosimy go do nas.

– No właśnie to mam na myśli – powiedziała Sylvie. – Naprawdę czuję się jak na jakimś obozie. Zaraz zasugerujesz, byśmy zmieniali miejsca do każdej kolacji, by lepiej się poznać.

Marine roześmiała się.

– To by było zabawne...

– Clément! – zawołał Verlaque.

Marine i Sylvie popatrzyły po sobie.

– Clément Viale! – powtórzył Verlaque. Następnie wstał, odkładając serwetkę na stół. – Tam jest Clément Viale. Byliśmy razem na studiach prawniczych. – Przeprosił i ruszył przez salę.

Viale zobaczył starego przyjaciela i zakrzyknął:

– *Dough Boy*1]!

Mężczyźni uściskali się i Viale poprowadził Verlaque'a do swojego stolika, gdzie przedstawił mu Delphine, która od dwunastu lat była jego żoną i matką trójki jego dzieci. Marine zobaczyła, jak Verlaque obraca się i wskazuje na nią. Już miała wstać, kiedy sędzia do nich wrócił.

– Spotykamy się z nimi po kolacji, na drinka w barze – oznajmił, siadając.

– *Dough Boy*? – zapytała Sylvie, mrugając do Marine.

– Możesz nie wierzyć, ale byłem wtedy szczuplejszy – rzekł Verlaque. –

Pseudonim pochodzi od mąki – naszego rodzinnego biznesu.

– *Bien sûr* – odparła Sylvie. – Idzie kelnerka. Tym razem żadnych śmiechów!

Verlaque zamówił wino, Marie-Thérèse wzięła od niego listę win i odeszła.

– Jak deser? – Verlaque zwrócił się do Hobbsów. Odchylił się przy tym do tyłu.

– Cudowny! – zawołał Bill Hobbs.

– Ciastka są z lawendą – dodała Shirley Hobbs. Podniosła jedno do góry.

– Wspaniale! – odrzekł Verlaque, odwracając się z powrotem do Marine i Sylvie.

– Są zachwyceni – zauważyła Marine.

– Tak, i niczego nie udają – zgodził się Verlaque. – Mój biedny przyjaciel Clément nie bawi się tak dobrze jak oni. – Rozejrzał się po sali. – Podobnie jak gwiazdor filmowy vel sprzedawca jedzenia dla psów.

– Jesteś równie ciekawy innych ludzi jak my – skomentowała Sylvie.

– Jak ty – odparł. – Marine to w najmniejszym stopniu nie interesuje.

Marine westchnęła. Nie znosiła, gdy Antoine stawiał ją na piedestale i gdy uznawał, że wie, co ona myśli. A najbardziej denerwujące było to, że na ogół miał rację.

Marie-Thérèse wróciła z butelką białego wina. Przygryzła wargę, usiłując przypomnieć sobie lekcję z Émile'em i Serge'em, w tej chwili mogłaby Serge'a zabić. Szukała go za barem, bo to on zazwyczaj otwierał wina, ale nigdzie go nie znalazła. Pospieszyła do kuchni, ale Émile uspokoił ją i powiedział, by sama otworzyła butelkę. Ćwiczyli to dziesiątki razy. – Nalej trochę, potem trzeba spróbować – Émile powtórzył to dwa razy.

Delikatnie pochyliła butelkę w jego kierunku – w kierunku Pulchnego Mężczyzny, jak nazwała go w myślach – i pokazała mu etykietę. Zarówno Émile, jak i Serge uprzedzali ją, że to kobieta może wybierać wino, ale w tym wypadku na pewno decydował ten mężczyzna. Spojrzał na etykietę i skinął głową, uśmiechając się do niej. Ujęła więc butelkę za szyjkę i odcięła folię. Wsunęła kawałek folii do fartucha i powoli wkręcała korkociąg w korek, zadowolona, że wchodzi prosto i bez trudu. Kiedy pociągnęła korkociąg, korek wyszedł powoli, wydając delikatny strzelający dźwięk. Marie-Thérèse prawie krzyknęła z ulgą.

Uniosła butelkę nad kieliszek gościa, jeden z kompletu kieliszków, o których słyszała, że wypalano je ręcznie w Austrii i ponoć nie miały sobie równych na świecie. Serge żartował, że były tak delikatne, że mogły się potłuc, jeśli ktoś krzywo na nie spojrzał. Wiedziała, że Serge nie znosił ich tak jak ona. Drżącą ręką zaczęła nalewać wino do kieliszka Pulchnego Mężczyzny i wtedy zobaczyła swojego szefa, M. Le Bona, wchodzącego do jadalni. Była pewna, że Émile także ją obserwuje, przez małe okna

okna, które wyglądały jak lustra. I wtedy straciła jasność myślenia. Zaczerwieniła się, próbując przypomnieć sobie następny krok. Nagle usłyszała to w swojej głowie – miły głos Émile’a, który mówi: „Nalewamy odrobinę do kieliszka i potem trzeba spróbować”. Marie-Thérèse skończyła nalewać i cicho powtórzyła w myślach słowa Émile’a. I zanim Antoine Verlaque zdołał chwycić swój kieliszek, ona podniosła go do ust i spróbowała wina.

– Jest dobre – powiedziała, pewnym ruchem odstawiając pusty kieliszek.

---

[1] *Dough boy* – (ang.; dosł.) chłopak z ciasta, określenie używane wobec mężczyzn z nadwagą. Postać Doughboya pojawia się w komiksie *Captain America*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki)..

## Dziwniejsze niż fikcja

Maxime Le Bon stanął jak wryty. Émile Villey, korzystając z krótkiej przerwy między przygotowywaniem kotletów baranich i dorady, rzeczywiście patrzył teraz przez *hublot* na salę jadalną. Chwycił się rękoma za głowę i podszedł z powrotem do kuchenki. Wziął z półki szklanę do soku i napełnił ją do połowy dobrym koniakiem, którego używał do gotowania. Wypił go jednym haustem.

Antoine Verlaque zaniemówił, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Spojrzał na kelnerkę i zobaczył w jej wielkich brązowych oczach samego siebie w wieku dwudziestu dwóch lat. Wyglądała na przerażoną. Czyż on nie był wówczas równie zdenerwowany i zagubiony w dorosłym świecie, jak ona teraz? Bogactwo i prestiż jego rodziny tylko po części tłumiły niepokój, jaki odczuwał w tamtym wieku.

I wreszcie roześmiał się i zaczął klaskać. Szybko dołączyły do niego Marine i Sylvie, która podniosła w górę kciuk. Eric Monnier, który widział całe zdarzenie (nie mógł oderwać oczu od Marine Bonnet), także klaskał i zawołał:

– Brawo!

Bill Hobbs zaczął nagrywać całą scenę i nie mógł się doczekać, kiedy pokaże ją Ianowi Bertwhistle'owi.

Maxime Le Bon rozejrzał się po sali i zobaczył, że jego goście są uradowani, słyszał ich śmiechy. Jak się wydawało, nawet Clément i Delphine Viale'owie dobrze się bawili.

Marie-Thérèse od razu zdała sobie sprawę, co złego zrobiła. Próbowwała po łyżku wina z Serge'em i wiedziała, jaki zapach i smak powinno mieć dobre wino. Wiedziała też, że to Pulchny Mężczyzna powinien testować trunek, nie ona. Ale teraz on klaskał, podobnie jak Maxime Le Bon.

Serge Canzano, słysząc poruszenie, wbiegł do sali, a Le Bon wskazał mu, by podał do stolika Verlaque'a jeszcze jeden kieliszek do wina. Canzano postawił tam kieliszek marki Riedel, a Marie-Thérèse wolno wlała do niego odrobinę trunku. Uśmiechnęła się do Verlaque'a, który pokręcił kieliszkiem, powąchał wino i spróbował.

– Ma pani rację – powiedział. – Jest dobre. Bardzo dobre. – Nie chciał jej uczyć, że wystarczy powąchać wino, by się przekonać, czy było zakorkowane, i móc powiedzieć: „jest w porządku”. Na pewno nauczy się tego bardzo szybko.



– Brawo! – zawołał Monnier jeszcze raz.

Marie-Thérèse nalala wino do kieliszka Marine, która podziękowała, a potem do kieliszka Sylvie, która upiła duży łyk, mówiąc:

– *Chin-chin.*

– Wróćę... za moment... z pierwszym daniem – rzekła kelnerka. Nagle poczuła przyływ siły i pewności siebie. Miała wrażenie, że od tej chwili ta praca będzie łatwa i że z każdym dniem będzie lubić ją coraz bardziej. Obróciła się i przeszła przez salę z promiennym uśmiechem na ustach. Po raz pierwszy w życiu, chociaż popełniła błąd, sprawiła, że ludzie się śmiali i poczuli się szczęśliwi. Przeszła obok stolika słynnego aktora (nigdy nie widziała żadnego z jego filmów, ale uważała, że jest zabawny w reklamach karmy dla psów), a on zmarszczył brwi i to nie było miłe. Émile Villey, który wcześniej wrócił do swojego punktu obserwacyjnego, również widział nieuprzejmy wyraz twarzy aktora i ruszył do drzwi kuchni, by być tam, kiedy wejdzie Marie-Thérèse.

\*

– To była niezła scena – odezwał się Clément Viale, kręcąc swoją whisky w szklaneczce ze szlifowanego kryształu.

– Będzie mogła opowiadać tę historię wnukom – powiedziała Marine.

Viale uśmiechnął się.

– W każdym razie miło z twojej strony, że klaskałeś, *Dough Boyu*. O ile pamiętam, w młodości nie przyjąłbyś tego tak dobrze.

Antoine Verlaque pogłaskał się po brzuchu, najwyraźniej nie przejmując się swoim pseudonimem. Założył nogę na nogę i wypił troszkę osiemnastoletniej whisky Lagavulin.

– Dziwniejsze niż fikcja – zauważył. – Gdybyś umieścił tę scenę w powieści, nikt by w nią nie uwierzył. Wprawiło mnie to w dobry humor.

– Jaki był Clément w tym wieku? – zapytała Delphine Viale, pochylając się i opierając brodę na niewiarygodnie chudych, obwieszonych biżuterią rękach.

Verlaque roześmiał się, wyczuwając napięcie między małżonkami.

– Taki jak ta kelnerka – odparł. Cała grupa spojrzała na niego zaskoczona. – Zakłopotany tym, co w życiu przed nim, i naiwny – mówił dalej. – Jeszcze nieświadomy całego tego bagna.

– No nie wiem – rzekł Clément Viale, prostując się. – Myślę, że dość dobrze wiedziałem, co robię.

– Naprawdę? – zapytał Verlaque. – Czy byłeś w stu procentach pewien, że studia prawnicze są dla ciebie? I że spodoba ci się praca prawnika?

– Tak mi się wydaje.

– I byłeś pewien, że się ożenisz i będziesz miał dzieci? Przekonany, że ziemia jest bezpiecznym miejscem do życia, że nigdy nie będzie czegoś takiego, jak globalne ocieplenie i tsunami albo szaleńcy uderzający

samolotami w World Trade Center? – Verlaque zaczął przypominać sobie, co go drażniło przed laty w Clèmencie. To jego samozadowolenie, samozadowolenie, które brało się z elitarnego pochodzenia i elitarnych szkół.

– Nikt nie mógł tego wiedzieć – zaoponował Viale.

– Sądzę, że Antoine ma na myśli naiwność młodości – odezwała się Marine. – Jeszcze nie wiemy i nawet nie chcemy wiedzieć, że istnieje zło. Wszyscy widzieliśmy to dziś wieczorem w tej młodej kelnerce.

– W tym wieku tylko się upijałam i uprawiałam seks – odezwała się Sylvie Grassi. Verlaque zaśmiał się, a Viale'owie tylko na nią popatrzyli, Clément z powstrzymywanym uśmiechem, a Delphine z odrazą.

– Cieszę się, że Alain Denis jest jednym z gości w tym tygodniu – powiedziała Delphine Viale, niezręcznie próbując zmienić temat.

– Był jedyną osobą, która nie śmiała się dziś przy kolacji – rzekła Marine.

– Naprawdę? – zdziwił się Verlaque.

Marine potwierdziła skinieniem głowy.

– Myślę, że to dlatego, iż kelnerka ukradła mu show.

– Masz rację – Sylvie zgodziła się z przyjaciółką. – Starzejący się aktor, który pracował z najsłynniejszymi reżyserami z Francji i Włoch, teraz sprzedaje okulary i karmę dla psów. Pojawia się w małym ekskluzywnym kurorcie i oczekuje, że inni będą mu nadszkakiwać, a tymczasem przy kolacji nikt nie zwraca na niego uwagi, a ujmuje nas gafa młodej kelnerki.

– Och, nie wiem – powiedział Clément, obracając się w stronę żony. – Dziś po południu Delphine poprosiła go o autograf, prawda, *chéri*?

– To dla mamy – odparła Mme Viale, sznurując usta i gromiąc męża wzrokiem.

– Moja mama także go uwielbiała – odezwała się Marine z uśmiechem, próbując jakoś rozładować napięcie między małżonkami.

– Biedny facet. Powinniśmy przestać mówić o nim w czasie przeszłym – rzekła Sylvie, kończąc swoją whisky. – No cóż, pójdę do łóżka. Sternik obiecał zabrać mnie jutro... na przejażdżkę.

Verlaque i Clément Viale roześmiali się, a Delphine spojrzała na męża. Sylvie wstała i obciągnęła sukienkę.

– Ja też się położę – przyłączyła się do niej Marine. – To był długi dzień.

– No cóż, nie chcę być tu jedyną kobietą i słuchać, jak Antoine i Clément wspominają dni chwały – powiedziała Delphine Viale. Wstała, chwytając małą kopertówkę od Fendiego, której Sylvie przyglądała się z zainteresowaniem.

– Śpijcie dobrze, drogie panie – rzekł Clément Viale, salutując im prawą ręką.

Mężczyźni patrzyli, jak ich towarzyszki opuszczają bar, i dokładnie w chwili, gdy wyszły, Clément zawołał Serge'a Canzano i zamówił kolejne

dwie whisky. Po czym westchnął, odchylił się do tyłu i na kilka sekund zamknął oczy.

– Przeżywacie trudne chwile? – zapytał Verlaque.

– Tylko przez ostatnie dziesięć lat – odparł Viale. – No nie, może sześć. Zaczęło się po narodzinach naszego trzeciego dziecka.

– Przykro mi.

– Nigdy nie byłeś żonaty, prawda? – spytał Viale.

– Nie.

Serge Canzano postawił przed nimi dwie whisky i zabrał puste szklanki. Kiedy się oddalił, Viale mówił dalej:

– Mam też problemy finansowe. To jedyna rzecz, której się nie spodziewałem. Więc myślę, że wcześniej miałeś rację – jako student nie sądziłem, że brak szczęścia, porażka są w ogóle możliwe. Zdrowie – rzekł, unosząc szklankę.

Verlaque upił mały łyk. Nie miał ochoty już pić, ale chciał dotrzymać towarzystwa Viale'owi.

– Czy masz jakiś plan? – zapytał Verlaque. – To znaczy czy jest jakiś sposób, byś wykaraskał się z problemów finansowych?

Viale zrobił szeroki gest ręką, wskazując na całą salę.

– Tutaj?

– Zainwestowałem w Sordou – wyjaśnił Viale. – Resztę rodzinnych pieniędzy. Pozostałe straciłem. Skąd miałem wiedzieć, że Alcatel-Lucent tak spadnie na giełdzie?

– To dobry pomysł, Clément – stwierdził Verlaque. – Z tego, co widziałem, to piękne miejsce. Na pewno inwestycja ci się zwróci. – Upił łyk whisky, dobrze wiedział, jak ryzykowne było prowadzenie hotelu czy restauracji. – To wielkie osiągnięcie, że Alain Denis tu przyjechał. Czy ktoś zadzwonił do „Paris Match”, by sprowadzić jakichś paparazzi?

– Niki Darcette ma się tym zająć i sam Denis obiecał skontaktować się ze znajomymi dziennikarzami, ale jak dotąd nic. Tak naprawdę to kutas. –

Viale dokończył swoją whisky jednym wielkim haustem i odstawił szklankę.

Verlaque uśmiechnął się. Ktoś, kto w wieku sześćdziesięciu kilku lat starał się wyglądać jak dwudziestolatek, musiał być kutasem.

– O wilku mowa – szepnął. Viale odwrócił się, ale nie zobaczył Alaina Denisa, lecz Emmanuelle, jego żonę, która weszła do baru w czymś, co wyglądało na podomkę, ale w rzeczywistości było sukienką z rozparkiem z przodu sięgającym do połowy uda.

– Cieszę się, że wciąż są w hotelu jacyś mężczyźni, którzy nie śpią – powiedziała, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Podeszła do baru i zamówiła kieliszek szampana.

Verlaque nie mógł oderwać od niej oczu. Nie dlatego, żeby była szczególnie piękna, ale dlatego, że wyglądała osobiwie. Emmanuelle Denis

była średniego wzrostu. Długie jasne włosy zebrała w misterny kok na czubku głowy. Choć była niezwykle chuda, miała bardzo duży biust, co zawsze uważał za brak harmonii. Mogła się pochwalić ładną opalenizną i była bardzo zadbana, aż po paznokcie z francuskim pedikiurem. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak kiedyś podsłuchał Marine, która starała się pomalować swoje paznokcie u nóg i co chwilę powtarzała: „*merde!*”.

Mme Denis najwyraźniej wydała mnóstwo pieniędzy i podjęła ogromny wysiłek, by tak wyglądać, a i tak sprawiała wrażenie, jakby nie była w pełni człowiekiem. Verlaque zerknął na Clémenta Viale, który też się jej przyglądał, ale, jak się wydawało Antoine’owi, z podziwem.

Emmanuelle Denis przywykła do tego, że skupiała na sobie uwagę mężczyzn. Zsunęła się ze stołka barowego, zręcznie manewrując pomiędzy małymi stolikami w wieczorowej sukni, na wysokich obcasach i z kieliszkiem szampana w ręku.

– Czy mogę się do panów przyłączyć? – zapytała.

– Bardzo proszę – odparł Verlaque, podnosząc się. – Ale ja właśnie udaję się do pokoju spać.

Clément Viale także wstał i przysunął jej fotel, ten sam, w którym siedziała wcześniej Delphine. Wskazał Emmanuelle, by usiadła.

– Poproszę o jeszcze jedną whisky – zawołał do Canzano. Ten chwycił butelkę Lagavulina i nalał paryżaninowi podwójną porcję – może to zwali go z nóg i Serge będzie mógł zamknąć bar przed drugą.

– Jaka szkoda – powiedziała Mme Denis do Verlaque’a. – Czy na pewno nie może pan zostać? – Podobał jej się i zgadywała, że jest ważnym człowiekiem. Chirurgiem albo politykiem...

– Jestem absolutnie pewny – odrzekł Verlaque. – Dobranoc, *madame*. Dobranoc, Clément. Do zobaczenia jutro.

Szedł po kamiennych posadzkach cichym korytarzem i w górę schodów do ich pokoju. Delikatnie otworzył drzwi i przeszedł przez pokój, patrząc na śpiącą Marine rozjaśnioną światłem księżyca. Leżała nieruchomo na plecach z rękoma splecionymi na piersiach. Rzadko ruszała się we śnie, inaczej niż on. Czy Clément miał rację, że Verlaque w młodości był wybuchowy? Z biegiem lat na pewno złagodniał, w trzydziestu procentach z powodu upływającego czasu, a w siedemdziesięciu dzięki kojącemu wpływowi kobiety, która spała tu teraz w łóżku.

Otworzył drzwi na taras i wyszedł na zewnątrz. Wiatr ucichł. Verlaque widział hotelowy ogród, oświetlony przez dobrze rozmieszczone lampy. Za ogrodem rozciągało się czarne nieruchome morze. Czego pragnął, kiedy miał dwadzieścia lat? Prawdopodobnie Sylvie do łóżka. Potrzebował również miłości i czułości ze strony swoich dziadków i to otrzymywał. Chciał zbierać dobre oceny w szkole, uwielbiał też szybko biegać za piłką podczas meczów rugby. Z pewnością fantazjował o tym, że jest sławnym

prawnikiem sądowym, ale te wspomnienia już się zatarły. Oddychał głęboko nocnym powietrzem pachnącym sosnami i morzem.

Czy marzył, by się ożenić i mieć dzieci? Nie, chyba nie. We Francji połowa małżeństw kończyła się rozwodem, a Viale'owie stanowili doskonały argument za tym, by pozostać singlem. Ale istniały udane małżeństwa. Komisarz Bruno Paulik był szczęśliwym mężem producentki win i właśnie teraz oceniał z żoną ich pierwsze zbiory winogron, które dojrzały w lipcowym słońcu. Ich zabawna gadatliwa córeczka Léa pewnie tańczyła i śpiewała wśród winorośli. Gdyby miał dzieci, to powinny to być dziewczynki. Co, u licha, miałby zrobić z chłopcem?

## 6

### O kierownicze

Wioska Néoules znajdowała się w środkowej części Prowansji. Rzutcy miejscowi burmistrzowie, chcąc zwabić turystów, nazwali ten region La Provence Verte. Rozciągał się na południe od A8 – autostrady biegnącej od Riwiery aż do Barcelony, o czym informował drogowskaz. Niewiele było powodów, aby jechać do Néoules, chyba że się tam kogoś znało. Nie było tam morza ani gór, na drogach hulał wiatr i próżno było szukać ośrodków kultury czy restauracji z gwiazdkami Michelina. Gospodarka regionu opierała się na lokalnej uprawie ciecierzycy, garstka mieszkańców produkowała przeciętne wina, a jednym z większych pracodawców była wytwórnia wód butelkowych, zatrudniająca pięćdziesiąt pięć osób. Ponadto pewna przedsiębiorcza Holenderka wyrabiała tu mydła i inne kosmetyki z oślego mleka. Pozostali mieszkańcy byli albo na emeryturze, albo na bezrobociu. Dla Nicoli te tereny nigdy nie były *verte* – zielone. Dla niej zawsze pozostaną pomarańczowe – w odcieniu rdzy.

Rdzewiejące narzędzia ogrodnicze były pomysłem jej rodziców na dekorację ogrodu. Od kiedy pamiętała, rodzice byli bezrobotni. Kiedy była bardzo mała, ojciec pracował na część etatu, naprawiając motory, ale był tak niesolidny, że rolnicy zaczęli jeździć do mechanika w sąsiednim Rocharon. Ale M. Darcette kochał motory i zamiast wywieźć zepsute, bezużyteczne maszyny, rozstawił je na nigdy niewykończonym tarasie, jak gdyby stanowiły dzieła sztuki. Matka Nicoli znalazła za opuszczonym hotelem w Garéoult uszkodzoną fontannę z cherubinami i namówiła męża, by umieścił ją na środku tarasu w otoczeniu zardzewiałych silników. Szybko zarzuciła plan, aby wtłoczyć w nią wodę – nie stać ich było na pompę – więc od czasu do czasu, kiedy czuła przypływ energii, napełniała misę wodą po zmywaniu naczyń.

Nicola i jej starsza siostra Aude przez połowę dzieciństwa tkwiły w przekonaniu, że styl życia ich rodziny był całkowicie normalny. Nie uważały za dziwne tego, że rodzice chodzili wszędzie, nawet do wioski, w kapciach, z papierosem zwisającym z ust i że inni miejscowi wcale nie byli ubrani lepiej. Jednak Nicola wiedziała, że przynajmniej niektórzy mężczyźni ze wsi spotykali się w *bar des sports* i trochę się śmiali. Ale nie ojciec, on i matka zadowalali się swoim towarzystwem, wspomagani stałymi hurtowymi dostawami wina z *cave cooperative*. Mme Darcette odziedziczyła dwuakrową winnicę niedaleko Néoules i dzierżawiła ją

miejscowemu farmerowi, który we wrześniu woził zbiory ze swoich winnic oraz inne wyhodowane owoce do spółdzielni. Zaproponował, że może płacić im w gotówce albo w winie. Wybrali wino.

Co zaskakujące, Darcette'owie mieli dość pieniędzy na życie. Dziewczęta nie potrzebowały prawie nic – szkoła była nieodpłatna, a państwo pokrywało koszt książek i większości ich ubrań. Mme Darcette wiecznie gotowała makaron (bez sosu) i robiła sałatki z ogórka (z białym octem, vinegarem i solą). Kiedy Aude miała dziesięć lat, zaczęła gotować, czasem dodawała do makaronu keczup, który kradła ze szkolnej stołówki. Dziewczęta jadły lepiej w szkole niż w domu i szybko nauczyły się brać dokładki, kiedy tylko proponowały im to kucharki, chętnie też wyjadały niedokończone porcje z talerzy kolegów i koleżanek.

Z tego, że jej rodzina nie jest normalna, Nicola zdała sobie sprawę, kiedy miała dziesięć lat, a Aude chodziła do pierwszej klasy szkoły średniej i jeździła autobusem do Brignoles. Do Néoules sprowadziła się rodzina z Paryża, ojciec – prawnik – dojeżdżał do pracy do Tuluzy, a matka opiekowała się trójką dzieci i remontowała dwustuletni wiejski dom. M. i Mme Masurelowie kupili ten dom spontanicznie. Zawsze kochali Prowansję i od dawna chcieli wyprowadzić się ze swojego ciasnego siedemdziesięciopięciometrowego mieszkania w Paryżu. Wprowadzili się latem, kiedy Néoules wyglądało najpiękniej, i zapisali trójkę swoich dzieci do wiejskiej szkoły. Claire Masurel, ich najstarsza córka, szybko się zaprzyjaźniła z Nicolą Darcette. Claire, będąc kochanym i pewnym siebie dzieckiem, nie zauważyła, że inni uczniowie omijali Darcette'ówny szerokim łukiem. Nicola była zdolna i wysportowana, a energiczna nauczycielka wychowania fizycznego zachęcała dziewczęta do gry w piłkę i biegów po bieżni.

Nicola na zawsze zapamiętała swoje pierwsze odwiedziny w domu Masurełów, gdzie poszła po szkole. Widywała już wcześniej stare domy, ale nigdy takiego jak ten. Ogród zdecydowanie nie wyglądał jak ten przy jej domu, nie wyglądał też jak ogrody „bogaczy” – starannie wypielęgnowane ogrody w stylu amerykańskim, bez wielkiego powodzenia przeniesionym w latach siedemdziesiątych do Francji. Mme Masurel pozostawiła drzewa oliwne przed frontem budynku, a wzdłuż podjazdu posadziła cyprysy. Pod parasolkowatą sośnicą japońską stał stół i krzesła z kutego żelaza. Po kamiennym murze pięł się bluszcz. Nawet Nicola zauważyła, że był przycięty i zadbane.

Ale z tego domu dziewczynka najbardziej zapamiętała zapach. Bardziej niż umeblowanie, bo w tym wieku nie wiedziała tak naprawdę, co jest piękne i w dobrym stylu. Wiedziała tylko, że wszystko wygląda dobrze i wydaje się wygodne. Dom pachniał gotowaniem – Mme Masurel lubiła piec – i zapach ten mieszał się z perfumami gospodyni. Nicola poczuła ponownie woń tych perfum dopiero po latach, kiedy robiła zakupy w domu

towarowym w Nicei. To były Rive Gauche Yves'a Saint Laurenta.

Nicola doświadczyła wielu pierwszych razy *chez les Masurel*. Pierwsze lasagne, pierwsza kąpiel w pianie, pierwsze gry i puzzle. Nigdy wcześniej nie widziała książeczki z grami i rebusami, a Mme Masurel zaczęła kupować także dla niej i wsuwać jej do plecaka. Nicola i Claire chodziły razem przez Néoules, trzymając się za ręce. Wymyślały historie o ludziach i wybierały ulubione budynki. Nicola najbardziej lubiła róże rosnące przy drzwiach wejściowych ich domu, Claire wołała jaśmin. Razem z kilkorgiem innych zdolnych dzieci zaczęły wystawiać rozbudowane przedstawienia podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego. M. Masurel je filmował, Darcette'owie nigdy nie przyszli. Obie dziewczynki były zapalonymi czytelniczkami, oddawały się lekturze, leżąc na łóżku przykrytym narzutą z falbankami. Przedtem starannie zamykały drzwi przed dwójką młodszego rodzeństwa Claire, nazywanego przez nie Szkodnik numer 1 i Szkodnik numer 2.

To spadło na Nicolę jak grom z jasnego nieba pewnego dnia w maju, kiedy skończyła trzynaście lat. Claire przyszła do szkoły ze smutnym wyrazem twarzy i nie potrafiła spojrzeć przyjaciółce w oczy. Podczas przerwy usiadły obok siebie oparte plecami o ogrodzenie z siatki i Claire wyjawiała Nicolii nowe wieści. Jej rodzice postanowili sprzedać dom i wyprowadzić się do Paryża. Życie w Néoules było dla matki Claire zbyt trudne – nie spotykała się z przyjaciółmi, mieszkańcy wsi czuli się przy niej onieśmieleni. M. Masurel otrzymał propozycję dużo lepszej pracy w stolicy, miał zostać współnikiem w firmie prawniczej, co oznaczało, że rodzina będzie mogła pozwolić sobie na zakup mieszkania w atrakcyjnej okolicy. Ponadto pewna para Niemców zobaczyła z drogi ich wiejski dom i zaproponowała im za niego dużą sumę.

Nicola czuła się jak ogłuszona, przez resztę dnia nie była w stanie zebrać myśli. Nie mogła uwierzyć, że straci Claire, a jacyś obcy ludzie zamieszkają w pięknym domu Masurełów i to tylko w sezonie. Masurelowie wyprowadzili się w sierpniu i Nicola wiedziała, że już nigdy nie zobaczy przyjaciółki. W żadnym razie nie mogła jej zaprosić do swojego domu, jej rodzina była straszna. Aude w wieku dziewiętnastu lat uciekła z domu, teraz była już zamężna i miała małe dziecko, ale Nicola nie znosiła jej męża. W okresie Bożego Narodzenia Aude miała urodzić kolejnego malucha.

Nicola zobaczyła swoją przyszłość – albo skończy jak Aude, albo wyjedzie z Néoules. Ale szkołę średnią ukończy dopiero za pięć lat. Jak można się było spodziewać, znalazła pocieszenie wśród nowych przyjaciół. Spotykali się codziennie po szkole na przystanku autobusowym – była tam ławka, dach chroniący przed słońcem i trzy ściany dla osłony od wiatru. Chłopcy podjeżdżali na przystanek na swoich motorowerach, opierali nogi na niskim frontowym murku, a dziewczęta siadały obok siebie na ławce,



przodem do kolegów. Do czasu ukończenia piętnastu lat Nicola stała się jedną z prowodyrek, była bystrzejsza od większości towarzystwa i miała więcej powodów niż inni, by trzymać się jak najdalej od domu. Nauczyciele, pamiętając, z jakim entuzjazmem podchodziła do czytania i jak interesowała się teatrem, próbowali zachęcić ją do udziału w corocznych koncertach i przedstawieniach, w jakie angażowała się niegdyś z Claire, ale odmawiała. Jej nowi przyjaciele uznaliby to za dziecinne, a ona desperacko ich potrzebowała, niezależnie od tego, jak byli tępi.

Przed wyprowadzką Mme Masurel i jej mąż rozważali zaproszenie Nicoli do Paryża na wakacje. Ale oboje widzieli – choć z pewnej odległości – dom Nicoli i jej rodziców i nie wyobrażali sobie, aby kiedykolwiek udało im się zorganizować taką podróż we współpracy z Darcette'ami. M. Masurel był rozdarty – dostrzegł, że jego żona bardzo przywiązała się do młodej i dziarskiej Nicoli, którą czule nazywała Niki. Martwił się, że będzie bardzo smutna, kiedy zobaczy ją ponownie, a potem odeśle ją z powrotem do Néoules. Rozmawiał nawet z kolegą specjalizującym się w prawie rodzinnym o możliwości zaadoptowania Niki. Ale tak jak przypuszczał, nie dałoby się tego przeprowadzić bez postawienia jej rodzicom zarzutów o znęcanie się czy zaniedbywanie zagrażające życiu. Kiedy więc urządzili się już w swoim stu pięćdziesięciometrowym mieszkaniu w siódmej *arrondissement*, celowo wyrzucił prezerwatywy i Mme Masurel szczęśliwie zaszła w ciążę po raz czwarty.

## *Lunch poems*

Antoine Verlaque prawie nie pamiętał, kiedy ostatnio miał takie przyjemne „*lie in*”, jak powiedziałyby jego angielska babcia. Jego ojciec, pracowity i dokładny, nie pozwalał chłopcom, Antoine’owi i Sébastienowi, nic nie robić, a już w szczególności późno wstawać. Jego matka – emocjonalnie nieobecna – nie miała na ten temat żadnej opinii. M. Verlaque widział w nicnierobieniu lenistwo i gnuśność, ale babcia Emmeline i dziadek Charles pozwalali chłopcom niczym się nie zajmować. – To luksus – mawiała babcia. – Macie czas. Niech wasze wspaniałe umysły błędzą. – Emmeline miała jedną zasadę dotyczącą tego czasu – musieli znajdować się na dworze. To była jedna z przyczyn, dla której Verlaque tak lubił cygara – zapewniało ono jedną lub dwie godziny smakowania, myślenia, rozglądania się, i to przeważnie na świeżym powietrzu. Chwile, w których mógł zastanowić się nad prowadzoną właśnie sprawą, ale najczęściej oddawał się myślom o słowach (jego własnych lub jego ulubionych poetów) bądź twarzach (Marine, Emmeline). To nigdy nie był czas stracony.

Czytali, leżąc w łóżku i popijając kawę, przygotowaną przez Marine w ekspresie Nespresso, który znajdował się w każdym pokoju hotelowym. Marine, jak zwykle, już po chwili miała wokół siebie sześć książek i różne kartki papieru, a za prawym uchem zatknięty długopis. Verlaque spoglądał na nią znad okularów do czytania, właśnie odłożył darmowy hotelowy egzemplarz „International Herald Tribune”.

– Jak się mają Jean-Paul i Simone? – zapytał. Już ponad rok temu Marine zabrała się do ambitnego projektu napisania o życiu uczuciowym filozofów Jeana-Paula Sartre’a i Simone de Beauvoir. Verlaque zachęcał ją, by wzięła rok urlopu naukowego, ale na opłacanym przez rząd uniwersytecie w Aix okazało się to trudniejsze, niż przypuszczali.

– Cudownie skomplikowane – odparła. – A jednocześnie tak proste, przynajmniej w kategoriach relacji pomiędzy nimi i zwyczajów związanych z pracą.

– Nie pracowali w łóżku – powiedział z uśmiechem.

– Dużo się działo w ich łóżkach, ale nie była to praca. Każdego ranka sumiennie pisali, przerywali w porze lunchu, a potem pracowali do ósmej wieczorem albo coś koło tego. Każdego dnia. Pod wieloma względami byli parą doskonałą.

– Tyle że nie mieli dzieci – rzekł Verlaque, kończąc swoją kawę. Marine popatrzyła na niego, ale zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, on zapytał: – Dokąd chadzali na lunch? Café de Flore?

– Oczywiście – przytaknęła. – Wiesz, ja nigdy tam nie byłam.

– Żartujesz! – zawołał Verlaque, zdejmując okulary.

– Nie. Zawsze zniechęcało mnie espresso za sześć euro.

– Mój ojciec wciąż regularnie tam chodzi.

– Może pójdziemy razem z nim? – zasugerowała Marine. – Następnym razem gdy pojedziemy do Paryża. – Prawda była taka, że tylko raz była z Antoine'em w Paryżu, na wernisazu fotografii Sylvie. Zatrzymali się w jednym z tych kiepskich nowoczesnych hoteli niedaleko Luwru i rano złapali pociąg powrotny. Antoine nie przedstawił Marine swoim rodzicom ani nie zaprowadził jej w swoje ulubione miejsca w pobliżu Sekwany. To było zakazane terytorium.

– Myślę – odpowiedział powoli – że to bardzo dobry pomysł. – Ponownie założył okulary i otworzył gazetę, sygnalizując, że rozmowa się skończyła.

\*

Późnym rankiem Marine i Sylvie siedziały przy basenie, a Verlaque, przepłynąwszy kilka okrążeń, zostawił je pogrążone w plotkowaniu i poszedł do pokoju, by się przebrać.

– Antoine jest dla mnie ostatnio bardzo miły – odezwała się Sylvie do Marine, nakładając na opalone już nogi olejek bez filtra.

– Coś... – zaczęła Marine – coś się w nim zmieniło. Dziś rano przystał na moją propozycję, żebyśmy spotkali się z jego ojcem w Paryżu.

– To wiadomość na pierwsze strony gazet – skomentowała Sylvie.

– I jeszcze coś – dodała Marine, odkładając *Byt i nicość* Sartre'a. – Wspomniał o dzieciach...

Sylvie zaczęła nucić *Marsz weselny*.

– Przestań – przerwała jej Marine. – To było bardzo nie wprost, chłopcy czy dziewczynki, coś w tym stylu. Myślę, że boi się, że mógłby mieć syna.

– To akurat rozumiem – odezwała się Sylvie. – Kiedy widzę chłopców w szkole Charlotte, wydają mi się kosmitami. Czy Antoine naprawdę rozmawiał z tobą o dzieciach?

– Tak, ale jak powiedziałam, tylko w odniesieniu do innych ludzi – odrzekła Marine, po czym zastanowiła się przez chwilę i dodała: – Ale tego dnia, gdy tu przyjechaliśmy, powiedział, że byłby dużo szczęśliwszy, gdyby miał córkę. A to wtedy, gdy zobaczył Brice'a, syna Alaina Denisa, wylatującego jak strzała z hotelu.

– Pasierba – sprostowała Sylvie.

Marine spojrzała na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

– Przeczytałam to w „Paris Match” – wyjaśniła Sylvie. – O, popatrz. Właśnie idzie.

Nastolatek zamaszystym krokiem wszedł na taras z książką i ręcznikiem pod pachą. Marine pomyślała, że w kąpielówkach wyglądał na jeszcze chudszy i delikatniejszy. Rzuciwszy swoje rzeczy na leżak niedaleko Sylvie, mruknął:

– Nienawidzę go. – Potem wskoczył do basenu.

– O rany – skomentowała Sylvie. – To było szczere.

– Może nie dotyczyło Alaina Denisa – szepnęła Marine. – Co on czyta? – zapytała, wyciągając szyję, by zobaczyć książkę.

Sylvie, która była bliżej, wychyliła się ze swojego leżaka i spojrzała na okładkę.

– *Śmierć w Wenecji* – odpowiedziała, znów opierając się o leżak. – Pewnie jest na liście lektur na następny rok.

– Nie jestem pewna – odrzekła Marine. Ona w tym wieku z zapałem czytała książki, podobnie jak Antoine. Wiedziała, że lektury Sylvie ograniczają się głównie do pism fotograficznych i magazynów mody. Ale nie winiła za to przyjaciółki – jak nudne byłoby życie, gdyby twój bliscy robili dokładnie to samo, co ty.

Patrzyły w milczeniu, jak chłopak pokonuje kolejne długości basenu. Uśmiechnęły się, gdy wykonał kilka przewrotów i dryfował na plecach, wpatrując się w bezchmurne niebo obramowane ciemnozielonymi igłami sońnic japońskich, które okalały południową stronę basenu. Marine zastanawiała się, dlaczego Brice wybrał leżak blisko nich, chociaż po drugiej stronie basenu stały inne wolne. Być może rzucił ręcznik na najbliższy leżak i zamierzał opuścić taras, jak tylko wyjdzie z basenu. Właśnie miała zapytać Sylvie o swoją ukochaną córkę chrzestną, kiedy chłopak wyskoczył z wody, otrząsnął się jak pies i usiadł.

– Zabawna książka? – zapytała Sylvie, wskazując na powieść Thomasa Manna.

– Nie powiedziałbym, że zabawna – odparł Brice, nie okazując zdziwienia, że ta kobieta, która musiała być ponad dwadzieścia lat starsza od niego, określała twórczość Thomasa Manna słowem „zabawna”. – Niepokojąca. I poważna. Ale bardzo dobrze się czyta.

– No cóż, jest przewrotna – mówiła dalej Sylvie, jakby nie słyszała jego odpowiedzi. – Powstała świetna wersja filmowa z Dirkiem Bogarde’em w roli głównej.

– Widziałem ją – powiedział Brice. – Tak, Bogarde to był aktor.

Marine i Sylvie wymienili szybkie spojrzenia.

– Ale dziękuję za rekomendację. – Chłopak założył słuchawki i tak jak podczas rozmowy z Antoine’em Marine widziała, że ich krótka wymiana zdań się skończyła.

Marine jednak wciąż miała przed oczyma jego obraz, kiedy płynął na plecach. O czym myślał, kiedy tak dryfował, patrząc w niebo? O czym myślimy, kiedy jesteśmy nastolatkami? O jedzeniu? Albo o czymś innym –

o seksie? A może o muzyce? Pomyślała o sobie w wieku szesnastu, siedemnastu lat, pracowitej i uprzejmej dziewczynie. Ale było też takie lato z nową falą ciszy otaczającej jej rodziców – lekarza i teolożkę w Aix – i Marine, jedynaczka, nie potrafiła z nikim o tym rozmawiać.

\*

Antoine Verlaque wkroczył do Baru Jacky'ego, przy dźwiękach piosenki Billie Holiday. Po pływaniu czuł się świetnie, ale zgłodniał. Zobaczył Erica Monniera siedzącego przy swoim zwyczajowym stoliku pod dużą oprawioną fotografią rolnika uprawiającego tytoń na Kubie. Monnier, widząc sędziego, podniósł kciuk.

– *Ze Lady* – powiedział po angielsku z silnym akcentem. Zaintrygowany Verlaque, który zawsze wolał szorstki i smutny głos Billie Holiday niż zbyt doskonały Elli Fitzgerald, zasalutował i podszedł do nauczyciela.

– *Ain't Nobody's Business If I Do* – rzekł Verlaque, siadając.

– Napisane przez Bessie Smith, jak mi się wydaje – powiedział Monnier.

Zdecydowany przelicytować nauczyciela, Verlaque oznajmił:

– Tak, a tekst był wyzwaniem rzuconym wszystkim dziennikarzom, którzy mieli obsesję na punkcie prywatnego życia Billie.

Ale Monnier pokazał swoją przewagę nad sędzią.

– Proszę spojrzeć na ten tomik poezji. Przysięgam, że kiedy ta piosenka się pojawiła, czytałem właśnie ten wiersz: *The Day Lady Died*. – Przesunął tomik zatytułowany *Lunch poems* w stronę Verlaque'a. Sędzia obrócił się i poprosił Serge'a Canzano o whisky.

Potem zerknął na okładkę książki.

– Frank O'Hara?

– Polecał go jeden z moich kolegów pracujących w szkole średniej – nauczyciel angielskiego – wyjaśnił Monnier. – Ten O'Hara nigdy nie był profesjonalnym poetą. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pracował w Muzeum Sztuki Współczesnej.

– Kurator?

– Nawet nie. Był recepcjonistą. Za biurkiem przy wejściu. W porze lunchu spacerował po Nowym Jorku, a kiedy wracał, siadał do maszyny do pisania. Stąd tytuł tego zbioru. A przynajmniej tak piszą na obwolucie. Lunch był jego ulubionym posiłkiem.

– Dużo lepszym niż śniadanie – skomentował Verlaque.

– Nie znoszę śniadania – przytaknął Monnier. – Zawsze uważałem, że szybko trzeba je mieć za sobą.

Verlaque roześmiał się.

– I żadnego alkoholu.

– Dokładnie: lunch. Przeżyłem fatalny poranek i mam ochotę pracować. Naprawdę pracować. Pozwalam sobie na miły lunch w restauracji i otaczają mnie rozgadani ludzie – robotnicy, studenci, turyści. Potrawy są

słone, nie słodkie, jak przy śniadaniu, i mogę wypić kieliszek wina, by pobudzić soki twórcze, które doskonale uzupełnią mój posiłek. Jest wciąż jasno na dworze, a świat wygląda na szczęśliwy.

Verlaque podniósł książkę, czuł samotność Monniera. Starając się, by zabrzmiało to lekko, powiedział:

– Niewiele alkoholu pojawia się teraz w trakcie moich lunchów. – Jego ulubionym posiłkiem była kolacja, którą jadał z Marine. Zaczął czytać wiersz, datowany na piątek w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy Canzano delikatnie postawił przed nim whisky Lagavulin. Przerwał czytanie i uważnie upił łyk trunku.

– Co pan sądzi o wierszu? – zapytał Monnier.

– Brak mi słów – odparł Verlaque. – Jest piękny – mówił dalej. – Nigdy nie słyszałem o tym O’Harze.

Monnier skinął głową i uśmiechnął się triumfująco.

– Mógłby mi pan pomóc przetłumaczyć kilka linijek? Zwłaszcza tych końcowych.

– Oczywiście.

– *John door?* – zapytał Monnier, wskazując na jedno ze zdań.

– Och. Drzwi do toalety – wyjaśnił Verlaque. – To brzmi, jakby miejsce, o którym pisze, <sup>5</sup>SPOT, było barem w Nowym Jorku.

– *Whispered?*

– *Chuchoter* – odparł Verlaque.

– Tu prawie nie ma znaków interpunkcyjnych – rzekł Monnier. – Muszę trochę swobodniej traktować moje wiersze. *Breathing?*

– *Respirer.*

Verlaque upił kolejny łyk i poprosił Monniera o podanie mu książki. Przeczytał głośno:

*„...and a NEW YORK POST with  
her face on it*

*and I am sweating a lot by now and thinking of  
leaning on the john door w <sup>5</sup>SPOT*

*while she whispered a song along the keyboard  
to Mal Waldron and everyone and I stopped breathing”<sup>2</sup>*

– To przyprawia mnie o gęsią skórkę – wyznał Monnier. – Bardzo mądre, że nie skończył zdania kropką.

– Rzeczywiście – odparł Verlaque. – Tak jakby można było o niej tyle więcej powiedzieć.

– Albo jakby naprawdę przestał oddychać...

Ich rozważania zostały przerwane przez Alaina i Emmanuelle Denisów, którzy weszli do baru, kłócąc się głośno. Eric Monnier skrzyżował ręce na piersiach i cicho warknął jakieś słowa.

– To twój syn – powiedział Alain Denis, opadając na klasyczne ratanowe krzesło. Uniósł palec wskazujący w kierunku Serge’a Canzano i kilka

sekund później z butelki kosztownego szampana delikatnie wyskoczył korek.

– Zgadza się – odparła Emmanuelle Denis, nadal stojąc. – Brice – bo tak ma na imię – jest moim synem i to ja zdecyduję, gdzie pójdzie do szkoły.

– Wydaje się, że już podjęłaś decyzję – rzekł Denis. – Pomijając dzieciaka i mnie.

Obrócił się i zawołał do Canzano:

– Ma pan problem ze znalezieniem kieliszków?

– Alain, jesteś takim dupkiem – skomentowała Mme Denis.

– Sławnym dupkiem – odparł Alain Denis, biorąc od Canzano kieliszek do szampana. – To raczej ci się podobało, kiedy się spotkaliśmy.

Monnier zakasłał, ledwo zagłuszając kolejne gorzkie słowa, a Verlaque starał się ukryć roześmianą twarz za szklaneczką whisky.

---

[2] Frank O'Hara, *The collected poems*, University of California Press, Berkeley 1995.

*...i o NEW YORK POST z jej twarzą na wierzchu  
pot już leje się ze mnie i myślę o tym jak w 5 SPOT oparłem się o drzwi  
kibla*

*gdy ona nad klawiaturą szeptała Mał Waldronowi  
piosenkę i wszystkim i mnie na chwilę zamarł oddech*

Frank O'Hara, *Dzień w którym zmarła Lady Lay*, przeł. Piotr Sommer,  
<http://www.wyczytaj.pl/wiersze/frank-ohara/strona-2>

*Little squid, Shirley*

Zza swojego biurka Cat-Cat Le Bon widziała przez okno Morze Śródziemne. Odwróciła się teraz od tego widoku, otworzyła trzecią szufladę swojego biurka i wyjęła plik czarno-białych fotografii Sordou z lat sześćdziesiątych. Szczęśliwie ktoś zrobił też kolorowe zdjęcia i korzystając z nich – oraz ze starych egzemplarzy „Life” i „Paris Match” – ona i Max mogli zaprojektować nowy hotel. Jasne zielenie i blade błękity z małym dodatkiem różu i pomarańcza stanowiły oryginalną gamę kolorystyczną, której pozostali wierni. Te radosne barwy były doskonałym dopełnieniem białych kamiennych i marmurowych podłóg oraz kremowych ścian. Le Bonowie oczywiście przekroczyli budżet. Architekt, kiedy zobaczył segregator Cat-Cat z wycinkami, próbkami tkanin i ceramiki, ostrzegał ją, że tak będzie. Ale ona nie słuchała, bo to miejsce, Sordou, należało do nich. Zawsze oszczędzali i ciężko pracowali – cały czas dla innych – aby kiedyś prowadzić własny hotel. Planowali go mieć, zanim skończą pięćdziesiątkę – Max miał pięćdziesiąt jeden lat, a Cat-Cat w marcu będzie obchodziła pięćdziesiąte urodziny.

Kolejna szuflada była pełna pomysłów projektowych, które zbierała od ponad dziesięciu lat. Kolekcjonowała wszystkie aranżacje meblowe i designerskie, które się sprawdziły bądź nie w hotelach, w których dotychczas pracowała, i wkładała je do koperty. Koperta urosła do dwóch segregatorów. Ona i Max znaleźli najlepsze lniane zasłony w Toskanii, kolorowe cementowe płytki w Maroku – za ułamek ceny, którą trzeba by zapłacić w paryskich sklepach z ceramiką. Satysfakcję dawało im nabywanie rękodzieła od francuskich projektantów: wysokich porcelanowych wazonów, małych marmurowych stolików, szklanych pucharów wykonanych przez artystę z Bretanii. Nawet elementy oświetlenia zostały wykonane ręcznie z kutego metalu przez artystę z Luberonu, abażury zaś stworzyła szalona krawcowa z Montmartre’u.

Cat-Cat wiedziała, że goście z przyjemnością obejrzeliby fotografie hotelu z lat sześćdziesiątych i chcieliby rozpoznawać na nich gwiazdy, piosenkarzy, prezydentów i milionerów, którzy odwiedzali hotel w tamtych czasach. Nie do końca potrafiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie opравиła tych zdjęć i nie powiesiła ich, tak jak sugerowała Niki, ale wiedziała, że w głębi duszy była przesądna. Ukryła fotografie w szufladzie, bo obawiała się, że przyniosą pecha. Tak jakby miały sztydzić z Le Bonów,



mówiąc: „Popatrzcie, jak niewiarygodnie popularny był wtedy ten hotel. Ciekawe, czy potraficie powtórzyć ten sukces”.

I jak gdyby zdjęcia rzeczywiście mogły mówić, Cat-Cat odwróciła je, wsunęła z powrotem do koperty i spojrzała na komputer. Dyrektor banku z Marsylii, który zajmował się ich kredytem, martwił się, że kupili luksusowy hotel na dalekiej wyspie. Ekran zamrugał, przypominając kobiecie o jego obawach. „Hotel był inny w latach sześćdziesiątych” – napisał. „Goście nie potrzebowali Internetu czy telefonów komórkowych, nie potrzebowali ich też hotel. Wystarczała jedna linia telefoniczna”. A następnie padły słowa, których obawiali się Cat-Cat i Max: „I nawet wtedy hotel nie przetrwał”.

Stary przyjaciel Maxa z Bordeaux przekonał Le Bonów i dyrektora banku, że do obsłużenia hotelu wystarczy im staroświecki modem. A Cat-Cat zdobyła informacje o wziętych hotelach na świecie, które nie oferowały klientom zasięgu komórkowego ani Internetu i mimo to całkiem dobrze sobie radziły. – Jest dwudziesty pierwszy wiek – argumentował Max w banku. – Bogaci ludzie chcą odpocząć od swoich rodzin, biznesów i od prasy.

Cat-Cat spojrzała na ekran i próbowała wyciszyć rozbrzmiewający jej w głowie wysoki głos dyrektora banku, który do ostatniej chwili protestował, ale w końcu poddał się i podpisał umowę kredytową.

– *Coucou, Mme Le Bon* – powiedziała Marie-Thérèse, wślizgując się do biura z tacą opartą o biodro. – Przyniosłam pani popołudniową herbatę.

– Jak miło – odrzekła Cat-Cat, odwracając się w stronę dziewczyny. – Dziękuję – westchnęła.

Marie-Thérèse zobaczyła, że komputer jest otwarty na stronie rezerwacji. Przygryzła wargę i powiedziała:

– Proszę się nie martwić, *madame*.

Cat-Cat próbowała się uśmiechnąć.

– Chciałabym.

– Dzisiaj jest niedziela...

– I?

– Będziemy mieli komplet. Małżeństwa porozmawiają w weekend o wycieczkach, na jakie chcą pojechać – wyjaśniła. – I dzisiaj wieczorem albo jutro skontaktują się z biurem, zarezerwują u nas miejsce. Zobacz pani.

– Zawsze byłaś taką optymistką?

– Tak. Chyba tak – odparła Marie-Thérèse, wzruszając ramionami. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Ja też kiedyś byłam optymistką.

– Nadal pani jest. Ten hotel będzie funkcjonował, jestem tego pewna.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo pani tak bardzo go kocha.

Oczy Cat-Cat wypełniły się łzami.

Marie-Thérèse mówiła dalej:

– I ponieważ pani go kocha i tak ciężko pani pracuje, on odniesie sukces.  
*Voilà!*

\*

„Kolejna samotna kolacja” – napisał Eric Monnier w swoim notesie Moleskine. Przekreślił te słowa i zanotował: „Jedzenie w samotności”. Zaczął wiersz. Jak zawsze, kiedy tworzył poezję, zapisał na marginesie kluczowe słowa – takie, które wypełniały jego głowę, opisywały to, na co patrzył, i to, co czuł. Zaczynał od kolorów, a na Sordou były one wciąż te same: „biały”, „niebieski”, „zielony”. Następnie starał się przypomnieć sobie, co inni klienci lub goście powiedzieli do niego tego dnia, ponieważ lubił zamieszczać w swoich tekstach słowa innych ludzi. Ale to był dopiero drugi dzień na wyspie, a on skazany był na swoje towarzystwo. Ale z pewnością ktoś coś do niego powiedział? O tak, barman. Monnier wydał z siebie tłumiony śmiech i zapisał: „To co zwykle?”. Na pewno podczas lunchu odzywała się do niego kelnerka, minął też właścicielkę hotelu, Mme Le Bon, która stała na tarasie i wpatrywała się w morze. Skomentował ładną pogodę. „Chłodniej niż w Aix” – powiedział. A co ona odpowiedziała? Nie pamiętał, więc zamiast tego napisał: „zmartwiona właścicielka i wesoła kelnerka”.

Monnier upił łyk białego wina i rozejrzał się po sali. Zapisał to, co kelnerka rzekła przy stoliku Amerykanów: „*Petits supions au Vin Blanc*”.

– Słucham? – zapytała żona.

– Mała kałamarnica<sup>3</sup>, Shirley – odpowiedział jej mąż.

– Bardzo dobre tłumaczenie – skomentował palacz cygar o imieniu Antoine i pochylił się nad stolikiem, by pogratulować amerykańskiemu gentlemanowi, który wzruszał ramionami i śmiał się, zdumiony, że znał francuskie słowa. Ericowi bardziej podobało się angielskie tłumaczenie i szybko je zapisał, żeby nie zapomnieć. Wrócił na górę strony, skreślił linijkę: „Jedzenie w samotności”, zapisał: „*Little squid, Shirley*”. Odchylił się na oparcie krzesła z uśmiechem. Kiedy kelnerka podeszła z jego pierwszym daniem, odsunął notatnik na bok.

– Dobry wieczór – powiedziała, uważnie stawiając przed nim miseczkę. – *Amuse-bouche* szefa kuchni, Émile’a...

– *Petits supions* – rzekł.

– Dokładnie!

– Dziękuję. – Monnier upychał serwetkę pod brodą. – A co potem?

– *Puttanesca* – odparła Marie-Thérèse z uśmiechem.

– Makaron ladacznicy! – zawołał Monnier, odłamując trochę chleba do zjedzenia z kałamarnicami.

– Przepraszam bardzo?

– Proszę iść do kuchni i zapytać Émile’a, co oznacza „*puttanesca*” – to mówiąc, machnął chlebem w stronę kuchni.

Marie-Thérèse odwróciła się i pospiesznie wyszła przez kuchenne drzwi.

Małe kałamarnice zostały krótko obsmażone w czosnku, a następnie były gotowane na wolnym ogniu w gęstniejącym sosie z białym winem. Monnier zdał sobie sprawę, że zjadł je zbyt szybko, bo gdy rozejrzał się dookoła, zobaczył, że inni goście wciąż jedli. Podniósł swój notes, trudno mu będzie znaleźć rym do Shirley. Ktoś się roześmiał i Eric podniósł głowę. To była Marine, dziewczyna Antoine’a. Zapisał jej imię.

Spostrzegł, że na kolacji nie było Alaina Denisa ani jego rodziny. Pewnie jedli w swoim pokoju, albo raczej apartamencie. – Biedny chłopak – mruknął do siebie Monnier. Powinien być gdzieś na dworze ze swoimi kumplami, a nie tkwić w małym hotelu z nieszczęśliwymi rodzicami. Przy stoliku obok niego siedzieli paryżanie i rozmawiali o swoich dzieciach. Jak zrozumiał, jedno było na obozie, a dwoje młodszych spędzało czas u dziadków. Wyobraził sobie, że to właśnie robią pary małżeńskie – rozmawiają o dzieciach. Próbował nie zwracać uwagi na ich konwersację, nie lubił podsłuchiwać, zwłaszcza jeśli rozmowa go nie interesowała. Ale wtedy kobieta kilka razy wymieniła nazwę Sordou w połączeniu ze słowem „inwestycja”, a jej mąż szepnął do niej, by była cicho.

Kiedy Viale’owie wrócili do tematu dzieci, Monnier zaczął się niecierpliwić i niezadowolony, że zbyt szybko skończył jeść pierwsze danie, wstał i podszedł do Baru Jacky’ego, by wziąć kartę win. Do *puttanesca* potrzebował mocnego czerwonego wina. Serge – byli ze sobą po imieniu – na pewno coś poleci.

– Co dziwki z Neapolu piły do swojego makaronu z sosem na bazie pomidorów? – zapytał, opierając się o bar.

Serge roześmiał się, a Monnier posłał mu uśmiech.

– Czerwone z południowych Włoch – odparł barman. – Ale idźmy dalej niż Sycylia.

– Właśnie.

– Będziesz potrzebował owocowego czerwonego wina pasującego do pomidorów, czerwonej papryki i anchois.

– To mi się podoba.

– Kalabria – zdradził Serge. – Szef kuchni, Émile, i ja wybraliśmy specjalne wino odpowiednie do makaronu.

– Och, uwielbiam Kalabrię – odezwał się kobiecy głos. Monnier obrócił się do tyłu i zobaczył stojącą przy nim Marine.

– Przysłałam po kartę win – rzekła.

– Przepraszam. Powinna być gdzieś na sali.

– Nie szkodzi. Czy był pan w Kalabrii? – zapytała Monnier.

Próbując zachowywać się nonszalancko, jak zawsze w obecności pięknych miłych kobiet, oparł się na łokciu o bar i wzruszył ramionami.

– Przykro mi poinformować panią, że nie, nigdy nie zapuszczałem się na południe od Rzymu.

– Jestem Marine – powiedziała, wyciągając dłoń. – Antoine mówił mi, że odbyście dziś przyjemną rozmowę o poezji.

– Eric Monnier – przedstawił się.

– Miło mi pana poznać. – Odwróciła się do barmana i zapytała: – Więc poleca pan wino z Kalabrii? Mieliśmy nadzieję, że takie macie.

– Jesteśmy małą wyspą z dużą piwnicą na wino – odparł Serge. Szczęśliwy, że może podzielić się swoją wiedzą, pokazał im jedną z butelek.

– Starożytni Grecy – Enotrianie – wytwarzali w Kalabrii wino już w siódmym wieku przed naszą erą.

– Enotrianie? – dopytywała Marine. – Tak jak w enologii?

– Świetnie – odezwał się Monnier. – To oznacza ludzi z terenów, gdzie rośnie winorośl.

Serge próbował się uśmiechnąć, choć stracił swoje główne miejsce na scenie. Mówił dalej:

– Ich greco di bianco może być najstarszym winem na świecie. Ale do makaronu wybraliśmy czerwone, powstałe z trzech różnych odmian wina Calabrian i postarzone w beczkach z kasztanowca.

– Nie dębowych? – zdziwiła się Marine. – Bardzo interesujące.

– Jest świeże, młode i owocowe – mówił dalej Serge. – Z nutami tytoniu i czarnej lukrecji.

– Tytoń brzmi dobrze – rzekł Monnier.

– Podobnie jak lukrecja – dodała Marine. Spojrzała na poetę, jak nazywał Erica Antoine, i zapytała: – Czy chciałby pan zjeść z nami, M. Monnier?

Mężczyzna zawahał się.

– Dziękuję, ale nie – odparł. – Zbyt dużo pracy – mówił dalej, poklepując wieczne pióro wystające z kieszeni. – Ale być może innego wieczoru.

– Byłoby bardzo miło – odpowiedziała Marine.

---

[3] (Ang.) *Little squid*.

## 9

# O sterniku

Hugo Sammut nie chodził prawie do swoich drugich urodzin, ale kiedy już zaczął, to, jak chwaliła się jego matka, „biegał i od tej pory się nie zatrzymywał”. Był urodzonym sportowcem, nie cierpiał na krótkowzroczność jak jego rodzeństwo. Dobrze sobie radził w piłce nożnej i rugby, ale wyróżniał się w żeglarskim i narciarskim alpejskim, dwóch dyscyplinach sportowych, które były drogie dla francuskiej klasy średniej i wyższej. Jego rodzice, teraz na emeryturze, pracowali jako nauczyciele w szkole średniej i spędzali swoje liczne wakacje szkolne z trojgiem dzieci albo na nartach (w tańszych kurortach alpejskich, takich jak Saint-Martin-de-Belleville czy Les Houches), albo – latem – na łodzi w letnim apartamencie rodziców Mme Sammut w Arcachon na wybrzeżu Atlantyku, niedaleko Bordeaux.

Jako trzecie i nieplanowane dziecko zawsze był rozpieszczany. Jego starsza siostra i brat byli dobrymi sportowcami, ale przede wszystkim dobrze się uczyli. Jedno z nich zostało lekarzem, drugie zajmowało się księgowością. Hugo uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu i uprawiać sport. Głęboka dysleksja, która w latach osiemdziesiątych we Francji nie była jeszcze zdiagnozowana jako możliwe do wyleczenia zaburzenie przyswajania wiedzy, sprawiła, że uczenie się było dla niego nie do zniesienia.

Trudności z czytaniem i pisanem oraz zespół nadpobudliwości psychoruchowej zdiagnozowano w końcu, podobnie jak dysleksję, kiedy miał piętnaście lat. Chłopak został skierowany na zajęcia wyrównawcze i zdał maturę w technikum w wieku dziewiętnastu lat z wynikiem dziesięć na dwadzieścia. Jego koledzy z klasy wybrali zawód hydraulika, kamieniarza i elektryka, a dziewczęta zostały fryzjerkami. Ale jego umiejętności sportowe i pozytywne nastawienie do życia – jeszcze bardziej pozytywne, od kiedy skończył szkołę – zapewniły mu pracę instruktora narciarstwa w zimie i trenera żeglarskiego w lecie. Wiele drzwi otwierał mu także atrakcyjny wygląd: dzięki oliwkowej cerze i ciemnym kręconym włosom często był brany za Włocha lub Hiszpana. To dziwne, gdyż zarówno rodzice, jak i rodzeństwo mieli jasne włosy.

Państwo Sammutowie byli zachwyceni, że ich syn znalazł zatrudnienie, mimo że tylko w sezonach turystycznych. W przerwach między nimi Hugo przebywał w Nancy i pomagał w ogrodzie lub w pracach naprawczych

w dużym podmiejskim domu rodziców. Był dobrym kompanem, uwielbiał kuchnię swojej matki i idealnie sprawdzał się w roli wujka – siostrzenic i bratanków, którzy ze swoimi rodzicami mieszkali w Nancy. Jednak łatwo wpadał w złość. Przez zaburzenia koncentracji uwagi, o czym teraz jego matka już wiedziała. Kiedy był młodszy, ona, mąż i rodzeństwo Hugo nauczyli się odpowiednio reagować na jego rzadkie, lecz silne i przerażające wybuchy. Upewniali się, że nie zrobi krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu, i pozwalali mu krzyczeć. Kiedy przyjechał do domu, szczęśliwy, że znalazł pracę jako instruktor narciarstwa, Mme Sammut martwiła się przede wszystkim jego atakami złości. Ale wydawało się, że Hugo jest w stanie kontrolować się na stoku, tak jakby ciągłe ćwiczenia fizyczne i świeże powietrze chroniły go przed napadami.

Po pięciu latach pracy instruktora w Les Houches Hugo nagle zmienił ośrodek narciarski. Powiedział rodzicom, że w Chamonix ma wyższe zarobki. Gdyby czytali miejscowe gazety w Savoie, dowiedzieliby się, że syn został zwolniony z powodu bójki z innym instruktorem, który według niego nie dość szybko zadzwonił na pogotowie. Sammut jeździł po stoku w swoje wolne popołudnie, kiedy dostrzegł wśród krzaków czerwoną kamizelkę. Ranny mężczyzna zjechał ze stoku samotnie, po czym doznał ataku serca. Sammut zadzwonił po pomoc, ale kolega, który odebrał telefon, początkowo zlekceważył zgłoszenie, dopóki nie zdał sobie sprawy z powagi sytuacji. Pogotowie przybyło skuterem śnieżnym dziewięć minut później, ale narciarz już od pięciu minut nie żył. Sammut patrzył, jak załoga przenosi na nosze nieruchomego mężczyznę w średnim wieku, a następnie pojechał za nimi na nartach. Znalazł swojego kolegę w barze, zabawiającego innych instruktorów opowieściami, podszedł do niego i uderzył go w twarz, tak że tamten zwałił się na podłogę.

W wieku trzydziestu czterech lat Sammut wciąż czuł się młody i nie myślał o ustatkowaniu się, nie spieszył się do ożenku i wychowywania dzieci. Być może nie było mu to pisane. Nadal spędzałby zimy w Alpach i lata w Arcachon, gdyby nie kolejne wiadomości od siostry i brata, że przeprowadzają się na południe Francji. Jego siostra otrzymała propozycję pracy w największym szpitalu w Nicei, a brat objął stanowisko dyrektora finansowego w firmie zajmującej się helikopterami, z siedzibą w Marsylii. M. i Mme Sammutowie na wieść o tym, że ich dzieci i wnuki przeprowadzają się pod słońce i błękitne niebo Prowansji, sprzedali swój dom – teraz był dla nich za duży – i kupili trzypokojowe mieszkanie w nadmorskiej wiosce Cassis. A gdy Hugo zobaczył ogłoszenie o pracy na Sordou, wkrótce podążył za nimi.

W przeciwieństwie do całej swojej rodziny nie miał pewności, że południowa Francja jest tak wspaniała, jak się o niej mówi. Uwielbiał gwałtowne fale Atlantyku, przypływy i odpływy oraz całe kilometry piaszczystej i prawie pustej plaży. W Arcachon z łatwością zawarł

przyjaźnie z innymi instruktorami, którzy nazywali go „Hugo z wydm” z powodu jego talentu do uwodzenia kuracjuszek na pobliskiej Wydmie Piłata, czyli studziesięciometrowym wzgórzu z piasku. Zaprzyjaźnił się też z miejscowymi kupcami i hodowcą ostryg po przeciwnej stronie zatoki w Cap Ferret. Wiedział jednak, że za bardzo tęskniłby za rodziną, i dlatego zamienił to wszystko na skaliste, zatłoczone plaże nad Morzem Śródziemnym. Przynajmniej pozostaną mu narciarskie wakacje w zimie.

Tymczasem, ku swojemu zdumieniu, zakochał się w skalistej Sordou. Wiedział, że te wody badał sam Jacques Cousteau, bohater jego dzieciństwa. Sammut nie miał jednak pojęcia, jak wiele Cousteau zdołał. Przez pięć lat, począwszy od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego, Cousteau i jego ekipa eksplorowali podwodny świat wokół île Grand Congloué na statku *Calypso*. W końcu na głębokości czterdziestu metrów odkryli wrak greckiego statku do przewożenia wina z trzeciego wieku przed naszą erą. Wydobyli tysiąc elementów zastawy stołowej, które zostały przewiezione do dwóch muzeów w Marsylii razem z jeszcze licznymi amforami na wino i oliwę. Sammuta nie bardzo interesowały te przedmioty i nigdy nie wybrał się do muzeów, by je obejrzeć. Podziwiał raczej rozmach tych badań – Cousteau i jego żona Simone poświęcili oszczędności życia, by utrzymać *Calypso*, pomogli im w tym bogaci Amerykanie i rodzina Guinnessów. Cousteau wraz z inżynierem Émile’em Gagnanem zbudowali pierwszy akwalung – aparat do nurkowania. Cousteau jako młody człowiek chciał zostać pilotem, ale wypadek samochodowy zakończył jego karierę w lotnictwie. Nieco później, kiedy pływał w okularach pływackich niedaleko Tulonu, zafascynowało go morze.

– A gdyby Cousteau został pilotem? – pytał rodziców mały Hugo.

– No cóż, wtedy zacząłby interesować się ptakami i chmurami – odparła jego matka.

Hugo, kiedy tylko miał taką możliwość, spędzał czas w wodzie. Na oparciu łóżka zawsze wisiły w gotowości okulary do pływania. Pływał przy skałach, bez maski i płetw, tak jak robił to młody Cousteau w pobliskim Tulonie. Nurkował i obserwował toczące się pod wodą życie – wobec różnorodności i ruchliwości ryb i skorupiaków ich podstawowa załoga w Hotelu Sordou wydawała mu się śmiesznie mała.

Choć zniszczonego plakatu z Cousteau, przyklejonego niegdyś taśmą nad łóżkiem w Nancy, od dawna już tam nie było, Sammut dobrze pamiętał widniejący na nim cytat: „Od urodzenia człowiek dźwiga na ramionach grawitację. Jest przygwożdżony do ziemi. Ale wystarczy, że zanurzy się pod powierzchnię, a czuje się wolny”. I Hugo Sammut naprawdę czuł się wolny na wodzie i na stoku. Nigdy jakoś przesadnie nie kochał ludzi poza najbliższą rodziną i nie znosił miast, więc kiedy po raz pierwszy zobaczył Sordou, wiedział, że może tu być szczęśliwy.

## Podnoszący się poziom morza

Marine i Antoine wyszli na taras sali jadalnej. Małe marmurowe stoliki w kolorze czerwieni zastawione były delikatną białą porcelaną śniadaniową. Jedyne dźwięki dobiegały z miejsca, gdzie Hugo Sammut w starannie wyprasowanych szortach i dopasowanej koszulce poło przycinał bujny żywopłot oddzielający taras od ogrodu, który delikatnie opadał po zboczu wzgórza.

– Ten widok jest równie spektakularny, jak widok z naszego pokoju – powiedziała Marine, obejmując Verlaque’a w pasie.

Mężczyzna skinął głową i spojrzał ponad osłoniętą zatoczką na zachód, na gwałtownie schodzące do wody wapienne klify.

– Cieszę się, że tu przyjechaliśmy – powiedział w końcu i ją pocałował.

– Dwa gołąbki – odezwała się Sylvie spod ogromnego białego kapelusza.

– Hej! – Marine podeszła do stolika przyjaciółki i złożyła *bise* na jej policzku. – Jak kawa?

– Boska – odparła Sylvie, dla lepszego efektu zsuwając wielkie stylowe okulary. – Dzięki Bogu to Ily, nie żadna francuska.

– To świetne wieści – powiedział Verlaque, po czym usiadł i sięgnął po dzbanek z rżniętego szkła. Nalał sobie i Marine po szklance soku pomarańczowego.

– Hej, wy dwoje, francuska kawa też jest dobra – zauważyła Marine. Zawsze czuła, że musi bronić swojego kraju. Verlaque nie krył dumy z tego, że w jego żyłach płynęła w jednej czwartej krew angielska, Sylvie zaś po prostu była buntowniczką.

Podeszła do nich Marie-Thérèse, która zauważyła, że Piękność – jak nazywała Marine, od kiedy ją poznała – i Pulchny Mężczyzna wyszli na taras, i chciała się przywitać.

– Jak się pani dzisiaj ma? – zawołał Verlaque.

– D-d-d-dobrze – odparła, poprawiając biały fartuch. – Szef kuchni, Émile, upiekł dziś babeczki. Czy chcieliby państwo skosztować?

– Babeczki? – dopytywał Verlaque. – Doskonale. I dwa cappuccino poproszę.

– Brzmi wspaniale – dodała Marine.

– Ja poproszę jeszcze jedną babeczkę – odezwała się Sylvie. – I jeszcze jedno cappuccino.

Marie-Thérèse skinęła głową i prawie odbiegła.



– To urocze, że o szefie kuchni mówi „szef kuchni, Émile” – zauważyła Marine. – Wydaje się, że są prawie w tym samym wieku. – Popatrzyła na turkusową, prawie przezroczystą wodę. – Niesamowite, że wokół całej wyspy znajdują się podwodne jaskinie – powiedziała. – Z prehistorycznymi malowidłami i płaskorzeźbami.

– Czy to nie była jakaś kaczka dziennikarska? – zapytała Sylvie.

– O nie – odparła Marine. – Te dzieła sztuki zostały uznane za autentyczne i datowane.

– Ale jak te małe prehistoryczne ludziki dostawały się do tych podwodnych jaskiń z farbami i tym wszystkim?

– Najpierw szli do sklepu dla plastyków i kupowali farby, a potem do sklepu metalowego po latarki – odezwał się Verlaque.

– Na nogach – wyjaśniła Marine z uśmiechem. – Morze było wtedy dalej. Dziesiątki tysięcy lat temu te jaskinie były na granicy z wodą. Teraz trzeba do nich wpływać ze sprzętem do nurkowania.

Sylvie westchnęła i spojrzała na morze.

– Woda się podnosi, prawda?

– Tak. Z powodu globalnego ocieplenia topią się lodowce – potwierdziła Marine.

Sylvie jęknęła.

– Co za przygnębiająca myśl...

– Czas, by kupić dom na plaży w Skagen – rzekł Verlaque, zerkając na kobiety znad „Le Monde”.

– Wchodzę w to – powiedziała Sylvie. – Uwielbiam Duńczyków. Bo to jest w Danii, nie myślę się?

– Na północnym skraju – wyjaśnił Verlaque, prostując się, kiedy nadeszła Marie-Thérèse.

Marine nadal wpatrywała się w morze i klify. Naprawdę głęboko zasmucała ją myśl, że pewnego dnia będzie zbyt gorąco, żeby siedzieć na dworze w południowej Francji, nawet o dziewiątej rano.

– Zdumiewa mnie, że mamy tu wyspy i *calanques*, a kilkanaście kilometrów stąd jest jedno z największych szamb na świecie – skomentował Verlaque, smarując babeczkę, która się przed nim pojawiła, zbyt dużą ilością masła.

– Czy wpadłeś w jeden z tych swoich antymarsylskich nastrojów? – zapytała Marine.

– Nigdy nie lubiłem tego miasta – odparł Verlaque. – Tylko restauracje są lepsze niż u nas w Aix.

Marine mrugnęła do Sylvie i z zaciekawieniem spytała:

– Czy ktoś zjadł już śniadanie przed nami?

– Jankesi wychodzili, kiedy przyszedłem – odrzekła Sylvie. – Ubrani do gry w golfa. Był też poeta, ale wyszedł, zanim przyszliście. Poza tym nikt. O, właśnie idzie Alain Denis...

Aktor, ubrany w różową lnianą koszulę i białe lniane szorty, wszedł na taras i rozglądał się, szukając wolnego stolika. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne awiator marki Ray-Ban. Nie zadał sobie trudu, by powiedzieć dzień dobry innym gościom na tarasie, i wybrał stolik daleko od nich.

Verlaque zobaczył, że Marie-Thérèse czeka w gotowości, bawiąc się frędzlami fartucha. Zauważył, że bierze głęboki oddech, przechodzi przez czerwoną terakotową posadzkę i pochyla się nad Denisem, by zapytać, co chciałby na śniadanie.

– Oczywiście, że jestem sam, czy tego nie widać? – ryknął aktor wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli. Marine, Sylvie i Verlaque starali się nie skrzywić.

Marie-Thérèse wyprostowała się.

– Przepraszam – rzekła. – Myślałam, że Mme Denis zaraz dołączy.

– Najwyraźniej nie – odparł Denis z westchnieniem. – Zacznę od espresso, na razie nic do jedzenia – dodał ciszej, jakby żałował wcześniejszego wybuchu. – Nie, jednak poproszę miseczkę świeżych owoców.

Marie-Thérèse głośno i zdecydowanie powiedziała:

– Zaraz wracam! – Po czym wyszła.

Verlaque ukrył twarz za gazetą w obawie, że się roześmieje. Młoda kelnerka odegrała się na Denisie, ale on, jak każdy zapatrzony w siebie człowiek, zupełnie tego nie zauważył.

Kiedy Marine, Sylvie i Antoine kończyli śniadanie, pojawiła się Mme Denis w plażowym sarongu i sandałach na wysokim obcasie.

– Nie mogę w to uwierzyć – zwróciła się do męża.

– To wspaniałe – szepnęła Sylvie i zdjęła okulary, by lepiej widzieć.

– Siedzisz tu i spokojnie jesz śniadanie, kiedy mój syn zaginał! – krzyczała Emmanuelle Denis.

Aktor spojrział w górę na żonę i powoli odłożył „Paris Match”.

– Brice poszedł popływać albo pospacerować, albo... Nie wiem... wyszedł, żebyś się martwiła. Wróci, gdy zgłodnieje. – Ponownie otworzył pismo, a Mme Denis obróciła się i zobaczyła Marine, Sylvie i Antoine’a, który bez powodzenia udawał, że czyta gazetę. Wszyscy się w nią wpatrywali.

Verlaque wstał i cicho, lecz zdecydowanie powiedział:

– Może ktoś z personelu go widział. – Po czym dodał: – To cudowne miejsce do oglądania dla młodego człowieka.

– Przepraszam, że przeszkadzam państwu w śniadaniu – usprawiedliwiała się Mme Denis, wyciągając do niego dłoń. Verlaque, zaskoczony propozycją poznania się, próbował się ruszyć, ale jego stopa utknęła w kutej z żelaza nodze stołu. Sylvie parsknęła śmiechem. Nie powiedział Marine o pojawieniu się Emmanuelle Denis w barze ubiegłej nocy.

– Antoine Verlaque – przedstawił się, ściskając jej rękę. – A to jest Marine Bonnet i... nasza przyjaciółka, Sylvie Grassi.

– Emmanuelle Denis – odparła i skinęła głową w stronę kobiet. – Chodzi o Brice'a, mojego syna – mówiła dalej. – Nie mogę go znaleźć i wygląda na to, że nie spał w nocy w swoim łóżku.

– A może jednak spał? – zapytał Verlaque. I zanim Mme Denis zdołała odpowiedzieć, dodał: – Och, to nastolatek...

Na twarzy Mme Denis pojawił się wymuszony uśmiech.

– No właśnie.

– To mała wyspa i jest lato, ale nie mogę sobie wyobrazić, by ktoś spał na dworze – rzekł Verlaque.

– Cóż, on już wcześniej tak się zachowywał – odparła Mme Denis. Spojrzała na męża i wzniosła oczy ku niebu. – Ale, jak pan mówi, to jest wyspa, a Brice jej nie zna. To nie to samo, co Paryż.

Marine spojrzała na Mme Denis i przypomniała sobie, że chłopaka nie było też wczoraj na kolacji. Ale jego matka była, bez niego, a teraz wystroiła się jak na sesję zdjęciową do magazynu z modą plażową. Nie pluskała się w morzu ze swoim synem, nie grała z nim w gry ani nie oddawała się innym zajęciom, którym, jak przypuszczała Marine, powinny oddawać się matki, spędzając wakacje ze swoimi dziećmi, nawet nastoletnimi.

Mme Denis mówiła dalej:

– Brice nie jadł z nami wczoraj wieczorem... Był w złym nastroju.

– Naprawdę nie uważam, że to dobry pomysł, by opowiadać nieznanym o sprawach naszej rodziny – wysyczał Alain Denis, stając obok żony.

– Jakiej rodziny? – odparła.

– Chodź, zjesz coś – rzekł, ujmując ją pod ramię.

– Nie jestem głodna – odpowiedziała, odpychając jego rękę.

– Emmanuelle, nie bądź durną krową – naciskał.

– Proszę ją zostawić – wtrącił się Verlaque. – Jest zdenerwowana.

– Pilnuj swoich spraw, dupku – krzyknął Denis, jeszcze raz chwytając rękę żony.

– Powiedziałam, że nie jestem głodna – zawołała. – Wychodzę szukać mojego syna! – Wyrwała się Denisowi, ale on rzucił się w jej stronę i złapał ją za ramię.

Verlaque właśnie miał ruszyć Mme Denis z pomocą, kiedy nie wiadomo skąd wyrósł przed nimi Hugo Sammut, jakby przyfrunął sprzed żywopłotu. Szybkim ruchem chwycił Alaina Denisa za rękę, skrzyżował mu je na plecach i przytrzymał. Rzucił Denisa na ścianę hotelu, podczas gdy ten wykrzykiwał groźby, że doprowadzi do zwolnienia Hugo i pozwie cały hotel.

– Hugo! – zagrzemiał Max Le Bon, który usłyszał zamieszanie i stał teraz

na skraju tarasu. – Natychmiast puść M. Denisa!

Twarz aktora była zaczerwieniona, a okulary spadły i rozbiły się podczas szamotaniny. Verlaque szybko schylił się, podniósł je i ukrył pod serwetką.

– Jakich tu macie pracowników? – wrzeszczał Denis, wpychając koszulę z powrotem do spodenek. – Ten mężczyzna będzie zwolniony, jak sądzę! – Podeszedł do swojego stolika, wziął iPhone'a i opuścił taras.

– Chodź, Hugo – powiedział Max Le Bon. – Strasznie mi przykro, że to się stało – zwrócił się do gości.

– Nie zrobił nic złego – odezwała się Sylvie. – Bronił...

– Dziękuję, *mademoiselle* – odparł Le Bon, delikatnie ujął Hugo za łokieć i wyprowadził z tarasu.

– Mam nadzieję, że nie zostanie zwolniony z mojego powodu – powiedziała Mme Denis i usiadła.

– Hugo posunął się za daleko – rzekł Verlaque. – Niezależnie od tego, czy miał rację, czy nie, pani mąż jest gościem.

\*

W czasie remontu Sordou Maxime i Cat-Cat Le Bonowie zastanawiali się, czy nie zrezygnować z hotelu. Były chwile, gdy uważali jego budowę za idiotyzm, skoro zewsząd otaczało ich morze. Budżet także był problemem, pod koniec robót zaczęły kończyć się im pieniądze i brakowało funduszy na wybudowanie basenu o wielkości i standardzie, jakich potrzebowałby taki hotel jak Sordou. W końcu pojawił się inwestor – kolega z pracy Clémenta Viale – z pięćdziesięcioma tysiącami euro. To pozwoliło im dodać basen, domek basenowy i bar oraz kupić niezbędne meble wypoczynkowe z B&B Italia.

Le Bonowie dorastali w uprzywilejowanej grupie społecznej. Ich pierwsze baseny znajdowały się w rodzinnych letnich domach nad morzem, w Deauville. I dlatego jedną z pierwszych rzeczy, jaką zamontowali jeszcze przed remontem, była mała drabina, po której można było zejść z płaskich skał portu do morza, położonego około półtora metra niżej. Płaskie skały tworzyły doskonałe naturalne miejsca do wypoczynku, a dzięki drabinie można było czuć się tak, jakby Morze Śródziemne stanowiło jeden wielki basen, którym zresztą w pewnym sensie było w porównaniu z Atlantykiem.

Marine zeszła po drabinie i pływała, trzymając się blisko brzegu, gdzie widziała dno. Natomiast Antoine wypływał daleko w morze. Kiedy czuła się zmęczona, wychodziła na skały i obserwowała go, zakrywając dłonią oczy przed słońcem. Nie podobało jej się, że pływa sam, ale za bardzo bała się morza, jego czarnej głębi, by wypuszczać się z nim.

Spędzili tu cały poranek – czytali, rozmawiali, a gdy zrobiło się gorąco, poszli pływać. Pomachała do Amerykanów, którzy siedzieli na sąsiednim klifie, pan Hobbs łowił ryby, a jego żona szkicowała. Marine pochyliła się i wyjęła z plażowej torby swój zegarek. Dochodziła trzynasta, czas, by

wrócić na lunch. Pomachała Verlaque'owi, a on zawrócił do brzegu.

– Myślę, że gdybyś miała okulary do pływania – powiedział, dotarłszy do skraju klifu – bardziej podobałoby ci się pływanie w morzu. – Zbliżył się do drabinki i wspiął po niej. Marine zawsze dziwiła się, że pomimo miłości do jedzenia i wina oraz niemałego obwodu w pasie jej chłopak rzadko tracił oddech przy pływaniu czy bieganiu. „Jeśli uprawiasz dużo sportu w młodości, zostaje to z tobą na zawsze” – wyjaśniał.

Kiedy Marine była młodą dziewczyną, jej sport polegał na chodzeniu do biblioteki, a później, w czasie studiów – na spacerach wokół paryskiej szóstej *arrondissement*, gdzie studiowała prawo.

– Być może – odkrzyknęła, siedząc na skraju skały i mocząc nogi w zimnym morzu.

– Czas na lunch? – zapytał Verlaque, susząc włosy ręcznikiem.

– Tak – przytaknęła. – I zgaduję, że Sylvie w ogóle się nie pojawi, a ten chłopak, Brice, już tam będzie, głodny jak wilk.

– Pewnie masz rację – powiedział Verlaque. – Trudno byłoby mieć syna, prawda?

Marine spojrzała na niego zdziwiona.

– Masz na myśli w porównaniu z córką czy ogólnie jako dziecko?

– Chyba w porównaniu z córką.

– Och, nie sądzę, żeby rodzice mieli ze mną łatwo, kiedy miałam piętnaście lat.

– Łatwiej niż ze mną czy z jakimkolwiek innym chłopakiem – rzekł Antoine, podnosząc gazetę, którą wcześniej przycisnął kamieniem. – Tak naprawdę byłbym przerażony, gdybym miał syna. Moi rodzice odwalili taką fuszerkę, wychowując Sébastiena i mnie.

– I właśnie o to chodzi. To nie była twoja wina, że urodziłeś się jako chłopiec. To fuszerka twoich rodziców, jak to nazywasz, przy opiece nad tobą i twoim bratem.

Verlaque roześmiał się.

– A to jest kawał roboty, prawda? Mój brat, potentat na rynku nieruchomości, codziennie je kolację sam.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Owszem, wiem – odrzekł Verlaque. – Znajomi mówią mi, że Séb wkurzył już tylu kolegów w Paryżu, że przeważnie nie ma towarzystwa.

Marine zamilkła, bo cóż mogła powiedzieć? Spotkała Sébastiena Verlaque'a dwa razy w życiu i za żadnym razem nie czuła się przy nim dobrze.

Na ścieżce prowadzącej do hotelu dogonili ich Hobbsowie, którzy kompletnie stracili poczucie czasu i uświadomili to sobie dopiero, widząc Marine i Antoine'a zbierających się do powrotu.

– Jestem głodna – odezwała się Shirley Hobbs i pogłaskała się po brzuchu.

– Mam nadzieję, że lunch będzie tak dobry jak wczorajsza kolacja – powiedział Verlaque po angielsku.

– Och, była znakomita – odparła Shirley Hobbs.

– Mam nadzieję mieć w nim swój udział – rzekł Bill Hobbs, podnosząc swoje niebieskie wiaderko. Wszyscy czworo zatrzymali się i popatrzyli na kilkanaście małych czerwonawych ryb. – Co to za ryby? – zapytał Hobbs.

– To trzymające się skał rybki o nazwie *rougets* – wyjaśnił Verlaque. – W Marsylii są jednym ze składników *bouillabaisse*.

– Och, jedliśmy to w czasie ostatniego pobytu w Prowansji – odezwała się Shirley Hobbs. – Dziwię się, że zapomniałeś, jak się nazywają, Bill.

Hobbs wzruszył ramionami.

– Mam zamiar pokazać je szefowi kuchni. Muszę zarobić na utrzymanie.

Marine uśmiechnęła się i wskazała dłonią na szkicownik Shirley.

– Chcielibyście zobaczyć? – zapytała pani Hobbs. Zatrzymała się i otworzyła szkicownik na pierwszej stronie. To była akwarela przedstawiająca morze i zachodnie klify Sordou.

– Udało się pani pokazać, że woda się mieni – rzekła Marine, zdumiona, że malowidło jest tak pełne życia. Verlaque przetłumaczył jej słowa i Shirley Hobbs się uśmiechnęła.

– Od kiedy przeszłam na emeryturę, chodzę na lekcje sztuki – oznajmiła.

– Nie szczędzi wysiłków – powiedział Bill Hobbs z szerokim uśmiechem. Marine zrozumiała ogólny sens jego słów i także się uśmiechnęła.

Dotarli do hotelu, przeszli przez lobby, następnie przez salę restauracyjną i znaleźli się na tym samym tarasie, na którym wcześniej jedli śniadanie. Teraz jednak osłaniały go parasole i białe markizy zwieszające się ze ścian hotelu. Verlaque spojrzał na Marine znacząco, jakby chciał powiedzieć: „Przyłączymy się do nich na lunch?”, a ona potwierdziła skinieniem głowy. Verlaque zaproponował to głośno, a Hobbsowie odrzekli, że będą zachwyceni. Bill Hobbs poszedł do kuchni i zapukał w drzwi, chcąc przekazać Émile’owi swój dar. Niki Darcette wskazała miejsca Verlaque’owi, Marine i Shirley Hobbs.

– Jak dowiedzieliście się o Sordou? – zapytał Verlaque, kiedy już pomógł pani Hobbs usiąść.

– To był pomysł Billa – odpowiedziała.

– Skąd jesteście? – zapytała Marine powoli staranną angielszczyzną.

– Bellingham.

– Gdzie leży Bellingham? – zainteresował się Verlaque.

– Waszyngton – odrzekła pani Hobbs. – Stan Waszyngton, nie stolica.

– *Washington, mais pas D. C.* – wyjaśnił Marine Verlaque.

– *J’ai tout compris* – odparła Marine.

– Marine pięknie mówi po włosku – odezwał się Verlaque. – Jest nieśmiała, rozmawiając po angielsku. Ale zrozumiała naszą rozmowę.

– Proszę jej powiedzieć, że wygląda jak gwiazda filmowa – rzekła Shirley

Hobbs. – Ale nie taka wytapetowana.

Jakby na to hasło na taras wyszła Emmanuelle Denis, tym razem ubrana w szorty do tenisa i płytkie trampki, które podkreślały chudość jej nóg. Zobaczyła Marine i Verlaque'a i podeszła do ich stolika, wznosząc ręce do góry.

– Wciąż ani śladu po nim – zawołała.

Marine, Shirley Hobbs i Verlaque dostrzegli panikę w jej oczach. Verlaque szybko się podniósł i położył rękę na ramieniu kobiety.

– Pewnie stracił poczucie czasu – stwierdził.

Emmanuelle Denis wytarła oczy mocno już zużytą papierową chusteczką.

– Ale mógł spaść...

Verlaque wysunął krzesło i ruchem ręki wskazał Mme Denis, by usiadła.

Kobieta zaczęła opowiadać:

– Klócił się z Denisem... moim mężem, a jego ojczymem, i w kwietniu uciekł z domu. Matka jego przyjaciela zadzwoniła następnego dnia z wiadomością, że jest u nich. Został tam na tydzień... To najdłuższy czas, na jaki się rozstaliśmy.

Marine spojrzała na Mme Denis ze współczuciem, o jakie by się nawet nie posądziała. Zaskoczyło ją, że kobieta wyglądająca jak lalunia okazuje autentyczne przywiązanie do swojego syna. Nie udawała – miała zaczerwienione oczy, a jej dłonie drżały.

– Mam dwóch chłopców – odezwała się po angielsku Shirley Hobbs, pochylili się w stronę Emmanuelle Denis i ujęła ją za rękę. Zrozumiała, że syn Mme Denis zaginął, i cieszyła się, że po tylu wakacjach spędzonych we Francji w końcu potrafiła zrozumieć język. Obiecała sobie, że po powrocie do Bellingham rozpocznie naukę francuskiego. – W wieku nastoletnim przysporzyli nam wielu zmartwień, każdy na swój sposób. Ale jeśli kocha się dzieci tak, jak najwyraźniej pani kocha swojego syna, to jako dorośli w końcu dają sobie radę. Zobaczycie pani.

Verlaque właśnie miał przetłumaczyć, kiedy Mme Denis pogłaskała dłoń Amerykanki i odezwała się nienaganną angielszczyzną:

– Dziękuję, *madame*. Wiem, że ma pani rację, ale chyba nadal się tego uczę... bycia rodzicem. Popełniłam tyle błędów.

– A kto ich nie popełniał? – odparła Shirley Hobbs z uśmiechem.

– Co się stało wczoraj wieczorem? – zapytał Verlaque. I niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to tak, jakby podawał słowa Emmanuelle Denis w wątpliwość, ale ona chyba tego nie zauważyła.

Odpowiedziała:

– Znowu się klóćli, a ja przyniosłam Brice'owi z kuchni trochę jedzenia. Alain chciał, by w następnym roku szkolnym Brice poszedł do szkoły z internatem, ponieważ jego oceny w ostatnim semestrze się pogorszyły.

Dla Verlaque'a, Marine i Shirley Hobbs wyjście było oczywiście: pozbyć

się Alaina Denisa. Ale nic nie powiedzieli.

– Zniosłam mu kolację, zanim wszyscy zjedliśmy, około dwudziestej – relacjonowała. – A rano zobaczyłam, że jego łóżko nie było rozścielone.

– No cóż, Brice nie mógł się zbyt oddalić na Sordou – odezwał się w końcu Verlaque. – Zaczniemy go szukać, jeśli nie pojawi się do piętnastej, dobrze?

Marine skinęła potakująco głową.

– Proszę zjeść z nami lunch. Lepiej się pani poczuje po posiłku.

– Dziękuję – odparła Mme Denis. – Chyba zamówię też kieliszek różowego wina. Zwykle nie piję nic do lunchu.

– Zamówię dla nas butelkę wina Bandol – zaproponował Verlaque.

Wrócił Bill Hobbs i wydawał się skonsternowany tym, że jest gościem przy swoim stoliku. Wyciągnął krzesło spod sąsiedniego stolika i przedstawił się Mme Denis. Jego żona pochyliła się do przodu i szybko wyjaśniła sprawę Brice'a.

– No cóż, widziałem tego chłopca wczoraj wieczorem – powiedział Bill Hobbs po angielsku.

– Gdzie? – zapytali jednogłośnie.

– Po kolacji byłem tutaj, na tarasie. Shirley poszła do łóżka, a ja... piłem małą wieczorną whisky – wyjaśnił. – Było późno... około jedenastej. Miał na sobie szorty i szedł za hotel, oddalając się od portu.

– Bill – wykrzyknęła Shirley. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– No przecież mówię teraz, prawda? Poza tym chłopak nie miał niczego ze sobą, pomyślałem więc, że się czymś zdenerwował i poszedł na spacer, by wypuścić trochę pary.

– Pary? – zapytała Marine.

– *Vapeur* – wyjaśnił Verlaque.

– Nasz Jason tak robił – przypomniał żonie Bill.

– Masz rację – odparła Shirley, odwracając się do Mme Denis. – Nasz starszy syn, Jason, łatwo wpadał w złość i kiedy był na nas wściekły, szedł na spacer do portu. Więc jak pani widzi, nie ma się co martwić.



# 11

## O gospodyni

– Jeśli jeszcze raz zaczniesz pożerać mnie wzrokiem... – szepnęła Niki Darcette do Cat-Cat Le Bon, kiedy sprawdzały rezerwacje na sierpień. Przyłożyła rękę do szyi i wykonała gest pilowania.

– Powiedziałam Maxowi o zachowaniu Alaina Denisa wobec kobiet – odparła Cat-Cat, zdejmując okulary. Obróciła się w stronę Niki. – Pamiętam to z komentarzy prasowych dawno temu. A po tym, co się stało dziś rano przy śniadaniu, wszyscy musimy być ostrożni w obecności Denisa. Ale musisz zrozumieć, że on jest...

– Grubą rybą. Albo był.

Cat-Cat skinęła głową.

– Rzeczywiście, był – szepnęła. – Niemniej jednak poprosiłam Serge'a, żeby uważał na ciebie, kiedy w pobliżu jest Alain Denis, a wy oboje musicie uważać na Marie-Thérèse. Jest taka młoda.

Niki zasznurowała usta, przypominając sobie siebie w młodym wieku, kiedy tkwiła w Néoules.

– Dobrze, masz rację. Ja radzę sobie z takimi facetami, nie martw się, będę profesjonalistką. Ale Marie-Thérèse jest taka niewinna.

Mme Le Bon uśmiechnęła się.

– Prawda? To takie urocze. – Pomyślała o swoich rozpieszczonych siostrzenicach i siostrzeńcach w Paryżu, żądających od swoich rodziców takich czy innych produktów Apple'a, odpowiednich butów, toreb i okularów przeciwsłonecznych.

– Wolałabym, aby to Hugo się teraz nami opiekował – powiedziała Niki. – Serge nie jest zbyt...

Cat-Cat podniosła rękę.

– Na razie żadnych dyskusji o Hugo – ucięła. – Wszyscy go uwielbiamy, ale musieliśmy go zwolnić.

– On jej bronił.

– Wiem, wiem – zgodziła się Cat-Cat. – Ale musimy pokazać naszym gościom i personelowi, że nie będziemy akceptować przemocy.

„Chyba że przemocy dopuszcza się gwiazdor filmowy” – pomyślała Niki. A głośno zapytała:

– Kiedy Hugo wyjeżdża?

– Za kilka dni – odparła Cat-Cat. – Powiedzieliśmy mu, by trzymał się z daleka od gości i pozostawał w swojej chacie. Wciąż go tu potrzebujemy,

póki nie pojawi się zmiennik. Ale Max jest wściekły, teraz Hugo wyprawił się gdzieś swoją łodzią.

– Naprawdę? – Niki udała zaskoczenie. Wiedziała, że Hugo, kiedy miał problem, wyruszał w morze. I zgadywała, że był teraz z Mille Grassi, artystką. To jej nie przeszkadzało, Hugo nie pociągał jej w najmniejszym stopniu.

Obie kobiety, pogrążone w swoich myślach, skierowały wzrok na ekran komputera. Niki martwiła się o Marie-Thérèse, zastanawiała ją, dlaczego tak młoda dziewczyna zadowalała się pracą na wyspie. Obiecała sobie, że po południu, w trakcie przerwy, poruszy z Marie-Thérèse poważniejsze tematy niż zwykle podczas pogaduszek. Cat-Cat Le Bon patrzyła na ekran, wdzięczna, że powolny modem sprowadzał na wyspę Internet. Myślała też, jak prawie codziennie od jakiegoś czasu, że żałuje, iż nie ma dzieci. Gdyby je miała, kiedy się pobierali z Maxem, byłyby teraz w wieku Marie-Thérèse.

Maxime i Catherine Le Bonowie wiedzieli wystarczająco dużo o hotelach, zanim otworzyli własny, by zdawać sobie sprawę, że jednym z ich najważniejszych zajęć na Sordou będzie pranie. Właśnie tym zajmowała się w tej chwili główna gospodyni, Yolaine Poux. Była wdzięczna, że jej szefostwo pomyślało o tym, by pralnia była duża, dzięki czemu wygodnie się w niej pracowało. Umieszczone po dwóch stronach okna pozwalały zrobić przeciąg. Chcąc uniknąć kosztów związanych z elektrycznymi suszarkami, Le Bonowie, w trosce o swój budżet, zabudowali istniejący dziedziniec wysokim murem, tak aby gospodyni mogła powiesić do wyschnięcia pościel, ręczniki i obrusy poza zasięgiem wzroku gości. Słońce i wiatr na wyspie suszyły pranie, czasem w mniej niż godzinę, i potem potrzebowało ono tylko krótkiego prasowania. Mme Poux, nucać, prasowała czyste białe poszewki na poduszki i rozpylała na nie wodę lawendową.

Była to wręcz luksusowa przestrzeń do pracy, każda jej część równie luksusowa, jak sam hotel, i okazała się dla Mme Poux najlepszym miejscem spośród tych, w których do tej pory pracowała. Terakotowe posadzki i kamienne ściany przypominały jej odpicowane i przebudowane domy, jakie kupowali paryżanie i obcokrajowcy w Luberonie i w okolicach Saint-Rémy. W pomieszczeniu, w którym teraz przebywała, stały długie i szerokie drewniane stoły, na których mogła sortować i składać bieliznę, a w rogu był fotel, przydatny, kiedy potrzebowała odpoczynku. Pralnia mieściła się na zapleczu hotelu, więc nie było stąd widać morza, ale Mme Poux, siedząc w fotelu, na którym codziennie o szesnastej wypijała przygotowaną przez Serge'a kawę, mogła wpatrywać się w rozpościerające się ku centrum Sordou *garrigue*. Uwielbiała ten widok, przez lata pracowała w pralni Hôpital Nord w Marsylii, gdzie małe, wysoko osadzone okna wychodziły na parking.

W pomieszczeniu pojawiła się Marie-Thérèse z lnianą torbą. Wyrzuciła jej zawartość na podłogę przed przemysłowymi pralkami, które Mme Poux traktowała tak, jak niektórzy młodzi mężczyźni traktują swoje samochody – myła je co drugi dzień, wycierała okrągłe okienka i polerowała pokręta ze stali nierdzewnej i obramowania okienek. Teraz odłożyła żelazko i podeszła do Marie-Thérèse, wpatrując się w pralki.

– Na pewno używa wielu ręczników kuchennych – skomentowała Mme Poux. Podniosła je z podłogi i włożyła do pustej pralki. – Ale jest dobrym kucharzem, więc nie mam mu tego za złe.

– Uhm...

– Odjęło ci mowę?

– Chodzi o tego chłopca, tego smutnego...

Mme Poux zgadywała:

– Nie było go na lunchu, tak? Wróci na kolację, możesz być pewna.

– Sędzia... Ups... Nie powinnam wiedzieć, kim jest. Sędzia i jego dziewczyna wyszli go szukać – powiedziała Marie-Thérèse i schyliła się, by pomóc Yolaine załadować pralkę. Lubiała pomagać Mme Poux, która według niej miała ze sto lat.

– Naprawdę?

– Tak. Udawali, że idą na spacer, ale wiem, że próbują pomóc Mme Denis. Bardzo się martwi.

– *Ça, alors* – odparła Mme Poux. Delikatnie wlała do pralki mydło i włączyła maszynę. – Ta kobieta nie wygląda na taką, której zależałoby na synu, ale widziałam ją tylko raz, na korytarzu. – Gospodyni, nosząca tradycyjne fartuchy i wygodne buty na płaskim obcasie, pozostawała obojętna na urok szpilek i lamparcich cętek.

Marie-Thérèse wzruszyła ramionami.

– Zależy jej. Wczoraj po lunchu płakała i krzyczała na męża. Nawet nie mieszkają razem w pokoju. Ona śpi w pokoju Brice'a, na dodatkowym łóżku, zauważyła pani? Powiedziała...

Mme Poux podniosła rękę.

– Nie chcę tego słyszeć. Ty też nie powinnaś zwracać na nich uwagi.

– Nic nie mogłam na to poradzić...

– Ale i tak nie chcę wiedzieć o problemach innych ludzi, szczególnie bogaczy. Pracowałam w szpitalu, gdzie leżeli chorzy i umierający, ale każdego dnia dziękowałam losowi, że nie byłam pielęgniarką ani lekarzem, którzy musieli zmagać się z tym bałaganem.

Marie-Thérèse nie odpowiedziała, że wolałaby ten bałagan – pomaganie ludziom w wyzdrowieniu – niż to, co Mme Poux z pewnością znajdowała codziennie na pościeli: krew, mocz, kał, wymiociny i kto wie, co jeszcze. Wiedziała, że inni pracownicy nie przepadali za Mme Poux, nie dlatego, by ich źle traktowała, ale po prostu była zamknięta w sobie. Miała też bzika na punkcie swojej pralni. Ale przecież Émile z równym fanatyzmem dbał

o swoją kuchnię, codziennie wdrapywał się na kuchenki i czyścił okap. Serge bez przerwy wycierał bar i przyglądał się, czy nie ma plamek na kieliszkach. Dlaczego więc naśmiewali się z Mme Poux? To z powodu jej nazwiska zachowywali się tak głupio i niedojrzale – *poux* oznacza wesz.

– Czy mam przynieść pani kawę? – zapytała Marie-Thérèse.

Mme Poux wyjęła zegarek z kieszeni fartucha.

– Jest za kwadrans czwarta. Byłoby mi bardzo miło.

– Nie ma problemu. Potem będę miała swoją przerwę.

– Tak, należy ci się – powiedziała Mme Poux. – Zrób sobie długą przerwę, musisz odpocząć, bo pracujesz dzisiaj przy kolacji. – Kobieta wydała z siebie syczący dźwięk. – Naprawdę potrzebują więcej personelu.

– W pierwszym roku muszą uważać na wydatki – odparła Marie-Thérèse.

– O, jesteś ekspertką, co?

Marie-Thérèse przyłożyła palec wskazujący do oka i trzy razy go dotknęła.

– Patrzę i słucham.

– *Ah oui!* Trochę za dużo słuchasz, panienko – roześmiała się Mme Poux wbrew swojej woli.

Dziewczyna odwróciła się z szerokim uśmiechem na twarzy. Cieszyła się, że wywołała radość u Yolaine. Weźmie dla niej kawę i zobaczy, czy Émile’owi zostały jakieś ciasteczka, które mogłaby położyć na tacy. To tylko trochę dodatkowego wysiłku, a jeśli dzięki temu ludzie mogli poczuć się dobrze, czy to współpracownicy, czy goście, tym lepiej dla niej.

Mme Poux skończyła prasować ostatnią tego dnia poszwę na poduszkę, starannie ją złożyła i umieściła w wiklinowym koszu. Przeszła przez pokój, usiadła w swoim fotelu i spojrzała na jasnoniebieskie niebo. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła zegarek, obróciła go i potarła jego gładki spód, wyczuwając palcami inskrypcję: *Yolaine, ma chérie*. Dokładnie pamiętała dzień, w którym Rémy dał jej ten zegarek. Oszczędzał całymi miesiącami i kupił go u Levy’ego przy rue Paradis. Nadal miała aksamitne pudełko. Kiedy Rémy umarł, w wieku czterdziestu dwóch lat, był taki dzień jak dzisiaj.

– O, pani sama – odezwał się głos od strony drzwi. – Myślałam, że jest tu Marie-Thérèse.

– Była – odparła Mme Poux. Nie przepadała za Niki Darcette, było w niej coś *malhonnête*. Yolaine Poux nie lubiła, gdy Mlle Darcette tanecznym krokiem poruszała się po hotelu w krótkich spódniczkach i ciasnych bluzeczkach, uważając, że cieszy się tą samą pozycją społeczną co Le Bonowie albo – co jeszcze bardziej szalone – co goście hotelu. Jeśli Niki chciała porozmawiać z Marie-Thérèse, mogła po prostu iść i jej poszukać.

– O, tak mi przykro, że pani przeszkadzam – rzekła Niki z uśmiechem,

nie ukrywając ironii.

Mme Poux nie odpowiedziała. Odwróciła głowę do okna na znak, że rozmowa się skończyła.

– *Oh mon dieu* – mruknęła Niki, odchodząc. – Czy ja kiedykolwiek zrobiłam coś pani Wszy?

Yolaine Poux włożyła zegarek z powrotem do kieszeni fartucha i zaczęła nucić *Elle* Charles'a Aznavoura. To była ulubiona piosenka Rémy'ego. Spojrzała przez okno, ale szybko odchyliła się do tyłu – nie chciała wyglądać tak, jakby szpiegowała gości. Bo niedaleko od okna stał Alain Denis, trzymając w dłoni małą białą kartkę papieru. Mme Poux odniosła wrażenie, że mężczyzna się śmieje.

## 12

### Piraci

– W czasach neolitu ludzie przybywali na te wyspy w poszukiwaniu skorupiaków – powiedział Hugo Sammut, kiedy zarzucił kotwicę *Calypso*.

Sylvie wpatrywała się w jego płaski opalony brzuch. Miała nadzieję, że przez olbrzymie okulary nie zauważy jej spojrzenia.

– Ach tak? – zapytała, po czym podeszła do Sammuta i ujęła go pod muskularne ramię.

Mężczyzna zanurzył swoją bejsbolówkę w morzu, nabrał trochę wody i pochlapał Sylvie. Wyciągnął rękę i roztarł wodę na jej brzuchu, potem na rękach i ramionach. Kobieta przysunęła twarz do jego twarzy, a on ją pocałował, powoli i uważnie.

– Opowiedz mi więcej – szepnęła, opierając się o jego pierś.

– Na środku wyspy są ruiny dwunastowiecznej wieży obserwacyjnej – powiedział Sammut, gładząc Sylvie po włosach.

– Czego wpatrywali?

– Barbarzyńców – syknął. Połaskotał ją. – Barbarzyńskich piratów z północnej Afryki. Atakowali statki na Morzu Śródziemnym i brali jeńców – białych Europejczyków – a potem sprzedawali ich na rynku niewolników. Sylvie usiadła.

– To zbrodnicze.

Hugo skinął głową.

– Przez wieki wzięli ponad milion jeńców, dopóki nie powstrzymała ich francuska inwazja w Algierii w dziewiętnastym wieku. W każdym razie z tutejszej wieży obserwacyjnej wysyłano sygnały ostrzegawcze do Marsylii, gdzie na wzgórzach za miastem istniała podobna wieża.

– Tyle że to jeszcze nie było miasto – wtrąciła Sylvie.

– Oczywiście, że nie, głuptasie – powiedział Sammut. Znów ją pocałował i przyciągnął do siebie, obrysowując palcem jej piersi. – Kiedy byłem dzieckiem, czytałem angielską książkę przetłumaczoną na francuski, zatytułowaną *Lubieżny Turczyn i inni okrutnicy*. Znalazłem ją w miejscowej bibliotece, kiedy miałem dwanaście czy trzynaście lat, i czytałem ją w domu pod kocem.

– Pod kocem, tak? – zapytała Sylvie, głaszcząc go po klatce piersiowej. – O czym ona opowiadała, jeśli mogę zapytać?

– O piratach – rzekł Sammut. – O statku, który żegluje z Anglii do... Indii, o ile pamiętam... i zostaje zaatakowany na Morzu Śródziemnym

przez barbarzyńskich piratów. Jest na pokładzie młoda Angielka, oczywiście dziewczica...

– Oczywiście...

– Zostaje zatrzymana i przewieziona do haremu w Maroku albo do podobnego miejsca. W każdym razie od swojego bogatego pana, Alego, dowiaduje się dużo o seksie.

– I coraz bardziej lubi te... fizyczne zbliżenia?

– Uhm – mruknął Sammut – nawet popada w obsesję na ich punkcie.

Sylvie zamknęła oczy i pozwoliła, by Hugo badał językiem jej usta, potem szyję i piersi. Wszystkimi zmysłami chłonęła otoczenie – delikatnie kołyszącą się łódź, dźwięki wody liżącej burty, pieśń ptaka i przenikliwy odgłos *cigales*, słyszalny nawet z miejsca, gdzie zakotwiczyli, kilkadziesiąt metrów od brzegu.

– Popływajmy trochę – odezwał się nagle Sammut, poprawiając skromny stanik od bikini Sylvie.

– Oczywiście – odparła kobieta. Wolałaby dalej całować właściciela łodzi, ale robiło się gorąco.

Hugo skoczył z łodzi do wody i Sylvie patrzyła, jak pływa, jego silne ramiona z gracją cięły szmaragdowo-błękitną wodę. Zeszła w dół po aluminiowej drabince i rzuciła się tyłem w morze z rozłożonymi rękami i nogami, jakby była rozgwiazdą. Unosiła się na wodzie przez minutę, zerkając na jasne niebo, aż podpłynął do niej Sammut i wsunął dłoń w dolną część jej bikini. Obróciła się w jego stronę, a on, bez wyraźnego wysiłku pływając w miejscu, wziął ją w ramiona, lewą ręką głaskał jej ciało. Całowali się namiętnie, a ich twarze pokrywała słona woda. Hugo Sammut niecierpliwie wsuwał w nią teraz palce, aż zaczęła drżeć, a po chwili skuliła się w jego ramionach.

– O, jak szybko – powiedział mężczyzna, uśmiechając się. Znow ją pocałował i pochlapał wodą jej głowę.

– Uhm, minęło już trochę czasu... – odparła. Teraz i ona pływała w miejscu obok niego.

– Jeżeli popłyniemy do brzegu, to pokażę ci sekretne miejsce, gdzie moglibyśmy...

– Zrobić to jak trzeba? – zapytała Sylvie, obejmując go ramionami i całując w usta. – Prowadź.

Oboje dobrze pływali i szybko dotarli do skał. Kiedy weszli na kamienistą plażę, Sammut wyciągnął rękę w stronę Sylvie. Spojrzała na swoje boscie stopy i powiedziała:

– Mam nadzieję, że to niedaleko.

Mężczyzna wskazał grupę dużych skał na lewo od nich. Ciągnęły się aż do morza. Zaczęli się na nie wspinać, skacząc z jednej na drugą, aż dotarli do jego ulubionej płaskiej skały, zasłoniętej przez inną, większą i bardziej stromą.

– Jest bardzo gładka – stwierdziła Sylvie, kiedy się położyła.

Hugo zsunął z siebie kąpielówki i umieścił je pod pośladkami Sylvie. Następnie szybko zdjął dół od jej bikini, a ona zrzuciła mokry stanik.

– Powiedz mi więcej o tej książce – szepnęła, ujmując dłonią jego wzwiedziony członek.

– Ta Angielka ma przyjaciółkę, która jej szuka i przy pływa innym statkiem – rzekł Sammut, liżąc piersi kobiety. – Jej statek także zostaje napadnięty przez piratów i zgadnij, gdzie ona kończy...

– W haremie Alego?

– Zgadza się, i staje się nienasycona w swoim apetycie na...

– Uciechy cielesne – dokończyła Sylvie, obejmując go w dole pleców. – Och, proszę, dostarcz mi jakichś uciech cielesnych.

\*

– Słyszałeś to? – zapytała Marine.

– Słyszę tylko te cholerne *cigales* – odparł Verlaque. – Sądziłem, że prawie ich tu nie będzie, biorąc pod uwagę niewielką ilość drzew.

Marine przejechała dłonią po bladioróżowych kwiatach na niskich krzewach podobnych do wierzby.

– Są sosny rosnące na skałach i jest tamaryszek i to najwyraźniej wystarcza *cigales* – powiedziała.

– Tak się nazywa to drzewo? – zainteresował się Verlaque. – Czasem widać je przy autostradach.

– Tak, to twarde rośliny – rzekła Marine. – Uwielbiają słońce i są odporne na silny wiatr, więc kochają też wybrzeże. Moi rodzice mają jedno takie w ogródku.

– Chciałabyś mieć tamaryszek w swoim idealnym ogrodzie?

Marine uśmiechnęła się.

– Chyba tak. To pierwsze drzewo, które kwitnie wiosną.

Verlaque usiadł na skale.

– Gorąco mi i jestem zmęczony. A ty jak się czujesz?

– Tak samo – odpowiedziała Marine, siadając obok niego. – Powinniśmy wracać lub wskoczyć do morza. Przy tej bryzie nie czuje się za bardzo słońca, ale trzeba uważać. Czy masz pod szortami kąpielówki?

– Tak – odrzekł Verlaque i odchylił pasek szortów, by pokazać górę niebiesko-zielonych spodenek.

– Hermès?

– Oczywiście – potwierdził.

– Nigdy nie myślałam, że pokocham mężczyznę, który nosi kąpielówki od Hermèsa.

– Mama mi je kupiła – wyjaśnił Verlaque, prostując się. – A Séb dostał takie same, ale pomarańczowo-żółte.

– O mój Boże, takie same prezenty dla czterdziestoletnich synów.



– Podoba mi się, że ta wyspa jest tak mała, że nie można się zgubić – odezwał się Verlaque, wstając. – Myślę, że prawie z każdego miejsca tutaj widać latarnię.

– Nie uważasz więc, że Brice jest gdzieś tutaj, zagubiony? – zapytała Marine.

– Nie, sądzę, że zdążył już wrócić do hotelu i narzeka na brak połączenia z Internetem.

– Szkoda, że go nie spotkaliśmy.

– Chodźmy – powiedział Verlaque, biorąc Marine za rękę. – Wspaniale będzie teraz się przepłynąć, nie mamy tego w Aix.

Szli w górę niewielkiego wzniesienia, pokrytego skałami, które gdzieniegdzie przetykane były jasnożółtymi miniaturowymi stokrotkami. Fruwały wokół nich małe gadatliwe ptaszki, wylatujące i wlatujące między niskie krzewy i inne rośliny *garrigue*.

– Popatrz, w tej małej zatoce zakotwiczone jest *Calypso* – zauważyła Marine.

– Ups – zawołał Antoine z głośnym śmiechem. – Wygląda na to, że Sylvie i Hugo badali florę i faunę tej wyspy.

Sylvie pomachała do przyjaciół, szybko poprawiając cienkie ramiączka stroju kąpielowego. Hugo wyglądał, jakby tańczył gigę, kiedy skacząc na jednej nodze, wkładał kąpielówki.

– Ahoj, przyjaciele – krzyknął Verlaque.

– Och, Antoine – odezwała się Marine ze śmiechem.

– Zabierzmy się z nimi z powrotem.

– Świetny pomysł – stwierdziła Marine. – Hugo nie wygląda na specjalnie zmartwionego tym, że stracił pracę.

– To prawda – przytaknął Verlaque. – Ale może i tak chciał odejść. Ludzie w hotelarstwie ciągle zmieniają pracę.

Szybko szli w dół skalistego wzgórze, uważając, by się nie pośliznąć, w stronę zatoczki i płaskich skał. Po drodze napotykali różne kwiaty, tym razem liliowe, wyrastające ze szczelin małymi pęczkami. Marine pochyliła się, by lepiej im się przyjrzeć, gdy wtem zobaczyła kawałek granatowego materiału zaczepionego o krzew dzikiego rozmarynu. Wyprostowała się i podeszła bliżej.

– Co to? – zawołał Verlaque.

Podniosła znalezisko do góry i trzymała w rękach, obracając.

– *Mon dieu* – szepnął Verlaque.

– Czapka Brice'a z New York Yankees – powiedziała Marine, szybko rozglądając się wokół. – Brice! – krzyknęła. – Brice!

Verlaque zauważył:

– Może jest ranny i nie jest w stanie mówić.

Pomachał do Sylvie i Hugo i dał im sygnał, by poczekali. On i Marine przeszukiwali krzaki i skały, próbując znaleźć więcej śladów.

– Nic – stwierdziła Marine, kiedy znowu stanęła obok niego.

Do czasu, gdy zeszli na płaskie skały wystające z morza, Sylvie i Hugo byli już stosownie ubrani.

– Dzięki, że poczekaliście. Możemy zabrać się z wami? – zapytał Verlaque.

– Nie ma problemu – odparł Sammut. – Możemy dopłynąć do łodzi albo przyprowadzę ją blisko skał. Możecie iść tą ścieżką, która biegnie wzdłuż klifu, i zeskoczyć z tej niskiej białej skały.

– Popłyniemy – zdecydowała Marine.

– Dobrze, zatem ruszajmy. Morze się burzy – odparł Hugo.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sylvie, spoglądając na spokojną wodę.

– Tak – potwierdził. – Uwierz mi.

– Znaleźliśmy to – odezwała się Marine, podając Hugo czapkę.

– Brice – rzekli jednocześnie Hugo i Sylvie.

Sylvie osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała na klif, szukając śladów czyjejś obecności. Kiedy oddawała się rozkoszom z Hugo, miała zabawne wrażenie, że są obserwowani.

– Pewnie do tej pory wrócił już do hotelu – stwierdził Verlaque, wkładając czapkę Brice'a na głowę.

– Ładnie – oceniła Sylvie.

– Nie chcę, żeby się zamoczyła – wyjaśnił Antoine.

Marine spojrzała na swojego chłopaka w kąpielówkach w deseń tropikalnych roślin, a teraz także w czapce bejsbolowej New York Yankees, która wydawała się przymała na jego dużą głowę i gęste włosy. Sylvie i Hugo roześmiali się, ale Marine niezależnie od wyglądu Antoine'a nie mogła z tego żartować. Z niewiadomej przyczyny miała ściśnięty żołądek. Kiedy zaczęła płynąć, starała się nie myśleć o tym, jakie stworzenia poruszały się cicho poniżej jej ciała. Pierwsza podpłynęła do łodzi, lęk sprawił, że płynęła najszybciej. Weszła na pokład po chwiejnej drabince i usiadła na rozgrzanej plastikowej ławce, tyłem do Sordou. Choć wyspa była piękna, jej porośnięte krzewami dzikie tereny i postrzępione klify mogły wyglądać złowieszczo. Rosło tu niewiele dających cień drzew i łatwo było upaść podczas wędrówki wzdłuż wapiennych klifów. Dlaczego Brice wyszedł? Ona nigdy nie zapuściłaby się tutaj sama, nie mogła nawet wyobrazić sobie, że Antoine przebywa tutaj samotnie późno w nocy. Ale młodzi ludzie są nieustraszeni, dowiodły tego całe wieki wojen i miliony osiemnastolatków śpiewających przed bitwami bojowe pieśni. Nie wierzyli, że może stać im się krzywda.

## 13

# O barmanie

Serge Canzano uwielbiał Krwawą Mary. Według niego ten drink nadawał się na każdą okazję. Świetny na kaca, ale równie dobry jako aperitif w prawdziwym znaczeniu tego słowa, czyli jako napój, który wzmacnia apetyt. Codziennie wyciskał świeży sok pomidorowy. Jeżeli hotelowi goście nie zamawiali Krwawej Mary, on sam wypijał sok pod koniec zmiany.

Znał historię tego drinka na pamięć, jak zresztą większości trunków, i chętnie dzielił się tymi informacjami z każdym, kto chciał go słuchać. Jeśli chodzi o pierwszą grupę na Sordou, już zauważył, kto będzie zainteresowany: sędzia i nauczyciel, obaj z Aix. Prawdopodobnie także dziewczyna sędziego, którą drink może ciekawić z czysto historycznego punktu widzenia.

Podczas jednej ze swoich zbyt krótkich przerw i tych rzadkich na wyspie chwil, gdy dało się korzystać z połączenia internetowego, wygooglował Marine Bonnet – profesor historii prawa na prestiżowym uniwersytecie w Aix, absolwentkę wydziału prawa w Paryżu, drugą na roku, zaraz po Renaudzie de Montille. Serge nie musiał sprawdzać w Internecie, że Montille pełnił teraz funkcję ministra spraw wewnętrznych. Marine Bonnet była autorką i współautorką prac naukowych. Prześlizgnął się po tytułach, zagubiony w żargonie, którego nie rozumiał. Ale to brzmiało dobrze: „Wszystko, co się świeci. Prawa dotyczące luksusu w siedemnastowiecznej Francji”, „Poza Paryżem: francuskie prawo na średniowiecznej prowincji” i „Nowe spojrzenie na *Emblematum Liber Andrei Alciato*”. Uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że część tych rozpieszczonych pracowników budżetówki musiała pracować w wakacje. Ponieważ francuskie *patrimoine* zawsze było dla niego ważne. Czasem myślał w ten sposób o zawodzie barmana: chronienie i nauczanie *la patrimoine de la France* – dziedzictwa kulturowego jego ukochanego kraju.

Canzano popatrzył na swoje stanowisko pracy za marmurowym blatem, gdzie marzył o Mille Bonnet, i zobaczył, że Alain Denis zajmuje swoje zwyczajowe miejsce, w stylowym wiklinowym fotelu w najdalszym kącie pomieszczenia. Serge wyjął kieliszek do szampana, przygotowując się do podania aktorowi jego typowego przedkolacyjnego drinka – kieliszka szampana o zawyżonej cenie. Hej, jeżeli Le Bonowie potrafili robić na tym pieniądze, to brawa dla nich. Denis spojrzał w kierunku Serge'a, jakby

chciał powiedzieć: „Wezmę to, co zwykle”, a Canzano skinął głową na znak: „Zaraz podchodzę”.

Ku jego wielkiej radości wszedł emerytowany nauczyciel i zajął miejsce za barem, dokładnie naprzeciwko Canzano.

– Dobry wieczór, Serge – odezwał się Eric Monnier. – Spokojnie tu popołudniami.

Canzano obserwował sześćdziesięciokilkuletniego nauczyciela z lekką nadwagą, jak stara się wygodnie usiąść na wąskim barowym stołku.

– Co mam podać, M. Monnier? – zapytał.

– Pozostawiam to tobie – odparł nauczyciel, wyjmując z kieszeni paczkę cygar Montecristo limitowanej edycji. Obracał w ręku jedno z nich. – Co sugerujesz w ten piękny, ciepły i wietrzny dzień na Sordou?

– Krwawą Mary – zaproponował Canzano. – Sok pomidorowy jest świeży, wyciśnięty z naszych pomidorów. Chyba że ma pan ochotę na rum do cygara.

– Nie, Bloody Mary brzmi dobrze. Nie piłem tego od lat. Powinno się lubić drink nazwany po angielskiej królowej, pomimo że rządziła przez pięć lat i była tak naprawdę mniej krwawa niż jej siostra, Elizabeth.

– Już podchodzę – odparł Canzano z uśmiechem. Nalał kieliszek schłodzonego szampana i podał Alainowi Denisowi, który nie pofatygował się nawet, by spojrzeć do góry czy powiedzieć dziękuję.

Canzano odwrócił się do baru i wyjął swoją ulubioną francuską whisky oraz shaker, po czym zaczął przygotowywać drinka.

– Mam nadzieję, że dodasz tabasco – rzekł Monnier.

– Oczywiście – odparł Canzano, dostrzegłszy okazję do popisania się swoją wiedzą. – Tabasco stało się ważnym składnikiem Bloody Mary w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim w Ameryce.

Monnier pochylił się do przodu.

– Tak? Czy ten drink pochodzi z lat pięćdziesiątych?

Canzano uśmiechnął się i wyjął z lodówki seler naciowy, zachwycony, że ma zainteresowanego ucznia.

– Nie, pochodzi z roku tysiąc dziewięćset siedemnastego.

– Naprawdę? Stworzono go w środku pierwszej wojny światowej?

– Tak. W hotelu w Indianie zabrakło soku pomarańczowego na śniadanie. Szef kuchni, Francuz, jeśli dobrze pamiętam, zastąpił pomarańczę świeżo wyciśniętymi pomidorami z cukrem i specjalnym sosem, który upichcił.

– Więc kim był geniusz, który dodał do tego wódkę?

– Aktorem, to był George Jessel. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym. Dodał też cytrynę i sos Worcestershire. Przygotował ten drink na Florydzie dla grupy przyjaciół, a on z miejsca stał się hitem.

– Nie dziwię się.

– Myślę, że chrzan i sól selerowa pojawiły się później i były tak samo

ważnym składnikiem jak sok z limonki. – Canzano skończył przygotowywać drink i potrząsnął shakerem.

– Och, co za cudowny dźwięk – rozmarzył się Monnier.

Barman dorzucił do jasnopomarańczowego drinka ostatnie dodatki – odrobinę selera i limonki – i uważnie podsunął go Monnierowi.

– Nie jestem pewien, czy pasuje do cygara.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Monnier. – Cygaro mogę zapalić później.

Canzano zaczął myć shaker i deskę do krojenia. Jako barman należał do starej szkoły – nie rozmawiał z klientami, chyba że oni tego chcieli. Nigdy też nie ujawniał niczego o sobie, nawet jeśli z drugiej strony baru płynęły bardzo intymne szczegóły. Pracował w tym zawodzie ponad trzydzieści lat w różnych barach wokół starego portu w Marsylii, od obskurnych dziur w murze, ledwie mieszczących dziesięć osób, do eleganckiego wieżowca hotelu Sofitel, z restauracją na dachu mogącą się poszczycić najlepszymi widokami na miasto i morze. To właśnie tam Canzano zdał sobie sprawę, że Marsylia najlepiej wygląda z góry przy szczelnie zamkniętych oknach z podwójnego szkła.

Przez lata pracy widział jedną strzelaninę (związaną z narkotykami), jeden cios nożem (także mający związek z narkotykami) i około tuzina walk wręcz – pomiędzy parami, pomiędzy najlepszymi przyjaciółmi, pomiędzy kibicami przeciwnych drużyn piłki nożnej. Słuchał klientów i ich historii o nieudanych małżeństwach, romansach, pracy, dzieciach, rodzicach, ich opinii na najpopularniejsze tematy – polityczne. Wyjawiali przy tym, jak bardzo kochają Marsylię albo jak jej nienawidzą. Przeżył dobre chwile i to głównie one trzymały go w tym zawodzie. Za barem był kompetentny i samodzielny. Nie miał wiszącego nad głową szefa. Zaprzyjaźnił się też z niektórymi klientami i współpracownikami. Nie wszyscy byli nieszczęśliwi. Pomagał w świętowaniu awansów, rocznic, pierwszych randek, wygranych meczów futbolowych, towarzyszył klientom w radosne piątkowe wieczory. Nalewał piwo, anyżówkę, martini (to na ogół obcokrajowcom lub wykształconym francuskim obywatelom), tanie różowe wino, które szefowie kupowali hurtowo, otwierał też butelki czerwonych win z Bordeaux i Burgundii, których cena przekraczała jego miesięczną pensję.

Ale im wyżej Canzano awansował, tym bardziej oddalał się od klientów. W swojej ostatniej pracy w Sofitelu jego obowiązki polegały na zarządzaniu barem i asystowaniu sommelierowi, dzieciakowi świeżo po szkole winiarskiej, który ledwie umiał posługiwać się korkociągiem. Canzanowi brakowało dawnych pogawędek w barze i przyglądających mu się ludzi. Kiedyś, gdy prowadził bar w malutkim lokalu przy Cours Julien, przez kolejnych sześć lat przychodził tam mężczyzna w drodze powrotnej z pracy do domu. Był dobrze ubrany, miał wypastowane buty, dobrze wyprasowane

spodnie i drogą kurtkę. Każdego wieczoru zamawiał anyżówkę i codziennie, tuż przed ostatnim łykiem, pytał, ile płaci. I Canzano odpowiadał niezmiennie: – *Deux euros vingt, monsieur*. Serge nigdy się nie dowiedział, jak nazywa się ten mężczyzna, który pił swoją anyżówkę szybko i nie rozmawiał ani z Serge'em, ani z innymi klientami. Kiedy Serge dostał pracę w ładniejszym barze przy tej samej ulicy, myślał o tym mężczyźnie. Czy nadal przychodził tam codziennie? Czy nadal pytał, ile płaci, choć wiedział, że dwa euro dwadzieścia? Canzano podziwiał tego człowieka – zarówno za jego umiejętność trzymania się rutyny, jak i za jego uprzejmość. „Ile płacę?” Co wieczór. Czy ten człowiek miał w domu żonę i rodzinę? Serge zyskiwał tylko wgląd w życie innych ludzi, ale nic więcej. A to mu nie wystarczało. Kiedy miał siedemnaście lat, zostawił na północy rodzinę i nigdy do niej nie wrócił.

Spojrzał na nauczyciela, który powoli sączył drinka i pisał coś w czarnym notesie. Zauważył, że to nie była proza, ale strofy. Musiał ćwiczyć się w poezji teraz, kiedy – jak Serge usłyszał – przeszedł na emeryturę. Canzano zgadywał, że nauczyciel nigdy nie był żonaty, być może w młodszym wieku przeżył odrzucenie. Canzano mógł pochwalić się umiejętnością odgadywania ludzkich historii, chyba że wcześniej ci ludzie sami zdradzali mu je po trzeciej anyżówce.

Aktor prawie skończył swojego szampana i zaraz miał skinąć w kierunku Canzano, żeby nalał mu kolejnego. Po trzech dniach obserwowania i podsłuchiwania gwiazdora Canzano wiedział, że wszystko, co pisały o nim plotkarskie gazety, było prawdą. Kiedyś był pięknym młodym mężczyzną i to wyjaśniało siedemdziesiąt procent jego kontraktów filmowych, ról może nie genialnych, lecz dobrych. Jednak jego skrajny egocentryzm i przykre usposobienie nie tylko bezpowrotnie zniszczyły jego karierę, ale także każdy związek, jaki kiedykolwiek zbudował. Niepotrzebny był psychiatra ani spostrzegawczy barman, by zauważyć, że małżeństwo aktora skazane było na porażkę i że jego żona cierpiała.

Denis spojrzał w kierunku baru i trzy razy zastukał w swój pusty kieliszek po szampanie. Canzano napełnił kolejny kieliszek schłodzonym ruinartem, umieścił trochę oliwek w małej miseczce i zaniósł i jedno, i drugie do stolika Denisa. Wziął przy tym pusty kieliszek gościa. Naburmuszony aktor wymamrotał *merci*, a nauczyciel obrócił się i szeroko uśmiechnął.

Canzano cieszył się, że nie jest bardzo zajęty. Marie-Thérèse miała teraz wolny czas przed kolacją i liczył na to, że dziewczyna siedzi gdzieś z nogami w górze. Bolało go, gdy patrzył na tak młodą osobę pracującą bardzo ciężko w usługach hotelarskich. Chociaż on zaczynał nawet wcześniej. Już podczas ich pierwszego spotkania dostrzegł, że żadna z kobiet na Sordou nie stanowiłaby dla niego dobrej partii – Marie-Thérèse była za młoda, Niki Darcette zbyt wiele osiągnęła i cechowała ją

nadmierna pewność siebie, choć podejrzewał, że pochodziła z jeszcze skromniejszego środowiska niż on. Mme Le Bon była mężatką – jak sądził, szczęśliwą – a Mme Poux była w zaawansowanym wieku. Ale Canzano nie przybył na Sordou, by szukać szczęścia u kobiet, tym zajmował się Hugo Sammut, prawdopodobnie nawet w tej chwili spędzający czas z popijającą mojito artystką. Jeżeli chodzi o wygląd, Canzano stanowił całkowite przeciwieństwo opalonego muskularnego Sammuta – był wysoki i zbyt chudy, jego blond włosy przerzedzały się, miał długi wąski nos i zakręcone do góry wąsy, które starannie przycinał.

Przyjechał na Sordou, bo czuł się zmęczony Marsylią. Na wyspie zaoferowano mu taką samą pensję, jaką miał wcześniej w hotelu Sofitel, ale z pokojem i wyżywieniem. Na lądzie musiałby do końca życia płacić czynsz za zatechłą kawalerkę. Dlaczego nie mieszkać za darmo? I dlaczego trzymać się drugiego pod względem wielkości miasta we Francji, jeżeli nie ma takiej potrzeby? Nie chadzał do opery, teatru ani do kina. Chociaż uwielbiał dobre jedzenie, nigdy nie mógł sobie pozwolić na wyjście do porządnej restauracji. Na Sordou jadał bardzo dobrze, lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Nie od razu nabrał przekonania do szefa kuchni, Émile'a, wydał mu się zbyt młody i raziły go długie włosy Émile'a zebrane w koński ogon. Myślał, że Villey powinien surfować gdzieś w pobliżu Biarritz, a nie zajmować się gotowaniem. Ale na szczęście jego przewidywania okazały się mylne.

Z miejskiego życia będzie Canzanowi brakowało jedynie muzeów i bibliotek, ale być może uda mu się to nadrobić w czasie wolnym. Do miasta nie było znowu tak daleko. Brudna i hałaśliwa Marsylia – poruszanie się po niej graniczyło z niemożliwością, chyba że dysponowało się motocyklem. Przed piętnastoma laty Serge złamał nogę w wypadku motocyklowym i przysiągł sobie, że już nigdy nie wsiądzie na ten pojazd. Kiedy więc usłyszał dwóch kolegów w Sofitelu rozmawiających o nowym hotelu, który miał zostać otwarty na Sordou, wykorzystał swoje uzyskane w ciągu trzydziestu lat pracy koneksje, by dowiedzieć się, kim są właściciele. Podczas rozmowy w sprawie pracy przygotował każdemu z Le Bonów Krwawą Mary.

Nauczyciel zamknął swój notes i Canzano spojrział na niego, odkładając ręcznik kuchenny.

– Czy życzy pan sobie kolejnego drinka? – zapytał.

Monnier zerknął na zegarek.

– Niedługo kolacja. Chyba poczekam – odparł.

– *D'accord, monsieur* – powiedział barman, wziął pustą szklanekę nauczyciela i włożył ją do zmywarki. Ukrył zdziwienie, sądził bowiem, że Monnier wypija przed kolacją dwa drinki – wczoraj były nawet trzy.

– Ten dzieciak jeszcze nie wrócił. – Monnier obrócił się do tyłu i wyjrzał przez okna Baru Jacky'ego, jakby szukał Brice'a.

– Pojawi się na kolację – stwierdził Canzano.

Monnier wpatrywał się w Alaina Denisa, który kłął nad swoim iPhone’em z powodu braku zasięgu. Nauczyciel zwrócił się głośno do Canzana:

– Sordou to doskonałe miejsce, by czytać. Książkę.

Barman uśmiechnął się, wycierając kieliszek i sprawdzając, czy nie zostały na nim jeszcze jakieś plamy.

– Mme Le Bon pracuje nad otwarciem małej biblioteki. Będziemy trzymali książki tutaj, w Barze Jacky’ego. Kupuje specjalne wydania, książki związane z Morzem Śródziemnym. Wie pan, *L’Étranger* Camusa. Lektury będą miłym dodatkiem do mojego baru. Myślę, że umieszczę je tutaj. – Canzano ruchem głowy wskazał na palisandrowy kredens.

Twarz Monniera rozjaśniła się. Podobało mu się, że barman mówił o swoim barze, bardzo cenił ludzi, którzy czerpali dumę ze swojej pracy, niezależnie od zawodu. Wrażenie zrobiło na nim również to, że barman znał takie książki – zatem nie wszystko we francuskim systemie edukacyjnym zostało zaprzepaszczone, przynajmniej w ich pokoleniu.

– Może jednak poproszę o jeszcze jednego – rzekł.



## Oda do ryby *rouguet* i ryby św. Piotra

Ryba św. Piotra – o dużym, owalnym i płaskim ciele, z kolczastą płetwą grzbietową – była najbrzydszą rybą, jaką Émile Villey kiedykolwiek widział. Nie wiedział, dlaczego Anglosasi nazywają ją John Dory. Pan Dory, kimkolwiek był, nie miał nic wspólnego ze Świętym Piotrem. Ryba zdobywała pożywienie na dnie morza, jej wielkie oczy pozwalały na widzenie stereoskopowe, cechowało ją także duże wyczucie głębokości. Kiedy dzisiejszego ranka rybacy pokazali się z całą masą ryb św. Piotra, Villey był w siódmym niebie, ponieważ pomimo nieatrakcyjnego wyglądu stworzenia te należały do jego ulubionych zarówno do gotowania, jak i jedzenia.

Szef kuchni szepnął do ryby:

– Aleś ty brzydka.

– Z kim rozmawiasz? – zapytała Marie-Thérèse, która właśnie weszła do kuchni. Villey odsunął się na bok, by pokojówka mogła zobaczyć ułożone na blacie kuchennym ryby Świętego Piotra.

– *Oh mon dieu!* – wykrzyknęła.

– Nie martw się, smakują dużo lepiej, niż wyglądają – uspokoił ją Villey.

– Są okropne! – stwierdziła dziewczyna. Pochyliła się, by przyjrzeć im się lepiej. – Ale podoba mi się ten błyszczący złoty kolor. I mają znamię. – Wskazała na okrągłą ciemną plamę wielkości dwudziestopięciocentówki po jednej i po drugiej stronie każdej ryby.

– To oko zła – wyjaśnił szef kuchni. – Inne ryby podpływają do tego, myśląc, że patrzą rybie Świętego Piotra prosto w oczy, a tymczasem ona obraca się, otwiera swój wielki pysk i haps!

Marie-Thérèse patrzyła z odrazą.

– Hej – odezwał się Villey, kładąc dłoń na jej szczupłym ramieniu. – Nie martw się, nie ugryzie cię. A poza tym niektórzy twierdzą, że to znamię to odbicie lewego kciuka Świętego Piotra.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Ta historia bardziej mi się podoba. – Wyprostowała plecy i położyła ręce na biodrach. – Czy spisałeś już dzisiejsze menu?

– Tak, kilka godzin temu dałem je Niki do przepisania.

Marie-Thérèse oparła się o blat kuchenny i westchnęła.

– Co jest? – zapytał Villey. Podniósł z blatu nóż i zaczął go ostrzyć. – Zmęczona?

– Nie, to tylko ten aktor...

– Alain Denis? Nie przejmuj się nim. To patentowany idiota.

– Jest taki podły.

– Wiem. Narzekał na hotel, od kiedy tylko przyjechał. Niki mi powiedziała. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą, prawda? A w sobotni wieczór nie smakowała mu baranina i skarżył się Maxowi.

– No nie! – wykrzyknęła Marie-Thérèse. – To był jeden z najlepszych posiłków, jakie w życiu jadłam.

Émile Villey roześmiał się i żartobliwie poklepał dziewczynę po głowie.

– A teraz zmywaj się i pozwól mi przygotować ryby, chyba że chcesz pomóc w czyszczeniu i patroszeniu.

– Okej, okej, już idę!

\*

– Za Ralpa Laurena – rzekła Sylvie.

Marine patrzyła na swoje odbicie w wysokim lustrze i obracała się to w prawo, to w lewo.

– Lubię biel latem – powiedziała.

– Przynajmniej postaraj się ożywić te białe spodnie jakimś kolorem. – Sylvie otworzyła szafę i wyjęła wiązaną na szyi bluzkę bez pleców w psychodelicznych kolorach z lat sześćdziesiątych: błękitach, zieleniach i bieli. – Ta. Pasuje do tego hotelu – stwierdziła, trzymając bluzkę w górze. – O, mój Boże, czy to prawdziwy Emilio Pucci?

– Obawiam się, że tak – odparła Marine. Zdjęła z siebie białą lnianą bluzkę i rzuciła ją na łóżko. Spojrzała na taras, gdzie Antoine Verlaque czytał, paląc cygaro.

– Prezent? – zapytała Sylvie, wskazując na niego.

– Tak, Antoine kupił mi tę bluzkę, kiedy ostatni raz był w Paryżu.

– Fajny chłopak. Czy możesz zdjąć ramiączka od stanika?

– Tak, jeśli mi pomożesz – odparła Marine, odwracając się tak, by przyjaciółka mogła odpiąć ramiączka.

– Ty chyba nawet nie potrzebujesz stanika.

Marine roześmiała się.

– To znaczy, że jestem płaska?

– Nie, oczywiście, że nie!

– Jestem trochę zbyt pruderyjna, by nie nosić biustonosza – powiedziała Marine. – Nie tak jak ty...

– Ała... – rzekła Sylvie, podając Marine top od Pucciego. – Pijesz do dzisiejszego popołudnia?

– Nie. – Marine wsunęła cienki top przez głowę i popatrzyła na przyjaciółkę. – Tak. Być może.

Sylvie spojrzała w dół na starannie odrestaurowaną terakotową posadzkę.

– Przepraszam – rzuciła szybko Marine. – Chodzi mi o to... że nic o nim nie wiesz.

– Zapomniałaś, jak to jest być singielką? – zapytała Sylvie. – Czy zawsze na randce pytałaś chłopaka o historię jego życia, zanim szliście do łóżka?

– Wygląda na to, że wy dwie prowadzicie interesującą rozmowę – zawołał z tarasu Antoine Verlaque.

Marine właśnie miała przesłać swojemu partnerowi buziaka i zamknąć drzwi prowadzące na taras, gdy rozległ się strzał.

– Ten samotnik raczej nie posłuchał Maxa – skomentował Verlaque, przewracając stronę gazety „Economist”. – Znowu w menu będzie królik.

Marine roześmiała się i zamknęła drzwi, patrząc przez szybę na mężczyznę, z którym spotykała się od trzech lat, i próbowała przypomnieć sobie, co o nim wiedziała w pierwszych tygodniach znajomości. Dotarli do niej wieści o jego błyskotliwej karierze we francuskim systemie sądowym. Ich źródłem był przede wszystkim zaprzyjaźniony prawnik Jean-Marc Sauvat, który pracował z Verlakiem w Palais de Justice. Kiedy po raz pierwszy odwiedziła Antoine’a w jego mieszkaniu, domyśliła się, że pochodzi z bogatej rodziny – sędziowie śledczy byli urzędnikami i nie mogli sobie pozwolić na szesnastowieczne malowidła z Wenecji. Kochali się w jego mieszkaniu po trzeciej oficjalnej randce, na długo zanim Marine poznała ukochaną babcię Antoine’a, Emmeline, czy jego brata, Sébastiena, pracującego w branży nieruchomości. Jego rodziców nie poznała do tej pory. Czy popołudnie Sylvie tak bardzo różniło się od jej doświadczeń? Jednak tak, choć Marine nie mogła uchwycić różnicy... Czy to lódz i morze? Fakt, że Sylvie i Hugo przebywali z dala od hotelu? Prawdopodobnie krył się za tym tylko jej własny lęk przed morzem i ogólne złe samopoczucie na wyspie.

– Masz rację – powiedziała w końcu do Sylvie. – Nie jestem pewna, ile wiedziałam o Antoinie, zanim zaczęliśmy ze sobą sypiać. Nie za wiele.

– Dziękuję – rzekła Sylvie, lekko schylając głowę. – A teraz się odwróć, żebym mogła zawiązać troczki na tej twojej niemożliwie zgrabnej szyi, a potem zejdziemy do Baru Jacky’ego na kilka drinków przed kolacją.

Marine spojrzała na zegarek.

Sylvie stwierdziła:

– Jest osiemnasta. To rozsądna pora, żeby się napić.

\*

Kiedy Marine, Antoine i Sylvie zeszli o dwudziestej na kolację, Emmanuelle Denis czekała przy drzwiach tarasu, chodząc tam i z powrotem.

– Nie ma Brice’a? – zapytał Verlaque, podchodząc do Mme Denis i delikatnie ujmując ją za rękę.

– Nie – odrzekła. Zaczęła płakać i oparła głowę na ramieniu Verlaque’a.

– Zaraz zrobi się ciemno – powiedziała, ale do nikogo konkretnie. – Dziękuję, że szukaliście Brice’a dziś po południu – mówiła dalej. – Max Le Bon mi powiedział. I dał mi czapkę Brice’a.

– Szukaliśmy go wokół miejsca, gdzie znaleźliśmy czapkę – wyjaśnił Verlaque. – Ale nie mieliśmy za dużo czasu – Hugo Sammut musiał już zabierać łódź z powrotem.

– Wysłałem tam Hugo jeszcze raz – odezwał się Max Le Bon, wchodząc do sali. – Pływa teraz wokół wyspy z nadzieją, że zobaczy chłopaka blisko brzegu. – Max spojrział na Sylvie i dodał: – Hugo już dzisiaj wypływał łodzią, ale nie widział Brice’a.

– Dziękuję, M. Le Bon – powiedziała Emmanuelle Denis.

– Jeśli nie wróci dziś wieczorem, zadzwonię do kolegów z Marsylii i zażądam przeszukania wyspy – zdecydował Verlaque. Pomyślał, że powinien był zrobić to wcześniej tego dnia, ale był pewien, że chłopak wróci na kolację, z podwiniętym ogonem.

Mme Denis uśmiechnęła się słabo i położyła dłoń na brzuchu.

– Czy będzie pani w stanie coś zjeść? Może trochę owoców? – zwróciła się do niej Marine.

– Dziękuję, spróbuję. Mój mąż je w swoim pokoju – przynajmniej tak sądzę – zostawił mi plaketkę, by nie przeszkadzać. Jest... bardzo zestresowany... tym wszystkim.

Sylvie powstrzymała się przed wzniesieniem oczu ku górze i podała Mme Denis ramię, a Marine i Antoine poszli za nimi.

Jak tylko Mme Denis weszła do sali, Eric Monnier podniósł się z krzesła, podobnie zrobili Hobbsonowie. Wydawało się, że tylko Viale’owie nie zwracali uwagi na zaginięcie chłopca. Verlaque miał wrażenie, że właśnie się kłócili.

Pojawiła się Marie-Thérèse z dzisiejszym menu i pozostawiła po jednej karcie każdemu z gości.

– Dobry wieczór, Marie-Thérèse! – zawołał Verlaque.

– *Bonsoir, monsieur le juge* – odparła młoda kobieta z uśmiechem. Jednak za chwilę przyłożyła dłoń do ust. Zapomniała, że sędzia był na wakacjach.

– Jest pan sędzią? – zapytała Verlaque’a Mme Denis, kładąc mu dłoń na przedramieniu.

– Sędzią śledczym.

– Gdzie?

– W Aix-en-Provence.

– Och, nie w Paryżu... – westchnęła Mme Denis, nie kryjąc rozczarowania.

Verlaque nie chciał kontynuować rozmowy, był na wakacjach i nie miał ochoty udzielać Mme Denis porad na temat rozwodu, a do tego, jak zgadywał, zmierzałyby ich konwersacja.

Menu

Poniedziałek, ósmy lipca

*Na początek: świeżo złowione miejscowe rouget (dziękujemy, panie Hobbs), przygotowane na zimno w stylu ceviche, z mango, cebulą, limonką, imbirem i kolendrową salsą.*

*Następnie: ryba Świętego Piotra na parze (także świeżo złowiona i dostarczona na Sordou dzisiaj rano), z koprem włoskim, czarnymi oliwkami, oliwą i kawałkami pomarańczy*

*lub*

*Lapinà Liguria: królik w stylu włoskim, pieczony z białym winem i zielonymi oliwkami*

*Deser:*

*Lody lawendowe przyrządzone przez naszego szefa kuchni*

*lub*

*Brzoskwinie z kremem chantilly*

– Wspaniałe dzisiaj menu – skomentował Verlaque, obracając kartkę w dłoniach. – Chociaż trochę lekkie. Czy myślicie, że będą ziemniaki?

Marine wpatrywała się w menu i próbowała się nie roześmiać. Wiedziała, że Antoine starał się poprawić atmosferę, wiedziała też, że może on jeść ziemniaki na każdy posiłek w ciągu dnia.

– Na co się pani zdecyduje? – zapytała Marine, pochylając się w stronę Mme Denis.

– Tylko pierwsze danie, *rougets* – odparła zapytana, odkładając menu i splatając ręce.

Przy stoliku pojawiła się Marie-Thérèse, by przyjąć zamówienie, a Verlaque obrócił się na krzesło w stronę Hobbsów.

– Panie Hobbs – powiedział po angielsku. – Dziękujemy za dzisiejsze *rougets*.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Hobbs z szerokim uśmiechem.

– Kiedyś mieliśmy więcej *rougets* w Morzu Śródziemnym – dodał Eric Monnier z sąsiedniego stolika. – Ale z powodu globalnego ocieplenia i nadmiernych odłowów jest ich teraz więcej w Morzu Północnym.

Verlaque przetłumaczył to Hobbsowi, a ten podniósł ręce w geście bezsilności, jego prawa ręka drżała. Shirley Hobbs szybko i elegancko przesunęła kieliszek męża z krawędzi stołu.

Marine patrzyła na Mme Denis, która na szczęście wydawała się pochłonięta rozmową prowadzoną pomiędzy trzema stolikami. Młoda kobieta nie mogła się zdecydować, czy uważa ją za piękną, czy też za potwora, który przeszedł zbyt wiele operacji plastycznych. Patrząc z zewnątrz, Mme Denis miała wszystko: pieniądze, sławnego męża, sześćdziesiąt pięć centymetrów w talii, wykształcenie i wdzięk. Ale w jej oczach Marine widziała smutek, znoszony z taką gracją. Chociaż uśmiechała się, słuchając mężczyzn, którzy rozmawiali o rybach, oczy

zachodziły jej łzami i wciąż bawiła się swoją wysadzaną brylantami obrączką.

Sylvie kopnęła Marine pod stołem, kiedy zobaczyły, że Hugo Sammut przechodzi przez taras i wchodzi do hotelu sam. Marine przeprosiła i weszła do hallu, gdzie Le Bonowie rozmawiali ze sternikiem.

– Ani śladu po nim, Hugo? – zapytała Marine.

– *Nada* – odparł.

– To niedobrze – stwierdził Max Le Bon i zaczął chodzić po hallu. – Naprawdę niedobrze.

– Syn sławnego aktora umiera na Sordou – powiedziała Cat-Cat, krzyżując ręce na piersiach i wyglądając przez okno.

– Hej, proszę chwilę poczekać – rzekł Sammut. – Nie wyciągać pochopnych wniosków. Gdzieś koczuje. Na Sordou nic nie może mu się stać. Nie ma tu dzikich zwierząt i jest ciepło, więc nie zamarznie.

– Hugo ma rację – przytaknęła Marine.

Sternik mówił dalej:

– Z tego, co wiemy, próbuje się zbliżyć do starego Prospera...

– Hugo, skoro już tu nie pracujesz, możesz zachować swoje teorie dla siebie – powiedział Max Le Bon.

– Max, Hugo naprawdę szukał chłopca – odezwała się Cat-Cat. – Hugo, rozmawiałeś z Prosperem? – zapytała.

Hugo pokiwał głową.

– Pukałem do jego drzwi i do drzwi latarni, ale nie było odpowiedzi. Pewnie wyszedł, szukając czegoś na obiad.

Marine przenosiła wzrok z Hugo na Le Bonów.

– Przepraszam – rzekła. – Czy mówicie o tym samotniku? Polującym na króliki? – Nagle pomyślała o wieczornym menu.

– Jedyne stały mieszkanie Sordou – wyjaśnił Max Le Bon. – Obsługiwał latarnię morską, podobnie jak jego przodkowie, aż w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym władze Marsylii zautomatyzowały latarnię.

Cat-Cat podjęła temat:

– Prosperowi pozwolono zostać na wyspie, z małą pensją od władz regionu, pod warunkiem, że utrzyma okna latarni w czystości i co tydzień sprawdzi żarówki. To przecież bardzo ważna latarnia.

– Wszyscy ją widzieliśmy z łodzi, zbliżając się do Sordou – powiedziała Marine. – Ten Prosper mógł widzieć Brice'a, prawda? Czy nie powinniśmy iść i z nim porozmawiać?

Hugo Sammut spojrział na swoich byłych szefów i przygryzł wargę.

– No cóż – zaczął Max Le Bon. – On jest specyficzny...

W tym momencie usłyszeli ruch w sali jadalnej. W drzwiach pojawił się Eric Monnier z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Sądzę, że wszyscy jesteście potrzebni w sali restauracyjnej – powiedział, patrząc na Le Bonów. – Chyba mamy... gościa.

Le Bonowie spojrzeli na siebie nawzajem i szybko skierowali się do sali. Monnier wykonał szeroki teatralny gest, jakby zapraszał ich do środka. Zaśmiał się otwarcie, kiedy Marine zapytała:

– Kto to, na litość boską? – Była niezadowolona, że ich rozmowa o zagubionym chłopcu została przerwana.

– Myślę, że to następne wcielenie Vincenta van Gogha – powiedział Monnier, patrząc na salę. – Tak, to ten szalony Holender... Tylko zamiast słoneczników niesie martwego królika.

## 15

# Samotnik

Marine wpatrywała się w Prospera Buffę. Rzeczywiście przypominał Vincenta van Gogha, tak naprawdę starszą wersję artysty, który zmarł w młodym wieku. Włosy Buffy, niegdyś jasnorude, podobnie jak cienka broda, teraz przetykana siwizną, wyglądały, jakby nie były czesane ani myte od tygodni. Mężczyzna był niezwykle chudy, spodnie podtrzymywał tylko stary skórzany pasek, który, co dziwne, nosił on na obszarpanej koszuli, a nie przewleczony przez szlufki spodni. Same spodnie, kiedyś zapewne granatowe, były brudne, obcięte i postrzępione tuż nad kostką, co nadawało Buffie wygląd rozbitka ocalałego z katastrofy morskiej. Ale najdziwniejszy element garderoby znajdował się na stopach mężczyzny. Były to skórzane pantofle z zaostrzonymi czubkami, modne w latach osiemdziesiątych. Buffa najwyraźniej nie znajdował zastosowania dla skóry osłaniającej kostki, więc nadeptywał na nią za każdym razem, kiedy wkładał buty, i tym sposobem przekształcił je w obuwie wsuwane, takie jak kapcie.

Marine próbowała odgadnąć wiek mężczyzny, ale jedyne, co umiała powiedzieć, to że miał więcej niż pięćdziesiąt pięć, a mniej niż siedemdziesiąt lat. Tak naprawdę Prosper Buffa liczył sobie siedemdziesiąt cztery lata. Był jedynakiem, urodził się na Sordou, jego edukacją zajmowała się w domu matka, była nauczycielka. Jego ojciec, Honoré, odziedziczył posesję w latarni morskiej po ojcu Pierze i wykonywał swoją pracę dobrze i z dumą, dopóki Mme Buffa nie zmarła na gripę, kiedy Prosper miał dziesięć lat.

I od tej pory w życiu Honoré Buffy działo się coraz gorzej. Chociaż dostawy żywności na Sordou zawsze nastęrczały trudności, dostawy wódki nigdy się nie kończyły. Na przełomie wieków w okolicach wyspy wywrócił się podczas burzy rosyjski statek. Pierre'owi Buffie, ojcu Honoré, udało się uratować siedmiu marynarzy, reszta, łącznie z kapitanem, zginęła. Ale ładunek statku – głównie wódka – wypłynął na brzeg po drugiej stronie wyspy, a Pierre Buffa znalazł skrzynki i ukrył je poza zasięgiem wzroku swojej żony, która nie tykała alkoholu. Od czasu do czasu, w święta lub pod koniec długiego ciężkiego sezonu, dziadek Prospera wyjmował butelkę z kryjówki i przynosił ją do latarni, gdzie ją chował, nalawszy sobie uprzednio trochę wódki do szklanki. Kiedy się nią delektował, Ginette widziała przezroczysty płyn w szklance męża i uśmiech na jego twarzy.



Dokładnie wiedziała wtedy, co to jest i skąd pochodzi. Po latach ojciec Prospera odkrył sekret swojego ojca – skrzynki zakopane przy sadzie, który z tak wielką miłością pielęgnowała jego żona, zanim zachorowała. Zapasy się nie kończyły i Honoré, w przeciwieństwie do swojego ojca, uzależnił się od przezroczystego płynu, topiąc w nim wszystkie smutki. Dwunastoletni Prosper wypełniał tyle obowiązków w latarni, ile tylko mógł, a całkowicie przejął je po śmierci ojca w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. A kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym rząd zautomatyzował latarnię, Prosper również zaczął pić.

– *Mesdames et Messieurs* – powiedział Prosper Buffa, kłaniając się. – *Bon appétit*. – Był dzisiaj zadowolony z siebie – nie mamrotał, ponieważ dzisiaj, w ten niezwykle i zaskakujący dzień, nie pił wódki. Ale wieczorem wypije, zasłużył na to.

– M. Buffa – odezwał się Max Le Bon, szybko podchodząc do mężczyzny. – Proszę pozwolić, że zaprowadzę pana do mojego biura...

– Nie tak szybko, gogusiu!

Sylvie i Antoine roześmiali się głośno, podobnie jak Eric Monnier, który przyciągnął swoje krzesło do ich stołu.

– Mam tutaj kolejnego królika dla szefa kuchni... tego chłopca, którego zatrudniliście do gotowania... – Buffa roześmiał się z własnego dowcipu i spojrzał na gości, mając nadzieję na więcej zachęcającego śmiechu. Trzymał martwego królika za uszy, żeby wszyscy zobaczyli. – Proszę mu powiedzieć, że Prosper upoluje tyle królików, ile on potrzebuje.

Delphine gwałtownie wciągnęła powietrze i przyłożyła do ust serwetkę.

– Powiem, oczywiście, że powiem – wykrzyknął Max Le Bon, zaciskając zęby. – Proszę ze mną, M. Buffa, barman należy panu anyżówki.

– Lepiej niech będzie podwójna – szepnął Monnier do innych osób przy stoliku. – Vincent wygląda na trunkowego. A jeśli o tym mowa, potrzebujemy kolejnej butelki wina.

– Tak, tak – odparł Verlaque, dając znak Marie-Thérèse, która stała w odległym kącie sali, z otwartymi szeroko oczyma, zafascynowana rozgrywającą się sceną. Zauważyła, że sędzia wskazuje na wino, i pobiegła do baru, by powiedzieć Serge'owi, że potrzebna jest kolejna butelka Vermentino.

– Proszę ze mną, M. Buffa – powtórzył Maxime Le Bon. – I nie ma pan strzelać późnym popołudniem – wyszeptał w ucho przybyłego.

– Kto strzelał? – zapytał Buffa. – Na pewno nie ja.

– Proszę tutaj – powiedział jeszcze raz Le Bon.

– Nie tak szybko, drogi panie hotelarzu – odezwał się Buffa, chodząc po sali, zadowolony, że znalazł się w centrum uwagi. Zatrzymał się przy stoliku Hobbsów i wziął z niego butelkę białego wina. Wpatrzył się w nalepkę. Shirley i Bill spojrzeli po sobie, znieruchomiali.

– Dobry wybór – rzekł Buffa. – Och, tyle w życiu wypilem burgundów... Mam takie wspomnienia z Montparnasse...

Monnier klepnął się w kolano i głośno roześmiał.

– Nigdy w życiu nie był w Paryżu – wykrzyknął. – Założę się, że nie – dodał.

Buffa delikatnie odstawił butelkę i mrugnął do pani Hobbs, zanim ruszył dalej w obchód. Zwolnił przy stoliku Clémenta i Delphine Viale. Spojrzał uważnie na Mme Viale, która nadal trzymała serwetkę przy twarzy, i machnąwszy ręką, powiedział:

– Na pewno jesteście z Paryża. Tego wieczoru szukam kogoś innego. Ale jeśli droga pani poczuje się samotna, moja latarnia jest tuż obok...

– M. Buffa – wykrzyknął Max Le Bon. – Dostyc tego!

– Powiedziałem panu – rzekł Buffa, przesuując ręką po włosach, a jego oczy nagle nabrały dzikiego wyrazu. – Szukam kogoś.

Poszedł dalej i zatrzymał się przed Mme Denis. Uśmiechając się, położył swoją powykrećaną piegowatą prawą rękę na sercu i ukląkł na jedno kolano.

– Moja droga i wspaniała pani – powiedział, ujmując jej dłoń i całując ją.

Emmanuelle Denis zamknęła oczy, starając się zablokować swoje przewody nosowe.

– Jest pani Mme Denis, prawda? – zapytał Buffa.

– Tak, skąd pan wiedział? – Spoglądała na niego zdziwiona.

– Ponieważ ktoś, kogo pani zna, bardzo pochlebnie się o pani wyraża – odparł Buffa. – A to więcej niż mogę powiedzieć o pani głupkowskim mężu. On go nie znosi. I mając dobre powody, czy mogę dodać...

Oczy Mme Denis rozszerzyły się, gwałtownie wstała, rzucając Buffę na kolana.

– Gdzie jest mój syn?

Jeżeli nawet Buffa poczuł się zaskoczony nagłą siłą kobiety, nie pokazał tego po sobie, za to inni goście gapili się z otwartymi ustami. Antoine Verlaque odłożył serwetkę i wstał.

– Nie potrzebujemy pokazu siły, drogi panie – powiedział Buffa, unosząc rękę w stronę Verlaque'a. – Dobrze! – zakrzyknął w stronę drzwi wiodących na taras. – Teraz możesz się pokazać!

Powoli wszedł Brice Dortignac. Wyglądał na zmęczonego i nawet chudsze, jeśli to możliwe po jednej nocy i jednym dniu. Mme Denis przebiegła przez salę restauracyjną i przytuliła go, cicho płacząc.

– Moje dziecko, moje dziecko...

– *Je suis desolé, maman* – powiedział Brice.

– A teraz poproszę o anyżówkę! – wykrzyknął Buffa do Maxa Le Bona. – Dostarczenie królika i nastolatka wykonane. Następnie: drinki.

Obrócił się, wpatrując się w stół Marine i Antoine'a. Kiedy zobaczył Sylvie, zatrzymał się.

– Widziałem panią dzisiaj na skałach – rzekł, poruszając brwiami w górę i w dół.

\*

Antoine Verlaque odchylił się do tyłu, opierając głowę na poduszce krzesła z kutego metalu. Napawał się smakiem cygara Sir Winston. Na twarzy czuł powiew letniego powietrza, dużo chłodniejszego na wyspie niż na jego tarasie w centrum Aix. Słyszał swoich przyjaciół: Marine, Sylvie i Clémenta (Mme Viale poszła się położyć, twierdząc, że boli ją głowa), omawiających z pozoru proste dania Émile’a Vileya talerz po talerzu. Za każdym razem, kiedy odzywała się Marine, Verlaque nastawiał uszu – nawet po trzech latach uwielbiał słuchać jej głosu.

W trakcie deseru Bill Hobbs siedział obok Brice’a, a Verlaque patrzył, jak rozmawiają. Od czasu do czasu Hobbs dotykał chudego ramienia chłopca, ale Brice nie odsuwał się tak, jak robiliby to inni nastolatki. Zamiast tego pochylał głowę, uważnie słuchał i patrzył na Amerykanina z uśmiechem. Matka Brice’a powiedziała im, że ojciec chłopaka mieszka w Nowym Jorku i że oni też tam mieszkali, kiedy Brice chodził do szkoły podstawowej.

Niektórzy mężczyźni bardzo dobrze się czuli w towarzystwie dzieci i było to widoczne od razu, zwłaszcza dla dziecka. Bill Hobbs miał ten dar, szczerze interesował się młodymi osobami. Ojciec Verlaque’a tego nie potrafił, za to jego dziadek tak. Bruno Paulik, komisarz Verlaque’a z Aix, chociaż z wyglądu przypominał zatwardziałego średniowiecznego wojownika, w towarzystwie dzieci zamieniał się w miłutkiego kotka. Verlaque widział Paulika w pracy z nieszczęśliwymi dziećmi oraz w kontaktach z jego dziesięcioletnią córką Léą. Kilka godzin przed przybyciem na Sordou Verlaque otrzymał od Paulika esemesa o treści: „Proszę cieszyć się zasłużonymi wakacjami. I pomyśleć o mnie, siedzącym w Aix, gdy rosną temperatury i liczba turystów. Winogrona będą dojrzewać, gdy pan wróci, Hélène dokonała cudów, by utrzymać je przy życiu, a Léa mówi, że wyglądają jak małe zielone perły. *Bonnes vacances*. Bruno”. Antoine Verlaque nie skasował esemesa, jak to zwykle robił, ale przeczytał go jeszcze raz przed zejściem na kolację. Jako dziedzic mącznej fortuny posiadał więcej pieniędzy, niż mógł spożytkować, postanowił więc kupić winnicę i popadający w ruinę dom. Oddał je Paulikowi oraz jego żonie Hélène, wschodzącej gwiazdzie francuskiej branży winiarskiej, która, nie posiadając rodzinnej fortuny, skazana była na wytwarzanie cudzych win. Verlaque zbadał sprawę i wiedział, że być może nie zarobi na winnicy, ale za to powstaną w niej autorskie wina Hélène i dlatego chciał podjąć to ryzyko. Pieniądze nie powinny zalegać w paryskim banku, tym bardziej że było ich tam dużo więcej.

Pomyślał o Brunonie, o swoim ojcu, dziadku i o mężczyznach takich jak

Alain Denis. Gdzie znajdował się Antoine Verlaque w tym zbiorze mężczyzn? Miał niewiele doświadczenia z dziećmi, czasem wzbudzały w nim większy strach niż zatwardziali kryminaliści. Ale może to nie był lęk, tylko troska wynikająca z braku doświadczenia? Dlaczego nie uczyć się od innych? Mógł zacząć traktować dzieci, niezależnie od tego, czyje były, tak jak traktowali je Charles i Emmeline, dziadkowie ze strony ojca – z uwagą, wyczuciem i życzliwością. Spojrzał na Marine, a ona wpatrywała się w niego z uśmiechem. Mrugnął do niej, a jego serce stopniało.

Serge Canzano wszedł na taras z butelką szampana w ręce.

– Szampan na koszt firmy – powiedział, strzelając korkiem. – Aby uciąć powrót chłopca. – Obrócił butelkę i delikatnie odstawił ją do srebrnego wiaderka, po czym szybko odszedł, nie mogąc się doczekać, kiedy wysprząta bar i położy się do łóżka z trzecim tomem biografii Napoleona.

– Ten szampan jest także wyrazem nadziei, że gdy wyjedziemy z Sordou, będziemy trzymali usta na kłódkę – powiedział Verlaque. Pochylił się, sięgnął po butelkę szampana i nalał, zaczynając od kieliszków Marine i Sylvie. Popatrzył na Clémenta Viale, przypominając sobie, że jego dawny kolega zainwestował w hotel na Sordou. – Przepraszam, przyjacielu. To źle zabrzmiało – rozbawił mnie ten szalony mieszkaniec wyspy.

– Mnie też – powiedział Viale trochę nieprzekonująco.

– Czy kiedykolwiek widzieliście, żeby dzieciak jadł tak dużo?

– Co się z nim stanie? – zastanawiała się Marine. – Jego ojczym się nie zmieni. Tylko czekać, kiedy młody znowu ucieknie.

– Gdzie jest M. Dortignac, ojciec Brice'a? – zapytała Sylvie.

– Emmanuelle powiedziała, że mieszka w Nowym Jorku – odparła Marine. – Jest handlowcem.

– Och, to dlatego dzieciak tak dobrze mówi po angielsku – skomentował Clément.

Verlaque wyobraził sobie ojca Brice'a krzyczącego coś do telefonu w wieżowcu na Wall Street. Co sprawiło, że kobieta taka jak Emmanuelle Denis, najwyraźniej inteligentna i silna – co udowodniła tego wieczoru w konfrontacji z Prosperem Buffą – wybrała mężczyznę takiego jak Denis?

– Bill Hobbs zaproponował, że zabierze Brice'a na ryby – mówiła dalej Marine. – Słyszałam, jak rozmawiają podczas deseru.

– Jak miło – odezwała się Sylvie. – Może Brice powinien udzielić Hobbsom porad modowych. Zatem czy Brice powiedział Buffie o nas wszystko? Takie odniosłam wrażenie. – Sylvie na krótką chwilę zamknęła oczy. Nie dbała o to, że stary Prosper widział, jak kochała się z Hugo, ale wzdrygnęła się na myśl o tym, że nastolatek także mógł na to patrzeć. Miała nadzieję, że tak nie było.

– Ja też – odparł Verlaque, zaciągając się cygarem i patrząc w niebo. – I nic dziwnego. Wszyscy jesteśmy osobliwi.

– Mów za siebie, *Dough Boy* – rzekł Clément. Cała grupa roześmiała się.

– Czy to twoje pierwsze spotkanie z Prosperem Buffą? – Verlaque zwrócił się do Clémenta Viale.

– Tak – odpowiedział Viale, sącząc szampana. – Wiedziałem, że na wyspie jest dawny latarnik, ale nigdy go nie widziałem. I co to za imię! Prosper! Coś takiego!

– Och, nie wiem – odezwała się Marine. – Nie chcę, by to zabrzmiało banalnie, ale może M. Buffa dobrze prosperuje w sensie pozafinansowym.

– Masz rację, Marine – skomentowała Sylvie. – To brzmi banalnie.

Wszyscy znów się roześmiali.

– Wyobraźcie sobie – powiedział Verlaque – że dokładnie tak wyglądał Vincent van Gogh. I że nikt z nim nie rozmawiał... albo tylko nieliczni. Biedak. Myślę o tym za każdym razem, kiedy jadę do Arles... Spodziewam się, że zobaczę, jak wyłania się zza rogu, mrucząc coś do siebie.

– I pomyśleć, że sprzedał tylko jeden obraz, swojemu bratu, Theo – dodała Sylvie. Spojrzała na swój kieliszek szampana i zamyśliła się nad własną udaną karierą fotograficzki. Dzięki reprezentującym ją galeriom w Berlinie i Londynie zarobiła wystarczająco pieniędzy, by kupić mieszkanie w Aix i zabezpieczyć przyszłość swojej córki, Charlotte.

– Z pewnością nie masz na myśli tego, że powinniśmy się zaprzyjaźnić z samotnikiem z wyspy? – zapytał Clément, śmiejąc się nerwowo.

– Brice najwyraźniej to zrobił – zauważyła Marine. Podniosła butelkę i napełniła wszystkim kieliszki. – Za samotników i ekscentryków na całym świecie – powiedziała, podnosząc kieliszek.

## 16

# Mistrz pływacki

Czyste poranne niebo przeciął krzyk mewy, budząc Verlaque'a i Bonnet dziesięć po dziewiątej. Verlaque jęknął.

– *Oiseau de merde*. Po co w ogóle są mewy? – westchnął i odwrócił się na drugi bok.

– Antoine, jest już po dziewiątej! – zawołała Marine, patrząc na zegarek. Odłożyła go z powrotem na nocny stolik, po czym uściskała Verlaque'a i wstała z łóżka. Włożyła hotelowy szlafrok.

– Przyjdziemy na śniadanie ostatni.

– Dobrze, dobrze – odparł Verlaque. – I tak nienawidzę śniadań. – Zrzucił z siebie lniane prześcieradło, lecz szybko przykrył się z powrotem, przypominając sobie, że jest nagi. – Niegrzeczna z ciebie dziewczyna – rzekł, patrząc na Marine, która stała w nogach łóżka.

– Wczorajszy wieczór był wspaniały – odezwała się z uśmiechem. – Dziękuję.

– Ja też ci dziękuję – odrzekł, znów się odkrył i tym razem wstał z łóżka.

Marine podeszła i objęła go.

– Uwielbiam twój zapach – powiedziała.

Verlaque ukrył twarz w jej kręconych włosach i właśnie miał ją pocałować, gdy rozległ się drugi krzyk.

– To była kobieta, nie mewa – zauważyła Marine. Odsunęła się od sędziego i spojrzała w kierunku tarasu.

– Ktoś nie lubi tutejszej kawy? – zapytał Verlaque.

Marine otworzyła balkonowe drzwi i stanęła na zewnątrz, przechylając się przez balustradę. Nie dostrzegła niczego niezwykłego, ale słyszała trzaskanie drzwiami i pospieszne kroki.

Krzyk brzmiał teraz jak szloch, a z hotelowego tarasu docierały do ich pokoju podniesione głosy.

– Chodźmy – rzekł Verlaque. Otworzył szufladę, wyjął pierwsze z brzegu ubrania i szybko włożył je na siebie.

Marine zrobiła to samo, włożyła czystą bieliznę i zarzuciła na siebie plażową sukienkę.

– Pachniemy seksem, jestem pewna – powiedziała. – Później będziemy musieli wziąć prysznic.

– Albo nikt tego nie poczuje – odezwał się Verlaque, otwierając drzwi pokoju przed Marine – albo poczują wszyscy.

Korytarzem szedł właśnie Eric Monnier ze swoim czarnym notatnikiem w ręku.

– Słyszeliście te krzyki? – zapytał.

– Tak – odparł Verlaque.

– Pochodziły z zewnątrz – dodała Marine.

– To nie brzmi dobrze – zauważył Monnier. – To pewnie nie najmądrzejsza rzecz, którą można powiedzieć. Przepraszam.

Na schodach prowadzących do lobby wpadli na Clémenta Viale, który jeszcze zapinał guziki koszuli.

– Straszny dźwięk! – rzekł. – Co się dzieje?

W lobby nie było nikogo i przez drzwi sali restauracyjnej widzieli, że pusty był także Bar Jacky’ego. Prowadzące na taras szklane drzwi stały otworem i cała czwórka wyszła na zewnątrz.

– Co, u diabła? – zapytał Verlaque. Szybko się rozejrzał i stwierdził, że był tutaj chyba cały personel, jak również wszyscy goście. Nakryte do śniadania stoły pełne były okruszków z croissantów i plam po dżemie, stały na nich filiżanki z niedopitą kawą.

Marie-Thérèse siedziała na krześle i szlochała. Émile Villey klęczał obok niej i cicho do niej przemawiał. Starsza kobieta, w świeżo wyprasowanym staroświeckim fartuchu służącej, której Marine powiedziała dzień dobry w hallu, siedziała obok młodej kobiety i obejmowała ją ramionami.

Max Le Bon wraz z Hugo Sammutem i Serge’em Canzano stali z boku. Max szybko podszedł do Verlaque’a i powiedział:

– Obawiam się, że Marie-Thérèse przeżyła wielką traumę.

– Co się stało? – zapytał Verlaque.

– Chodzi o Alaina Denisa – wyjaśnił Max szeptem. – Marie-Thérèse poszła dziś rano na spacer wzdłuż klifów na południowej części wyspy i znalazła go... to znaczy jego ciało...

– Co? – syknął Verlaque. – Martwego?

Max skinął głową i popatrzył na Marie-Thérèse.

– Cat-Cat i Niki poszły, by powiedzieć o tym Mme Denis, która wciąż jest w swoim pokoju.

– A Brice? – zapytał sędzia.

– Jest na rybach. Z M. Hobbsem. Po drugiej stronie wyspy.

Hugo Sammut podszedł, aby przywitać się z Verlakiem i Marine.

– Dziś rano słyszałem Marie-Thérèse z mojej kajuty. Chodźmy zobaczyć... ciało.

– Oczywiście – odparł sędzia.

Po chwili podeszli także Eric Monnier i Clément Viale, oferując pomoc.

– Dziękuję – rzekł Verlaque. – Możemy iść wszyscy, skoro i tak nie wiemy, co zobaczymy, kiedy tam dojdziemy. Co dokładnie mówiła Marie-Thérèse?

– Nic z tego nie zrozumiałem – odparł Max. – Nie mogła powstrzymać

plączu. Wiem tylko, że Alain Denis jest na południowym brzegu... gdzie klify są strome, na małej plaży... martwy. Mme Poux – mówił dalej, patrząc w kierunku Marie-Thérèse. – Czy mogłaby pani...

– Oczywiście – odparła Mme Poux. – Zaopiekujemy się nią.

– Ja też tu zostanę – rzekł Serge Canzano. – Posprzątałam taras po śniadaniu.

– Chodź, Marie-Thérèse – powiedział Émile, delikatnie podnosząc dziewczynę z krzesła z pomocą Mme Poux. – Posadźmy cię na wygodnym fotelu z filiżanką herbaty. – Skinął głową w kierunku sędziego.

– Bardzo dobrze – powiedział Verlaque. – Chodźmy więc.

\*

Kiedy szli, Marine pomyślała, że gdyby ktokolwiek obserwował ich grupę, wydałoby mu się dziwne, że idą gęsiego, chociaż ścieżka po klifie miejscami była wystarczająco szeroka na dwoje lub troje ludzi. Prowadził Hugo Sammut, który najlepiej znał teren, za nim podążał Max, a potem Verlaque, Marine, Clément Viale i na końcu – kaszląc przy potykaniu się – Eric Monnier.

Szli od mniej więcej piętnastu minut, kiedy Hugo zatrzymał się i odwrócił w ich stronę.

– Za kilka minut skręcimy w lewo i zaczniemy schodzić w dół stromą ścieżką w kierunku wschodniego nabrzeża. Jestem niemal pewien, że tam była Marie-Thérèse. Jest w tym miejscu mała kamienna plaża z kilkoma płaskimi skałami, na których przyjemnie się siedzi. Często sam tam chodzę. Och, Mme Hobbs...

Wszyscy odwrócili się i zobaczyli Shirley Hobbs, która szybko szła w ich stronę.

– Z tarasu słyszałam jakieś poruszenie. Barman powiedział mi, co się dzieje, jego angielski jest całkiem dobry!

– Tak, pani Hobbs – odparł Verlaque po angielsku. Nie podobała mu się ekscytacja w jej głosie. – Ale to naprawdę nie...

Pani Hobbs machnęła ręką w powietrzu.

– Powinna iść – rzekła. – Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. Ta młoda kelnerka była w hysterii... Słyszałam, jak zawodziła... Może aktor żyje i potrzebuje pomocy medycznej?

– Dobrze – zgodził się Verlaque. – *Elle est infirmière* – poinformował pozostałych członków grupy.

– Pielęgniarka może się przydać – stwierdził Hugo.

Ruszyli dalej i Marine wykorzystwała okazję, kiedy ścieżka była jeszcze wystarczająco szeroka, by zwrócić się do Verlaque'a:

– Ktoś będzie musiał iść i znaleźć Billa i Brice'a.

– Wiem – odpowiedział. – Chociaż skoro wyszli tak wcześnie rano, wrócą zapewne w tym samym czasie, co my... około południa. Gdzie jest Sylvie?



– Ona mogłaby przespać trzęsienie ziemi – odparła Marine. – Tak naprawdę raz przespała, kiedy była w Chinach na konferencji fotograficznej.

– Zastanawiam się – szepnął Verlaque – co Marie-Thérèse robiła tutaj wcześniej rano.

Zejdźcie w dół, chociaż strome, zajęło im mniej niż pięć minut. Kamienna plaża, o której mówił Hugo, była mała – szeroka na jakieś sześć metrów. Po jej prawej i lewej stronie wapienne skały wbijały się w morze. Na środku, twarzą do dołu, leżał Alain Denis ubrany w swoją zwyczajową jasnoróżową lnianą koszulę i białe lniane spodnie. Wszyscy instynktownie ruszyli w kierunku ciała i zatrzymali się nagle o metr od niego, bo na szarych i białych kamieniach widniały ciemnoczerwone plamy. Hugo ukląkł, podobnie jak Verlaque.

Eric Monnier stanął obok Marine i powiedział pod nosem:

– „Psy na całym świecie będą w żałobie”. – Obszedł ciało dookoła, a potem, z rękoma założonymi na plecach, spojrział w morze.

Marine zignorowała jego uwagę i kucnęła, patrząc na ciało aktora.

– Ale zamieszanie – powiedziała Shirley Hobbs.

Verlaque uśmiechnął się lekko, on użyłby słowa „pasztet”, które było jednym z ulubionych wyrażenń jego angielskiej babci. Pani Hobbs ukląkla obok Verlaque’a, a on wyciągnął swoje grube ramię, jakby chciał ją asekurować, lecz Amerykanka ucisnęła mu dłoń.

– Byłam pielęgniarką podczas wojny w Wietnamie – powiedziała rzeczowo. – Widziałam dużo więcej. – Marine i inni, zrozumiałwszy słowo „Wietnam”, lekko skinęli głowami, okazując szacunek.

Shirley Hobbs spojrzała w dół na Denisa i rzekła:

– Strzelono mu w głowę. – Wskazała na prawą stronę czaszki. – Powiedziałabym, że mały pistolet – kontynuowała. – Z bliskiej odległości. Ale i tak zmierzę mu puls. – Podniosła rękę mężczyzny i chwyciła za przegub. – Zimny – stwierdziła. – I nie ma pulsu. Sądzę, że leżał tu całą noc.

Verlaque przetłumaczył jej słowa pozostałym, pomijając jednak przypuszczenia na temat rodzaju broni i odległości strzału.

– Ten strzał – powiedziała Marine. – Wczoraj wieczorem...

– Prosper powiedział mi, że wczoraj wieczorem nie polował – oznajmił Max. – Nie uwierzyłem mu.

– Sekcja zwłok powie nam więcej – rzekł Verlaque, jego myśli galopowały. Rozejrzał się i zauważył, że Hugo powoli okrąża ciało, patrząc na skały. – Coś nowego, Hugo?

– *Nada* – odparł zapytany. – Żadnej broni i żadnych odcisków palców, nawet jego... ale tu jest tak dużo kamieni...

– Nie da się znaleźć broni, prawda? – zapytał Max Le Bon.

– Dałoby się, gdyby to było samobójstwo – powiedziała Marine.

– Och – westchnął Le Bon, patrząc na ciało. – To mi nie przyszło do głowy.

Verlaque zapytał:

– Hugo, czy Prosper kiedykolwiek opowiadał ci, że Alain Denis był w przeszłości tu na wyspie?

Hugo wzruszył ramionami.

– Mruczał coś o tym, że Denis tu był. Ale jak to ma w zwyczaju, nie wyrażał się precyzyjnie, a kiedy naciskałem, zamknął się.

– Czy to zdarzyło się w latach sześćdziesiątych?

– Odniosłem wrażenie, że nawet wcześniej – odpowiedział Le Bon. – Zanim Denis stał się sławny.

– Też tak to odczułem – dodał Hugo.

– Porozmawiam z Prosperem później – zdecydował Verlaque. Zanotował w myślach, by zadzwonić do Paulika i poprosić go o zebranie informacji na temat Prospera Buffy.

– Czy tak go zostawimy? – zapytał Clément Viale, marszcząc brwi.

– Obawiam się, że tak – rzekł sędzia. – Ale możemy okryć ciało.

– Kiedy wrócimy do hotelu – odezwał się Hugo – poproszę Mme Poux o stare prześcieradło.

– Dziękuję, Hugo – rzekł Max. – I jak rozumiem, to ja mam zadzwonić na policję.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – odezwał się Verlaque. – I gdyby ktoś mógł być na nabrzeżu, kiedy się pojawią... Trzeba przyprowadzić ich tutaj ścieżką.

Verlaque sięgnął do kieszeni szortów Alaina Denisa, używając chusteczki jako rękawiczki i starając się nie dotykać ciała. Z prawej tylnej kieszeni wyjął hotelowy klucz. W lewej nic nie było.

– Co, u licha, robił na tej samotnej plaży? – zapytała pani Hobbs. – Na pewno został tu zwabiony przez swojego zabójcę.

Verlaque skinął głową, zadowolony, że pani Hobbs mówi po angielsku.

– My wszyscy wrócimy teraz do hotelu – odezwał się Max. – Pan zostaje tutaj z ciałem, jak sądzę.

– Owszem – odpowiedział Verlaque.

– Ja też – dodała Marine.

– Poproszę zatem, by ktoś przyniósł państwu śniadanie – rzekł Max.

– To nie będzie konieczne – odezwała się Mme Poux, która właśnie nadeszła, niosąc mały koszyk.

– Skąd pani wiedziała, gdzie będziemy? – zdziwił się Max.

– Marie-Thérèse jest już w stanie spokojnie mówić – odparła. – I to pełnymi zdaniem. Jest z nią Émile, więc Serge przygotował termos herbaty, a Émile zapakował kilka babeczek.

– Och, jak miło, że o tym pomyśleliście – powiedział Verlaque. – Zostanę tutaj z Mlle Bonnet.

– Serge ma dla pozostałych państwa gorące napoje w Barze Jacky’ego – poinformowała Mme Poux.

– No cóż – powiedział Eric Monnier, odwracając się w stronę ścieżki – ja już zmykam.

– Dodał coś na wzmocnienie – rzekła. – Panu też, panie sędzio.

– Jestem szczerze zobowiązany – odparł Verlaque, biorąc od niej koszyk.

– Mme Poux – zapytał Max Le Bon – czy wie pani, jak radzi sobie Mme Denis?

Yolaine Poux zamrugła oczami i skinęła głową.

– Jest w szoku. Pańska żona, M. Viale, jest z nią teraz i dała jej tabletkę nasenną.

– Och, Delphine ma ich mnóstwo – powiedział Clément oschle.

– Rozumiem, że nie żyje? – zapytała Mme Poux, patrząc na ciało.

– Tak. Został zastrzelony – wyjaśnił Verlaque. – Prawdopodobnie wczoraj wieczorem.

Gospodyni spojrzała na innych i Marine zauważyła, że jej oczy się zaszklily. Ale to być może z powodu morskiego powietrza i lekkiej bryzy, uświadomiła sobie Marine. Z białej materiałowej torby na ramię Mme Poux wyjęła białe prześcieradło.

– Pomyślałam, że możemy tego potrzebować. – Pochyliła się i z pomocą Verlaque’a delikatnie przykryła nim ciało Alaina Denisa.

– Co on, u diabła, tu robił? – wymruczał Max Le Bon, powtarzając wcześniejsze pytanie Shirley Hobbs.

– Być może przyszedł popływać – odparła Mme Poux, wpatrując się w ciało. – W młodości był mistrzem pływania. Pływał może bez szczególnego wdzięku, ale był silny.

## Pieśń modlitewna

Bruno Paulik wyprężył pierś, gdy dyrektor szkoły muzycznej w Aix-en-Provence wyczytał nazwisko Léi. Komisarz policji ujął dłoń żony i lekko ją ścisnął. Szkoła mieściła się w siedemnastowiecznej rezydencji w eleganckiej dzielnicy Aix i nie miała klimatyzacji. Hélène lekko uniosła opalone nogi z drewnianego krzesła wyściełanego tanim winylowym włóknem.

Pianista, który często akompaniował dziesięcioletniej córce Paulika, otworzył książkę z pieśniami w miejscu, gdzie na karteczce samoprzylepnej widniał napis „Léa”. *En prière* Gabriela Fauré było jednym z ulubionych hymnów Brunona. Dziewczynka uczyła się go od ośmiu miesięcy. Od tego, jak dobrze lub jak kiepsko zaśpiewa go w ten gorący lipcowy dzień, będzie zależało, czy dostanie się do państwowej szkoły chóralnej.

Léa niespiesznie wchodziła po czterech drewnianych stopniach, a Bruno pomyślał o tym, jakim jest szczęściarzem – ich jedynaczka dobrze radziła sobie w szkole i uwielbiała muzykę (najbardziej Mozarta). Kochał swoją żonę jeszcze bardziej niż w dniu ślubu. Winogrona syrah i cinsault dojrzewały na słońcu w ich winnicy. Od roku byli jej właścicielami dzięki wspaniałomyślnemu darowi szefa Paulika, Antoine’a Verlaque’a. Sędzia wyraźnie powiedział, że to ciche partnerstwo finansowe. Hélène miała całkowitą kontrolę nad winami, ale Verlaque niecierpliwie oczekiwał niemal codziennie na wiadomości o winoroślach. Obiecał nawet pomoc we wrześnieowych zbiorach. Wyobrazenie szefa pochylającego się nad winogronami w butach z angielskiej skóry za pięćset euro wywoływało szeroki uśmiech na twarzy Brunona, chociaż ani przez chwilę nie wątpił w siłę i wytrzymałość Antoine’a. Bruno dorastał na farmie w Luberonie, a Hélène była jednym z czołowych producentów wina w Prowansji. Nigdy jednak nie mogliby sobie pozwolić na własną winnicę, gdyby nie inwestycja Verlaque’a (sędzia nalegał, by tak to nazywać).

Pianista powoli uderzał w klawisze, a Léa ściągnęła usta, koncentrując się. Zaczęła śpiewać i jej młody sopran wypełnił salę. Oczy Paulika zaszkliły się, nie mógł uwierzyć, że te dźwięki wydobywały się z ust tak młodej dziewczyny i że tą dziewczyną była ich ukochana córka. Siedział nieruchomo i słuchał, a każdy mięsień jego ciała był napięty.

Nagle wzdrygnął się i nogą uderzył Hélène w kolano, czując vibracje swojego służbowego telefonu. Wsunął rękę w wewnętrzną lewą kieszeń

marynarki i delikatnie wyjął telefon, wyłączając wibrację. To był Antoine Verlaque, który tydzień przed wyjazdem na wakacje przekazał Paulikowi nazwę i numer hotelu, gdzie mieli się zatrzymać z Marine. Komisarz zapisał to sobie w pamięci telefonu. Sordou – taka nazwa pokazała się teraz na malutkim ekranie telefonu. Paulik starał się nie skrzywić, gdy zauważył, że Mme de Montague patrzy na niego spod zmarszczonych brwi. Wyobrażał sobie, co myślała ta bogata matka piątki dzieci, *quel paysan!* Hélène zauważyła jego zboląłą minę i z jednym palcem uniesionym w powietrze bezdźwięcznie wypowiedziała słowa: „jedną minutkę”. Verlaque mógł poczekać, Paulik zamknął oczy, by się skupić, starając się zrekompensować sobie tych kilka cennych sekund, które stracił.

Bruno, miłośnik opery, zauważył, że Léa zakończyła nieco za wysokim dźwiękiem. Ale był zachwycony, a z oklasków, także tych pochodzących od dyrektora szkoły, który teraz stał, wywnioskował, że przesłuchanie poszło dobrze. Léa występowała jako ostatnia i Bruno szedł do niej, odsuwając po drodze krzesła, by ją uściskać, a potem jak najszybciej opuścić duszny pokój i zadzwonić do szefa. Mme de Montague uniosła brew, gdy przeciskał obok niej swoje ciało zawodnika rugby. Uśmiechnął się i powiedział:

– Czy to nie było wspaniałe? – Hélène szła tuż za nim i prawie biegle, by spotkać się z Léą. Chwycili ją w ramiona i Bruno poczuł, jak serce łomocze jej w piersi.

– Jak się czułaś? – zapytała Hélène, całując córkę w czoło.

– Najgorsze było wejście na scenę – odparła dziewczynka. – Później, kiedy tylko zaczęłam śpiewać, poczułam się dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Paulik uśmiechnął się promiennie i próbował nie wyobrazić sobie Léi występującej w La Scali w Mediolanie.

– *Chéri*, mam szybki, bardzo ważny telefon. Zaraz wracam.

– Do sędziego Verlaque’a? – zapytała z uśmiechem.

Paulik skinął głową.

– Dobrze – powiedziała. – Przekaż mu pozdrowienia.

\*

W hotelu panowała niesamowita cisza. Z Baru Jacky’ego nie dochodziła muzyka jazzowa i zdawało się, że wszyscy goście wrócili do swoich pokoi. W tym czasie marsylska policja badała zatoczkę i ciało Alaina Denisa. Marie-Thérèse była w kuchni i patrzyła, jak Émile kroi warzywa na lunch. Mężczyzna był niezwykle wyciszony i odrzucał wszelkie propozycje pomocy. Po trzydziestu minutach siedzenia na stołku w rogu dziewczyna wstała i powiedziała, że nakryje stoły w jadalni i na tarasie, a Émile odpowiedział mruknięciem.

Marie-Thérèse uwielbiała salę restauracyjną i czasami wyobrażała sobie, że jest jej właścicielką. Nie była to jadalnia w jej domu, ale sala w hotelu, tym, który będzie kiedyś dzieliła ze swoim mężem – kimś takim jak Émile,

utalentowanym, pracowitym i miłym. Podobały jej się marmurowe podłogi i biały len. Mijając jeden ze stolików, wyrównała obrus, który się wybrzuszył. Otworzyła drzwi na taras i wyszła na zewnątrz. Otworzyła parasole, jeden po drugim, bo dzisiaj nie było wiatru. Zatrzymała się i spojrzała ponad krawędzią tarasu. Widziała port na Sordou, gdzie tam i z powrotem, jak mrówki, chodzili umundurowani policjanci. Westchnąwszy głęboko, wróciła do sali restauracyjnej, by wyjąć z kredensu lniane serwetki. Znalazła tylko pięć, więc będzie musiała iść do pralni i poprosić Mme Poux o więcej. Skierowała się w dół korytarza. Idąc, myślała o tym, co trzeba zrobić przed lunchem. Musi poprosić Niki o dzisiejsze menu, wziąć od Serge'a kieliszki do wina i rozstawić je na stołach, dokładnie sprawdzić młynki do soli i do pieprzu. Była jeszcze jakaś czwarta rzecz. Dziewczyna zatrzymała się, sądząc, że to odświeży jej pamięć, i wtedy usłyszała rozmawiających Le Bonów.

– Nie wierzę, że w ten sposób myślisz o jego śmierci – powiedział Max Le Bon.

– Po prostu jestem realistką – odparła Cat-Cat. – W tym związku to ty jesteś marzycielem, pamiętaj.

– *Oui, chérie* – odrzekł Le Bon z westchnieniem. – Każdego dnia przypominasz mi, że to ja chciałem kupić Sordou.

– No cóż, teraz mamy Sordou, czy ci się to podoba, czy nie. A śmierć Alaina Denisa przysporzy nam rozgłosu.

Marie-Thérèse oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Wiedziała – każdy to wiedział – że Sordou znajdowało się w „fazie pierwszej”, jak to nazywał Émile, i że inwestorzy czekali na to, jak pójdzie pierwszy sezon, by ewentualnie zainwestować więcej pieniędzy w budowę dwóch pozostałych skrzydeł. Ale Le Bonom nie udało się zapełnić hotelu – w tym tygodniu zarezerwowano siedem pokoi z ośmiu, a w przyszłym tygodniu – tylko sześć. Jak powiedział jej Émile, Sordou, choć bardzo piękna, leżała zbyt blisko Marsylii, a za daleko od Saint-Tropez, restauracja hotelowa miała wąskie menu, hotel liczył zaledwie osiem pokoi i nie miał żadnych klubów nocnych ani butików.

– A Bar Jacky'ego? – zapytała Émile'a Marie-Thérèse.

Émile zgiął się wpół nad deską do krojenia i serdecznie się roześmiał.

– O tak – spokojnie odpowiedziała dziewczyna. – Zamierzam mieć taki bar jak Jacky'ego i puszczać w nim taki ładny delikatny jazz, jak gra Serge.

Głos Cat-Cat kazał Marie-Thérèse otworzyć oczy. Wiedziała, że powinna iść dalej korytarzem, w stronę pralni, ale czuła się jak skamieniała. Nie chciała, by jej szefowie ją zobaczyli.

– Był okropnym gościem – rzekła Cat-Cat. – I jeśli jego śmierć przyciągnie do nas uwagę, to będę wdzięczna losowi.

Zadzwoił telefon.

– Widzisz – powiedział Max – nowi goście!

– Nie bądź głupi – odparowała żona. – Jeszcze nikt nie wie.

Marie-Thérèse zakasłała i zatupała głośno, mając nadzieję, że wygląda to tak, jakby właśnie przysła.

– Marie-Thérèse – rzekł Max, wychodząc z biura. – Jak się masz? Lepiej się czujesz?

Z ulgą wyjąkała „*Oui, merci*” i szybko poszła szukać Mme Poux.

Cat-Cat wyszła i stanęła obok męża.

– Komisarz z Aix chce rozmawiać z sędzią Verlakiem – oznajmiła. – Czeka na linii.

– Będzie musiał oddzwonić. Sędzia jest przy zatoczce.

– Słyszała nas – szepnęła Cat-Cat, patrząc na korytarz prowadzący do pralni.

– Myślę, że każde słowo.

\*

– Mały pistolet z bliskiej odległości? – zapytał Verlaque, starając się zbyt otwarcie nie wpatrywać w ciemne oczy doktor Cohen.

– Tak – odparła, obracając się lekko, by zerknąć na martwe ciało Alaina Denisa. – Nie widać śladów przemocy fizycznej ani walki, ale będę wiedziała więcej, kiedy zbadam go w laboratorium, w La Timone. –

Spojrzała na morze, po czym zwróciła się do sędziego: – Czy może tu przybić łódź?

Verlaque właśnie miał zaryzykować jakąś odpowiedź, kiedy stanął przy nim Hugo Sammut.

– Hugo, potrafisz lepiej odpowiedzieć na to pytanie niż ja.

Hugo skinął głową.

– Jest tu zbyt płytko na jakąkolwiek normalną łódź, może z wyjątkiem jolki. Ale większa motorówka może podpłynąć do wejścia zatoczki i zatrzymać się bardzo blisko tego klifu na wschodzie. – Wskazał kierunek, a doktor Cohen i Antoine Verlaque patrzyli. – Czy widzicie tę dużą białą skałę, sięgającą wody, tuż pod tą sosną wyrastającą z klifu? – zapytał. Doktor i sędzia przytaknęli. – Może być wykorzystana jako stopień, wyskakujesz z wody i idziesz w kierunku tej plaży wąską ścieżką. To możliwe, nawet dla kogoś niezbyt wysportowanego. – Spojrzał na Verlaque’a.

– Obawiam się, że tak – powiedział sędzia.

– Ale prawdziwym problemem – mówił dalej Hugo – był wczorajszy wiatr.

Verlaque spojrzał na niego.

– Wczesnym wieczorem morze było wzburzone, prawda?

Hugo kiwał głową w przód i w tył.

– Zgadza się. Zbyt wzburzone, by dostać się do tej zatoczki i by żeglarz

na stałym lądzie w ogóle rozważał opuszczenie portu. Żeglowałem więcej, kiedy mieszkałem nad Atlantykiem, niż teraz, gdy mieszkam w Prowansji. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak tu jest wietrznie.

– Zatem pływak by tutaj nie dotarł? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Cóż, z pistoletem owiniętym w folię i przyklejonym taśmą do piersi? – zapytał Hugo, śmiejąc się.

– No coś w tym stylu...

– Niemożliwe.

Hugo usunął się na bok, podczas gdy dwaj policjanci uważnie podnieśli nieruchome ciało Denisa na noszach i podążyli ścieżką. Za nimi szli dwaj inni policjanci, aby zmieniać się przy niesieniu ciała, a na końcu szedł fotograf.

– Ty pierwsza – wskazał gestem Verlaque. – Będę czekał na twój telefon z Marsylii. Dziękuję, że przyjechałaś na Sordou.

– Drobiazg – odrzekła. Odwróciła się, by spojrzeć na morze – dziś było gładkie jak szkło. – Wyobrażam sobie, że cudownie jest spędzić tu tydzień.

– To było cudowne – odparł.

\*

– Piętnaście za dwa punkty – rzekła Marine, kładąc piątkę karo na walecie, którym wyszedł Eric Monnier. Przesunęła swój mały kolorowy kołek o dwa otwory na drewnianej planszy do cribbage.

– *Merde!* – mruknął Monnier. Następnie położył pięć na jej karcie i powiedział z uśmiechem: – Dwadzieścia za dwa punkty.

– Dwadzieścia pięć za sześć punktów – odezwała się Marine, szybko kładąc następną piątkę.

– *Merde!* – zaklął Monnier, tym razem głośniej. – I proszę się nie martwić, nie mam następnej piątki. Nie mogę iść dalej.

Położyła na stole szóstkę.

– Trzydzieści jeden za dwa punkty.

Eric stęknął. Obrócił karty i podjął dalszą rozgrywkę, grając ósemką.

Marine rzuciła na wierzch siódmkę.

– Piętnaście za dwa punkty.

Monnier położył swoją ostatnią kartę, dziesiątkę.

– Dwadzieścia pięć za jeden mały punkt. Dobrze zagrane.

Marine pozwoliła, by Eric pierwszy podliczył swoje karty. Wliczając kartę startową, czwórkę, miał cztery punkty. Z kolei Marine miała parę oraz dwa zestawy piętnastek, przy wykorzystaniu karty startowej, piątek i szóstki w ręce.

– Czternaście punktów – stwierdziła, przemieszczając kołek.

– I musi pani jeszcze doliczyć kriba – rzekł Monnier z sarkastycznym westchnieniem.

Marine drugą ręką sięgnęła po karty z kriba. Miała królową, króla,



dwójkę i trójkę.

– Piętnaście za dwa punkty, piętnaście za cztery i trzy takie same karty za siedem oczek. Nieźle.

– Dałem pani dwójkę i trójkę – stwierdził Eric. – Sam prosiłem się o kłopoty.

– Tak, biorąc pod uwagę, ile dziesięciopunktowych kart jest w talii – powiedziała Marine z uśmiechem.

– Pani jest bez serca – skomentował Monnier. Odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersiach. – Mam zamiar wypić jedną z Krwawych Mary Serge’a. Myślę, że trochę witamin dobrze mi zrobi. Pani także ma ochotę?

– Tak, poproszę – odparła kobieta, tasując karty do następnej partii. Eric podniósł się powoli, a Marine patrzyła, jak spokojnie podchodzi do baru – nie wydawał się człowiekiem, który kiedykolwiek się spieszy. Poruszał się dostojnie, wypowiadał z uwagą i powoli, tak samo grał w karty. Śmiał się teraz z barmanem, który przygotowywał drinki. Marine była szczęśliwa, że jest na Sordou, pomimo zamordowania Alaina Denisa.

Monnier wrócił, niosąc Bloody Mary w wysokich szklankach. Jedną dał Marine, kłaniając się lekko.

– Nie przypuszczałem, że ktoś przechytrzy mnie w cribbage – powiedział, siadając.

Marine uśmiechnęła się.

– Mama nauczyła mnie tak grać – powiedziała. – Tak można iść do przodu.

– Pani nie gra dobrze – zauważył Eric. – Pani gra bezwzględnie. Jak zabójca. Ups, przepraszam.

– Boi się pan? – zapytała Marine, starając się, by zabrzmiało to swobodnie. Podzieliła talię kart, by Monnier wskazał kartę startową. Była to królowa, położył ją na planszy.

– Ma pani na myśli przebywanie tutaj? Po śmierci Alaina Denisa?

– Właśnie tak – przytaknęła, patrząc na ruch Monniera. – Nie wiem dlaczego, ale ja się nie boję – mówiła dalej. – Mam wrażenie, że podobnie jak większość z nas. – Chciała wyczytać coś z twarzy rozmówcy, ale nic nie zobaczyła. – Czy widzieliśmy zbyt wiele takich filmów, by się znieczulić?

– Być może – przyznał Eric, marszcząc brwi na widok swoich kart. – Proszę pamiętać, jakie karty dałem pani do pani kribbe’a.

Marine uśmiechnęła się, zrozumiała, że jej towarzysz nie chce rozmawiać o morderstwie. Tak naprawdę nikt nie chciał. Jej przekonanie potwierdziło się, kiedy zapytał:

– Była pani jedynaczką?

– Tak. Skąd pan wie?

– Ja też byłem jedynakiem – wyjaśnił Eric, wpatrując się w swoje karty.

– Mam zamiar tym razem nie pozwolić się przechytrzyć.

## Paulik i rzesze dziennikarzy

Antoine Verlaque patrzył na połyskujące błękitne morze, myśląc z wdzięcznością o tym, że prawie na każde urodziny jego matka dawała mu parę kosztownych okularów przeciwsłonecznych.

– Powiedziano mi, że później pojawi się rybak o imieniu Isnard z zaopatrzeniem – odezwał się do młodego policjanta stojącego na nabrzeżu i wpatrującego się w morze przez lornetkę.

– Tak jest, sir – odparł policjant i spojrział na sędziego. Lornetka zwisała mu teraz luźno na pasku wokół szyi.

– Biorąc pod uwagę celebrycki status zmarłego, nie minie dużo czasu i będą starali się tu dostać dziennikarze.

Młody oficer skinął głową.

– Nadzorujemy nabrzeże zgodnie z pańskimi instrukcjami. Nikt nie może wpłynąć ani odpłynąć, chyba że ma odpowiednią odznakę.

– Z wyjątkiem rybaków – powiedział Verlaque, głaszcząc się po brzuchu.

– Potrzebujemy jedzenia.

Policjant uśmiechnął się szeroko.

– Zrozumiano – zameldował. Patrząc na morze, a potem na hotel, który przycupnął na klifie, na różowe ściany hotelu, które w popołudniowym słońcu wydawały się czerwone, dodał:

– Piękny widok.

– Z pewnością.

W stronę portu na Sordou płynęła szybko łódź z błyskającym światłem. Zwolniła i zatrzymała się obok przycumowanej u wejścia do portu niebieskiej łodzi straży przybrzeżnej. Po trwającej minutę albo dwie wymianie zdań pomiędzy kapitanami obu jednostek łódź ruszyła. Kiedy się zbliżała, Verlaque rozpoznał niebieskie oznaczenia policji.

– To komisarz, w samą porę – rzekł policjant. Kiedy łódź znalazła się w odległości kilku metrów od brzegu, sędzia mógł dostrzec łysinę swojego podwładnego. W jego okularach słonecznych odbijało się popołudniowe słońce. Komisarz mocno trzymał deskę rozdzielczą.

Łódź przybiła tak szybko, że wydawało się, iż nie wyhamuje na czas, ale zwolniła kilkadziesiąt centymetrów od brzegu. Sternik – początkujący policjant, który wychował się na morzu – ze znanstwem przyprowadził łódź na miejsce. Paulik zwawo wyskoczył na ląd i uściśnął dłoń Verlaque'a.

– Jak twój żołądek? – zapytał sędzia.

Paulik zerknął na niego zza okularów.

– Droczy się pan ze mną?

– Wcale nie – odparł Verlaque z uśmiechem na twarzy. – Tylko wiem, że masz chorobę lokomocyjną.

– Czuję się dobrze – odrzekł Paulik, kiedy ruszyli w kierunku hotelu. – Teraz, kiedy stąпам po twardym gruncie.

Verlaque roześmiał się.

– Przepraszam, że przerwałem koncert Léi. I dziękuję, że tak szybko tu dotarłeś.

– Ona właśnie skończyła.

– Jak jej poszło? *Modlitwa* Fauré, prawda?

– Tak, właśnie tak. Poszło jej wspaniale, zdała ze świetnym wynikiem. Skąd pan wiedział, co śpiewała?

– Śpiewała to trochę dla mnie – wyjaśnił Verlaque z uśmiechem. – Kiedy ostatnio byłem u was. Spacerowaliśmy po winnicy i sprawdzaliśmy wszystko. A tak przy okazji, jak się mają winorośle? Nie potrzebują deszczu?

– Mają się doskonale – odparł Paulik. Spojrzał w górę na hotel i zagwizdał, po czym powiedział:

– Mieliśmy rekordowe opady tej wiosny, więc choć od prawie dwóch miesięcy nie było deszczu, winogrona wyglądają świetnie. Sprzyja im gorące słońce i skaliste podłoże.

Verlaque kiwał głową w przód i w tył.

– To fantastycznie.

– Jak się ma Marine?

– Właśnie skończyła karcianą rozgrywkę z emerytowanym nauczycielem z Aix – odpowiedział Verlaque. – Niewątpliwie go oczarowała.

– Marine sprzedałaby lód Eskimosowi – rzekł komisarz. – Czy rozmawiała z gośćmi?

– Myślę, że zaprzyjaźniła się tu prawie ze wszystkimi. Rozmawiała z pasierbem zmarłego i dowiedziała się, co czyta.

– Co takiego?

– *Śmierć w Wenecji*.

Paulik zagwizdał.

– Marine przedstawiła mi interesującą teorię – mówił dalej Verlaque. – Że pasierb, Brice, mógł chronić matkę.

Paulik skinął głową, patrząc na kwiaty rosnące przy ścieżce.

– Powiedział mi pan przez telefon, że Brice był na miejscu zbrodni wcześniej rano.

– Zgadza się – odparł Verlaque. – Znaleźliśmy z Marine jego czapkę. Ale ona uważa, że mógł ją tam zostawić specjalnie, żebyśmy ją znaleźli.

– I w ten sposób ściągnąć podejrzenia na siebie, a nie na matkę.

– Właśnie.

– To byłoby heroiczne.

– Podobnie powiedziała Marine. Użyła słowa „romantyczne”.

– Zatem musimy dokładnie porównać zeznania matki i syna – stwierdził Paulik. Zatrzymał się i rozłożył ramiona. – Tu chyba jest o jakieś dziesięć stopni chłodniej niż w Aix.

– No właśnie – odparł Verlaque. – To prawdziwy raj. – Męczyło go już mówienie innym, jak piękna jest Sordou.

– Tylko nie wtedy, gdy zostaje zamordowana gwiazda filmowa.

– Tylko nie wtedy, gdy zostaje zamordowana gwiazda filmowa – powtórzył sędzia, po czym dodał, patrząc na komisarza: – Cieszę się, że tu jesteś.

Paulik zamilkł na chwilę, jakby nie wiedział, jak zareagować na miłe słowa swojego szefa.

– Wydaje się, że dwaj komisarze z Marsylii są na wakacjach w tym samym czasie – powiedział wreszcie.

Verlaque roześmiał się.

Paulik mówił dalej:

– Jeden z moich braci, dentysta w Carpentras, właśnie przeprowadził się do nowego domu z basenem. Zadzwoił do miejscowej firmy zajmującej się basenami, by ktoś pokazał mu, jak się go obsługuje, ale mogli przyjść dopiero za półtora tygodnia. Nie mieli pracowników, nawet szef wyjechał na letnie wakacje.

Sędzia stanął jak wryty.

– Właściciel firmy obsługującej baseny bierze sobie wakacje w jedynym wysokim sezonie.

– No...

– Boże, ocal ten kraj.

– Ja i tak nie chciałbym żyć w żadnym innym.

Coraz głośniejsze dudnienie silników przerwało komisarzowi obronę swojego rodzinnego kraju. Obaj mężczyźni, stojąc na szczycie hotelowych schodów, obrócili się i spojrzeli na morze. U wejścia do portu pojawiły się trzy łodzie i kapitanowie każdej z nich, najwyraźniej na widok łodzi straży przybrzeżnej, nakazali zatrzymać się i rzucić kotwicę. W stronę Sordou płynęło ich więcej. Młody policjant na nabrzeżu rozmawiał ze swoimi kolegami przez telefon komórkowy, a w drugiej ręce trzymał lornetkę, przez którą obserwował nowo przybyłych. Następnie wbiegł po schodach, by powitać Verlaque’a i Paulika.

– Dziennikarze robią zdjęcia – powiedział.

– Już? – zapytał Verlaque, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Zjawili się tutaj prawie tak szybko jak ja – wyjaśnił komisarz.

– Przeciek? – zasugerował młody oficer.

Verlaque przypomniał sobie, jak przeszkodził w czymś Marie-Thérèse, gdy w biurze Le Bonów szeptala coś do słuchawki, a kiedy wszedł, szybko

się rozłączyła.

Spojrzał na Paulika i przewrócił oczyma.

– *Merde*.

– Nie martwcie się – rzekł policjant. – Nie dostaną się na wyspę. – I szybko dodał, puszczając do nich oko: – Poza Isnardem.

– Dziękuję.

– Kto to jest Isnard? – zapytał Paulik.

– To nasz obiad.

\*

– Dobrze, że nadal możemy pić – powiedziała Sylvie, trzymając w ręku mojito. – Więc waszym zdaniem ktoś z nas załatwił Alaina Denisa? – zapytała.

– Sylvie! – krzyknęła Marine.

– Hugo powiedział mi, że morderca nie mógł podpłynąć do zatoczki łodzią – oznajmiła Sylvie. – Ani dostać się wpław, bo morze było zbyt wzburzone.

– Tego się obawiałam – odezwała się Marine. – Jest jeszcze coś – mówiła dalej. – Komuś z zewnątrz trudno byłoby skontaktować się z Denisem i umówić na określoną porę w zatoczce.

Sylvie spojrzała na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

– Nie działają tu telefony komórkowe ani Internet – wyjaśniła Marine.

– Teraz to mnie wystraszyłaś! – zawołała Sylvie, spoglądając przez ramię.

Marine próbowała zapamiętać, że powinna zapytać Le Bonów i Niki, czy były jakieś telefony do Alaina Denisa na telefon stacjonarny hotelu i czy otrzymywał jakieś listy.

Sylvie siorbnęła ze szklanki, bawiąc się przy tym gałązką mięty umieszczoną w drinku.

– Stawiam na jego żonę.

– A ja na nieszczęśliwego pasierba.

– Marine! Jestem w szoku!

– Hej, w tę grę mogli grać oboje – zauważyła Marine. Nie chciała mówić Sylvie o swojej nowej teorii. Spojrzała na pusty kieliszek po białym winie. – Jeszcze jeden?

– Pozwólcie, że ja postawię, drogie panie – powiedział Clément Viale, który właśnie stanął za ich leżakami.

– Dziękujemy – zawołała Sylvie. – Ja poproszę o mojito.

– I niech zgadnę – zwrócił się z uśmiechem do Marine, spoglądając na nią z góry – pijesz białego burgunda.

– Zgadza się – odparła, zasłaniając dłonią oczy od słońca. – To Mâcon Villages.

– Och – odezwał się Viale. – Pozwól, że zaproponuję ci coś bardziej

efektownego. Musimy mieć tutaj jakąś radość. Moja żona nie wychodzi z naszego pokoju, a Emmanuelle... Mme Denis... dostała tabletki nasenne.

– Jak przyjmuje to Brice? – zapytała Marine, odnosząc wrażenie, że Clément Viale był najlepiej poinformowany w tej sprawie.

– Gorzej niż można by przypuszczać – odparł, wzruszając ramionami.

Sylvie zaczęła:

– Marine mówiła właśnie...

– Dziękujemy za propozycję drinków – szybko przerwała jej przyjaciółka.

– Jedno mojito i jedno wspaniałe Meursault – powiedział Viale. – Czy mogę się do was przysiąść? Wygląda na to, że Antoine przez następne kilka dni będzie zajęty. – Spojrzał w dół na szczupłe opalone nogi Marine i uśmiechnął się.

Marine i Sylvie szybko wymienili spojrzenia.

– Ależ oczywiście... siadaj z nami – odpowiedziała z namysłem Marine.

– Zaraz wracam, drogie panie.

Kiedy tylko Viale znalazł się poza zasięgiem słuchu, Sylvie wyszeptała:

– Powinnaś mu była powiedzieć, że Antoine jest zawodowym mordercą.

Marine roześmiała się.

– Nie sądzę, bym musiała to robić. Znają się od czasów młodości i uważam, że Antoine był i nadal jest osobą, której on nie chce się sprzeciwiać. Poza tym chciałabym spędzić jak najwięcej czasu na rozmowach z hotelowymi gośćmi. Clément Viale zainwestował tu pieniądze, a ja mu nie ufam.

\*

Le Bonowie czekali w lobby, by przywitać Verlaque'a i Paulika. Sędzia przedstawił im komisarza, a Max Le Bon zaproponował:

– Panie komisarzu, proszę zostać na Sordou, mamy jeden wolny pokój.

– Dziękuję – powiedział Paulik. – Przyjmuję zaproszenie... – Przerwał, bo uświadomił sobie, że od momentu, gdy weszli do lobby, dzwonił telefon.

Niki Darcette pospiesznie wyszła z biura i stanęła obok Cat-Cat Le Bon, która zrozumiała aluzję.

– Proszę mi wybaczyć – rzekła. – Chyba muszę pomóc Niki w odbieraniu telefonów.

Cat-Cat szybko się oddaliła, ale zanim Niki Darcette wyszła, Verlaque oznajmił:

– Na wypadek gdybyście nie zauważyli, dziesięć łodzi zakotwiczyło przy Sordou. Wieść o śmierci Alaina Denisa przedostała się na zewnątrz, ale policjanci strzegący portu otrzymali ściśle instrukcje, by nikogo nie wpuszczać na wyspę ani z niej nie wypuszczać. Nie dotyczy to tylko Isnarda.

– Ale wciąż przychodzą nowe rezerwacje... – odparła Niki.

W tej chwili pojawiła się Cat-Cat.

– Komisarzu Paulik, to do pana.

Paulik przeprosił.

– Kiedy będziemy mogli zacząć przyjmować nowych gości? – zapytał Max Le Bon.

– Kiedy o tym zdecyduję – powiedział Verlaque.

– To chore – sprzeciwiła się Niki. – Musimy powiedzieć naszym gościom, kiedy mogą rezerwować hotel.

– Kiedy tylko zamkniemy śledztwo – odrzekł sędzia. – Przepraszam, ale nie wiem, kiedy to nastąpi.

– Przecież jego ciała już tu nie ma! – zaprotestowała Niki.

– Niki... – zwrócił się do niej Max Le Bon, ujmując ją za ramię.

– To była doktor Cohen – wyjaśnił Paulik, wracając z biura, gdzie odbierał telefony. – Alain Denis został zastrzelony z bliskiej odległości, późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Nie ma śladów przemocy ani walki.

– Wszyscy słyszeliśmy strzał około osiemnastej – rzekł Verlaque, patrząc na Paulika.

– Czy to znaczy, że M. Denis znał swojego zabójcę? – zapytała Cat-Cat.

– Najprawdopodobniej – odparł Paulik. – A któż to? – Popatrzył przez przeszklone drzwi wejściowe na schody prowadzące do hotelu. Pojawiło się na nich dwóch mężczyzn niosących kosze.

– To Isnard, z naszym zaopatrzeniem – rzekł Verlaque.

– Ale kto z nim przyplynał? – dopytywał Paulik. Sądził, że przekazali jasne instrukcje co do tego, kto może przebywać na Sordou i ją opuszczać.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich rybak.

– *Bonsoir, Messieurs, Madames...*

– Witaj, Isnardzie – powitała go Cat-Cat. – Możesz wnieść ryby prosto do kuchni.

– Nie poznaliśmy twojego towarzysza – powiedział Verlaque. – Miałeś przyplynać sam.

– *Oh la la* – biadolił Isnard. – Przez cały dzień byłem na morzu z moim kuzynem Fredem. – Co miałem robić, wieźć go całą drogę do Marsylii, a potem wracać tutaj? Prawda, Fred?

– Tak – przytaknął drugi z mężczyzn, w końcu patrząc na grupę. – Poza tym musiałem pomóc ci to wszystko przynieść. – Fred był o jakieś dwadzieścia lat młodszy od Isnarda, miał czerwony od słońca nos.

– Dobrze, idźcie więc do kuchni – powiedział Verlaque. – I dziękujemy za żywność.

– Czy wiemy, jak zginął Alain Denis? – zapytał Isnard, przechylając głowę. – Dziennikarze na tych łodziach koniecznie chcą wiedzieć. – Fred skinął głową z entuzjazmem.

– Czy on spadł z klifu? *Un peu trop de...?* – mówił dalej Isnard, pukając palcem w nos.

– Isnard! – zawołał Le Bon. – *La cuisine!*



## Wymyślny zagraniczny makaron

Marie-Thérèse postawiła kieliszki na stole. To był już ostatni do nakrycia i wyrównania leżących przy każdym miejscu serwetek, wyprasowanych wcześniej starannie przez Mme Poux. Zauważyła, że Mme Poux wręczała jej dziś stosik serwetek drżącą ręką. Marie-Thérèse uśmiechnęła się do kobiety łagodnie, wdzięczna, że Mme Poux była dla niej tak miła tego ranka. Wyspę otaczali policjanci i dziennikarze, ich łodzie podskakiwały na morzu w górę i w dół. Czowała nerwowe podniecenie i włoski na jej przedramionach się uniosły. Do pulchnego sędziego dołączył teraz łysy i muskularny policjant – *un commissaire*, jak wyjaśniła Cat-Cat Le Bon. Miał duże brązowe oczy jak jej starszy brat, Claude, i uśmiechał się, kiedy mijał ją w hallu. Nie bała się go już tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła go idącego po schodach z sędzią.

– Przyszłam ci powiedzieć, że przed obiadem sędzia i komisarz będą chcieli rozmawiać z nami wszystkimi – oznajmiła Niki Darcette po wejściu do sali restauracyjnej.

Marie-Thérèse obróciła się.

– Gdzie?

– Tutaj – odparła Niki. – Jeszcze to ogłaszają.

Kelnerka zorientowała się, że ściska w ręce serwetkę, i odłożyła ją, próbując pięścią wygładzić zagniecenia.

– Nikt nie zauważy kilku zagnieceń – odezwała się Niki. Podeszła i stanęła obok koleżanki. – Nie dziś.

– Jest tyle łodzi policyjnych i niektórzy oficerowie chodzą po wyspie.

– To prawda – rzekła Niki, marszcząc brwi.

– Kto dowodzi? – zapytała Marie-Thérèse. – Sędzia czy komisarz?

– Sędzia – odparła Niki. – Antoine Verlaque jest sędzią śledczym. – A widząc skonsternowaną minę Marie-Thérèse, mówiła dalej: – Technicznie rzecz ujmując, ma większą władzę niż komisarz, może zrobić wszystko, co chce: założyć podsłuch, wejść do domu podejrzanego bez nakazu... i takie rzeczy. Komisarz pracuje z sędzią i jest szefem całej policji w swoim mieście.

Marie-Thérèse zagwizdała.

– Najwyraźniej dużo wiesz na temat prawa.

Niki roześmiała się.

– Tak, mogłabym tak długo. Był taki okres w moim życiu, kiedy miałam

dużo czasu i mieszkanie za darmo, myślałam wtedy o studiach prawniczych. Ale to byłoby stanowczo zbyt nudne.

– I zaczęłaś studiować hotelarstwo.

– Coś w tym stylu.

– To właśnie chciałabym robić – powiedziała Marie-Thérèse, prostując plecy. – Właśnie zdecydowałam. W Lozannie. Wysłałam już podanie.

– O rany! – odparła Niki ze śmiechem. – Masz jakieś dwadzieścia pięć tysięcy euro?

– Czy to kosztuje tak dużo? Niejasno wypowiedali się na temat kosztów...

– I to tylko za jeden rok.

Kelnerce wyraźnie zrzędała mina.

– Nie miałam pojęcia. Może mogłabym dostać stypendium.

– Może – odparła Niki, nagle wzruszona szczerym entuzjazmem koleżanki i jej naiwnością. – Ale czy ty naprawdę potrzebujesz szkoły? Tutaj zdobywasz wspaniałe doświadczenie, pracując... To ma ogromną wartość. I wszyscy tutaj jesteśmy zachwyceni tym, jak sobie radzisz na Sordou.

– Naprawdę? – upewniała się Marie-Thérèse, a jej oczy aż rozbłysły. – Nawet tym, jak napiłam się wina sędziogo?

Niki roześmiała się.

– Gdybym dostawała centyma za każdy błąd, który popełniłam, byłabym milionerką.

W tym momencie z hallu dobiegły je jakieś głosy, które zbliżały się do sali restauracyjnej.

– Wszyscy tutaj idą – stwierdziła Niki. Wyciągnęła dłoń i delikatnie pogłaskała rękę koleżanki. – Zrób mądrą minę – dodała, uśmiechając się.

Marie-Thérèse zasalutowała, także z uśmiechem na twarzy, a Niki poczuła przyływ radości. Już od dawna nie udało jej się sprawić, by drugi człowiek był z siebie dumny. Nauczyła się tego od Claire przed wieloma laty w Néoules. Przez ostatnie kilka lat Niki martwiła się, że straciła zdolność do cieszenia się czymkolwiek. I tutaj, w tym dziwnym dniu, odkryła, że nadal potrafi odczuwać radość.

– Dzień dobry, Niki, dzień dobry, Marie-Thérèse – przywitał się Verlaque, wchodząc do sali restauracyjnej. Płaskie jak szkło błękitne morze lśniło od odbijającego się w nim wczesnowieczornego słońca. – To musi być jeden z najpiękniejszych widoków na całym Morzu Śródziemnym – dodał.

– Nigdy mi się nie nudzi – odezwała się Niki.

– A ty, Marie-Thérèse? – zapytał z uśmiechem.

– *Mais oui, oui* – odparła, potykając się o własne słowa. – Ale jestem tak zajęta, że często zapominam popatrzeć na morze. Za to uwielbiam tę salę.

– Jest doskonała – przyznał Verlaque. – Już idą... Poprosiłem, by cały

personel i wszyscy goście przyszli tu poznać komisarza policji z Aix-en-Provence.

W ciągu kilku minut wszyscy byli na miejscu i można było dokonać prezentacji. Bruno Paulik stał obrócony plecami do panoramicznych okien i zwracał się do grupy. Goście i personel, powodowani szacunkiem, ustawili się półkolem. Jedynie Mme Denis, niedawno obudzona, siedziała na krześle, pochylając się do przodu.

– Dziękuję państwu za tak szybkie przybycie – zaczął Paulik. – Jak już wicie, nazywam się Bruno Paulik i jestem komisarzem policji w Aix-en-Provence, a po mojej lewej stronie stoi hotelowy gość i mój kolega, sędzia Antoine Verlaque.

– Mme Denis – kontynuował – proszę przyjąć moje szczere kondolencje. Jednocześnie przepraszam, że panią obudziliśmy.

Kobieta skinęła głową i spojrzała na swoje dłonie, po raz kolejny obracając duże pierścienie.

Paulik mówił dalej:

– A szefa kuchni...

– Émile'a – szybko wtrąciła Marie-Thérèse.

– Dziękuję. Émile'a przepraszam za przerwanie przygotowań do dzisiejszej kolacji.

– Nie ma problemu – odparł kucharz. – Ale nie będę mógł zostać długo.

– To zrozumiałe. Jak wszyscy wicie, dziś wcześniej rano M. Denis został znaleziony martwy przez hotelową pokojówkę, Marie-Thérèse.

Nieomal wszyscy obecni spojrzeli na dziewczynę, a ona skuliła się ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Właśnie dzwonił do mnie koroner z informacją, że M. Denis zmarł ostatniego wieczoru, pomiędzy szesnastą a dwudziestą, od pojedynczego strzału w głowę.

Zebrani gwałtownie zaczerpnęli powietrza, a Mme Denis próbowała wstać.

– Zatem słyszeliśmy ten strzał – odezwała się Marine.

– To było tuż przed osiemnastą – dodała Sylvie.

Brice szybko ujął matkę pod ramię i posadził ją z powrotem.

– Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? – zapytała Emmanuelle Denis, z trudem łapiąc oddech. – Że mój, że mój...

– Tak, niestety – odpowiedział Paulik. – Alain Denis został zabity z zimną krwią.

– Kto zabił mojego męża? – wykrztusiła.

– *Maman, s'il te plait...* – wymruczał Brice, siadając obok niej i ujmując jej drżące dłonie.

– Zatem co oznacza ta wiadomość dla Sordou? – chciała wiedzieć Cat-Cat Le Bon.

– Cat-Cat! – zaprotestował Max Le Bon.

– To czysta Agatha Christie – szepnęła Sylvie.

– Obawiam się, że nie będą mogli tu przybyć żadni nowi goście, dopóki nie wyjaśnimy sprawy – odrzekł Verlaque.

– A zamierzamy to zrobić tak szybko, jak to możliwe – dodał Paulik.

– Nie martw się za bardzo, Max – odezwała się Delphine Viale. – Jeśli chodzi o reklamę, nie istnieje coś takiego jak złe wiadomości. Telefon będzie dzwonił nieprzerwanie, już dziś pewnie tak było.

– *Chérie!* – skarcił ją mąż, marszcząc brwi.

– *Chérie*, sam mówiłeś tak dziś rano – odpowiedziała Delphine.

Mme Denis spojrzała w górę zapuchniętymi oczyma.

– Nie mogę w to uwierzyć... Poza tym poprosiłam, by policjant strzegł moich drzwi. Morderca może czyhać także na mnie. Gdzie nasza ochrona?

– Mme Denis, dwóch policjantów pilnuje nabrzeża, a przy wejściu do portu znajduje się łódź policyjna – uspokajał ją Paulik.

Kobieta zaczęła płakać, Antoine Verlaque szybko przeszedł przez salę i położył jej rękę na ramieniu. Zanim ją cofnął, wdowa wyciągnęła rękę i przytrzymała jego dłoń. Pomimo letniego upału jej ręka była zimna.

– Mogę was zapewnić, że Sordou będzie funkcjonować jak dotychczas – oznajmiła Cat-Cat, wychodząc do przodu.

Niki zawtórowała jej:

– Drodzy państwo, wszyscy będziecie traktowani z taką samą uwagą, jak przez cały ostatni tydzień. Obiecujemy.

– Nie musicie nas rozpieszczać – odezwała się Shirley Hobbs po angielsku. – Damy sobie radę.

– Ja nadal będę łowił – dodał jej mąż, wykonując gest zarzucania wędki.

Bruno Paulik próbował się uśmiechnąć.

– Dziękuję wam wszystkim za współpracę. Jutro rano sędzia Verlaque i ja zaczniemy przesłuchiwać was w kolejności alfabetycznej. Wszystko, co widzieliście i słyszeliście, będzie pomocne. Wszystko, co niezwykle, bez względu na to, jak nieistotne wydawało się w tamtym czasie.

– Czy to możliwe, by morderca dostał się na brzeg za pomocą łodzi lub wpław? – zapytał Serge Canzano.

– Żadną miarą – stwierdził Hugo Sammut. – To było...

– Z pewnością sprawdzimy tę drogę – przerwał mu komisarz. Przed spotkaniem rozmawiał z Verlakiem. Obaj podzielali opinię Sammuta, że morze było zbyt wzburzone, aby ktoś z zewnątrz mógł przybyć na wyspę, ale nie mogli tego wykluczyć. Poza tym nie chcieli niepokoić gości i personelu Sordou stwierdzeniem, że morderca najprawdopodobniej znajdował się wśród nich. – Zatem do jutrzejszych przesłuchań, *bon appétit*.

– A skoro o tym mowa, to muszę wracać do dzisiejszej kolacji – powiedział Émile.

– Bardzo proszę – odparł Verlaque.

– Wszyscy umieramy z głodu! – zawołał po angielsku Bill Hobbs.

– Bill! – syknęła Shirley.

Émile pospiesznie opuścił salę, a Serge szepnął coś o otwarciu wina i ruszył za nim. Marie-Thérèse spojrzała na Verlaque'a szeroko otwartymi oczyma.

– Możesz iść i pomóc, Marie-Thérèse – powiedział.

– *Merci!* – zawołała dziewczyna, ruszając przed siebie prawie biegiem.

– Zamierzam wrócić do swojego pokoju i odpocząć – rzekła Mme Poux.

– Pójdę z tobą, Yolaine – zaofiarowała Niki.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała sucho Mme Poux, opuszczając salę.

– Dobrze, niech będzie, jak sobie życzysz – mruknęła Niki, wychodząc z Le Bonami i Mme Denis.

– Brice i ja zjemy w naszym apartamencie – poinformowała Mme Denis.

– Dobrze – rzekł Verlaque. – Przekażę to Marie-Thérèse.

Marine podeszła i ujęła go pod ramię.

– Byłbyś świetnym kierownikiem sali – powiedziała, puszczając do niego oko.

– Trochę tak się czuję – odrzekł.

– Och, następne kilka dni będzie interesujące – stwierdziła Sylvie, wyciągając krzesło spod stolika nakrytego na cztery osoby.

Marine usiadła i rozejrzała się po sali.

– Jak spokojnie.

Verlaque zerknął na Monniera, który zjadł już prawie cały chleb, jaki Marie-Thérèse postawiła na jego stole. Zgarbiony mężczyzna zapisywał coś energicznie w swoim notatniku. Verlaque zazdrościł poecie jego niesłabnącej miłości do sztuki.

– Hej, a gdzie był Prosper w czasie dzisiejszego przesłuchania? – zapytała Sylvie.

– Dobrze wiesz, że to nie było przesłuchanie – stwierdził Verlaque.

– Sędzia Verlaque powiedział mi o nim – odparł Paulik. – Uznaliśmy, że najlepiej będzie pójść do latarni, by z nim porozmawiać. Rozumiem, że trochę... zakłóca on tutaj spokój.

– I to jak – skomentowała Marine. – On jest jak z jakiejś powieści.

– I to dziewiętnastowiecznej – dodała Sylvie.

Pojawiła się Marie-Thérèse w towarzystwie Serge'a, oboje nieśli miski z zupą.

– Zupa z owoców morza ze świeżą żabnicą, botwiną, makaronem ryżowym, imbirem i kolendrą – oznajmiła Marie-Thérèse. – I z odrobiną chili – dodała.

– Dziękuję – odparł Verlaque. – Zupa będzie doskonała z białym winem z Cassis, nie sądzisz, Marie-Thérèse?

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Tak – stwierdziła. – Serge powiedział... To znaczy... Owocowy bukiet wina Cassis będzie pasował doskonale do żabnicy, a dodatek... mmm... grona Marsanne dodadzą reńskiej ciężkości, której potrzebują imbir i chili... a raczej... której wymagają.

Paulik spojrział w górę i uśmiechnął się.

– Brzmi świetnie – skwitował.

Marie-Thérèse obróciła się na pięcie i wróciła do kuchni po następne talerze zupy. Marine zobaczyła Serge'a, który stał w drzwiach i pokazywał kelnerce podniesione w uznaniu kciuki.

– Jest cudowna – zauważyła Marine.

– Z pewnością nie jest morderczynią – powiedziała Sylvie, pochylając się nad miską. – A zupa pachnie bosko.

– Czy tak jadaliście przez cały tydzień? – zapytał Paulik.

Verlaque skinął głową, zbyt zajęty, by odpowiedzieć słowami. Do jego nosa dolatywały zapachy imbiru, pieprzu i kolendry. Okręcił trochę makaronu na łyżce, widelcem nabrał kawałek żabnicy i umieścił go delikatnie na łyżce razem z bulionem, po czym wziął to do ust, zamykając oczy.

– Ten wywar jest taki delikatny! – rzekła Marine. – Nie wiem, jak on to robi, jak gotuje tak dobrze.

Verlaque znów skinął głową i otworzył oczy.

– Co...? – powiedział, patrząc w kierunku hallu.

– Co się stało, Antoine? – zapytała Marine.

– Właśnie zobaczyłem Isnarda i jego durnego kuzyna – odparł, szybko się podnosząc.

– Co? – Paulik odłożył łyżkę. – Rybak wciąż tu jest?

Obaj mężczyźni szybko wyszli, ścigani spojrzeniami wszystkich gości Sordou.

– Isnard! – krzyknął Verlaque, akurat gdy rybak dotarł do drzwi wejściowych. – Co się dzieje? Dlaczego wciąż tu jesteś?

Isnard wzruszył ramionami i podniósł rękę.

– Nie chciałem wam przeszkadzać – powiedział. – Ale Fred nigdy nie widział takiego wykwintnego hotelu i pomyślałem, że mogę go wprowadzić... Skoro wszyscy byliście na spotkaniu.

Fred, naśladując kuzyna, wzruszył ramionami, a następnie spojrział na swoje sportowe buty.

– Piękna kuchnia – powiedział w końcu. – W domu sam jestem niezłym kucharzem.

– Na litość boską, Isnard – odezwał się Verlaque, wzdychając. – Zabieraj się z wyspy, zanim stracę cierpliwość.

– A jutro – dodał Paulik – masz pojawić się bez towarzystwa.

– *Oui, monsieur le commissaire!* – rzekł Isnard i ukłonił się. – Idziemy, Fred. U mnie czeka na nas potrawka rybna. I nie ma w niej wymyślnego

zagranicznego makaronu ani dziwnych przypraw.

## Jesteśmy obcy

– Nawet kawa jest tutaj dobra – zauważył Paulik, odstawiając pustą filiżankę od espresso.

– Illy – odpowiedział Verlaque, który wypił już trzy filiżanki do śniadania. Tego ranka obaj urządzili się w przyszłym pokoju konferencyjnym z mało inspirującym widokiem na ściany otaczające *potager* Émile’a.

– Celowo umieściliśmy pokój konferencyjny tutaj – wyjaśnił Max Le Bon rano, kiedy Verlaque i Paulik pomagali mu wnosić do tymczasowego biura małe stoliki i cztery krzesła z sali restauracyjnej. – Uznaliśmy, że jeżeli pracuje się ciężko, to widok tylko rozprasza.

– Jest doskonale – skomentował Verlaque.

– Goście przebywają na zewnątrz albo w hotelu. Kręcą się, czekając, aż zostanie wyczytane ich nazwisko – rzekł Le Bon. – Dobrze, że każdemu wyznaczycie przybliżony czas spotkania.

– Przeznaczycie około dwudziestu minut na osobę – wyjaśnił sędzia. – Chociaż pod koniec dnia zawsze są opóźnienia, tak jak w gabinecie lekarskim.

– Lepiej tak niż skończyć wcześniej – odparł hotelarz. – Miejmy nadzieję, że chociaż jeden z naszych gości rzuci nieco światła na sprawę.

– Dziękuję, M. Le Bon – zwrócił się do niego Paulik.

Max Le Bon zrozumiał sugestię i skinął głową, wychodząc z pokoju.

– Na wyspie są tylko trzy miejsca, w których może zacumować łódź: naturalny port, zatoczka, w której zginął Denis – a tam łódź nie może wpłynąć głęboko – i okolice latarni Prospera.

– Czy można mu ufać?

– Pomimo ekscentrycznego wyglądu i afektowanego sposobu wypowiedzania się – odrzekł Verlaque – Prosper, jak słyszałem, maniakalnie dba o swoją latarnię morską, choć jest zautomatyzowana, i o swoje małe nabrzeże.

– Nadal uważam, że dobry pływak mógł tutaj dotrzeć z łodzi zakotwiczonej niedaleko Sordou – stwierdził Paulik.

– Tak, to niewykluczone. Widziałem już dziwniejsze rzeczy.

Paulik nie odpowiedział. Wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę papieru, którą Verlaque zapisał szybko wczesnym rankiem.

– Marine Bonnet – przeczytał Paulik z uśmiechem. – Podejrzana numer



jeden, pierwsza na liście.

Jakby słysząc swoje nazwisko, Marine nieśmiało zapukała do drzwi i weszła.

– Cześć, moi drodzy – przywitała się.

– Proszę usiąść, Mlle Bonnet – zwrócił się do niej Paulik, próbując zachować powagę.

Marine usiadła, mówiąc:

– Nie chcę zabierać wam zbyt dużo czasu. Daję słowo, że jestem w kropce. Nie mogę wyobrazić sobie, by ktoś tutaj zabił Alaina Denisa, więc myślę raczej, że morderca przybył od strony morza. – Przerwała, po czym dodała: – To brzmi tak romantycznie.

Verlaque powtórzył rozmowę, którą przed chwilą odbyli z Paulikiem.

– Rozumiem – odparła Marine. – Latarnik z obsesją i wzburzone morze zmniejszają szanse, że zabójca przybył spoza wyspy. Myślę, że powinnam wyjść i mieć uszy i oczy szeroko otwarte.

– Także na morze – dodał Paulik.

– Byłoby świetnie – powiedział Verlaque. – Ale na wypadek, gdyby morderca był wśród nas – choć trudno w to uwierzyć – proszę, bądź ostrożna. Oni raczej niczego nie zdradzają i mogą być niebezpieczni.

– Zadbam o to, by mieć obok siebie Sylvie.

Verlaque uniósł lewą brew, a Paulik roześmiał się.

– Przyślę następną osobę – zakończyła Marine, podnosząc się z krzesła.

– Serge Canzano? – przeczytał komisarz.

– To barman – wyjaśniła Marine. – Do zobaczenia na lunchu.

– Nie mogę się doczekać. – Verlaque posłał jej uśmiech.

Zanim pojawił się Canzano, sędzia szybko wprowadził Paulika w temat gości i personelu, opisując pokrótce zawód i osobowość każdego z nich. Serge'a Canzano określił słowami: „spokojny profesjonalizm”, Cat-Cat nazwał „tygrysić”, a Erica Monniera – „poetą z głową w chmurach”.

– A kierowniczka hotelu? – chciał wiedzieć Paulik.

– Uwodzicielka, z trudną przeszłością.

– A gospodyni?

– Po prostu dziwna – odparł sędzia. – Ale chyba znała Denisa, kiedy byli młodzi. W zatoczce powtarzała, że był kiedyś świetnym pływakiem.

– Alain Denis był z Marsylii, prawda?

– Tak.

– A chłopak, Brice? – zapytał Paulik. – Jaki jest?

– Smutny i zły – odpowiedział sędzia. – Pamiętasz, jak sam taki byłeś w jego wieku?

– Jaki, sir?

Verlaque'owi nie umknął fakt, że Bruno Paulik znowu zaczął zwracać się do niego „sir”.

– No cóż – mówił dalej – nie byłeś targanym sprzecznymi emocjami,

pełnym złości nastolatkiem?

– Właściwie nie.

Sędzia uśmiechnął się.

– A jak myślisz, dlaczego?

– Czysta bezwarunkowa miłość ze strony rodziców – odparł Paulik. – Przepraszam, sir, nie chciałem powiedzieć, że...

Verlaque machnął ręką.

– Nie ma problemu. Dostawałem taką w obfitości od moich dziadków. Ale oni przez większość czasu mieszkali w Normandii.

Canzano zapukał do drzwi i komisarz z ulgą mógł zawołać:

– Proszę!

– Proszę usiąść, M. Canzano – rzekł Verlaque, wskazując krzesło.

– Dziękuję. Przygotuję panu lagavulina tuż przed lunchem, panie sędzio – powiedział Canzano. – Jak zwykle.

Paulik zakasłał.

– Obawiam się, że musimy zacząć od bardzo podstawowych pytań.

– Na przykład, gdzie byłem późnym popołudniem w poniedziałek? – zapytał barman z miną pokerzysty.

– Bar jest zamknięty przez część popołudnia – zauważył Verlaque.

– Zgadza się – spokojnie odpowiedział Canzano. – Jak większość personelu, mam sjęstę, zwykle między piętnastą a osiemnastą.

– To zrozumiałe – rzekł sędzia. – Wszyscy wstajecie na długo przed gośćmi i idziecie spać dużo później niż oni. Czy słyszał pan strzał? Tuż przed osiemnastą?

– Nie, nie słyszałem – odparł Serge. – Byłem w barze, ale odtwarzałem muzykę i miałem włączony blender, więc nie mogłem go słyszeć.

– Blender?

– Tak, przygotowywałem margaritę dla M. Viale. Był moim pierwszym klientem.

– Jaka była pańska opinia o M. Denisie? – chciał wiedzieć komisarz. – Barmani są często dobrymi obserwatorami ludzi.

– Był trudnym człowiekiem. I niekochanym.

– Przez kogo?

– Przez żonę i pasierba. Tylko oni mogli go kochać lub nie kochać. My wszyscy pozostali byliśmy obcy.

Paulik zanotował słowa „wszyscy pozostali byliśmy obcy” i dodał znak zapytania.

– Czy zauważył pan coś niezwykłego w zachowaniu rodziny Denisów? – zapytał Verlaque.

Canzano zrobił przerwę, zanim zaczął mówić.

– Myślę, że Mme Denis mogła mieć... Nie, ujmę to inaczej. Pewnego wieczoru opuściła bar bardzo późno, pijana, z M. Viale'em. – Spojrzał na sędziego i dodał: – To pański kumpel ze studiów.

– Dobra robota – skomentował Verlaque. – Byliśmy razem na uniwersytecie.

– Którego wieczoru miał miejsce ten incydent? – zainteresował się komisarz i chwycił za ołówek.

– W sobotę – poinformował ich Canzano bez zastanowienia. Nawet jeśli uważał to za coś dziwnego czy niestosownego, nie dał tego po sobie poznać.

– Poprosiliśmy Mlle Darcette i M. Le Bona, by przekazali nam pańskie CV i adresy kontaktowe na łódzie – odezwał się sędzia. – Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy o panu wiedzieć?

Canzano potrząsnął głową.

– Nic, czego nie można by znaleźć w moim życiorysie. Prawie przez całe życie byłem barmanem, trzydzieści lat. Większość tego czasu mieszkałem w kawalerce w pobliżu Cours Julien, ale zrezygnowałem z niej, kiedy przyjąłem tę pracę. Nie było sensu opłacać czynszu za puste mieszkanie. Nigdy nie byłem żonaty i nie mam dzieci. Rodzice nie żyją.

– I kocha pan historię Francji – zauważył Verlaque.

– To prawda. Pan też jest dobrym obserwatorem – skomentował barman, posyłając im słaby uśmiech.

– Zobaczymy się później, przed lunchem – odparł sędzia, odwzajemniając uśmiech.

– Bardzo dobrze – rzekł Canzano, lekko się kłaniając, co przypominało Paulikowi zachowanie służących z filmów obyczajowych opowiadających o dziewiętnastowiecznej Anglii, które Léa i Hélène tak lubiły oglądać na DVD.

– To powinno być bardziej interesujące – powiedział Verlaque, kiedy przeczytał nazwisko Niki Darcette.

Kobieta weszła do środka szybkim krokiem i usiadła, zanim zaferowano jej krzesło. Obciągnęła wąską spódniczkę, żalując, że nie włożyła swoich eleganckich szortów od Max Mary, które kupiła na wyprzedaży, kiedy dostała tę pracę. M. Masurel mówił, po jej desperackim telefonie z Cannes, by nigdy nie stawiała się w niezręcznej sytuacji w obecności policji czy prawników. Ubrania były ważne, powinny być luźne, czyste i wyprasowane. W momentach stresu wyobrażała sobie jego twarz. Tak jak teraz.

– Zaczęła pani pracować tu w kwietniu, prawda? – zapytał Verlaque.

– Tak – odparła Niki. – To jest w moim CV. Zaczęłam wcześniej, by pomóc Cat-Cat z księgowością, zanim hotel został oficjalnie otwarty.

Sędzia pochylił się do przodu.

– Widziałem pani CV – powiedział. – Dziś rano.

Mme Darcette poruszyła się na krześle.

– Czy mogłaby pani oświecić nas w kwestii brakujących lat?

– Le Bonowie panom nie powiedzieli?

– Nie.

- Niczego nie ukrywałam – rzekła Niki. – Oni wszystko wiedzą.
- Zatem gdzie pani była po szkole średniej w Var, a przed pierwszą pracą w Hiltonie w Bordeaux?
- W więzieniu – odparła Niki beznamiętnie.
- Paulik przerwał pisanie i spojrział w górę.
- Ale nie za morderstwo – wyjaśniła. – Za kradzież. Między innymi.
- Może zacznie pani od początku? – zaproponował Verlaque.
- A może zadzwoni pan do kolegów z Cannes i dowie się wszystkiego ze szczegółami – odparowała Niki. Zanim sędzia zdążył zwrócić jej uwagę, dodała: – Skończyłam szkołę średnią z piętnastoma punktami na dwadzieścia z egzaminu *bac*.
- To bardzo dobry wynik – przyznał Verlaque, wiedząc, że dwanaście punktów dawało wyróżnienie. – Dlaczego nie poszła pani na studia?
- Dostałam piętnaście punktów bez specjalnych starań. Miałam dobre nawyki w uczeniu się – nie dzięki rodzicom, ale dzięki pewnym przyjaciołom. Ale oni przeprowadzili się z powrotem do Paryża, kiedy byłam w gimnazjum. Czułam się nie na miejscu w Var, więc przeprowadziłam się do Côte, jak tylko skończyłam szkołę, razem z moim chłopakiem, prawdziwym ladaco o imieniu Kévin. Przez kilka miesięcy pracował w kawiarni... może nawet były to tygodnie... i potem zrezygnował. Praca była za ciężka. Kradzieże okazały się łatwiejsze. Widziałam, jak to robił, i naśladowałam go.
- Co kradliście?
- Kévin nie był zbyt cwany, zabierał kobietom torebki i nie wiedział, co z nimi robić, zabierał tylko pieniądze. Więc rzuciłam go i zaczęłam się trzymać z jego kumplami, którzy zajmowali się włamaniami... głównie do ekskluzywnych sklepów. Przywódcą gangu była prawdziwa menda, miał na imię Robert i był milion razy twardszy niż Kévin. Zabawne, jak skończyłam w towarzystwie tych kreatur. W końcu złapano nas po skoku na sklep jubilerski... Miałam prawo do jednej rozmowy telefonicznej, ale wiedziałam, że moich rodziców nie będzie to obchodziło ani mi nie pomogą.
- Więc zadzwoniła pani do przyjaciół rodziny – zgadywał sędzia. – Tych, którzy nauczyli panią, jak się uczyć, zanim przeprowadzili się do Paryża...
- Niki próbowała odchrząknąć.
- Tak. M. Masurel był prawnikiem, grubą rybą, w Paryżu. Wyprowadzili się z naszej wioski, kiedy chodziłam do szóstej klasy, ich córka i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.
- Yves Masurel? – zapytał Verlaque.
- Tak, to on.
- Pracowałam z *Maître* Masurelem. Wspaniały. Do cna uczciwy.
- I skontaktował panią z prawnikiem z Cannes? – chciał wiedzieć Paulik.
- Nie – odpowiedziała Niki, prostując się. – Przyjechał do Cannes tego

samego dnia. Reprezentował mnie.

Sędzia był pod wrażeniem, skinął głową.

– Ile pani dostała?

– Sześć lat, trzy przy dobrym zachowaniu.

– Sześć? – zdziwił się komisarz. To więcej niż zwykle za włamanie.

Zanotował sobie w myślach, by zadzwonić do policji w Cannes.

– I uczyła się pani hotelarstwa podczas pobytu w więzieniu? – zapytał Verlaque.

– Tak – odparła Niki. – Prowadzili eksperyment: szkolili tak zwanych „wyjątkowych” więźniów w restauratorstwie i hotelarstwie. Jest mnóstwo takiej pracy na wybrzeżu. Świetnie dawałam sobie radę.

– Nie wątpię – rzekł sędzia z uśmiechem.

– Co pani wie o Alainie Denisie? – zapytał Paulik.

– Absolutnie nic – odparła Niki. – Nigdy nie widziałam żadnego z jego filmów.

– A jako o gościu? – wtrącił się sędzia.

– Upierdliwy. Ale nie mówię niczego, czego panowie już nie wiedzą.

– Gdzie pani była w poniedziałek o osiemnastej? – zapytał Verlaque.

– Usłyszałam strzał. Myślałam, że to Prosper. Byłam w biurze, telefonowałam.

– Czy mogłaby pani dać nam listę rozmów, byśmy mogli je zweryfikować? – upewniał się Verlaque.

Niki wzruszyła ramionami.

– Oczywiście – rzekła. – Mam je wszystkie spisane.

– I nie widziała pani niczego niezwykłego w poniedziałek? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Nie. Tylko przy śniadaniu dostrzegłam słaby uśmiech i usłyszałam słabe, prawie bezgłośnie „dziękuję” z ust Alaina Denisa.

\*

Marie-Thérèse przyniosła Verlaque’owi i Paulikowi dwie kolejne filizanki espresso i postawiła je na prowizorycznym biurku.

– *Émile vient de faire des financiers* – powiedziała, przesuając w ich stronę małe prostokątne ciastka migdałowe.

– *Encore chaud* – odezwał się Paulik, maczając jedno z nich w kawie.

Sędzia usiłował nie zrażać się tym, że komisarz marnował wspaniałe puszyste ciastko, zamieniając je w bezkształtną masę.

– Proszę, podziękuj od nas Émile’owi.

Marie-Thérèse skinęła głową i szybko wyszła, zostawiając otwarte drzwi dla Brice’a. Nastolatek wszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

– Tak właściwie nazwisko mam po mamie – powiedział, siadając. – Dortignac...

– *Financier?* – zapytał Verlaque, wskazując na ciastka.

- Ohyda – odpowiedział Brice, marszcząc nos.
- Chcieliśmy porozmawiać z tobą przed rozmową z twoją mamą – odezwał się Paulik, do którego dopiero teraz dotarł komentarz chłopaka.
- Nie lubisz *financiers*? – zdziwił się Verlaque.
- Ale Dortignac jest po Denis – mówił dalej chłopak. – Nigdy nie nosiłem tego nazwiska, Denis. Nigdy.
- Wiemy – odparł Paulik.
- O twoich gustach kulinarnych porozmawiamy innym razem – powiedział sędzia, pomijając słowo „złych”. – Więc nie pragnąłeś nosić nazwiska Denis?
- Prosper mówi, że powinniśmy jeść tylko to, co pochodzi z nieba, morza i ziemi...
- Komisarz stłumił ziewnięcie, a sędzia podejrzliwie spojrzał na swoje ciastko.
- Wróćmy do nazwiska – powiedział, odkładając *financier* – a o Prosperze porozmawiamy później.
- Nigdy nie chciałem nosić nazwiska Denisa, bo nigdy nie lubiłem mojego ojczyma – wyjaśnił Brice, krzyżując ręce na piersiach.
- Na tyle, by go zabić? – zapytał Verlaque.
- Co?! – wykrzyknął chłopak.
- W poniedziałek byłeś w zatoczce – stwierdził sędzia.
- Jak wielu innych – odparł Brice.
- Mogłeś sprawdzać zatoczkę, starając się wymyślić, jak dopaść tam Alaina Denisa.
- To szaleństwo! – zawołał chłopak. – Poza tym jak bym zdobył pistolet? To nie są Stany.
- Często podróżujesz do Stanów i z powrotem – zauważył Verlaque.
- Tak, ale nie mam ani potrzeby, ani umiejętności, by przemycać w samolocie pistolet do Francji.
- Ładnie powiedziane – zaobserwował sędzia, unosząc brwi. – Dużo czytasz?
- Tak – powoli odrzekł Brice.
- Poezję?
- Nie – powiedział chłopak.
- Szkoda...
- Prosper ma broń – stwierdził sędzia. – A ty byłeś z nim w poniedziałek.
- On ma strzelbę myśliwską – zauważył Brice.
- Nie powiedziałem, z jakiej broni zabito twojego ojczyma – rzekł Verlaque.
- Poza tym – głos chłopaka wreszcie się załamał – cały dzień spędziłem z Prosperem. On wam powie.
- Dobrze – powiedział sędzia. – O której do niego dotarłeś?
- Około północy – odparł Brice. – Byłem zły i wybiegłem z hotelu. Nie

wiedziałem, dokąd iść, więc kierowałem się w stronę światła latarni. Kiedy podszedłem blisko, Prosper usłyszał moje kroki i wybiegł z latarni ze swoją strzelbą. Przestraszył mnie na śmierć.

– Wyobrażam sobie. Mów dalej.

– Zaprosił mnie do środka – kiedy już się przekonał, że nie zamierzam go okraść – i zrobił mi herbatę. Trochę rozmawialiśmy, a raczej on mówił, a ja słuchałem, starając się zrozumieć, o czym mówił. Musiał zauważyć, że ziewam, bo dał mi wygryziony przez mole koc i powiedział, że mogę spać na łóżku polowym w rogu kuchni.

– A następnego dnia? – dociekał Verlaque.

– Zjedliśmy śniadanie na jego pomoście – rzekł chłopak. – Opowiadał mi o rybach i ptakach na Sordou. Wie o tym równie dużo co M. Hobbs. Na lunch zjedliśmy chleb i ser – umierałem z głodu – a potem zabrał mnie na tereny za latarnią, w poszukiwaniu królików. Jednak żadnych nie znaleźliśmy. Późnym popołudniem graliśmy w szachy, wygrał obie rozgrywki... I wtedy powiedziałem mu, że chyba powinienem wracać do hotelu... Znacie, panowie, resztę.

– Twój ojciec mieszka w Nowym Jorku – odezwał się Paulik, chcąc wrócić do związków z USA. – Czy to prawda?

– Tak, na Manhattanie – odparł Brice. – Ale teraz prawie go nie widuję. Ożenił się z młodą modelką i urodziły im się bliźniaczki... To jeszcze niemowlęta.

– Rozumiem – rzekł Verlaque, ciszej niż zamierzał. – A M. Denis przejął rolę ojca?

Chłopak roześmiał się.

– Nawet nie próbował.

– Wiedziałeś, że twój ojczym był świetnym pływakiem?

Brice wyglądał na szczerze zdumionego.

– Nie. Kiedy był dzieckiem?

– Mniej więcej w twoim wieku – poinformował go sędzia, nie wiedząc, czy mówi prawdę. Nie rozmawiali jeszcze z Mme Poux, więc nie miał pojęcia, kiedy to było.

– No cóż, nie utopił się – skomentował chłopak.

– Słusznie – zgodził się Paulik i odłożył ołówek.

– Opiekuj się matką. A teraz możesz ją tu przysłać – zakończył rozmowę Verlaque.

Brice opuścił pokój, a komisarz pochylił się w stronę sędziego.

– Jest trochę za bardzo... zadowolony z siebie.

– Może po prostu jest bystry – zauważył sędzia. – Dużo czyta.

– To, że czyta, nie gwarantuje, że jest niewinny. Już udawało się panu do niego dotrzeć, był pan blisko wywołania jakichś reakcji, ale wtedy pan odpuszczał.

Verlaque wzruszył ramionami.

– Było mi go żal.

– Słońce i upał mają... – Paulik nie zdążył dokończyć zdania, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Brice z Emmanuelle Denis. Poprowadził ją pod ramię w stronę krzesła, pomógł jej usiąść, a potem odwrócił się do wyjścia, szepcząc:

– *À tout à l'heure, maman.*

Mme Denis podniosła na policjantów czerwone zapuchnięte oczy.

– Jak się pani czuje, *madame*? – zapytał Verlaque.

– Podle – odparła, wydmuchując nos. – To zaskakujące.

– Zaskakujące?

– Cóż, tak. Nie kochałam Alaina od lat. Dlaczego czuję się tak okropnie?

Obaj mężczyźni milczeli, mając nadzieję, że M. Denis rozwinie temat. I nie zawiedli się.

– Może to dlatego, że jego śmierć była taka straszna. I byliśmy małżeństwem, więc to ja będę miała na głowie dochodzenie, reporterów, fanów... Gdybyśmy byli rozwiedzeni, nie spadłoby to na mnie. Nie chcę zajmować się tym wszystkim... Chcę tylko wyjechać i zacząć nowe życie z moim synem.

– No cóż, więc postarajmy się rozwiązać sprawę jak najszybciej – powiedział sędzia. Zaskoczył go egocentryzm Mme Denis i gdyby tylko Alain Denis był za życia lepszym człowiekiem, Verlaque czułby z tego powodu złość. Ale zmarły, choć nie można było nazwać go potworem, absolutnie nie dał się lubić. Verlaque kontynuował:

– Może pani zaangażować agenta i menadżera M. Denisa do kontaktów z prasą. Dostawałby za to pieniądze. Czy widziała pani M. Denisa po lunchu, w waszym apartamencie?

– Nie – odparła. – W pokoju Brice'a są dwa łóżka, spałam na jednym z nich.

Verlaque pochylił się do przodu.

– Skoro dzieliła pani pokój z Brice'em, jak mogła pani nie zauważyć jego nieobecności tej nocy, którą spędził u Prospera?

Mme Denis przygryzła wargę.

– Byłam z kimś innym, w innym pokoju.

– Z M. Viale'em?

– Tak – przyznała. – Na końcu naszego korytarza był pusty pokój, z którego korzystaliśmy... oczywiście do przyjazdu komisarza. Poprosiłam Mme Le Bon o przygotowanie tego pokoju i zapłaciłam za niego. Za obie noce. Mam nadzieję, że nie wychodzę na kobietę lekkich obyczajów, czuję się samotna.

– To nie nasza sprawa – skwitował sędzia. – Chyba że ma coś wspólnego ze śledztwem. Gdzie pani była w poniedziałek o osiemnastej?

– Byłam w moim pokoju... naszym pokoju... tym, który dzieliłam z Brice'em. Wy go szukaliście, a ja byłam zdenerwowana, więc poszłam do



pokoju i się położyłam.

– Czy ktokolwiek przyszedł do pani pokoju? – zapytał Paulik. – Lub dzwonił?

– Nie. Dlaczego? – zdziwiła się Mme Denis. – Ach, rozumiem. By zapewnić mi alibi. Nie, nikt mnie nie odwiedził ani nie dzwonił.

– Czy pani zmarły mąż miał jakichś wrogów? – zainteresował się sędzia.

Mme Denis uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kto chciałby jego śmierci. Był okropnym człowiekiem, a to jeszcze pogłębiało się z wiekiem. Są reżyserzy i aktorzy rozwścieczeni jego samolubnym zachowaniem na planie, ale tak jak powiedziałam, morderstwo jest ekstremalnym sposobem na... rozwiązywanie nieporozumień.

– A pani nigdy nie rozważała morderstwa? – zapytał Verlaque.

Emmanuelle Denis wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Nie potrafię zabić nawet muchy.

Verlaque milczał. Słyszał to zdanie już wiele razy. Od morderców.

– Dziękujemy, Mme Denis – rzekł, odsuwając swoje krzesło.

– Jeszcze jedna rzecz – odezwała się, ignorując sugestię Verlaque'a, że rozmowa się skończyła. – Powiem to także Le Bonom: zginął mój pierścionek ze szmaragdami i brylantem.

## Marzenie o uniwersytecie

– Jest pani pewna? – dopytywał sędzia.

– Absolutnie – odparła kobieta.

Verlaque znowu usiadł.

– Trzymam wszystkie swoje pierścionki razem – szczególnie w czasie podróży – w małej chińskiej torebce z jedwabiu – mówiła dalej. – Zakładam je codziennie rano, kiedy się ubiorę, i zdejmuję, także codziennie, tuż przed pójściem spać. Odkładam je na toaletkę. Uwielbiam ten rytuał, więc wiem, że się nie mylę.

– A Brice? – zasugerował Paulik.

– Zajrzał pod toaletkę i pod łóżko, tylko po to, by przekonać mnie, że nie straciłam rozumu – odparła.

Komisarz zamilkł. Mme Denis nie zrozumiała jego pytania, chciał zasugerować, że to chłopak zabrał pierścionek. Widywał to już wcześniej, młodzi kradli, by kupić narkotyki albo jakieś gadżety. Po chwili Mme Denis dodała:

– Ostatnio dałam swoją biżuterię do wyceny do Drouota w Paryżu. Pierścionek ze szmaragdami i brylantem był bardzo stary, z osiemnastego wieku. Dostałam go przed laty od... no cóż, to nie ma znaczenia.

Jej słowa tylko utwierdziły Paulika w przypuszczeniu, że to chłopak mógł zabrać pierścionek.

– To rzeczywiście poważne – przyznał sędzia. – Kiedy zauważyła pani jego brak?

– Wczoraj rano. Przez cały dzień go szukałam, ale na próżno, a po kolacji syn pomógł mi przeszukać pokój. Poszłam spać zdenerwowana, planowałam rano powiedzieć Le Bonom, ale...

– Tak – przerwał jej Verlaque. – Czy nie sądzi pani, że M. Denis mógł zabrać pierścionek?

Mme Denis spojrzała na sędziego w zdumieniu.

– Ale po co?

– Nie wiem... – Przez głowę Verlaque'a szybko przebiegały myśli: „Czy Alain Denis rozpaczliwie potrzebował pieniędzy? Czy ktoś zabiłby dla pierścionka? Albo czy Denis zabrał pierścionek, bo dostała go od poprzedniego kochanka?”

– Może dla pieniędzy? – mówił dalej sędzia. – Czy finanse pani zmarłego męża były przejrzyste?

– Tak, jego księgowy dba o porządek w finansach – odparła. – Ale nie za bardzo było o co dbać, jak rozumiem. Stąd reklamy w telewizji. Tygodniowy pobyt tutaj to szaleństwo, Le Bonowie dali nam zniżkę w nadziei, że pobyt Alaina nakręci im koniunkturę.

– To kolejne powody, dla których pani mąż mógł wziąć pierścionek – zasugerował Paulik. Mme Denis nie odpowiedziała.

– Czy widziała pani testament M. Denisa? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Nasz prawnik przyjeżdża jutro – odrzekła. – Jeśli wpuscicie go na wyspę.

– Oczywiście – powiedział sędzia z uśmiechem. – Teraz już zostawimy panią w spokoju. Proszę więcej wypoczywać.

– Spróbuję. Dziękuję... za pańską pomoc. Wiem, że przyjechał pan tu na wakacje.

Verlaque miał zamiar zażartować, że nudziło go już słońce i morze, ale się powstrzymał.

– To nie problem – rzekł tylko.

W chwili gdy Mme Denis wyszła z pokoju, sędzia powiedział:

– Umieram z głodu.

– Ciekawy zbieg okoliczności – właśnie rozmawialiśmy z pracownicą hotelu, która siedziała w więzieniu za kradzież – zauważył Paulik, jakby nie słyszał oświadczenia swojego szefa. – I ginie pierścionek...

– Nie sądzę, by Niki nadal kradła – oznajmił Verlaque, wstając, by się rozciągnąć.

– O, naprawdę?

– Tak – potwierdził sędzia, nie słysząc sarkazmu w głosie komisarza. – Ma zbyt dużo do stracenia.

– Ale to mogło być takie kuszące – mówił dalej Paulik. – Nie mogę uwierzyć, że pierścionek jest tyle wart.

– A ja mogę – rzekł Verlaque, myśląc o biżuterii swojej babci, Emmeline, teraz złożonej w banku przy Rue d'Opéra w Paryżu.

– Mając dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro, Hélène mogłaby kupić jedną z tych nowych tłoczni do wina z Włoch – odezwał się komisarz. – Albo nawet dwie.

– Czy potrzebuje nowej tłoczni? – zapytał sędzia.

– Nie, nie, proszę się nie martwić – szybko odpowiedział Paulik. – Stara jest w porządku. Kto następny na liście?

– Sylvie, a potem Marie-Thérèse Guichard.

– Marie-Thérèse Guichard – powtórzył komisarz. – To ta kelnerka?

– Dziewczyna do wszystkiego – odparł Verlaque. – To jedna z najmilszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. I nie sądzę, by była morderczynią czy złodziejką. Sylvie powinna już tu być. – Otworzył drzwi i popatrzył w głąb korytarza. Zobaczył Marie-Thérèse i zapytał, czy widziała Mlle Grassi.

– Nie, sir – odpowiedziała dziewczyna. – Czy mam pobiec na dwór i jej poszukać?

– Nie – podziękował sędzia. – Może pani teraz wejdzie, jest pani następna na liście. – Wprowadził ją do środka i powiesił na drzwiach plaketkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

Kelnerka szybko usiadła.

– Przestań wykręcać ręce, Marie-Thérèse.

– Tak, sir – rzekła, rozdzieliła ręce i włożyła je sobie pod uda, wnętrzem dłoni do dołu.

Paulik pochylił się w przód i oparł przedramiona na stole.

– O której znalazłaś ciało Alaina Denisa?

– Tuż przed siódmą rano – odparła, przełykając ślinę.

– Czy zwykle spacerujesz tak wcześnie rano? – chciał wiedzieć.

– Nie, sir.

– Więc dlaczego wczoraj?

Verlaque spojrział z ukosa na swojego komisarza, ale milczał. Nie chciał zdenerwować dziewczyny.

– Zaczynam pracę wpół do ósmej...

– Tak, ale nie w zatoczce, prawda?

– Poszłam tam, by... – zawahała się – pomyśleć... – dokończyła.

– Naprawdę? – powątpiewał Paulik, jeszcze bardziej wychylając się do przodu. – To trochę daleko, prawda? Żeby pomyśleć?

Marie-Thérèse przygryzła dolną wargę, a jej oczy wypełniły się łzami.

Teraz sędzia pochylił się w jej kierunku.

– Przepraszam, że cię zdenerwowaliśmy. Mów dalej, proszę.

Młoda kobieta stłumiła szloch i zaczęła:

– Myślałam, że to przyniesie mi szczęście... Kiedy starałam się o pracę na Sordou, zrobiłam to samo... w Marsylii...

– Zesłaś do zatoki? – dopytywał Verlaque.

– Cóż, poszłam do końca starego portu – powiedziała, pociągając nosem.

– Następnego dnia kilka osób miało rozmowę o pracy, ja też, ale nie sądziłam, że mam szansę na posadę w takim eleganckim hotelu. Usiadłam więc na końcu mołu, patrzyłam na morze... i...

– Modliłaś się?

– Tak – przyznała. – Modliłam się. Właśnie to chciałam zrobić wczoraj w zatoczce. Chciałam być sama.

– O co się modliłaś? – dociekał sędzia. Teraz Paulik popatrzył na niego z ukosa.

Zaczęła płakać.

– Lozanna...

– Miasto w Szwajcarii? – zapytał Verlaque, starając się zachęcić ją do mówienia.

– Studia hotelarskie – rzekła, znowu pociągając nosem.

– Och, rozumiem – powiedział sędzia. – Starasz się dostać na uniwersytet w Lozannie?

– Tak, ale to na nic, nawet jeśli się dostanę – dodała, wydmuchując nos.

– A to dlaczego? – zainteresował się Verlaque, ale zanim jego słowa wybrzmiały, znał już odpowiedź. – Och, to prywatna szkoła, prawda?

– Jest strasznie droga – Marie-Thérèse nieomal jęknęła. – Byłam taka głupia, że w ogóle ubiegałam się o miejsce.

– A co ze stypendiami? – zapytał Paulik, znowu pochylając się do przodu.

– Dzwoniłam do nich – rzekła dziewczyna. – To wtedy pan mnie zobaczył – zwróciła się do Verlaque'a.

– Och, przepraszam, Marie-Thérèse, że mówiłem tak ostro – usprawiedliwiał się sędzia. – Starałem się dowiedzieć, kto był źródłem przecieku do prasy. – Spojrzał na komisarza i wyjaśnił, że we wtorek spotkał Marie-Thérèse w biurze, gdy dzwoniła, ale na jego widok przerwała połączenie.

– W porządku – wyjąkała. – Nie chowam urazy – rzekła, teraz leciutko się uśmiechając. – Szwajcarska sekretarka, z którą rozmawiałam przez telefon, była bardzo nieprzyjemna i powiedziała mi, że nawet jeśli otrzymam stypendium, nigdy nie wystarczy ono na pokrycie kosztów życia w takim drogim mieście.

– Nie trać nadziei – pocieszał ją Verlaque. – Dla chcącego nic...

– Co pani zrobiła, kiedy zobaczyła ciało M. Denisa? – Paulik przerwał szefowi.

– Zaczęłam krzyczeć. – Spojrzała na obu mężczyzn i odgadła, że ma mówić dalej. – Podbiegłam do niego... to znaczy do jego ciała... Leżał na plaży, twarzą w dół. Nie chciałam go dotykać. Krzyknęłam jeszcze raz... i odbiegłam.

– Jak opisałaby pani M. Denisa? – zapytał Paulik.

– Yhm... Nie był bardzo miły... Raczej nadęty.

– Czy zachowywał się wobec pani nieuprzejmie? – chciał wiedzieć komisarz.

– Tak, ale to nie oznacza, że...

– Nikt cię nie oskarża, Marie-Thérèse – uspokoił ją sędzia, zerkając na Paulika.

– Kiedy zachowywał się niegrzecznie? – zapytał komisarz.

– Raczej przez większość czasu – odparła. – Był wybredny i niecierpliwy. Na początku mnie to denerwowało, ale Émile mnie uspokoił. Powiedział mi, że M. Denis zachowuje się tak wobec wszystkich, więc nie powinnam tego brać...

– Do siebie? – podsunął Paulik.

– Właśnie tak.

– Pewnie dostrzegasz sporo z tego, co się dzieje na Sordou – zauważył Paulik.

– Chyba tak...

– Czy kiedykolwiek widziałaś, by M. Denis wdał się w kłótnię z gośćmi hotelowymi lub personelem?

– No cóż... dużo krzyczał na swoją żonę – odpowiedziała Marie-Thérèse, poruszając się na krześle. – I wszyscy widzieliśmy, jak Hugo się na niego wściekł. Poza tym M. Denis powiedział Émile’owi, że jego potrawy były nudne!

Paulik starał się być poważny.

– Émile musiał się tym przejąć.

– Właśnie! Powiedział, że Alain Denis nie odróżniłby pstrąga od tuńczyka.

Tym razem obaj mężczyźni musieli ukryć uśmiech.

– Czy coś jeszcze, Marie-Thérèse? – zapytał Verlaque. – Wszystko jest ważne, nawet jeśli na początku wydawało się bez znaczenia.

– Cóż, jest coś, co robił.

– Kto? – zapytał Verlaque. – M. Denis? Mów dalej.

– On, M. Denis, pewnego dnia spacerował po ogrodzie. Dwa razy to widziałam...

– Co?

– Próbuję wam powiedzieć – oznajmiła, naburmuszona. – Chodził dookoła i wyciągnął z kieszeni... – Spojrzała na Verlaque’a i mówiła dalej, prostując się. – Chodził dookoła i wyciągnął z kieszeni... Z kieszeni spodni, mówiąc konkretnie... kawałek papieru i czytał, co tam było napisane...

Verlaque spojrział na Paulika i zapytał:

– I?

– No cóż – rzekła. – Mówię to panom, bo to zdarzyło się dwa razy i za każdym razem czytał notatkę i się śmiał. Do siebie.

Paulik zapisał informację.

– Dziękuję – powiedział. – Bardzo nam pomogłaś.

– Czy to znaczy, że mogę iść? – zapytała. – To już prawie czas lunchu.

– Tak – potwierdził sędzia, wstając.

– Dziękuję! – zawołała, zanim którykolwiek z mężczyzn zdołał zapytać ją o pierścionek Mme Denis.

## 22

# Przeszłość

- Co to, u diabła, było? – zapytał Verlaque.
- Przepraszam – kajał się Paulik. – Nie powinienem był panu przerywać.
- Masz cholerną rację.
- Tylko że... zbaczał pan z tematu – stwierdził komisarz, patrząc prosto na sędziego.
- Staralem się wprawić Marie-Thérèse w lepszy nastrój – powiedział Verlaque. – Nie sądziłem, by ktoś tak młody mógł udzielić szczegółowej odpowiedzi w stanie takiego przerażenia.
- Brice jest młodszy niż Marie-Thérèse – zauważył Paulik.
- *Oui* – odpowiedział Verlaque. – *Mais Brice est un garçon.*
- Więc jest pan twardszy wobec chłopców?
- Verlaque poruszył się na krześle.
- Masz rację – powiedział w końcu. – Myślę o nich tak jak o sobie. A wobec siebie jestem surowy.
- Kobiety także popełniają przestępstwa – rzekł Paulik. – Chociaż trudno mi to sobie wyobrazić.
- Jako ojcu córki.
- Tego nie powiedziałem.
- Skorzystajmy z hotelowego telefonu i zadzwońmy do Palais de Justice – zaproponował sędzia, zmieniając temat. – Niech część oficerów pogrzebie w przeszłości Denisa, zwłaszcza gdy był u szczytu sławy. Słyszałem, że na planie filmowym był okropny. Dowiedzmy się, czy ktokolwiek mu groził. – Verlaque nie przyznał, że czerpał informacje z brukowców, które czytywała Sylvie.
- Więc zakłada pan, że morderca tu przypląnął – stwierdził komisarz.
- Pomimo tego, co powiedział Hugo, nadal uważam, że to możliwe.
- Lub być może ktoś z gości albo personelu jest emerytowaną gwiazdą filmową – zasugerował Paulik.
- Sędzia wyprostował plecy.
- To nie jest zła myśl – przyznał. – Na przykład Mme Poux. Mogło być tak: kobieta. Mogła pracować za kulisami.
- Scenarzystka.
- Garderobiana.
- Pracownica cateringu.

– Dobra burza mózgów wywołuje u mnie głód, a będzie jeszcze więcej cholernej ryby – odezwał się Verlaque. – Może pstrąg?

– Albo tuńczyk. Chodźmy zatem. – Paulik podniósł się, wziął do ręki listę i oznajmił: – Po lunchu następną są Amerykanie.

\*

Antoine Verlaque i Bruno Paulik zamknęli drzwi pokoju konferencyjnego i szli korytarzem w kierunku lobby. Minęli Niki Darcette niosącą wiaderko z szampanem.

– Lunch będzie podany na tarasie – odezwała się, gestem wskazując drzwi wejściowe. – Trochę się ochłodziło, więc się tam nie upieczecie.

Verlaque podziękował jej i zauważył, że wydawała się zrelaksowana i swobodna. Z pewnością czuła ulgę, że miała już za sobą rozmowę z nimi, uznał.

– Czy to dla nas? – zapytał, wskazując na wiaderko.

– Niestety nie – odparła Niki z uśmiechem. – Mme Denis poprosiła o jakieś schłodzone białe wino. Niosę je do jej pokoju.

– Bardzo dobrze – powiedział sędzia. – A ja idę do baru i wezmę sobie whisky. Też chcesz jedną? – zwrócił się do Paulika.

– Nie, dziękuję. Może później, przed snem. Spotkamy się na zewnątrz.

Verlaque wszedł do Baru Jacky’ego, gdzie ukoił go widok gustownie dobranych starych mebli i delikatny szum podsufitowych wiatraków. Eric Monnier siedział w swoim ulubionym kącie i pisał coś w czarnym notesie. Kiedy zobaczył Verlaque’a, podniósł swoją Krwawą Mary jak do toastu.

– Za ciepło dla pana na zewnątrz? – zapytał sędzia.

– Atmosfera pomiędzy gośćmi jest odrobinę zbyt napięta – wyjaśnił nauczyciel. – Pomyślałem, że zjem tutaj i przy okazji trochę poczytam.

– Zatem *bon appétit*.

Serge Canzano już nalał Verlaque’owi drinka i postawił kryształową szklanę na barze razem z posrebrzonym dzbanuszkim z wodą.

Sędzia podziękował i nalał troszeczkę wody do whisky.

– Na zdrowie.

Upił łyk i podszedł do drzwi prowadzących na taras. Przed wyjściem zatrzymał się i spojrzął na morze – miało prawie taki sam kolor jak zaginiony szmaragd Mme Denis, ale było dużo cenniejsze. Wapienne klify lśniły na tle ciemnoniebieskiego nieba i Verlaque popatrzył na kilkanaście chuderlawych sosenek, którym udało się wyrosnąć na białej skale. Zwrócił wzrok na taras, na stoliki z kutego żelaza, pięknie nakryte do lunchu białymi lnianymi obrusami, włoską porcelaną i kieliszkami Riedel. Ale inaczej niż w poprzednie dni, wśród gości nie rozlegał się śmiech. Ktoś zakasłał, ktoś inny trochę zbyt gwałtownie odłożył widelec, który z brzękiem upadł na talerz. Sędziemu przypomniały się formalne kolacje z jego rodzicami w sztywnych paryskich restauracjach, o których nawet on



– młody nastolatek – wiedział, że są niemodne. Razem z bratem, Sébastienem, spędzali wakacje u dziadków ze strony ojca, u Emmeline i Charles’a, gdzie jedli u nich w domu, jako że Emmeline gotowała prosto i dobrze, albo wychodzili na posiłek do hałaśliwych *brasseries*. Ale ich ulubione wakacje to były te spędzane we Włoszech, na Wybrzeżu Liguryjskim, gdzie na całe tygodnie zatrzymywali się w hotelu prowadzonym przez włoską rodzinę.

„Taka powinna być Sordou” – pomyślał. – „Obsługa w hotelu musi być nienaganna, jedzenie pyszne i do tego potrzebna jest swobodna rodzinna atmosfera. Ale tak tu było. Przed morderstwem”.

– Tutaj – krzyknęła Sylvie.

– Gdzie byłaś? – zapytał sędzia, kiedy podszedł do ich stolika.

– Przepraszam – odparła Sylvie. – Straciłam poczucie czasu. Pływałyśmy z Marine.

Marine spojrzała na przyjaciółkę, zła, że ta zrobiła z niej swoją współniczkę.

Kiedy Verlaque usiadł, Sylvie pochyliła się i zapytała:

– Czy i tak muszę się stawić na rozmowie?

– Oczywiście – rzekł, kładąc na kolanach serwetkę. – A dlaczego nie? Przecież znałaś ofiarę, prawda?

– Antoine! – zawołała Marine, wiedząc, że Verlaque pije do jednej z wcześniejszych spraw, w której Sylvie rzeczywiście znała zmarłego – i to bardzo blisko.

– Właśnie spotkałem poetę – rzekł. – Powiedział, że atmosfera tutaj jest napięta.

– Yhm – przyznała Marine, skinąwszy głową. – Viale’owie mieli jakąś sprzeczkę i ona wyszła. Hobbsów najwyraźniej to zdenerwowało i teraz wydają się poruszeni sytuacją, a Mme Denis i Brice nawet nie zeszli.

– Znowu jedzą w swoim pokoju – zgadywał Paulik.

– Nie mogę powiedzieć, bym ich winiła – stwierdziła Marine. – Przed śmiercią Alaina Denisa miałam poczucie, że się zaprzyjaźnimy. Eric Monnier skakał od stolika do stolika, Bill Hobbs brał młodego Brice’a pod skrzydła, Shirley Hobbs pokazywała mi swoje akwarele...

– Też o tym myślałem – zgodził się z nią Verlaque. To, co opisała Marine, bardzo pasowało do małego hotelu we Włoszech.

– Słyszałam, jak Le Bonowie się kłócili – oznajmiła Sylvie. – Mam powiedzieć wam teraz czy poczekać na przesłuchanie, gdy będziecie mi świecić w twarz tanią lampką biurkową?

Verlaque roześmiał się wbrew swojej woli.

– Zachowaj to na później.

Weszła Marie-Thérèse i obwieściła menu na lunch.

– Nie mieliśmy czasu wydrukować menu – oznajmiła. – Z powodu... przesłuchań. Więc na przystawkę dzisiaj jest sałatka z grillowanym

tuńczykiem...

Verlaque popatrzył na Paulika i mrugnął znacząco.

– Składająca się oczywiście z tuńczyka oraz awokado, cebuli dymki i papryczek chili.

– Brzmi świetnie – skomentował sędzia.

– A dressing – mówiła dalej – składa się z sosu sojowego, trawy cytrynowej i limonek.

– Cudownie – dodała Marine.

– Daniem głównym będzie dzisiaj krab i tarteletki z gruyère – kontynuowała dziewczyna. – Szef kuchni, Émile, zrobił pojedyncze muszelki z ciasta ptysiowego i wypełnił je krabami, serem gruyère i przyprawami. Serge poleca chardonnay z Burgundii.

– A z tarteletkami warzywa? – zapytał Verlaque.

– Tak, sałatka.

– Więcej sałatki – powiedział sędzia, wydymając wargi.

– Dzisiaj ma być lekki lunch – zauważyła Marine.

– No cóż, nie przypłynął dzisiaj Isnard – rzekła Marie-Thérèse.

– Ojej – odezwał się Verlaque. – Obawiam się, że mógł go przestraszyć mój komisarz.

– Co? – zapytał Paulik, w końcu dołączając do rozmowy. Bezskutecznie próbował uzyskać połączenie przez swoją komórkę.

– Zaraz przyjdę z winem – rzekła Marie-Thérèse, spiesząc się do wyjścia.

– To znaczy, jeśli państwo sobie życzą.

– Brzmi cudownie – skomentowała Marine. – I proszę o dwie butelki gazowanej wody mineralnej.

Kiedy dziewczyna wyszła, Marine zwróciła się do Verlaque'a:

– Jak poszło dziś rano?

– Dobrze – odparł sędzia. – Ale żadnych przełomowych odkryć. Jedną z najciekawszych informacji jest to, że Niki Darcette spędziła trochę czasu w więzieniu za włamanie.

– Naprawdę? – zdziwiła się Marine.

– Później cię w to wprowadzę – powiedział Verlaque. Nie bardzo chciał mówić na ten temat w obecności Sylvie. – A Alain Denis był nieprzyjemny wobec wszystkich tutaj.

– To zabawne, jak wychodzą na jaw pewne rzeczy o ludziach po takim strasznym wydarzeniu jak to – zastanawiała się Marine. – Ich przeszłość albo to, jak reagują na tragedię. Na przykład, kto by wiedział, że Mme Hobbs z łagodnym głosem, malująca akwarele, była pielęgniarką podczas wojny w Wietnamie?

– To prawda – zgodził się sędzia. – Niektórzy ludzie odczuwają napięcie, a inni, jak Niki i Marie-Thérèse, wydają się bardziej zrelaksowani.

– Jak się ma Mme Denis? – zapytała Sylvie.

– Jest smutna i zła, ale niekoniecznie z powodu śmierci męża – odparł

Verlaque. W tym momencie nadeszła Marie-Thérèse z sałatkami i odchylił się do tyłu, by mogła postawić przed nim przystawkę. – To mi przypomina... – mówił dalej.

Poczekał, aż dziewczyna się oddali, i opowiedział Marine i Sylvie o zaginionym pierścionku Mme Denis.

Jedząc pierwsze danie, rozmawiali o pierścionku i o biżuterii w ogólności.

– Jedzenie jest tutaj wspaniałe – stwierdziła Marine, kończąc sałatkę. – Ale mam ochotę na...

– Stek – wtrącił Verlaque. – Krwisty.

– Żelki – dodała Sylvie.

– Miałam powiedzieć „frytki” – sprostowała Marine. – Te angielskie, które ty, Antoine, kupujesz w Monopriksie...

– Francuskie są równie dobre – zauważył Paulik. – Szczególnie te robione ręcznie w Allauch. Mam kuzyna...

Rozmowa została gwałtownie przerwana, kiedy na stopnie tarasu wskoczył siwowłosa mężczyzna w mundurze. Mimo czerwcowego ciepła miał na sobie marynarkę z licznymi medalami i galonami widocznymi już z daleka. Stał na skraju tarasu i nie trwało długo, nim goście – których była zaledwie garstka – zorientowali się, kogo szuka. Wyszeptał „*Merde*”, które z całą pewnością usłyszała każda osoba na tarasie, a potem wydał z siebie głębokie westchnienie. I podszedł do stolika Verlaque’a.

Paulik odłożył serwetkę i szybko wstał.

– *Général* Le Favre – odezwał się. – Dzień dobry...

– Witamy na Sordou – powiedział sędzia, który także się podniósł. Sylvie i Marine przyglądały się mężczyznom. – Czy mogę przedstawić doktor Marine Bonnet i Sylvie Grassi?

*Le général* skinął lekko głową w stronę kobiet i uścisnął im dłonie.

– Czy ma pan dla nas jakieś wieści? – zapytał Paulik, skonsternowany.

– Wieści? – powtórzył *le général*. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął złożoną gazetę i rzucił ją na stół. – Panowie, oto, czy mam dla was wieści.

Verlaque chwycił gazetę i otworzył.

– *Merde* – zaklął, podając ją Marine.

– *Merde* jak najbardziej tu pasuje – skomentował Le Favre. – Więcej niecenzuralnych słów padło dzisiaj w komisariacie. Telefon dzwonił bez przerwy.

Marine bez słowa podała gazetę Paulikowi, który rzucił na nią okiem i rzekł:

– „La Provence”. Jaki jest nakład?

– Oczywiście nie taki jak „Le Figaro” czy „Le Monde” – odparł Le Favre.

– Ale to oznacza, że straciliśmy kilka dni śledztwa, w ciągu których świat nie wiedziałby, gdzie i jak Alain Denis został zamordowany. Poza tym... to zdjęcie!

– Niech no zobaczę – powiedziała Sylvie i wzięła od komisarza gazetę. Spojrzała na fotografię i roześmiała się.

– Dziennikarz najwyraźniej zajmował miejsce z przodu sali restauracyjnej – mówił dalej Le Favre, spojrzawszy na Sylvie.

– Nie mam pojęcia, jak to możliwe – zdziwił się Verlaque, kiwając głową.

– *Les bublots* – zasugerowała Marine. Zajrzała do gazety i stwierdziła: – To zdjęcie zostało zrobione z kuchni. Poszłam tam wczoraj, szukając Marie-Thérèse, i zobaczyłam, że niektóre lustra w sali restauracyjnej tak naprawdę są oknami, przez które szef kuchni może obserwować gości.

– Więc to kucharz zrobił te zdjęcia i napisał artykuł? – zapytał Le Favre, w jego głosie nie dało się nie zauważyć sarkazmu.

Verlaque pomyślał o Niki Darcette.

– To raczej nie kucharz. Może ktoś z personelu. Wszyscy oni są zdesperowani, by zapełnić pokoje.

– Antoine – rzekła Marine. – Nie wyobrażam sobie...

– Komisarzu – przerwał jej Le Favre, patrząc na Bruno Paulika. – Osobom postronnym nie wolno było przybywać na Sordou.

– I nikt się tu nie pojawił – odparł Paulik. – Na nabrzeżu było dwóch policjantów, a u wejścia do portu zakotwiczyła łódź.

– Więc może hotelowi goście, którzy przybyli na ostatnią chwilę? – dopytywał Le Favre. – Albo hydraulicy? Elektrycy?

– Nie – odpowiedział komisarz. – Tylko jedna dostawa żywności.

*Le général* podniósł lewą brew.

– Kto dostarcza żywność?

– Isnard – odparł Verlaque. – Jest nieszkodliwy, to miejscowy rybak. Przyplłynął wczoraj z koszem ryb. Był razem ze swoim kuzynem...

Czwórka przyjaciół spojrzała po sobie, a Paulik uderzył się dłonią w czoło.

– *Merde!* – krzyknął sędzia.

## 23

### Rue Valois

Oficer Jules Schoelcher miał ze sobą książkę, którą dała mu Magali. Opowiadała o policjancie w Glasgow. Chociaż książka mu się podobała, nie mógł przestać gapić się przez okna TGV. Zaskoczyło go to, jak błękitne niebo na wschodzie przemieniło się w szare gdzieś nad Valence. Zrobił zdjęcie przez okno pociągu, a jego komórka pokazała najbliższą wioskę: Saint-Vallier. Nigdy nie był w Saint-Vallier i prawdopodobnie nigdy nie miał się tam znaleźć, ale fascynowało go to, że jego blackberry wiedział, gdzie znajduje się jego TGV, poruszający się z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę.

Na stację TGV w Aix, oddaloną o piętnaście minut od centrum miasta w kierunku południowym, przywiózł go kolega, Alain Flamant. Jules ledwo zdążył na pociąg. Wskoczył do środka z biletem w rękę, Flamant wykonał gest „zadzwoń do mnie”, a Jules zasalutował.

Komisarz Paulik zadzwonił do Jules'a z telefonu na Sordou, mówiąc mu, by zarezerwował bilet w pierwszej klasie. Jules oponował, ale Paulik przekonywał:

– Będziesz zadowolony z dodatkowej przestrzeni, zwłaszcza w drodze powrotnej... Może będziesz miał do wykonania jakąś papierkową robotę.

Jules Schoelcher był ulubionym policjantem komisarza. Paulik sądził nawet, że któregoś dnia Jules może zostać komisarzem. Jego drobiazgowość okazała się pomocna podczas prowadzonego przed kilkoma miesiącami śledztwa w sprawie seryjnego mordercy. Paulik wiedział, że w zbieraniu informacji nie było nikogo lepszego niż ten uważny obserwator urodzony w Alzacji.

Jules poczuł głód i ruszył w kierunku wagonu restauracyjnego, chwytając się półek bagażowych ponad głowami pasażerów i podskakując w czasie jazdy. Dotarł do restauracji, o dwa wagony dalej, tylko po to, by zobaczyć kolejkę złożoną z piętnastu osób. Stał tam, rozważając, co robić. Mógł poczekać i kupić drogą i marną kanapkę lub wstrzymać się i zjeść coś w Paryżu. Paulik polecił mu zachowywać paragony za poniesione wydatki, więc tak czy owak otrzyma zwrot. Ale Jules nie chciał obciążać państwa czymś zbyt kosztownym. Przeniósł ciężar z nogi na nogę. Uświadomił sobie, że nie będzie miał zbyt dużo czasu – dotrze do Gare de Lyon o dwunastej czterdzieści pięć i będzie musiał dostać się do przystanku pierwszej linii metra, która zawiezie go do Ministerstwa Kultury

w pierwszej *arrondissement*. Kolejka ledwo się poruszała, a on przypomniał sobie, że zanim rano wyszedł z mieszkania, Magali wrzuciła mu do plecaka jabłko. Wtedy jeszcze nie wiedział, że pojedzie do Paryża. Wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce. Usiadł, wyjął z plecaka owoc i odgryzł pierwszy kęs. Myślał o Magali i zastanawiał się, ile espresso zrobiła dziś rano w pracy.

Płaski przemysłowy krajobraz na północ od Lyonu stopniowo przechodził w pofałdowane zielone wzgórza, częściowo pokryte winoroślą. Jules chwycił za telefon i pstryknął zdjęcie. Było niewyraźne, ale i tak wysłał je do Magali. „To Burgundia” – napisał. Telefon powiedział mu, gdzie jest, więc dodał: „Cluny. W drodze do Paryża, by trochę tam powęszyć... Będę na stacji TGV w Aix jakoś po dwudziestej drugiej. Wrócę do domu autobusem. Buziaki i uściski, Jules”. Wiedział, że może wziąć taksówkę do Aix i wliczyć to w koszty, ale dlaczego miałyby to robić, skoro autobus jechał dokładnie tą samą trasą i kosztował mniej niż cztery euro.

Kiedy pociąg wjeżdżał na przedmieścia Paryża, Jules czuł wielki głód. Spojrzał na zegarek, wiedział, że nie dojadą do stacji wcześniej niż za piętnaście minut, ale niektórzy pasażerowie szybko zbierali swoje torby i walizki i opuszczali miejsca. Odwrócił się i obserwował, jak przechodzili przez automatycznie otwierane drzwi i stawali w korytarzu. Wzruszył ramionami, a siedzący obok niego biznesmen uśmiechnął się, powoli pakując swój laptop.

– Ludzie zawsze tak robią – powiedział. – Tylko patrzeć, jak się zapcha, a będą stali w przejściu pomiędzy siedzeniami.

Pociąg zwolnił, ale od centralnej stacji nadal dzieliło go około dziesięciu minut, a przejście było już pełne pasażerów, których część opierała się o tyły foteli.

– Miał pan rację – powiedział Jules.

– Prawda? Jeżdżę TGV co tydzień. A pan?

– Och, nie – odparł Jules. Nie chciał mówić, że jest policjantem ani że dopiero piąty czy szósty raz w życiu jedzie szybkim pociągiem. Wyjrzał przez okno, po szybko spływały strużki wody. – Pada – stwierdził.

– Witamy w Paryżu.

– No cóż, w Prowansji jest dla mnie latem zbyt gorąco – odezwał się Jules. – Deszcz mi nie przeszkadza.

Biznesmen roześmiał się.

– Skąd pan jest?

– Z Alzacji. Z okolic Colmar.

– Prowansja jest inna niż Alzacja. To pewne.

Jules pomyślał: „Tak, w Alzacji domy są tańsze, panuje tam większa czystość, a ludzie są bardziej uprzejmi”. Mężczyzna, jakby czytając w jego myślach, powiedział:

– Jest tam ładnie i panuje porządek, nieruchomości nie są takie drogie,

ale ja uwielbiam ciepło i prowansalskie *joie de vivre*.

Jules pomyślał o Magali i uśmiechnął się. Pociąg jechał coraz wolniej, kiedy wjeżdżali na peron dworca Gare de Lyon.

– Miłego dnia – rzekł mężczyzna, wstając. – Proszę cieszyć się deszczem.

Jules uśmiechnął się.

– Wzajemnie.

\*

Dziesięć minut później, po przedostaniu się przez tłum turystów na dworcu Gare de Lyon – Jules odniósł wrażenie, że wielu z nich taszczyło po dwie wielkie walizy – siedział w pierwszej linii metra, zmierzając do Ministerstwa Kultury. Spojrzał na czerwoną okładkę przewodnika z mapami, który wcisnęła mu przed wyjściem Mme Girard, nieprawdopodobnie zorganizowana sekretarka sędziego Verlaque’a.

– Nie może pan przez cały czas polegać na smartfonie – powiedziała. –

Może pan się znaleźć poza zasięgiem Internetu. Sędzia Verlaque mówił mi, że telefony nie działają w kolejkach podmiejskich.

Jules z radością wziął książeczkę, ponieważ wolał papier. Wychował się na mapach, które czytał, kiedy wyjeżdżali z rodzicami na wakacje. Bez trudu znalazł rue Valois, wciśniętą między Jardin du Palais-Royal a ogromnym budynkiem Banku Francji. Wiedząc, że przed nim jeszcze pięć przystanków, odłożył przewodnik na kolana i spojrzał na współpasażerów, podziwiając, jak byli różnorodni, szczególnie w porównaniu z zadowolonymi z siebie i czującymi się bezpiecznie mieszkańcami Aix-en-Provence. Zastanawiał się, co mogli myśleć o nim... Czy wyglądał jak student uniwersytetu? Jak młody profesjonalista? Miał na sobie porządne spodnie, białą koszulę i krawat, teraz cieszył się, że wziął też marynarkę.

Zerknął na mapę metra i zobaczył, że zbliżają się do przystanku Palais-Royal/Musée du Louvre. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio zwiedzał Luwr. To było w trakcie szkolnej wycieczki, kiedy miał piętnaście czy szesnaście lat. Przypomniał sobie tę wycieczkę, to, jak połowa klasy zachwycała się Paryżem, a druga połowa myślała tylko o następnym papierosie. Należał do tej pierwszej grupy. *Mona Liza* go rozczarowała, tak jak ostrzegali ich nauczyciel, ale za to tego dnia zakochał się w realizmie renesansu flamandzkiego. Pamiętał, że próbował zbliżyć się jak najbardziej do obrazów, by zobaczyć pociągnięcia pędzla artysty, i jak zawstydził go strażnik, który wydarł się na niego przez całą wielką salę. Drzwi metra otworzyły się i Jules zorientował się, że jest przy Luwrze, szybko wstał.

Tylko trzy minuty piechotą dzieliły go od numeru trzy przy rue de Valois, deszcz zamienił się teraz w lekką mżawkę. Z lekcji historii w szkole średniej zapamiętał wystarczająco dużo – „dziękuję panu, M. Mandar” – by wiedzieć, co oznaczało słowo Valois. Walezjusze byli francuską dynastią

królewską z czasów średniowiecza, która wygasła dopiero przed tysiąc sześćsetnym rokiem. Pomyślał o Albercie, koledze z klasy, palaczu, którego standardowa riposta, gdy ktoś był niezadowolony, brzmiała: „Niech jedzą ciastka!”<sup>3</sup>. Albert uwielbiał Wielką Rewolucję Francuską, zwłaszcza bardziej krwawe historie.

– Tak naprawdę powiedziała „brioszki” – poprawiał go Jules.

– Jeśli w ogóle to powiedziała – dodawał M. Mandar.

Znalezienie Ministerstwa Kultury nie nastroczało żadnych trudności, ponieważ cały budynek zakryty był brezentem, jakiego używa się, gdy nieruchomość jest w trakcie budowy albo renowacji. Po jednej stronie widniała wypisana wielkimi literami nazwa ministerstwa, a towarzyszył jej rysunek budynku po renowacji. Wejście zagrodzono tymczasowym trzymetrowym płótem z drewna, robotnicy wchodzili i wychodzili przez mały otwór. Jules stanął bez ruchu i zbierał myśli.

– Przepraszam – zwrócił się do wchodzącego robotnika, który trzymał w ręku młotek. – Gdzie jest obecnie wejście do budynku?

– Dalej wzdłuż ulicy – odparł tamten, wskazując kierunek młotkiem. – Ale teraz wszyscy będą na lunchu.

Jules spojrzął na zegarek, było piętnaście po pierwszej.

– Ma pan rację – odrzekł i podziękował. Burczało mu w brzuchu. Idąc od przystanku metra, nie mijał żadnej restauracji ani sklepu spożywczego, raczej nie spodziewał się, że w najbliższej okolicy znajdzie jakiś kebab. Odwrócił się i tam, gdzie rue de Valois dochodziła do innej ulicy, zobaczył sklep meblowy z zaokrągloną białą skórzaną sofą w oknie, a obok niego bistro. Szybko przeszedł przez ulicę i przeczytał wypisane kredą menu. Ceny nie były tak wysokie, jak się spodziewał, rzucił okiem na wypełniony taras z markizą, osłaniającą przed mżawką. Wszedł do środka i starał się wyglądać tak parysko, jak tylko umiał. Podnosząc kciuk, pokazał barmanowi, że będzie jadł sam. Uwielbiał takie małe bistra, w których jedynymi dźwiękami były śmiechy i rozmowy gości oraz pobrzękiwanie naczyń i sztućców. Zabiegana kelnerka, która jednak znalazła czas, by się uśmiechnąć, wskazała Jules’owi mały drewniany stolik w rogu, gdzie mógł jeść i obserwować tłum na zewnątrz. Teraz już czuł wilczy głód i szybko zamówił przystawkę – crème brûlée z koziego sera ze skarmelizowaną cebulą – oraz klasyczny befsztyk tatarski jako danie główne.

– *Salade ou frites?* – zapytała.

Jules zebrał się na odwagę i zapytał, czy frytki są domowej roboty.

– *Certainement* – odparła.

– *Frites, alors* – rzekł Jules. – *Et de l’eau, s’il vous plait.* – Czuł się w pewnym sensie oszustem – jadł obfity lunch, zanim jeszcze wykonał jakąkolwiek pracę. Ale co miałby robić do czasu, gdy Ministerstwo znowu zostanie otwarte? Wyjął jeden z małych notesów, które zawsze nosił ze sobą, i kartkował go, aż dotarł do przypadku na Sordou. Miał przejrzeć



archiwa działu zabytków kultury w Ministerstwie i szukać czegoś na temat latarni morskiej na tej wyspie oraz rodziny latarników o nazwisku Buffa, szczególnie Prospera Buffy. Bruno Paulik przekazał Jules'owi wszystko, co o tym wiedział. Zgodnie z relacją Verlaque'a Prosper był niekomunikatywny i przez większość czasu mówił nieskładnymi zagadkami.

Już po kilku minutach pojawiło się przed nim crème brûlée z koziego sera, a on pożałował, że nie zamówił kieliszka rieslinga. Starał się nie jeść zbyt szybko, chociaż zależało mu na tym, by znaleźć się w Ministerstwie, gdy tylko zostanie otwarte. Przy sąsiednim stoliku usiadła bardzo elegancko ubrana starsza para. Normalnie by mu to przeszkadzało, gdyż ich stół prawie dotykał jego stolika. Ale oni nie rozmawiali. Mężczyzna miał na sobie tweedową marynarkę, choć był ciepły czerwcowy dzień, a z kieszonki wystawała mu jedwabna chusteczka. Najwyraźniej przystawka z koziego sera smakowała mu tak bardzo jak Jules'owi, bo po każdym łyku odkładał widelec i zamykał oczy. Jego żona z farbowanymi na blond włosami (Jules tylko domyślał się, że to nie był naturalny kolor) jadła łososia na zimno, ale bez apetytu. Była równie starannie i elegancko ubrana jak jej towarzysz, ale wzrok Jules'a przyciągnęła jej torebka. Dzięki swojej siostrze i Magali nawet on wiedział, jak wyglądała torebka od Hermès'a za cztery tysiące euro.

Młody policjant spojrział na gości na tarasie, na ich drogie okulary przeciwsłoneczne i czarne ubrania. Sądził, że większość z nich była miejscowa. Zastanawiał się, ilu spośród nich pracowało po przeciwnej stronie ulicy. Pracowali w służbie cywilnej, tak jak on, ale ich świat wydawał się bardzo odległy od jego świata.

\*

Podczas gdy Jules był w Paryżu, oficer Flamant zaczął oglądać wszystkie filmy, w które Alain Denis był kiedykolwiek zaangażowany. Było ich więcej, niż Flamant się spodziewał, dokładnie pięćdziesiąt cztery. Niedawno pojawiły się także dwie nieautoryzowane biografie aktora i kiedy Flamant wrócił z dworca, udało mu się dodzwonić do ich autorów. Pierwszy z nich potwierdził, że Denis był na planie nie do wytrzymania, ale nie zamierzał rozwijać tego tematu. „Proszę kupić książkę” – powiedział, zanim się rozłączył. Drugi biograf, niejaki Franck Martini, mieszkający w Tuluzie, był aż nadto chętny do rozmowy, być może z powodu alkoholu – kiedy rozmawiali, policjant słyszał brzękanie kostek lodu.

– W ciągu tych wszystkich lat wielu ludzi groziło Denisowi – opowiadał Martini, głośno pociągając napój. – Ale wszyscy, z którymi rozmawiałem, potwierdzali, że najbardziej zajadłym wrogiem Denisa był reżyser Jean-Louis Navarre.

– Facet, który w latach siedemdziesiątych zrobił serial o inspektorze Pernetym? – zainteresował się Alain. – Oglądałem wznowienie w telewizji.

– Ten sam – przytaknął Martini. – Navarre stwierdził, że Denis nie potrafi grać i że jest za piękny, by grać gliniarza. Kiedyś pobili się na pięści. Nienawidził Denisa na planie filmowym, a znienawidził go jeszcze bardziej, kiedy ten wdał się w romans z jego żoną.

Flamant zagwizdał.

– Czy Navarre wciąż żyje?

– O tak – odparł Martini, zapalając papierosa. – Mieszka w Paryżu i nadal kręci filmy dla telewizji.

Flamant podziękował i rozłączył się.

– Sophie – zwrócił się do jednej z młodszych rangą policjantek, skierowanej do pomocy w zbieraniu danych. – Znajdź wszystko, co zdołasz, o Jeanie-Louisie Navarre, reżyserze filmowym, i jego możliwych związkach z Alainem Denisem. Pracuje głównie dla telewizji.

– Tak, sir – odparła, odgarniając z twarzy kruczoczarne włosy. – Zacznę od gazet i czasopism. Czy mam do niego zadzwonić?

– Jeszcze nie – powstrzymał ją Flamant. – Zobaczmy, do czego uda nam się dokopać. Lepiej go nie niepokoić.

---

[3] Słowa przypisywane królowej Marii Antoninie, które miała rzekomo wypowiedzieć podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej w 1789 r., gdy doniesiono jej, że zebrani pod Wersalem głodni i wycieńczeni paryżanie skandują, iż nie mają chleba.

## Architektura wernakularna

Befszyk tatarski był bardzo dobrze doprawiony – perfekcyjna ilość kaparów i tabasco. Jules zapłacił i poprosił o paragon. Po raz pierwszy w życiu mógł wliczyć posiłek w fundusz reprezentacyjny. Starannie włożył paragon do swojego notesu Moleskine i wyszedł, podziękowawszy kelnerce i barmanowi, który zawołał za nim „*À la prochaine!*”. Jules uśmiechnął się na myśl, że barman uznał go za paryżanina, który pracuje lub – co jeszcze bardziej nieprawdopodobne – mieszka w tym rejonie. Z plotek w pracy Jules wiedział, że sędzia Verlaque urodził się w niewiarygodnie bogatej rodzinie właścicieli młynów. Jules nie zdawał sobie sprawy z tego, że rodzinna rezydencja Verlaque’ów, gdzie wciąż mieszkali rodzice sędziego, znajdowała się tuż za rogiem. I że tego dnia także jedli w bistro na rue Valois, przy stoliku obok Jules’a.

Wchodząc do Ministerstwa Kultury, Jules zobaczył przyklejoną do ściany kartkę z informacją o wydziałach Ministerstwa i ich lokalizacji. Wydział Zabytków Historycznych mieścił się na pierwszym piętrze. Wszedł tam wśród stukania młotków i odgłosów piłowania. Na szczycie schodów przy małym biurku ze szklanym blatem siedziała młoda kobieta. Nie podniosła wzroku, kiedy podszedł.

– Przepraszam – odezwał się. – Przepraszam, że przeszkadzam.

Spojrzała na niego, odłożyła długopis i skrzyżowała ramiona.

– Jestem umówiony – mówił dalej. – Mam zapoznać się z materiałami o latarni morskiej na...

– Chwileczkę – przerwała mu. Wstała i przeszła przez drewniane drzwi, które były za jej plecami. Kilka sekund później wróciła, a Jules celowo podjął zdanie, którego wcześniej nie dokończył.

– Sordou.

– W dół korytarza – wskazała kierunek dokładnie w momencie, gdy włączyła się wiertarka udarowa. – *Oh mon dieu* – jęknęła, siadając ponownie.

– Dziękuję – rzekł policjant. Pomyślał o przyjacielskim biznesmenie w pociągu i o konduktorze, który żartował, kasując mu bilet, oraz o kelnerce i barmanie po drugiej stronie ulicy. Tu była dziewczyna, za której pracę dałby się pokroić każdy absolwent studiów, pracę łatwiejszą i bardziej prestiżową niż podawanie do stołu czy nalewanie drinków, a jednak ona czuła się nieszczęśliwa.

Kiedy mijał rząd nowoczesnych szklanych drzwi, zobaczył inną pracownicę, starszą, z uśmiechem na twarzy. Być może te drzwi chroniły ją przed remontowym hałasem. Wskazała mu biurko, uważnie obejrzała jego policyjną odznakę, a kilka minut później wróciła do biurka ze stertą skoroszytów i ksiązek o latarniach morskich we Francji.

– Mam nadzieję, że nie zbiera pan informacji o wszystkich stu czterdziestu ośmiu latarniach w naszym kraju – powiedziała, znowu się uśmiechając.

– O nie – odparł Jules. – Tylko o jednej. Aż tyle ich jest?

– Sto dwadzieścia na głównym lądzie – wyjaśniła. – Dziewięć na Korsyce, a dziewiętnaście na terytoriach zamorskich. Było ich dużo więcej, ale podczas drugiej wojny światowej sto osiemdziesiąt zostało zniszczonych... Niektóre odbudowano, inne nie.

– Dużo pani o nich wie – skomentował Jules.

– Kilka lat temu rozpoczęliśmy duże badanie nad naszymi budynkami nadmorskimi – odpowiedziała. – Byłam w Komitecie, który prowadził badania. Miałam szczęście podróżować i odwiedzić prawie wszystkie, dopóki nie urodziło się moje drugie dziecko. Nie poznałam latarni na Wyspach Kanaryjskich.

– To szkoda.

– Która latarnia pana interesuje?

– Sordou – odparł.

– Ach, ta wysoka wąska, niedaleko Marsylii. Pamiętam ją. – Sięgnęła do sterty ksiązek i skoroszytów i wyciągnęła żółtą teczkę oraz dwie książki. – Proszę zacząć od tego, inne książki nie będą bardzo pomocne. To tam został zamordowany Alain Denis, prawda?

– Wyspa jest piękna, czyż nie? – odparł Jules, sięgając po jedną z ksiązek.

– Cudowna – potwierdziła, rozumiejąc, że nie ma zadawać więcej pytań i że młody policjant bierze udział w śledztwie w sprawie śmierci aktora. –

Chociaż ja wolę inne, mniejsze latarnie, takie, które spełniają wymogi architektury wernakularnej.

– Tak, rzeczywiście – przyznał Jules, nie mając pojęcia, co miała na myśli.

Przerzucała kartki jednej z ksiązek, którą wcześniej położyła przed Jules'em i prawie natychmiast znalazła to, czego szukała.

– Proszę spojrzeć na tę – wskazała na fotografię. – To niedaleko Tulonu... To taka latarnia, jakie lubię.

Jules pochylił się i przyjrzał małemu kolorowemu zdjęciu.

– Rozumiem, co pani ma na myśli. Jest bardzo... mała i urocza.

Roześmiała się.

– Tak, jest urocza i zbudowana w tym samym stylu co domy i stodoły w tym regionie.

– Och – westchnął Jules, umieszczając słowo „wernakularny” w swoim banku pamięci. – Jeszcze raz dziękuję pani za pomoc.

– Nie ma za co – odparła. Spojrzała na zegarek i dodała: – Chętnie udzieliłabym panu więcej informacji, ale za dziesięć minut muszę zejść na dół na spotkanie z architektami i inżynierami, którzy remontują budynek. Mamy teraz braki kadrowe. Czy da pan sobie radę sam?

– Oczywiście! – powiedział policjant, potwierdzając to machnięciem ręki.

Przez następne dwie godziny Jules brnął przez skoroszyt, a potem przez strony poświęcone latarni na Sordou w książkach, które otrzymał. Zapisywał wszystko, co ważne, w tym następujące fakty:

pierwsza latarnia na wyspie (13 metrów wysokości, zbudowana w 1326)

1774 spalona

1825 odbudowana, teraz 40 metrów z ciosanego kamienia

1829 oświetlana nowym systemem rozpałki olejem mineralnym

1881 elektryfikacja

1944 zniszczona (II wojna św.)

1959 odbudowana przez architektów Arbusa i Crillona, 71 metrów wysokości

1986 zautomatyzowana

Rodzina Buffów zajmowała się latarnią od 1868 roku. Nie podano żadnych szczegółów z wyjątkiem dat narodzin i śmierci, i to tylko męskich członków rodziny, być może dlatego, że to im powierzano zadanie utrzymania latarni. Pradziadek Prospera, Honoré, urodził się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku, kiedy to rodzina Buffów przybyła na Sordou, zmarł zaś w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, w wieku siedemdziesięciu lat. Jules odnotował, że znaczenie latarni w czasie wojen gwarantowało mężczyznom z rodu Buffów pozostanie w domu. Jak się wydawało, wiedli długie zdrowe życie. Dziadek Prospera, urodzony w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym, zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Ojciec Prospera, kolejny Honoré, urodził się w tysiąc dziewięćset osiemnastym, a zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. A Prosper, wciąż w pełni sił życiowych, urodził się w trzydziestym siódmym. Jules odłożył długopis i wyciągnął się, niepewny, co ma robić dalej. Pomocna bibliotekarka jeszcze nie wróciła, pojawiła się natomiast opryskliwa młoda kobieta z biurka przy wejściu.

– Jeszcze pan tu jest?

Jules nie był pewien, czy chce odpowiedzieć. Z pewnością wcale o to nie dbała. Wreszcie odezwał się:

– Właśnie chcę wychodzić. Myślę, że zebrałem wszystkie informacje, jakie tylko mogłem z tych materiałów. – Westchnął, a dziewczyna wydawała się łagodnieć.

– Czego pan szuka? – zapytała.

– Wydarzenia, które mogło mieć miejsce, ale nie musiało, na wyspie

w pobliżu Marsylii – wyjaśnił, myśląc: „Czemu by nie spróbować? Nie mam nic do stracenia”.

Usiadła, nie kryjąc się z tym, że bardziej interesowała ją umiejętność ramiona Jules’a Schoelchera niż stojące przed nim zadanie.

– No cóż, tutaj może pan znaleźć jedynie fakty dotyczące architektury wyspy – poinformowała go. – Tutaj mamy zabytki – dodała.

– Co ma pani na myśli? – zainteresował się.

– W poszukiwaniu wydarzeń historycznych na wyspie musi pan iść do Ministerstwa Ekologii i Energii.

– Naprawdę? Na którym to piętrze?

Roześmiała się.

– Chyba na dwudziestym szóstym.

Jules spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Och, rozumiem, że nie w tym budynku.

– Nie – odparła. – W La Défense.

– Pani żartuje – jęknął.

Spojrzała na zegarek.

– Ma pan czas – rzekła uspokajająco. – Proszę iść do Placu Châtelet i wsiąść do kolejki regionalnej. Proszę nie jechać pierwszą linią metra.

\*

Jules nigdy nie jechał kolejką regionalną, która kursowała spod Paryża do centrum miasta. Spojrzał na zegarek, było trochę po szesnastej i cieszył się, że pociąg jedzie szybko. Nigdy też nie był w nowo zbudowanym biznesowym centrum Paryża, La Défense. Oczywiście oglądał zdjęcia, a kiedyś stojąc w połowie ulicy Champs-Élysées z rodzicami, widział zamglony Grande Arche unoszący się w oddali. W Grande Arche mieściło się Ministerstwo, do którego teraz zdążał. Dwadzieścia pięć minut po szesnastej wychodził ze stacji kolejowej i szedł przez wietrzny plac, który według niego pasował bardziej do miasta futurystycznego niż do wiekowego Paryża. Deszcz przestał padać, co go ucieszyło, bo nie wyobrażał sobie trzymania parasola na takim wietrze.

Przeszedł plac najszybciej, jak mógł, z głową pochyloną na tyle, by przeciwstawić się wiatrowi, ale nie wpaść przy tym na jakiegoś przechodnia. Czuł ucisk w żołądku, wiedział, że powinien był wcześniej zadzwonić lub chociaż sprawdzić godziny przyjęć interesantów w Ministerstwie Ekologii (i Energii!), ale nie miał czasu i chciał uciec przed pożądanym spojrzeniem młodej asystentki w Ministerstwie Kultury. Przeszedł przez wejściowe drzwi Grande Arche i podbiegł do informacji.

– Dzień dobry – wyjąkał. – Czy mógłbym odwiedzić Ministerstwo Ekologii i Energii?

– Mógłby pan – odparł pracownik informacji, mężczyzna w średnim wieku z niewiarygodnie przetłuszczonymi włosami. – Ale nie dzisiaj.

Jules oparł łokcie na blacie, który oddzielał go od mężczyzny.

– Czy właśnie mają zamykać? – zapytał.

– Zawsze zamykają się dla petentów w środowe popołudnie – odparł. – Przykro mi.

– Jestem z policji z Aix-en-Provence – wyjaśnił Jules.

Mężczyzna rozłożył dłonie.

– Nawet gdyby zamiast pana stał tu Président de la République, i tak nie pozwoliliby mu wejść.

– Dziękuję – powiedział Jules. Odwrócił się, by wyjść, a na odchodnym rzucił jeszcze: – Z pewnością jednak przepuścilibyście prezydenta?

– No cóż – odpowiedział mężczyzna, żując końcówkę ołówka. – Chyba nie.

\*

Opadł na siedzenie w kolejce regionalnej i korzystając z połączenia z Internetem, sprawdził wiadomości. Znalazł tylko jedną, od Magali: „Baw się dobrze w stolicy! Uściski i całusy, M”. Baw się dobrze, dobre sobie. Jedyne, co do tej pory zdobył, to kilka faktów i dat dotyczących latarni oraz datę urodzenia Prospera Buffy. Spojrzał na zegarek, było trochę przed siedemnastą. Zdawało mu się, że Ministerstwo Kultury zamykano o siedemnastej trzydzieści. Jeżeli pobiegnie, to może zdąży i będzie mógł poprosić miłą bibliotekarkę o pomoc przed końcem jej pracy. Wyrzucał sobie, że nie zapytał o jej nazwisko i bezpośredni numer telefonu. Przypomniało mu się, że kobieta odwiedziła kiedyś Sordou. Powinien był jej zadać więcej pytań na temat historii wyspy. Może ten Prosper był gadatliwy? Z drugiej strony, mógł skierować się prosto na Gare de Lyon i wypić piwo w oczekiwaniu na pociąg. Ponownie zerknął na zegarek i wyskoczył na przystanku Châtelet, pobiegł wzdłuż rue Berger tą samą trasą, którą przed godziną pokonywał w odwrotnym kierunku do La Défense. O siedemnastej dwadzieścia pięć wszedł przez tymczasowe drzwi do Ministerstwa i zatrzymał się u stóp schodów, by złapać oddech. Budowlańcy poszli już do domów, a budynek stał się teraz równie cichy, jak głośny był o czternastej. Kiedy dotarł do szczytu schodów, asystentka stała przy swoim biurku i pakowała małą parasolkę do materiałowej torebki.

– Znowu pan? – zdziwiła się. – Już zamknęliśmy.

Jules podszedł do niej tak szybko, że cofnęła się, potknęła i upadła na obrotowe krzesło. Sięgnął do kieszeni marynarki i pomachał jej przed oczyma odznaką, kilka centymetrów od jej nosa.

– Sprawy służbowe! – krzyknął. – A teraz zamierzam znowu pójść do biura zabytków. Ale tak naprawdę tylko wyobraził sobie, że tak się zachował. Nie mógł się na to zdobyć, niezależnie od tego, ile razy ćwiczył to w pociągu. Zamiast tego pokazał jej odznakę i spokojnie poszedł

w kierunku biblioteki, nie oglądając się.

Zbliżył się do imponujących szklanych drzwi, otworzył je i szybko wkroczył do wyłożonej wykładziną biblioteki. W środku wciąż paliły się światła.

– Dzień dobry – zawołał.

– Tutaj, przy biurku – odpowiedziała bibliotekarka zza małego regału. Podniosła rękę i pomachała. – Dzień dobry ponownie – odezwała się z uśmiechem. – Myślałam, że jeszcze tu pana zastanę po moim spotkaniu.

– Poszedłem niewłaściwym tropem.

– Dokąd?

– Do La Défense – odparł.

– Co? To mogłoby okazać się przydatne tylko wtedy, gdyby szukał pan informacji o ptakach czy formacjach skalnych na wyspie. Poza tym są zamknięci w środowe popołudnia.

Jules zdobył się na uśmiech.

– Właśnie się przekonałem.

– Co chciałby pan wiedzieć? – zapytała. – Nie chciałam dopytywać wcześniej, ale myślę, że szuka pan czegoś więcej niż historii latarni. Czegoś o Alainie Denisie i o Sordou.

Jules pochylił się do przodu.

– Obecny strażnik latarni, Prosper Buffa, zasugerował, że Alain Denis przebywał na Sordou pod koniec lat pięćdziesiątych – powiedział. – Czy spotkała pani Prospera?

– Co za postać – zauważyła, klepiąc w biurko. – Pamiętam go.

– Czy Buffa pokazywał pani latarnię morską i wyspę?

– Tak – przytaknęła. Pochyliła się i szepnęła: – Czy uważa pan, że ma on coś wspólnego ze śmiercią Alaina Denisa?

– Być może – odpowiedział Jules, niezgodnie z prawdą. „Skąd miałbym wiedzieć?” – pomyślał.

– Chyba nie sądzi pan, że ten biedak, M. Buffa, to zrobił? – zapytała.

– Nie – skłamał ponownie. – Ale jak pani wie, trudno wydobyć z niego jakieś informacje. Czy kiedykolwiek opowiadał pani historie o latarni morskiej?

– Był dziwny, to na pewno – przyznała. – A tak przy okazji, mam na imię Anne-Sophie.

– Jules. – Uścisnęli sobie ręce.

– Podawał wiele faktów dotyczących latarni morskiej – powiedziała, prostując się. – I na lunch zjedliśmy dobre kanapki, które przygotowałam w Marsylii... Opowiedział mi o wszystkich zatopionych wokół wyspy statkach.

– W stylu Jacques’a Cousteau.

– Właśnie tak – odrzekła. – A tak na marginesie, zatopione statki są pod opieką Ministerstwa Ekologii i Energii. W La Défense.



Jules roześmiał się.

Anne-Sophie mówiła dalej:

– I co dziwne, dużo mówił o śmierci. Jego matka umarła młodo, na gripę, jego młodszy brat także zmarł na gripę, rybacy wypływali w morze i nigdy nie wracali, burze... i utonięcia.

– Utonięcia?

Przygryzła wargę, koncentrując się.

– M. Buffa miał około dwudziestu lat, kiedy to się stało – powiedziała, pochylając się do przodu, i nagle się zaczerwieniła. – Tak, teraz pamiętam, bo mnie podrywał, stary flirciarz. Powiedział, że w czasach zatonięcia miał tyle lat, co ja. Wtedy miałam ponad trzydzieści lat i on to wiedział. –

Zatrzymała się i mówiła dalej: – Zasmuciło go to, powiedział, że zginęły dwie dziewczyny... nie, proszę poczekać... dziewczyna i kobieta.

Jules zauważył, że Prosper miał dwadzieścia lat w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym.

– To wszystko, co powiedział? Nie wspominał a Alainie Denise?

– Nie, nie wymieniał żadnych nazwisk. Mój asystent skończył mierzenie i robienie zdjęć i przyplłynęła nasza łódź. Więc pożegnaliśmy się, a on zachęcał mnie do powrotu w dowolnym czasie i mrugnął okiem.

– Czy macie tu w bibliotece rejestr zgonów? – chciał wiedzieć policjant.

– Nie tutaj. Myśli pan, że to ma związek?

Jules wzruszył ramionami.

– Trzeba poruszyć niebo i ziemię.

– Archiwa – rzekła, wskazując sufit. – Na górze.

Policjant spojrział na zegarek, dochodziła osiemnasta.

– *Il sont déjà fermés, non?*

Anne-Sophie otworzyła szufladę biurka, wyjęła z niej pęk kluczy i potrząsnęła nimi, aż zabrzęczały.

## 25

### Sprawy Billa

– *Général* Le Favre wygląda, jakby wrócił właśnie z wojny francusko-algierskiej – powiedziała Marine. Oderwała kawałek bagietki i zanurzyła ją w ostrej oliwie z oliwek, którą wcześniej nalała sobie na talerz.

– To właściwe skojarzenia – odezwał się Verlaque. – Jako młody oficer stacjonował w Algierze, otrzymał kilka medali za bohaterские czyny.

– To samo w Wietnamie – dodał Paulik. – Słyszałem, że raz poleciał helikopterem, który wziął bez pozwolenia z francuskiej bazy militarnej. Dotarł głęboko na terytorium wroga, by zabrać kilku rannych żołnierzy zdanych na własne siły.

– Czy ich stamtąd wydostał? – zainteresowała się Marine.

– Tak, ledwo – odparł komisarz. – Zostali zestrzeleni. Kiedy tylko generał wylądował, helikopter rozpadł się na kawałki. Od lat jest na emeryturze, ale nie mogą utrzymać go z daleka od siedziby policji. Jest ekscentrykiem... Mieszka sam w jakimś *cabanon* w *calanque* Callelongue.

Jednopokojowe kamienne chaty zwane *cabanon*, rozrzucone wzdłuż wybrzeża Marsylii, szczególnie w przypominających fiordy *calanques*, były kiedyś chatami rybaków, a dziś sprzedawano je po kosmicznych cenach.

Verlaque zagwizdał. Od lat marzył o takiej chacie, ale pomimo bogactwa nie miał tego, co było niezbędnym, by ją kupić: rodzinnych koneksji w Marsylii.

– Może zna Shirley Hobbs z Wietnamu – szepnęła Sylvie.

– Po tylu latach z pewnością by się nie rozpoznali – stwierdził Paulik.

– Żartowałam, Bruno – odparła.

– Kosze – podsunęła Marine.

– Tak – rzekł Verlaque. – Kuzyn Isnarda ukrył swój aparat fotograficzny w koszach.

– Jeśli to w ogóle jego kuzyn – zauważyła Marine.

– Po lunchu pójde i powiem Émile'owi i Le Bonom, że będą musieli znaleźć inne źródło zaopatrzenia w żywność dla hotelu – oznajmił sędzia.

– No cóż, na twoim miejscu nie martwiłabym się za bardzo – odezwała się Sylvie, spoglądając na pierwszą stronę „La Provence”. Całkiem dobrze wyglądasz na tym zdjęciu... bo aparaty na ogół dodają około pięciu kilo, prawda? A ty jesteś tu naprawdę smukły.

Marine wybuchnęła śmiechem, a Verlaque założył swoje okulary do czytania.

– Niech no spojrzę jeszcze raz.

\*

Pozostała część lunchu przebiegła bez specjalnych wydarzeń z wyjątkiem deseru, jaki udało się Émile'owi przygotować – sorbet malinowy, imbirowe ciasteczka i bita śmietana.

Po lunchu Verlaque zgłosił Le Bonom zaginięcie pierścionka i pokazał im gazetę. Max i Cat-Cat wydawali się zaskoczeni i tak jak on rozzłoszczeni tym artykułem oraz zdjęciem.

– To zdecydowanie nie taka prasa, na jaką liczyliśmy – skomentował Max, składając gazetę na pół i wręczając ją z powrotem sędziemu.

– Każdy rozgłos to dobry rozgłos – rzekł Verlaque. – Prawda?

– Mam nadzieję, że nie sugeruje pan naszego udziału w całej tej sprawie? – rzekła Cat-Cat.

Sędzia zawahał się, zanim odpowiedział.

– Nie. Jeżeli to wy byście to ukartowali, zakładam, że zwróciłibyście się do większej gazety.

Le Bonowie roześmiali się.

– Zadbam o to, by na razie zaopatrzenie było przywożone na Sordou przez łódź policyjną – zadeklarował Verlaque. – Dopóki nie znajdziecie innego dostawcy.

– Dziękujemy – odparła Cat-Cat. – Powiem Émile'owi, by przekazał panu listę potrzebnych produktów spożywczych na następne kilka dni.

– A wracając do pierścionka Mme Denis – odezwał się Max Le Bon. – Czy oskarża ona kogoś z naszego personelu?

– Nie – odpowiedział sędzia zgodnie z prawdą. – Ale twierdzi, że dokładnie przeszukała pokój.

– Przypuszczam, że zna pan przeszłość Niki? – zapytała Cat-Cat przyciszonym głosem.

– Owszem – odparł Verlaque. – Czy ona ma klucze do tego pokoju?

– Tak, wszyscy mamy dostęp do kluczy. Ale tylko cztery osoby rzeczywiście ich używają: Niki, Marie-Thérèse, Mme Poux i ja. I ufam każdej z nich tak samo jak własnemu mężowi.

– No cóż, proszę im powiedzieć, by miały oczy szeroko otwarte, chociaż to nie jest w tej chwili nasz największy problem. A kiedy będzie pani prosiła Émile'a o listę, czy mogłaby pani...

– Tak?

– Chciałem zasugerować, by Émile nieco urozmaicił menu jakimś mięsem.

– Popieram – szybko dodał Max.

– O, naprawdę? – Cat-Cat patrzyła na mężczyzn, skonsternowana.

– Jedzenie na Sordou jest fantastyczne – zapewnił Verlaque. – Chodzi tylko o niewielką zmianę.

– Émile robi świetne chorizo – odezwała się kobieta.  
– Chorizo? – dopytywał sędzia. – Byłoby wspaniale.  
– Dobrze – zgodziła się Cat-Cat. – Powiem Émile’owi, że chciałby pan spróbować jego chorizo. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy uda mu się zdobyć dobrą żabnicę do tego dania.  
– Och – westchnął Verlaque. – Więc to danie rybne. Muszę kontynuować przesłuchania. Do zobaczenia później.

Kiedy wyszedł, zwróciła się do męża:

– Moim zdaniem sędziemu przydałoby się więcej ryb w jadłospisie.

Max Le Bon, mążnek Cat-Cat już od dwudziestu lat, nie zaprotestował. Ale prawdą jest, że zawsze kiedy opuszczał wyspę i udawał się do Marsylii, żeby załatwić sprawy bankowe albo jakieś inne, jadał w restauracji La Côte de Boeuf, której specjalnością było pieczone mięso.

\*

– Dzień dobry, pani Hobbs. – Verlaque przywitał się z siedzącą na krześle w korytarzu Shirley Hobbs. – Przepraszam, że musiała pani czekać.

– Teraz jest tam mój mąż – wyjaśniła.

– Och – rzekł sędzia, zaskoczony. Pan Hobbs nie mówił po francusku, a Bruno Paulik tylko trochę znał angielski. Otworzył drzwi, Hobbs i Paulik śmiali się, pochyleni nad iPhone’em.

– Moje dzieci dały mi ten gadżet – Bill Hobbs zwrócił się do Verlaque’a, podnosząc i pokazując telefon. – Używam go przede wszystkim do robienia zdjęć. Komisarz i ja mieliśmy pewne kłopoty z komunikacją, więc pomyślałem, że uraczę go kilkoma rodzinnymi zdjęciami.

– Ich pies jest przezabawny – powiedział Paulik do Verlaque’a po francusku.

– *J’imagine* – odparł sędzia. Już czuł głód, a dopiero co zjedli lunch. Mieli też sprawę morderstwa, która wymagała rozwiązania, a wyglądało na to, że od poprzedniego ranka nie zbliżyli się do niego ani trochę. Verlaque usiadł, a Hobbs zrozumiał sugestię i odłożył telefon.

– Le Bonowie widzieli pana na nabrzeżu tego popołudnia, kiedy dokonano morderstwa – zaczął sędzia. – Czy pamięta pan coś dziwnego, nawet jeśli to wydawałoby się nieistotne?

– Nie – odparł Hobbs. – Widziałem tylko, że woda jest trochę wzburzona.

– Żadnych łodzi?

– Ani jednej.

Verlaque przetłumaczył rozmowę Paulikowi, który odparł, że większość rozumiał.

– Dużo przebywał pan nad morzem – stwierdził Verlaque. – Bellingham znajduje się na wybrzeżu, prawda?

Hobbs przytaknęła.

– Tylko że Ocean Spokojny bardzo różni się od tego dużego basenu, który nazywacie Morzem Śródziemnym.

– Czy w pańskiej opinii ktoś mógłby wczesnym wieczorem dostać się na brzeg z łodzi płynącej z przeciwnego kierunku?

Hobbs zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

– To byłoby ryzykowne. Chyba że bardzo dobry pływak. Ale pewnie wszystko jest możliwe, jeśli się tego bardzo chce. A przynajmniej tak mówiliśmy naszym synom.

– Czy Eric Monnier był z panem na nabrzeżu? – chciał wiedzieć sędzia.

– Tak – potwierdził Hobbs, usiłując opanować drżenie prawej ręki. – Przepraszam, parkinson się nasila, kiedy się denerwuję – wyjaśnił. – Eric i ja próbowaliśmy się porozumieć, a potem on usiadł na ławce naprzeciwko i zapalił cygaro.

– Czy pan pierwszy odszedł?

– Nie, on. Około piętnastu minut przede mną... Wróciłem do pokoju za piętnaście siódma.

– Czy słyszał pan wystrzał? – zapytał Paulik znośnym angielskim.

– Tak. Hmm, czy przyszło panom do głowy, że ten zbieracz... że ten człowiek, który zbiera to, co fala wyrzuci na brzeg...

– Prosper?

– Tak, Prosper. Czy to możliwe, że polował i przypadkowo...

– Zastrzelił człowieka z bliskiej odległości na plaży? – dokończył sędzia. – Podczas polowania na króliki?

– To rzeczywiście zabrzmiało głupio, kiedy tak pan to ujął. Ale jest tam też dużo ptaków.

– A pańska żona? – zapytał Verlaque. – Była w pokoju, kiedy pan wrócił?

– Tak, malowała. Wykańcza akwarele w naszym pokoju, przy biurku.

– O której wstał pan rano na ryby?

– O szóstej – odparł Hobbs. – Umówiliśmy się z Brice'em, że spotkamy się w Barze Jacky'ego dwadzieścia po. Kiedy tam przyszedłem, już czekał.

Paulik skinął głową, więc sędzia wiedział, że rozumie rozmowę.

– I pewnie nie zblizaliście się do zatoczki – stwierdził Verlaque.

– Nie, zeszliśmy schodami w dół i przy porcie skręciliśmy w lewo i skierowaliśmy się na klify po północnej stronie wyspy.

– O czym rozmawialiście?

– Trochę o Alainie Denise, jeśli o to panu chodzi.

– Tak, o to mi chodzi.

– No cóż, jeśli wolno mi to powiedzieć, uważam, że nasza rozmowa była prywatna.

– Proszę... – odezwał się Paulik i przerwał, jakby nie mógł znaleźć odpowiedniego angielskiego słowa, by kontynuować.

– Ojczym chłopaka został zamordowany – wyjaśniał Verlaque. – Wyjawiając to, o czym rozmawialiście, pomoże mu pan, a nie zaszkodzi.

Bill Hobbs przygryzł dolną wargę.

– Nie jestem tego pewien.

– O?

– Nie mogę nic panom powiedzieć i nie zrobię tego – oznajmił Hobbs. – Przykro mi.

\*

Przesłuchanie pani Hobbs przebiegło bardzo szybko. Potwierdziła, że jej mąż wrócił do pokoju za piętnaście siódma, a potem ubrali się na kolację i rozegrali partię remika na swoim tarasie. Nie, nie rozmawiała z mężem o jego wyprawie na ryby, bo to była „sprawa Billa”. Już miała wyjść, kiedy sędzia zapytał ją o Wietnam. Wyjaśniła, że właśnie skończyła szkołę pielęgniarską, kiedy straciła brata na wojnie, i dlatego zgłosiła się na ochotnika. Chciała pomóc innym żołnierzom, którzy potrzebowali pomocy medycznej (jej brat nie zginął w dżungli, ale w szpitalnym łóżku w bazie wojskowej, z powodu infekcji). Jeździła do Wietnamu przez pięć lat, a później pracowała w Seattle, gdzie spotkała Billa, który pracował po przeciwnej stronie ulicy w jednym ze sklepów z narzędziami należących do jego rodziny. Pobrali się późno jak na tamte czasy, ona miała trzydzieści dwa lata, a Bill trzydzieści cztery.

\*

Sylvie Grassi zachowywała taką powagę podczas przesłuchania, że Verlaque prawie jej za to podziękował. Choć była bardzo zabawna, jej ciągle dowcipkowanie męczyło go. Ujawniła, że podsłuchiwała, jak Le Bonowie się kłócili. Korzystała właśnie z toalety dla gości znajdującej się obok ich biura i usłyszała – albo przez przewody wentylacyjne, albo przez ściany – ich rozmowę.

– Max oskarżał Cat-Cat, że nie ma serca – oznajmiła Sylvie. – On powiedziała, że morderstwo przysporzy hotelowi rozgłosu i gości. On wydawał się zniesmaczony, a ją to zaskoczyło. Była praktyczna i konkretna. A potem Cat-Cat przypomniała Maxowi, że to on wpadł na pomysł hotelu i że inwestorzy tracą cierpliwość. Co dziwne, po ich kłótni słyszałam, że rozmawiają z Marie-Thérèse, która także musiała być świadkiem ich rozmowy, ale udawała, że tak nie było. Kiedy wyszła, Le Bonowie uznali, że najprawdopodobniej słyszała każde ich słowo.

Kiedy Sylvie opuściła salę, Verlaque zaczął pisać coś na skrawku papieru, były to nazwiska pracowników hotelu i gości. U góry strony napisał „motywy”. Paulik pochylił się do przodu i spojrział na notatki szefa. Obok Mme Denis Verlaque zapisał „spadek i nienawiść”. Paulik skinął głową z aprobatą. Przy imieniu Brice’a sędzia zapisał „nienawiść”.

– Niki? – zapytał Verlaque.

– Nienawiść do męczycyżn? – zasugerował komisarz. Verlaque zapisał.

– Barman Serge?

– Obaj są z Marsylii – spekulował Paulik. – Być może jakaś stara wendeta. Ale może to za bardzo naciągane?

Verlaque postawił znak zapytania przy nazwisku Canzano.

– Marie-Thérèse nie ma motywu – stwierdził sędzia. – Ale chroniła przed nami swoich szefów... Nie powiedziała nam o ich kłótni.

– No cóż, Hobbowie są poza podejrzeniem – powiedział Paulik. – I Eric Monnier, bo był z Billem Hobbsem.

Verlaque odezwał się.

– Rozumiem, co mówisz... Hobbowie nie mają żadnego powodu, by zabijać francuską gwiazdę filmową, o której prawdopodobnie nawet nie słyszeli. Nie mogę sobie wyobrazić, by on kiedykolwiek poszedł do kina. Ale są tutaj z jakiegoś powodu. By rzucić jakieś światło na całą historię.

## 26

### *Le Buzz*

– Może czasami wydaję się nieprzyjemna – zaczęła Cat-Cat. – Ale chciałam powiedzieć, jak jestem wdzięczna, że obaj panowie jesteście tu teraz na Sordou.

– Zastanawiałem się – rzekł Verlaque – czy łatwo jest zadzwonić do hotelu i dowiedzieć się, kto będzie tu przebywał w konkretnym tygodniu?

– Oczywiście, że nie – odparła Cat-Cat, marszcząc brwi.

– Powiedzmy, że chciałbym zadzwonić i udawać czyjegoś kuzyna – kontynuował sędzia, myśląc o Isnardzie. – I sprawdzić, czy mój kuzyn zarezerwował tutaj pokój.

– No cóż, musielibyśmy być bardzo tępi, by się na to nabrać.

Bruno Paulik uśmiechnął się.

– Czy sądzi pan, że ktoś, kto zabił M. Denisa, chciałby, żeby tu był sędzia śledczy? By dodać temu atrakcyjności? – zapytała Cat-Cat.

– Coś w tym stylu – odrzekł Verlaque.

– To wydaje się... głupie.

– Czy to było tajemnicą, że Alain Denis przyjedzie tu na wakacje? – zapytał Paulik.

– Och, nie! – Cat-Cat roześmiała się. – Nie wiedzieliście, panowie? Teraz rozumiem, dlaczego zadajecie te wszystkie pytania. Aktor ogłosił to w *Le Buzz* późną wiosną.

Verlaque spojrział na Paulika, który był zajęty pisaniem. Sprawdzą datę, kiedy program telewizyjny został wyemitowany w telewizji, i porównają z datami rezerwacji.

– Powiedziałabym to panom – mówiła dalej Cat-Cat – ale myślałam, że wiecie.

– Nigdy nie widziałem tego programu – oznajmił Verlaque. Nienawidził francuskiej telewizji – dopiero niedawno odkrył, że na komputerze może oglądać swoją ulubioną audycję, w której angielski architekt odwiedza pary budujące lub remontujące dom w brytyjskim krajobrazie.

– Ja też tego nie widziałem – dodał komisarz.

– To musiało zwiększyć liczbę rezerwacji u państwa – zasugerował Verlaque.

– Z tego, co możemy powiedzieć, tylko minimalnie – odparła Cat-Cat. –

M. Denis nie podawał szczegółów na temat swoich wakacji, więc trzeba było znać Sordou lub trochę pogrzebać, by wiedzieć, o czym mówi. Jest



około tuzina wysp między nami a Niceą.

– Co dokładnie powiedział? – zapytał Paulik, trzymając długopis w gotowości.

– Że jedzie do domu – wyjaśniła Cat-Cat. – Na słońce, nad morze, na czarującą, bezludną wyspę.

– I nie wymienił nazwy Sordou? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Nie, niestety nie – odrzekła Cat-Cat. – Ktoś, kto nie znał Prowansji bardzo dobrze, prawdopodobnie pomyślałby o innej wyspie. My dopiero utworzyliśmy hotel, nie było tu żadnego od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego. A mówiąc o rezerwacjach...

Verlaque zebrał się w sobie, wiedział, że Le Bonowie nie mogli się doczekać ponownego otwarcia hotelu.

– Obawiam się, że to niemożliwe, dopóki nie wyjaśnimy tej zbrodni.

– A my mamy tu siedzieć i tracić klientów i nasze pieniądze?

– Pracujemy nad tym tak szybko, jak możemy – odezwał się Paulik.

– Kiedy macie następnych gości? – zainteresował się sędzia. – W sobotę?

– Właśnie – odparła Cat-Cat.

– To daje nam kolejne trzy dni – stwierdził Verlaque. – Jeśli do tej pory nie skończymy dochodzenia, przeniesiemy je na ląd, do Marsylii.

Cat-Cat głęboko zaczerpnęła powietrza i westchnęła z ulgą.

– W to popołudnie, kiedy zostało popełnione morderstwo – zwrócił się do niej sędzia. – Była pani w swoim biurze czy w pokoju?

– W pokoju – odrzekła Cat-Cat. – Mamy małe mieszkanie na tyłach hotelu, obok Mme Poux. Leżałam na łóżku i czytałam, gdy usłyszałam strzał. Max był pod prysznicem, więc tego nie słyszał.

– Co pani zrobiła?

– Nic – odparła. – Uznałam, że to Prosper. Ale byłam zła, bo mogło to przeszkadzać naszym klientom. Wcześniej tego dnia widziałam Mme Hobbs, która malowała nad morzem, jej męża i M. Monniera siedzących razem na nabrzeżu.

– O której godzinie?

– No cóż, to było przed siedemnastą trzydzieści, bo właśnie wtedy przyszedłam do naszego apartamentu, by odpocząć.

– Czy nie martwiła się pani, zatrudniając kogoś, kto był w więzieniu? – zapytał Verlaque.

Mme Le Bon uśmiechnęła się z wyższością.

– To był pomysł Maxa, nie mój. Z nas dwojga on jest bardziej dobroduszy.

Verlaque pomyślał o ich sprzeczce, opisaną przez Sylvie.

– Przeczytał w gazecie, jak dobrze radzą sobie byli więźniowie, jeśli da im się szansę i odpowiednie przeszkolenie – mówiła dalej. – Zapoczątkował to ten młody szef kuchni.

– Jamie Oliver.

- Tak, on. Ale teraz się cieszę, że zatrudniliśmy Niki.
- Wydaje się bardzo oddana – powiedział sędzia. – I skuteczna. Jak układało jej się z M. Denisem?
- Obawiałam się, że pan o to zapyta.
- O!
- Niki go nie lubiła, tak to ujmijmy.
- Mme Le Bon – odezwał się Paulik. – Obawiam się, że musi pani być bardziej konkretna.
- On... się do niej przystawiał.
- Tylko raz? – chciał wiedzieć Verlaque. – Mlle Darcette nie powiedziała nam tego.
- Więcej niż raz – odparła Cat-Cat zdecydowanie.
- Więc powiedziała pani o tym?
- Tak, była wściekła. Nigdy nie widziałam jej tak podminowanej.
- Bardziej zasmuconej czy rozżłoszczonej? – zapytał sędzia.
- To drugie.

\*

Wydawało się, że Max Le Bon jest bardziej zdenerwowany niż jego żona. Tak naprawdę Verlaque podzielił się tą obserwacją z Paulikiem dopiero pod koniec dnia. Powiedział, że Cat-Cat Le Bon wyglądała na zupełnie spokojną, co obaj uznali za niezwykle.

– Widziałem nawet policjantów, którzy denerwowali się, gdy byli przesłuchiwani.

Max Le Bon potwierdził, że oboje z żoną byli w ich mieszkaniu, kiedy padł wystrzał, a gdy policjanci naciskali, przyznał, że Niki Darcette była bardzo wzburzona z powodu awansów Denisa. Dodał też coś na temat hotelu, jak gdyby chciał dać ujście napięciu:

– Nie byliśmy w stanie wypełnić wszystkich pokoiów, nawet w tym tygodniu, gdy był tu Alain Denis. Został ten pojedynczy, w którym teraz mieszka pan, panie komisarzu.

– Jak pan myśli, dlaczego tak jest? – dopytywał sędzia.

– Z wielu powodów, o których nie myśleliśmy, kiedy w swej naiwności kupiliśmy ten hotel. Bliskość Marsylii... a może te dwadzieścia pięć kilometrów to za wiele? Może cena jest wygórowana albo przeciwnie – zbyt niska? Może panuje tu za duży spokój? Kto wie... – mówił coraz ciszej.

– A od śmierci Denisa?

– Niezręcznie to przyznać, ale mamy komplet do drugiego tygodnia września.

– Więc jego śmierć w jakiś dziwny sposób pomogła.

– Kto wie? – powtórzył Le Bon. – Niki ciężko pracowała przez cały miniony tydzień. Codziennie wysyłała informacje do prasy, zwracała się do dziennikarzy... Dodam, że przed śmiercią M. Denisa zaszaleliśmy

i umieściliśmy małą reklamę w czasopiśmie „Madame Figaro”. Wyszło w ostatnią niedzielę. Chcemy zapytać gości, którzy przybędą, czy ją widzieli. Kiedy dzwonią, by zarezerwować pokoje, od razu ich pytamy, skąd dowiedzieli się o Sordou.

– I co odpowiadają?

– Niki mówi, że jedna trzecia widziała reklamę w „Madame Figaro”, kilka osób odwiedziło naszą stronę internetową, a jedna czy dwie przyznały, że chcą tu przyjechać, by oddać hołd Alainowi Denisowi.

– Tylko jedna czy dwie? – zapytał Paulik.

– Trzeba powiedzieć sobie szczerze – rzekł Max – że pewnie więcej ludzi zarezerwowało ze względu na Denisa, ale...

– Ale się do tego nie przyznają – podsunął Verlaque.

– Właśnie – przytaknął Le Bon. – Jeżeli ktoś powie, że przyjeżdża, by zobaczyć wyspę, na której został zamordowany słynny aktor, to zdecydowanie nie stawia go w dobrym świetle.

\*

– Dzień dobry, panowie – powitał ich Eric Monnier. Usiadł i położył na stole swój panamski kapelusz.

– Dzień dobry, M. Monnier – odparł sędzia. – Tego popołudnia, gdy Alain Denis został zamordowany, był pan na nabrzeżu i palił cygaro.

– Tak, rzeczywiście – przyznał Monnier. – Upmanna czterdzieści sześć. Moje ostatnie.

– Ostatnie cygaro? – dopytywał sędzia. – Czy ostatnie czterdzieści sześć? Monnier roześmiał się.

– Ostatnie czterdzieści sześć. Proszę się nie martwić!

– Jak długo pan tam był? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Ponad godzinę. Tyle, ile zajęło mi spalenie cygara. Doszedłem tam tuż przed siedemnastą, a opuściłem to miejsce około wpół do siódmej.

– Czy widział pan coś niezwykłego? – zapytał Paulik.

– Nie, powiedziałbym panom. Na ławce naprzeciwko mnie Bill Hobbs czytał jakiś poradnik, które jankesi tak lubią. Próbowaliśmy rozmawiać, ale napotkaliśmy barierę językową.

– Ale wiedział pan, co czytał – zauważył Paulik.

– Całkiem dobrze czytam po angielsku – wyjaśnił Monnier. – Ale język mi się płacze, kiedy mam mówić.

– A na wodzie? Coś pan dostrzegł?

– Nic. Morze trochę się rozbujało, nawet ja to zauważyłem. Nie było tam żywej duszy.

– Jest pan z Marsylii, prawda? – zapytał Verlaque. – Komisarz trochę poszperał, zanim przyjechał na Sordou.

– Dobra robota – odparł Monnier, mrugając okiem. – I wyobrażam sobie, że macie teraz cały sztab policjantów, którzy przeszukują nasze akta.

– Rzeczywiście.

– Urodziłem się w Marsylii dwunastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

– Alain Denis także urodził się w Marsylii tego roku – zauważył Verlaque.

– Marsylia to duże miasto – odparł Monnier.

– Mme Poux, gospodyni, mówiła mi, że Denis był mistrzem pływackim – rzekł sędzia. – Wiedział pan o tym?

– Nie w szczegółach – powiedział nauczyciel. – Pływał w klubie, o ile pamiętam... Le Cercle des Nageurs. I podobnie jak jego prestiżowa szkoła średnia oraz rodzinna rezydencja z widokiem na Corniche Kennedy, Le Cercle był poza moim zasięgiem.

– Czy odwiedzał pan Sordou już wcześniej? – zapytał sędzia. – Tak mówił nam pan na łodzi.

– Kilka razy, kiedy był tu świetnie prosperujący hotel. Nawet nie podchodziliśmy do niego blisko, trzymaliśmy się drugiej części wyspy. Ale większość wakacji spędzałem na wyspie w archipelagu Frioul, w domku letniskowym mojego wuja. Kiedy byliśmy dziećmi, czasami docieraliśmy tu łodzią, a potem, już wpław, ruszaliśmy wzdłuż brzegu Sordou, mając nadzieję, że uda nam się chociaż zerknąć na bogatych i sławnych, którzy zatrzymywali się w hotelu.

– Och, więc pan też pływał – zauważył Verlaque.

– Mój drogi chłopcze, przecież w tamtych czasach wszyscy pływaliśmy – powiedział Monnier. – Nie było telewizorów – no chyba że było się bogatym – ani gier wideo czy tych okropnych telefonów komórkowych.

– Więc się nie znaliście? – upewniał się sędzia. – Denis chodził do Thiers High School.

– Wiem. Kiedy zdobył sławę, a było to, o ile dobrze pamiętam, krótko po ukończeniu szkoły średniej, cała Marsylia mówiła o jego talencie i osiągnięciach, przypisując sobie zasługi. Jednak ja nie miałem z tym nic wspólnego. Nigdy go nie spotkałem. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim otrzymałem stypendium do jezuitów w Vaucluse.

– W szkole z internatem? – zainteresował się Paulik. – W Awinionie? W liceum Świętego Józefa?

– Nie inaczej. To najlepsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

– Dlaczego pan tak mówi? – zapytał Verlaque.

– Bo nauczono mnie tam poezji, drogi chłopcze.

\*

Yolaine Poux cicho weszła do ich prowizorycznego biura i usiadła, wyglądając swój fartuch.

– Przepraszam, że odciągamy panią od pracy – rzekł Verlaque.

– To nie problem – odparła.

Sędziemu trudno było oderwać od niej wzrok – spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu było bardzo intensywne. Marine już wcześniej zauważyła, że Mme Poux była piękną kobietą, i teraz sędzia przyznawał jej rację. Nigdy nie widział Yolaine z tak bliska – jej cera była promienna, mimo że kobieta także urodziła się w czterdziestym roku. Miała wystające kości policzkowe, co uwydatniało nie tylko jej oliwkową karnację, ale także pełne, szerokie usta. Jednak największe wrażenie zrobiła na nim jej posągowa figura. Mme Poux miała szerokie ramiona i długie szczupłe nogi, które wciąż były zgrabne, co ukazywała sięgająca do kolan czarna sukienka.

– Wczoraj powiedziała mi pani coś bardzo interesującego – zaczął. – Że Alain Denis po mistrzowsku pływał. Czy znała go pani, kiedy dorastał?

– Tak, znałam – odpowiedziała powoli, ale wyraźnie. – Marsylia to duża wioska.

– Och – zadumał się Verlaque. – M. Monnier właśnie nazwał ją wielkim miastem.

– On mieszka w Aix – odparła. – Tam wszyscy uważają Marsylię za wielkie miasto.

Sędzia widział, że Paulik coś zapisuje, i nawet zgadywał, co to było: „Żadnych wyraźnych związków między Yolaine Poux a Erikiem Monnierem”. „No chyba że ona potrafi dobrze kłamać” – pomyślał Verlaque.

Mme Poux spojrzała na zegarek i obaj mężczyźni zauważyli, że pogłaskała szkiełko.

– Czy mają panowie trochę czasu? – zapytała w końcu.

## Le Cercle des Nageurs

Paulik sięgnął do swojej teczki i wyjął mały magnetofon taśmowy.

– Czy nie ma pani nic przeciwko? – zapytał.

– Absolutnie nie.

Zaczęła:

– Zawsze kiedy słyszę muzykę fortepianową, szczególnie Bacha, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że unoszę się na wodzie, na plecach, w morzu, i mam nad sobą błękitne południowe niebo. Wyższe dźwięki fortepianu brzmią dla mnie jak delikatne drobne fale, jak błyski światła. W tamtych czasach personel mógł pływać w klubie, wątpię, by teraz tak było. Le Cercle des Nageurs – marsylski elitarny prywatny klub pływacki, otwarty w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku przez hiszpańskiego architekta, który miał obsesję na punkcie tego sportu. Już wtedy w klubie trenowali pływacy olimpijscy i gracze w piłkę wodną, ale klub zapewniał także marsylczykom miejsce, gdzie mogli pływać i się spotykać. Mimo to, kiedy dostałam tam pracę, musiałam bronić klubu w rozmowie z rodzicami. „To nie jest klub dla bogatych”, zapewniałam. Rodzice byli komunistami, jak większość naszych przyjaciół i sąsiadów. Mówiłam rodzicom: „Bogaci mają domy letnie. Członkowie Le Cercle nie mają. Klub jest ich *résidence secondaire*.”

„Więc powinien być otwarty dla wszystkich!” – krzyczał mój ojciec, uderzając pięścią w kuchenny stół. – „I to za darmo!”

Musiałam zagryźć wargi, bo lubiłam członków klubu. Byli mili, szykowni, dobrze wykształceni. Nawet nie wiem, ile wynosiła wtedy składka członkowska, w pięćdziesiątym szóstym, kiedy dostałam tę posadę. Ale w „La Provence” widziałam tegoroczne stawki – wpisowe to tysiąc sześćset euro, przy czym dwóch członków klubu musi za ciebie formalnie poręczyć, a potem tysiąc dwieście pięćdziesiąt rocznie.

Zdobyłam tę pracę w ostatnie wakacje szkoły średniej – w szkole podstawowej przeskoczyłam dwie klasy. Pomagałam prac basenowe ręczniki i czasami podawałam klubowiczom przekąski i drinki w hallu. Kiedy skończyłam szkołę, zaczęłam pracować na pełny etat. W powojennej Marsylii nie było wielu miejsc pracy, a w Le Cercle czułam się jak w rodzinie.

Początkowo pływacy skakali do morza z niskich klifów, które znajdowały się u podnóża klubu, ale w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim

zbudowano *bassin d'été* – długi i elegancki basen zewnętrzny z widokiem na Morze Śródziemne i wschodnią Marsylię. Napełniony był wodą morską. Nigdy nie widziałam tak pięknego basenu... Kiedy kończyłam moją zmianę, szybko przebierałam się w kostium kąpielowy i ostrożnie wchodziłam do wody. Staralam się pozostać niezauważona.

Byłam urodzoną pływaczką i wiedziałam o tym. Po ojcu odziedziczyłam szerokie ramiona i wąskie biodra i mogłam sunąć przez wodę równie dobrze jak każdy z tych półprofesjonalnych pływaków. Nawet wtedy byli w klubie olimpijczycy, teraz jest ich tylu, że kiedy oglądam olimpiadę w małym telewizorku w moim pokoju, myślę ich nazwiska.

W pięćdziesiątym pierwszym Joseph Bernardo pobił rekord świata na osiemset metrów stylem dowolnym. W następnym roku pojechał na olimpiadę i w tym artykule w „La Provence”, o którym wspomniałam wcześniej, znajdował się wywiad z nim – nadal codziennie chodzi do klubu, żeby popływać, a potem kładzie się na leżaku, cieszy słońcem i rozmawia z młodszymi kandydatami na olimpijczyków. Zamieścili zdjęcia.

W pięćdziesiątym szóstym, w roku, kiedy tam przyszłam, zbudowano basen wewnętrzny ze świeżą wodą, a rok później zainstalowano basen olimpijski. W sześćdziesiątym siódmym wróciłam do Le Cercle z moim mężem, by pokazać mu basen z wodą morską wznoszący się nad klifami, ale Rémy wydawał się zdenerwowany i nie zostaliśmy długo. Rémy nie chciał, bym pracowała, uważał, że zamężna kobieta powinna zostać w domu, zwłaszcza po to, by opiekować się dziećmi. Ale nie mieliśmy dzieci, a potem, w siedemdziesiątym siódmym, Rémy zmarł na zawał. I wtedy właśnie pożałowałam, że posłuchałam Rémy'ego i mojego ojca, którzy nie chcieli, bym zdawała na uniwersytet. A chcieli tego wszyscy moi nauczyciele.

Lato pięćdziesiątego szóstego było magiczne – gorące i suche – i cieszyłam się życiem. Członkowie klubu byli w moim wieku, mieli podobne umiejętności pływackie i traktowali mnie jak swoją. Przynajmniej tamtego lata. Od tamtej pory nie pływałam, zastanawiam się, czy bym umiała. Nie pamiętam wiele twarzy przyjaciół z tamtych dni – a wszyscy byli zamożniejsi ode mnie – ale pamiętam kilka imion: Roger, Alice, Claude, Xavier, Marie-Pierre... i oczywiście Alain. Wszyscy go kochali.

Dokładnie pamiętam, kiedy zobaczyłam z bliska jego twarz. Niosłam naręczę miękkich ręczników do damskiej szatni, a on szedł korytarzem w kierunku *bassin d'été* i nucił. Prawie na niego wpadłam, a on złapał ręczniki, zanim zsunęły się jeden po drugim na podłogę, i roześmiał się. „*Fais attention, ma belle!*” – zawołał. „Uważaj, moja piękna!”

Powiedziałam mojej najlepszej przyjaciółce, jaki był przystojny. „Jest wystarczająco piękny, by pojawiać się na zdjęciach” – powiedziałam. Śmiałyśmy się, a ojciec walił w drzwi mojej sypialni, bo robiłyśmy za dużo hałasu. A on czytał Karola Marksa.

Po latach spotkałam tę przyjaciółkę na La Canebière. „No proszę – powiedziała, potrząsając moją ręką. – Miałaś wtedy rację! Alain Denis był wystarczająco piękny, by grać w filmach”. W tamtej chwili byłam już Mme Poux i nigdy jej nie powiedziałam, co dokładnie zdarzyło się w lecie pięćdziesiątego szóstego roku.

Alain Denis był synem bogatego lekarza i baletnicy. Wydawało się, że nie chodzi, ale szybuje po Le Cercle. Zwykle podążał za nim sznur młodych mężczyzn i kobiet, a każde z nich rywalizowało o jego uwagę. Miał prawie kobiecą urodę – wydatne kości policzkowe, pełne usta i przenikliwe stalowoniebieskie oczy. Chłopcy skakali wokół niego, starając się być zabawni. Dziewczęta dąsały się. Natychmiast zauważyłam – w końcu to był basen – że ciało Alaina było nieowłosione. To mnie zafascynowało. Stanowiło kontrast z jego fryzurą – włosy miał dłuższe, niż było wówczas w modzie, zaczesane na bok i spadające mu elegancko na twarz. Nie zawracał sobie głowy tym, by je odgarniać!

– Hej, dziewczyno od ręczników – szepnął do mnie pewnego popołudnia, kiedy skończyłam zmianę. Przepłynęłam osiem długości w basenie z morską wodą i odpoczywałam z łokciami opartymi o skraj basenu. Patrzyłam na morze. – Jesteś świetną pływaczką – rzekł.

– Dziękuję. – Tylko na tyle się zdobyłam.

– Jak masz na imię, dziewczyno od ręczników?

Powiedziałam mu.

– Do zobaczenia wkrótce, Yolaine – odparł i z powrotem zanurkował pod wodę.

Chwyciłam mój ręcznik i wyszłam z wody tak szybko, jak mogłam, nogi pode mną drżały. Idąc brzegiem basenu do szatni, czułam, że na mnie patrzy. Następnego dnia po pracy poszłam prosto do domu, nie chcąc znowu się na niego natknąć. Ale cztery dni później było wyjątkowo duszno i gorąco, więc znowu pływałam, prawie zapomniawszy o śmiałym pięknym chłopaku. Przepłynęłam kilka długości basenu, a potem unosiłam się na wodzie na plecach – przez cały czas z tą fortepianową muzyką brzmiącą w mojej głowie. Leżałam tak, patrząc na niebo z przebiegającymi po nim białymi chmurami. Nagle w wodzie przy moim prawym ramieniu pojawiła się ciemna plama. Spojrzałam na nią, przepływając, a ona powoli wyłaniała się z wody, aż okazało się, że to twarz Alaina.

– Cześć, Yolaine – szepnął. – Naucz mnie pływać tak, jak ty to robisz.

– Nie żartuj – powiedziałam mu i szybko sięgnęłam nogami dna basenu. Nie chciałam leżeć na plecach tak blisko niego. – Jesteś w drużynie pływackiej. Nie potrafisz niczego cię nauczyć.

– Pływam szybko, ale bez wdzięku – rzekł z uśmiechem.

Nigdy nie zapomnę tych słów. Po latach, kiedy przeczytałam, że stracił popularność, te słowa do mnie wróciły. „Szybko, ale bez wdzięku”. Czy stał się gwiazdą zbyt szybko?



– Połóżmy się w słońcu – zaproponował.

Wyszliśmy z basenu i położyliśmy się na brzuchach, wspierając głowy na rękach, by móc rozmawiać i patrzeć na morze. Rozśmieszał mnie historiami o drużynie pływackiej – jak Aimé zawsze skakał o sekundę przed wszystkimi albo jak każdego ranka trzeba było zmuszać Rogera do wejścia do wody. Zaczęliśmy pływać i korzystać ze słońca prawie każdego wieczoru po mojej zmianie, przez cztery tygodnie. Nigdy nie było wokół niego przyjaciół. Czasem kończyłam późno i większość tych dzieciaków opuściła już basen, gdy zbliżał się wieczór. A może dawali mu trochę swobody, wiedząc, że zabiega o moje względy. Nigdy się tego nie dowiedziałam...

A potem w piątym tygodniu przestałam go widywać. Poprzedniej soboty pływaliśmy razem i czułam się wystarczająco swobodnie, by powiedzieć Alainowi o mojej rodzinie. On zrobił to samo. Nawet udało mi się go rozśmieszyć. Byliśmy razem, dopóki nie powiedziałam, że mogę być potrzebna do pomocy przy kolacji, a Alain wyglądał na naprawdę zasmuconego, gdy mówiłam do widzenia. Szliśmy długim korytarzem w stronę szatni i tuż przed drewnianymi drzwiami z tabliczką *femmes*, zanim je otworzyłam, pocałował mnie. Ku mojemu zaskoczeniu odwzajemniłam pocałunek. Nigdy wcześniej ani później nie czułam się tak podniecona, nawet z Rémym. Mówię to ze wstydem, ale chcę, byście wszystko wiedzieli. „Jesteś taka...” – zaczął Alain, ale usłyszeliśmy kaszel dobiegający z głębi korytarza, więc przerwał. Oboje obróciliśmy się i zobaczyliśmy Thierry’ego, trenera drużyny pływackiej, który stał z rękami na biodrach. Alain mnie puścił i wpadłam do szatni, drżąc.

Pod koniec lata Alain wygrał klubowy konkurs na czterysta metrów kraulem i kiedy stał na prowizorycznym podium, otoczony przez przyjaciół i członków klubu, byłam prawie pewna, że napotkał moje spojrzenie i powoli na dwie lub trzy sekundy zamknął oczy, jakby chciał się usprawiedliwić. Rozumiem, dlaczego nie mogliśmy nadal się widywać – on był członkiem klubu, ja pracownicą. On był synem lekarza, ja – córką kierowcy tramwaju.

W kwietniu przyjaciel Alaina – on też miał dobre koneksje, widziałam go w La Cercle i nigdy go nie lubiłam – zaprosił go na festiwal filmowy w Cannes. Alain stylowo się ubierał, nie wiedziałam tego, bo zwykle widywałam go w czarnym kostiumie kąpielowym albo w szortach. Dopiero kiedy zobaczyłam jego zdjęcia w gazetach i czasopiśmie, zdałam sobie sprawę, że potrafi świetnie się ubrać. W Cannes, jak panowie wiedzą, jego wycucie stylu – elegancja połączona z niedbałym wyglądem, bo tak to opisywano – i uroda przyciągnęły uwagę co najmniej dwóch reżyserów. Zawsze szanowałam go za to, że nie podpisał umowy z tym zarozumiałym hollywoodzkim reżyserem, ale zamiast tego zgodził się grać główną rolę w filmie kręconym tego lata w Paryżu. Wszyscy znamy tę historię, ale i tak

ją powtórzę. W następnym filmie pracował z awangardowym włoskim reżyserem, a z trzecim filmem wrócił do Cannes, tym razem by odebrać Złotą Palmę dla najlepszego aktora.

## Obrona Marsylii

– To był ostatni raz, kiedy widziałam Alaina – powiedziała Mme Poux.

Verlaque zaczął wiercić się na krześle, bo zdrętwiały mu nogi. Zdał sobie sprawę, że nie poruszył się przez cały czas, kiedy opowiadała swoją historię.

– Aż do tego tygodnia – stwierdził.

– Aż do tego tygodnia – powtórzyła.

– Czy panią rozpoznał?

– Nie – odparła Mme Poux. – Bardzo starałam się go unikać. Zajmowałam się nim Marie-Thérèse. Biedna dziewczyna.

– Pani nazwisko także się zmieniło – zauważył sędzia.

– Tak. Wtedy byłam Yolaine Ségonde, na Sordou jestem Mme Poux.

Verlaque powiedział Mme Poux o zaginionym pierścionku Mme Denis.

– Nie widziałam go – rzekła. – Wygląda na to, że mógł być dużo wart, chociaż zawsze uważałam, że sentymentalna wartość biżuterii przewyższa jej cenę.

Verlaque skinął głową. Był pod wrażeniem tego, jak ładnie się wyraziła. To przypomniało mu Serge'a i jego historyczną pasję. „Nie oceniaj książki po okładce” – mawiała Emmeline. I za każdym razem Antoine i Sébastien odpowiadali słowami, o których wiedzieli, że nastąpią zaraz potem: „*Z Młynu nad Flossą* George'a Eliota”. To była ulubiona książka babci. „George, który tak naprawdę był dziewczyną” – dodawał Sébastien, uśmiechając się od ucha do ucha, a Antoine wznosił oczy do góry.

Zauważył, że gospodyni jeszcze raz pociera szkiełko swojego staroświeckiego zegarka z małą prostokątną tarczą i cienkim paskiem.

– Czy zawsze pani sprząta pokoje? – zapytał Paulik.

– Nie – odparła. – Zamieniamy się z Marie-Thérèse.

\*

Po wyjściu Mme Poux Paulik i Verlaque wstali, by się poprzeciagać. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, Hugo – powiedział sędzia. Ale to Marie-Thérèse otworzyła drzwi, trzymając na biodrze tacę z dzbankiem herbaty i talerzem ciastek.

– Dziękujemy – rzekł Paulik.

– *C'est l'heure de goiter!* – zaśpiewała dziewczyna.

– Rzeczywiście, czas na przekąskę. To takie miłe, że pamiętałaś o nas –

powiedział Verlaque, biorąc od niej tacę i stawiając ją na stole.

– To moja praca! Lubię widzieć, że zaopiekowałam się wszystkimi.

– Dziękuję – powtórzył Verlaque. – A jeśli zobaczysz Hugo, to powiedz mu, proszę, że jesteśmy gotowi, aby go przesłuchać.

– Widziałam go na tarasie – odparła. A wychodząc, dodała: – Pójdę i przyślę go.

– Historia, którą opowiedziała Mme Poux, była zdumiewająca – stwierdził Paulik, gryząc ciasteczko.

– Nie spodziewałem się tego – odrzekł sędzia. – Pięknie to wszystko opisała, klasyczną historię młodzieńczej miłości, która nie mogła się urzeczywistnić ze względu na zewnętrzne okoliczności.

– *Romeo i Julia* – zasugerował Paulik.

– W marsylskim stylu – dodał Verlaque. – Ale nikt by za to nie zabił, prawda?

– Pożądanie, miłość...

– I pieniądze – zauważył Verlaque. – Kiedy tutaj skończymy, trzeba będzie zobaczyć, czy zjawił się prawnik. Zgaduję, że dziedziczy Mme Denis.

– Według niej niewiele zostało – rzekł komisarz.

– Jeśli w to wierzymy...

Verlaque'owi przerwało głośnie pukanie do drzwi, wszedł Hugo Sammut.

– Witam – powiedział, przechodząc przez pokój i siadając naprzeciwko obu mężczyznom.

– Dzień dobry, Hugo – odezwał się Verlaque. – Zaczniemy od popołudnia, kiedy doszło do morderstwa. Co robiłeś, kiedy wróciliśmy z północnego nabrzeża wyspy? – Paulik spojrzał na Verlaque'a zaskoczony, a sędzia szybko wyjaśnił, że on i Marine poszli na spacer i wrócili do hotelu łodzią razem z Hugo i Sylvie. – Czy słyszałeś lub widziałeś coś dziwnego?

– *Nada* – odparł Sammut. – Przybiłem łodzią z wami trochę po siedemnastej i poszedłem do swojej chaty. Trochę później wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Billa Hobbsa siedzącego na ławce na nabrzeżu.

– Z Erikiem Monnierem – dodał Paulik.

– Nie, był sam – powiedział Hugo.

– Jesteś pewien? – zapytał Verlaque.

– Tak.

– Czy z okna chaty widzisz całe nabrzeże? – dopytywał sędzia.

– Obie ławki? – dodał Paulik.

Hugo zastanowił się.

– Hmm, jak teraz o tym myślę, to nie, widzę tylko północną ławkę, południową zasłania mi altana.

– Dziękuję – odparł sędzia. – Czy pamiętasz, o której wyjrzałeś przez okno?

– Nie, przykro mi. Byłem wykończony.

– A wystrzał? – zapytał Paulik. – Słyszał go pan?

– Nie – odparł Hugo. – Długo drzemałem i obudziłem się trochę po wpół do siódmej.

– Zatem nie widziałeś niczego podejrzanego? – dociekał Verlaque.

– Nie – odpowiedział z namysłem Sammut. – Ale w poniedziałek rano, po śniadaniu, kiedy straciłem panowanie nad sobą, widziałem Denisa w zatoczce.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go sędzia.

– No cóż, poszedłem tam, żeby ochłonąć. On stał na najdalszej wystającej skale i gapił się na wodę.

– Okej – powiedział Verlaque powoli. – I to wydało się panu dziwne?

Hugo wzruszył ramionami.

– Dlatego, że stał tam ponad piętnaście minut bez ruchu i tylko wpatrywał się w wodę. To wszystko. To było dość niezwykle. Ale znudziło mi się i wróciłem do siebie.

\*

– To dziwne – stwierdził komisarz po wyjściu Hugo Sammuta. – Ta historia o Alainie Denisie patrzącym na wodę.

– A jeszcze dziwniejsze, że Hugo nie słyszał wystrzału – dodał sędzia. –

Biorąc pod uwagę to, że jego chata znajduje się bliżej zatoczki niż hotel. Ale zgodzę się – mówił dalej – że Alain Denis nie wyglądał na człowieka, który mógłby badać morskie ryby i jeżowce. To wyglądało prawie tak, jakby to on był mordercą i sprawdzał głębokość morza, wiedząc, że wrzuci tam broń.

– Być może planował coś niegodziwego, ale ktoś go uprzedził.

– Tajemnicza sprawa – skwitował Verlaque. Miał właśnie mówić dalej, kiedy otworzyły się drzwi i niedbałym krokiem wszedł Clément Viale.

– Cześć, stary druhu – przywitał się i usiadł.

– Cześć, Clément – odrzekł sędzia. – Od razu przejdę do sprawy. Jak duży jest twój udział w Sordou?

– Niestety za duży. Ja mam ćwierć, Max i Cat-Cat połowę, a pozostała ćwiartka jest w posiadaniu jakichś prywatnych inwestorów.

– I oni się martwią? – zgadywał Verlaque.

– No cóż, wszyscy się martwimy – odpowiedział Clément. – Zupełnie nas zaskoczyło, że w tym miesiącu nie udało się zapełnić hotelu.

– Ale teraz jest pełen?

Viale uśmiechnął się.

– Tak, ale jeśli myślisz...

– Jeśli co myśłę? – przerwał mu sędzia.

– *Dough Boy*, jesteś takim samym cwaniakiem, jak wtedy, kiedy byliśmy na uniwersytecie.

Verlaque milczał.

– Jeśli myślisz, że ja albo Max lub Cat-Cat zabiliśmy jakiegoś

zapomnianego aktora tylko po to, by zapełnić pokoje...

– Teraz są pełne.

– I tak by się zapełniły.

– Mówiłeś, że się martwiliście – przypomniał mu sędzia. – Ale przejdźmy do innego tematu. Mme Denis.

Viale zaśmiał się nerwowo.

– Przypuszczam, że barman powiedział ci, że wychodziliśmy razem późnym wieczorem?

– Rzeczywiście – potwierdził Verlaque. – Ala ja też tam byłem, pamiętasz? A Mme Denis powiedziała mi o pokoju na końcu korytarza.

Viale zmarszczył brwi, jakby to Verlaque coś przeszkrobał.

– Dobrze, mieliśmy małą schadzkę w tym pokoju. Dobra detektywistyczna robota. Bravo! – Wykonał gest klaskania, nie dotykając dłonią o dłonie. – To były tylko dwie noce – dodał.

– Jesteśmy tu dopiero od czterech – zauważył sędzia.

– Hej, sam nie byłeś święty na uniwerku! – odciął się Clément. – Byłeś najbardziej niewierną osobą, jaką znałem.

Paulik zakasłał i powiedział:

– Panie Viale, trzymajmy się aktualnego śledztwa.

– Czy nienawidziła męża? – zapytał Verlaque.

– Nawet o nim nie rozmawialiśmy! – odpowiedział Viale, jego głos stał się ochryply. – Mieliśmy inne rzeczy do roboty.

\*

Verlaque z zaciekawieniem czekał na moment, kiedy będzie mógł spędzić trochę czasu z Delphine Viale. Z bliska jej twarz była delikatniejsza, oczy wydawały się zmęczone, a jej skóra, choć blada w porównaniu z karnacją innych gości, którzy przebywali dużo na dworze, była jednak pełna blasku. Delphine Viale wyglądała obecnie na szczęśliwszą niż po przybyciu na wyspę. Siedziała nieruchomo, wyprostowana, z rękoma złożonymi na kolanach. Miała na sobie swój zwykły strój: beżowe lniane spodnie i dopasowaną bluzkę, która podkreślała jej wąską talię.

– Nie wiem, co powiedzieliście, panowie, Clémentowi – zaczęła – ale wypadł stąd jak oparzony.

– Mówiliśmy o jego inwestycji tutaj, na Sordou – odparł Verlaque, tylko częściowo zgodnie z prawdą.

– O tak, to mogło go zdenerwować – przyznała.

– Martwi się, prawda?

– Tak – potwierdziła Mme Viale. – Nigdy nie podobał mi się ten pomysł, inwestowanie w stary hotel, na wyspie zbyt oddalonej od wybrzeża, i to w pobliżu Marsylii, jakby nie było innych miejsc.

– Dostrzegam ryzyko – odezwał się sędzia. – Ale także atrakcyjność tego miejsca – dodał szybko. Coś w nim chciało chronić starego kumpla, chociaż

ten okazał się dupkiem. I stanąć w obronie Marsylii, choć miasto miało swoje wady.

– Tu jest pięknie – zgodziła się. – Ale to było takie ryzykowne. Dzieci, ich przyszłość...

– Rozumiem – przerwał Verlaque. I zaraz pomyślał: „Teraz jestem po jej stronie. Jak jakieś cholerne jo-jo”.

– I nie słyszałaś niczego niezwykłego? Nie widziałaś? – zapytał.

– Nie, biorę tabletki nasenne.

„Biedna kobieta” – przyszło mu do głowy. Nigdy nie potrzebował takich tabletek i nie wyobrażał sobie zażywania ich podczas wakacji.

– To ta sytuacja finansowa – mówiła dalej. – Clément zainwestował nasze pieniądze, ale to był mój spadek. Ciężko zarobione pieniądze mojego ojca.

– Nie rozmawialiście o tym przed podpisaniem umowy?

– I tak, i nie – odrzekła. – Nie przekazano mi wszystkich szczegółów. Kiedy Clément przyszedł z tym pomysłem, byłam na lekach, w połowie nieobecna.

– W szpitalu? – dopytywał Verlaque.

– Tak, w Neuilly – wyjaśniła. Popatrzyła mu prosto w oczy i dodała z kamienną twarzą: – Próbowałam się zabić.

## 29

### *Amore*

– Gdybym mieszkała nad morzem – powiedziała Sylvie, palcami u nóg trzymając się omszałych klifów i unosząc się w wodzie na plecach – zrobiłabym serię fotografii. Robiłabym jedną każdego dnia o tej samej porze, pływając w miejscu z aparatem. Może byłyby wielkoformatowe, wyciągnęłabym mojego Hasselblada.

– Czy w tych czasach ktoś jeszcze wywołuje zdjęcia tradycyjnie? – zapytała Marine, która także unosiła się na wodzie i patrzyła w niebo.

– Tak, facet z Marsylii o imieniu Nicholas. Obsługuje wszystkich fotografów w okolicy. To znaczy tych, którzy wciąż robią zdjęcia na kliszy.

Marine zrobiła w wodzie przewrót do tyłu, po tym jak jej stopy zsunęły się ze skały.

– Kręci mi się w głowie – oznajmiła, wynurzając się. – Łatwiej było to robić, kiedy było się dzieckiem. – Podpłynęła do skał i chwyciła się ich, unosząc się na brzuchu. – Zabawne, że bardziej boję się morza niż tego, że doszło tu do morderstwa – powiedziała, patrząc na przyjaciółkę.

Sylvie oderwała się od skał i zaczęła unosić się na wodzie.

– Przynajmniej nie zaatakują nas tutaj, kiedy pływamy – odparła, rozglądając się dookoła.

– Boisz się?

– Do tej pory się nie bałam.

– Więc się nie boisz – stwierdziła Marine. – Mam wrażenie, że niewielu z nas czuje strach. Widziałam, jak Mme Hobbs radośnie idzie malować, a Clément Viale powiedział mi, że spróbuje obejść całą wyspę. Czy nasza niefrasobliwość w obliczu morderstwa oznacza, że zabójcy chodziło tylko o Denisa i my wszyscy jakoś to wyczuwamy? Czy też jesteście naiwni?

– Chyba masz rację – odparła Sylvie. – Nie boimy się. A to by oznaczało, że zabójca znał Denisa, prawdopodobnie bardzo dobrze. Wszyscy to wyczuwamy.

– Mme Denis była z nim związana najbliżej – zauważyła Marine.

– Ale wydaje się, że ona jako jedyna spośród nas czuje lęk.

– Wydaje się. Ona może udawać.

– A jeżeli naprawdę obawia się o swoje życie? – zapytała Sylvie. – Ale jeśli tak, to dlaczego?

– Może byli w coś razem uwikłani? – zasugerowała Marine. – W coś nielegalnego? Narkotyki?



– Może tak naprawdę się kochali – powiedziała Sylvie, przepływając obok Marine i chwytając się skał. – Co, jeśli udawali, że się nienawidzą? Widziałam to raz w *Pannie Marple*.

– Oglądasz *Pannę Marple*?

– Tak, z Charlotte – wyjaśniła Sylvie. – Leci w niedzielne wieczory, z francuskim dubbingiem. Ona to uwielbia. Więc pomyśl o tym: przez większość czasu, kiedy są wśród ludzi, walczą ze sobą, tak żeby wszyscy widzieli.

– O, jesteś w tym dobra – stwierdziła Marine i opierając stopę na występie skalnym, wyszła z wody. Pośliznęła się na mchu, zadrapała kolano i śmiejąc się, upadła na mokre skały.

– Nie masz odpowiedniej techniki – skomentowała Sylvie, dźwigając się z wody, lecz ona także pośliznęła się na mchu.

Kobiety, wciąż ze śmiechem, prawie czołgały się do suchej ścieżki na skałach, gdzie wcześniej zostawiły swoje ręczniki i książki.

– Wiesz – rzekła Marine, kręcąc się w poszukiwaniu płaskiego wygodnego kawałka skały. – Antoine powiedział mi, że Mme Denis była bardzo zdenerwowana podczas przesłuchania.

– Widzisz – zaczęła Sylvie. – To się zgadza z teorią, że udawali nienawiść, i twoim przypuszczeniem, że robili coś podejrzanego. Razem. Może próbowali oszukać współników w przestępstwie i dlatego tamci sprzątnęli Alaina. I dlatego Mme Denis się boi.

– Ale to by oznaczało, że zabójca musiał tu przyplłynąć.

– Albo zabił ktoś z personelu.

– Teraz to ty mnie straszysz – poskarżyła się Marine.

– To dlatego Denis wybrał Sordou – kontynuowała Sylvie z ekscytacją. – Bo tutaj już był ktoś, z kim mieli się skontaktować.

Marine grzebała w torebce, którą kupiła na wyprzedaży w Monopriksie.

– Muszę to zapisać – stwierdziła i wyjęła podniszczony notatnik z marmoryzowanymi okładkami.

– Z Florencji – rzekła Sylvie. – Kupiłaś go w czasie naszej ostatniej podróży do tego miasta.

Marine skinęła głową i zaczęła pisać, jednocześnie mówiąc:

– Twoja teoria o zabójcy, który już tu był, zgadza się z opinią Hugo, że morze tamtego wieczoru było zbyt wzburzone, by ktokolwiek mógł w nim pływać.

– Hugo pewnie bardzo dużo wie o morzu – rzekła Sylvie. – Ale nie jestem pewna, czy zawsze ma rację.

– A on? – zasugerowała Marine, patrząc na przyjaciółkę. – Wątpię, aby miał alibi. Powiedział też, że przespał wystrzał.

– I co z tego? – zapytała Sylvie. – Ja też przespałam.

– Być może ta bójka przy śniadaniu była zainscenizowana.

– Myślisz, że Hugo też grał? – zdziwiła się Sylvie, natychmiast

uświadamiając sobie, co powiedziała. – Aktor Alain Denis sprawiający, że wszyscy grają. *Merde*.

– Ale to wydawało się autentyczne – stwierdziła Marine. – Hugo był wściekły. Alain też.

– Czy próbowali oszukać Hugo? – zastanawiała się Sylvie, przyciągając kolana do brody i obejmując je rękoma.

Marine położyła się na boku, opierając głowę na ręce.

– Chyba nas ponosi.

– Chyba tak – przyznała Sylvie. – Mam nadzieję, że to nie Hugo. Mam zamiar przeczytać coś z tego poważnego czasopisma o modzie, żeby przestać o tym myśleć. O Boże – odezwała się, patrząc na stronę „Elle”. – Ktokolwiek wymyślił te buty do biegania na obcasie, zarobi fortunę.

– Szkaradne – skomentowała Marine, zerkając na zdjęcie, po czym przewróciła się na brzuch. Chwyciła swój florencki notes i zapisała imiona i nazwiska pracowników oraz gości hotelu na Sordou. Przeczytała swoją listę, zastanawiając się nad każdą z tych osób, nad ich możliwymi motywami i nad tym, na ile każda z nich byłaby zdolna do wycelowania w kogoś pistoletu i pociągnięcia za spust. Najtrudniej było wyobrazić sobie to ostatnie i dlatego wołała teorię, że morderca dostał się do zatoczki wpływ. Spojrzała na imiona i nazwiska kobiet, wiedząc, że zabić mogła również kobieta. Antoine powiedział jej, że najlepszym strzelcem w Palais de Justice była oficer o imieniu Sophie. Ale jaka wściekłość mogła prowadzić do zbrodni z premedytacją? Wpatrywała się w imiona i nazwiska.

– *Amore* – szepnęła po włosku. Sylvie spojrzała na nią i wróciła do czytania. – To dlatego mogłabyś zabić, prawda? To znaczy jako kobieta.

Sylvie odłożyła czasopismo.

– Miłość – powiedziała. – Tak, to chyba jedyna rzecz, dla której mogłabym zabić. Najgorsze, gdyby ktoś groził Charlotte lub ją skrzywdził.

Marine spojrzała na imię i nazwisko Emmanuelle Denis. Broniła swojego syna. Czy Alain Denis krzywdził Brice'a? Potrafił być porywczy, mieli tego przykłady w hotelu. Marine wzięła ołówek i narysowała linię pomiędzy imionami „Emmanuelle” i „Brice”. „Chłopak był w zatoczce, znaleźliśmy jego czapkę i przyznał, że tam poszedł. Czy mógł bronić matki? Czy położył czapkę w zatoczce, mając nadzieję, że zostanie znaleziona przez nas lub przez policję, co odwróci podejrzenia od jego matki?” Marine odłożyła ołówek i oparła brodę na dłoniach, myśląc o chłopaku. Takie zachowanie, chociaż nieuczciwe, wydawało jej się heroiczne i było zgodne z charakterem młodego człowieka, zdeklarowanego romantyka, który podczas wakacji czyta Thomasa Manna.

## 30

### Gość Prospera

– Mój dziadek zawsze powtarzał: „Nigdy nie wierz chudemu kucharzowi”  
– powiedział Verlaque, patrząc, jak Bruno Paulik zbiera swoje papiery i wsuwa je do skórzanej teczki. Właśnie skończyli przesłuchiwać Émile’a Vileya, który przez całe spotkanie czynił bohaterские wysiłki, by stłumić ziewanie.

Paulik chrząknął.

– Émile wydaje mi się uczciwy – odparł. – Tylko bardzo skupiony na gotowaniu.

– O, tu się z tobą zgodzę. Nie mógł skończyć mówić o swojej żabnicy z imbirem i chili.

– Proszę nie zapomnieć o kluskach i *cilantro* – odezwał się Paulik z taką kamienną twarzą, że Verlaque pomyślał, że komisarz mówi poważnie. – I nie wyobrażam sobie, żeby Émile miał czas obmyślić morderstwo, skontaktować się z Denisem, pobiec do zatoczki i wrócić, by zdążyć ugotować – mówił dalej Paulik. – Nie miał też motywu.

– Alain Denis pierwszego dnia narzekał na baraninę.

Tym razem Paulik się roześmiał.

– To znaczy posiłki są raczej proste, a on gotuje tylko dla dziesięciu osób plus personel, ale mimo wszystko to bardzo zajęty facet.

– Tak, masz rację. Émile pracuje w kuchni sam, a przecież piecze nawet chleb i robi dzemy – stwierdził sędzia. – Więc czy zabiłby dla kogoś innego? Czy czuje miętę do Emmanuelle Denis? A może bronił honoru Niki Darcette?

Paulik pokiwał głową.

– To było morderstwo z premedytacją – powiedział. – Wiem, że Émile twierdził, że nie słyszał strzału, bo był zajęty stukaniem garnkami i patelniami. Nikt nie wszedł w tym czasie do kuchni, by zapewnić mu alibi, ale sądzę, że nasz morderca dobrze znał Denisa i wszystko zaplanował.

– To sytuuje Hugo Sammuta nawet niżej na liście.

– Właśnie – przyznał Paulik. – Z tego, co mówił mi pan o wybuchu przy śniadaniu, Hugo jest silny, ale nie myśli, zanim coś zrobi. A żeby kogoś zabić, nie trzeba być silnym. Trzeba po prostu wiedzieć, jak posługiwać się pistoletem, i dobrze wycelować.

– Ale Hugo, w przeciwieństwie do Émile’a, ma motyw. Z powodu Alaina

Denisa został wyrzucony z pracy. Sprawdźmy publiczne strzelnice – powiedział Verlaque. – W regionie Marsylii i Paryża. Szukając szczególnie kogoś, kto odpowiada rysopisowi Hugo, a także kobiet, które się ostatnio zapisały.

– Jutro kogoś do tego skieruję – powiedział Paulik, zakładając okulary. – Okej, jestem gotowy zmierzyć się ze słońcem i łodzią.

\*

– Pozdrów ode mnie Hélène i Léę – powiedział Verlaque, kiedy wymienili uściski dłoni na nabrzeżu.

– Pozdrowię – obiecał Paulik, ostrożnie wchodząc do łodzi motorowej. – Zacznę dochodzenie jutro rano i jak najszybciej do pana zadzwonię.

Sędzia zasalutował, a łódź szybko się cofnęła i ruszyła do przodu. Obrócił się i zobaczył Marine stojącą kilka metrów za nim.

– Pięknie wyglądasz – powiedział, całując ją. – Co tu robisz?

– Chciałam pożegnać się z Brunonem – wyjaśniła. – Wcześniej pływałam i pracowałam.

– Pracowałaś? – zapytał Verlaque, kiedy szli ścieżką wiodącą do wejściowych schodów hotelu.

– Tak, to przenosi mój umysł... w inne rejony – rzekła. – A Sylvie jest gdzieś z Hugo.

Sędzia przygryzł wargi – chociaż coraz bardziej lubił Sylvie Grassi, wiedział też, że jest kobietą, która ma swoją hierarchię i jej komfort i szczęście znajdowały się na pierwszym miejscu.

– Masz ochotę na wyprawę do latarni morskiej? – zapytał.

Marine spojrzała na zegarek.

– Kolacja jest dopiero za kilka godzin – odparła, wiedząc, że powinni pokazać się na tarasie przed dwudziestą pierwszą. – Bardzo chętnie.

– Musimy przesłuchać Prospera – wyjaśnił Verlaque. – Po drodze wprowadzę cię w inne przesłuchania. Kapitalną historię opowiedziała gospodyni.

Szli wzdłuż północnego brzegu wyspy, ścieżką, którą przetarli wcześniej Hugo Sammut i Max Le Bon. Otaczał ich zapach tymianku i rozmarynu, połączony z wonią morza, która wydawała się napływać falami. Głosy *cigale* były tu prawie niesłyszalne, rosło tu mniej drzew. Przez większą część drogi szli jedno za drugim, ale kiedy mogli iść obok siebie, trzymali się za ręce.

– Więc nikogo nie można powiązać z Alainem Denisem oprócz jego żony i pasierba – stwierdziła Marine po tym, jak Verlaque wprowadził ją w rozmowy z personelem hotelu i gośćmi.

– Tak by się wydawało – odparł sędzia. – Poza Mme Poux, przed wieloma laty. Bruno zacznie jutro od dokładniejszego badania przeszłości każdego gościa i członka personelu.

Marine roześmiała się.

– Jestem zdumiona, że hotelowy telefon działa. Czy spotkałeś się z prawnikiem Mme Denis?

– Tak, tylko przelotnie – odpowiedział Verlaque. – Pokazał się właśnie wtedy, kiedy kończyliśmy przesłuchania. Rozmawiał z Mme Denis sam na sam przez blisko pół godziny, potem rozmawiał z Brunonem i ze mną. Ona dziedziczy.

– Wszystko?

– Owszem.

– I prawnik wyjechał?

– Tak. Wyglądało na to, że nie mógł doczekać się, kiedy opuści Sordou.

– Tylko mi nie mów, że nasza cudowna wyspa stała się złowieszczą – rzekła Marine. Zerwała trochę rozmarynu, roztarła łądźki w dłoniach i powąchała je. – Niezależnie od wszystkiego nie mogę wyobrazić sobie Emmanuelle Denis, która strzela z pistoletu.

– Ani ja.

– Wynajęty zabójca?

– Wynajęty zabójca, który jest mistrzem pływakim? – zapytał Verlaque.  
– Dlaczego nie?

Marine powiedziała mu o swojej rozmowie z Sylvie i pomyśle, że Alain Denis był wplątany w coś nielegalnego.

– Mme Denis też mogła być w to uwikłana – dodała. – Dlatego prosiła o ochronę.

– I udawała nienawiść do męża?

– To był pomysł Sylvie.

– Niezły.

– Może to Mme Poux wynajęła zabójcę – powiedziała Marine, uśmiechając się szeroko. – Le Cercle des Nageurs... Powiedziała wam niezwykłą historię, prawda?

– Niewykluczone – stwierdził Verlaque, zwalniając. – Ona jest jedyną osobą, poza rodziną, która ma z nim jakiś związek. Związek poprzez pływanie. Ale jeśli o to chodzi, Eric Monnier też powiedział, że pływał.

– W młodości – dodała Marine. – Nie mogę sobie wyobrazić, że pływa teraz. To zabawne, ale trudno mi sobie wyobrazić niektórych ludzi z mokrymi włosami.

– Wiem, co masz na myśli – odparł Verlaque. – Na przykład Mme Poux.

– I mówisz, że wszyscy są w tym samym wieku?

– Tak. Bill i Shirley Hobbsowie są odrobinę młodszy. Urodzili się w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym i tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. Widziałem ich paszporty.

– Tydzień zniżki dla seniorów na Sordou – powiedziała Marine ze śmiechem. – Wciąż uważam, że Mme Denis coś ukrywa. To silna kobieta. Wszyscy byliśmy zaskoczeni tego wieczoru, kiedy Brice wrócił.

– Myślę, że to zdumiało Prospera.

– Czy wynajęty morderca mógł tu nocować? – zapytała. – Przepłynąć tu z łodzi? Albo został wysadzony, nawet w niedzielę, i czekał. Niedaleko zatoczki.

– Interesująca teoria – odezwał się Verlaque. – Zapytajmy Prospera, czy jakieś łodzie kręciły się blisko Sordou przez ostatnie kilka dni.

– Czy Prosper wie o śmierci Alaina Denisa?

– Tak – odparł sędzia. – Max Le Bon go poinformował.

– Jak zareagował? Czy Max coś o tym powiedział?

– Max przekazał, że Prosper wzniósł oczy ku niebu i zachichotał.

– Jakże to dziwne. A czy Prosper także urodził się w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku?

– Nie wiemy. Zapytałem Le Bonów, ale nie mieli pojęcia, więc będziemy musieli to pytanie zadać Prosperowi.

– Jeśli on sam to wie – zauważyła Marine.

– Bruno wysłał oficera do Paryża, by zbadał archiwa latarni morskiej – poinformował ją Verlaque. – Mam nadzieję, że kiedy wróci, będziemy mogli uzupełnić brakujące detale, takie jak data urodzenia Prospera.

Ścieżka zwęziła się i szli jedno za drugim, zatrzymując się czasem, by spojrzeć na morze. W oddali widzieli brzeg Marsylii i Cassis, ale nie był wyraźny, tworzył tylko zamglone szare plamy. Natomiast latarnia stawała się coraz większa, w miarę jak podchodzili bliżej.

– Kiedy jesteś na morzu i przyplýwasz tu łodzią, nie zdajesz sobie sprawy, jaka jest wysoka – zauważyła Marine.

Verlaque popatrzył w górę, osłaniając oczy przed słońcem.

– Musi mieć jakieś sześćdziesiąt metrów.

– Tak – zgodziła się Marine. – Ale nie jest tak urocza jak inne latarnie, które widziałam, te w Wielkiej Brytanii.

– Nie, ale jest bardzo szacowna – wyjaśnił sędzia. – To solidna konstrukcja. I wygląda, jakby wyrastała z morza.

– Zobacz, przy nabrzeżu jest zacumowana łódź – rzekła Marine. – Czy należy do Prospera?

– Nie, nie sędzę. Wydaje się zbyt duża, nie mogę go sobie wyobrazić, jak zażywa na niej relaksu.

– Prosper dobrze sobie radził z Brice'em.

– Masz rację – przytaknął Verlaque. – Chłopak nawet go dzisiaj cytował.

Marine roześmiała się.

– Tak miło słyszeć, jak się śmiejesz – rzekł sędzia, biorąc ją w ramiona.

– Atmosfera raczej nie jest radosna. Kiedy ktoś wchodzi do sali restauracyjnej, wszyscy podskakujemy.

– I nie każdy jest z nami szczery – dodał sędzia. – Sylvie oznajmiła, że Marie-Thérèse podsłuchiwała tę samą kłótnię pomiędzy Le Bonami – rzekł. – Ale dziewczyna o tym nie wspomniała. A Bill Hobbs nie chce nam

zdradzić, co wyjawiał mu Brice przy łowieniu ryb. Jestem pewien, że miało to związek z Alainem Denisem.

– Jak możemy przełamać lody? – zapytała Marine. – Chyba nie wypada wydawać przyjęcia?

Verlaque znów się zatrzymał.

– Dlaczego nie?

– Posłuchaj. – Marine położyła palec na ustach. – Wygląda na to, że Prosper ma własne przyjęcie.

Im bardziej się zbliżali do małego kamiennego domu u stóp latarni, tym głośniejszy dobiegał z niej śmiech. Małe, dzielone szprosami okna były otwarte, ale z tego, co widzieli, w środku nikogo nie było.

– To dochodzi z boku budynku – stwierdziła Marine. Kiedy okrążali dom, ich oczom ukazała się para brudnych gołych stóp opartych o stary drewniany stołek. Było jasne, że Prosper ma towarzystwo, bo dwóch mężczyzn się śmiało, a stopa Prospera drgała w rytm jego śmiechu.

– *Bonsoir, mes amis* – odezwał się Verlaque.

– Cóż, dzień dobry, drogi sędzio – odparł Prosper i szybko wstał, uderzając w drewniany stół. Marine rzuciła się do przodu i chwyciła w locie prawie opróżnioną butelkę różowego wina.

– Dobry refleks, moja droga – powiedział *le général*, obdarzając kobietę uśmiechem.

– Usiądźcie, proszę – rzekł Prosper, wskazując na dwa puste krzesła. Podniósł butelkę i pomachał nią w stronę swojego przyjaciela.

– Zaraz wrócę – odezwał się *le général*. – Konieczna jest awaryjna wyprawa do chłodziarki na łodzi.

– Marynarka wygląda na tobie świetnie – rzekł Verlaque, zwracając się do Prospera.

Ten spojrział w dół na swoją pierś i dotknął palcami medali generała.

– Czy wy dwaj zawsze byliście przyjaciółmi? – zainteresował się sędzia.

Prosper wzruszył ramionami.

– To zależy od tego, co nazywa się przyjaźnią...

– Daj spokój... – rzekł sędzia.

– Jesteśmy przyjaciółmi od ponad dwudziestu lat – oznajmił Prosper.

– Dobrze – odpowiedział Verlaque sucho. – Bardzo dokładna informacja. Od razu przejdę do rzeczy – gdzie byłeś w poniedziałkowy wieczór około osiemnastej?

– W poniedziałek? Co zdarzyło się tego dnia?

Verlaque westchnął i spojrział na Marine.

– Tego wieczoru zamordowano Alaina Denisa.

– A jakie było wtedy niebo? – zapytał Prosper. – Daty i dni tygodnia nic dla mnie nie znaczą.

– Morze było wzburzone – powiedział Verlaque. – Przez cały dzień panował spokój, ale późnym popołudniem pojawiły się fale. Nie pamiętam

nieba.

– Och, zawsze trzeba zwracać uwagę na niebo.

– Tego dnia widziałeś parę na skałach – dodała Marine. – A Brice był tutaj.

Prosper klepnął się w kolano.

– I usłyszałem wystrzał z zatoczki. I to nie ja pociągnąłem za spust.

Wrócił *le général*, otwierając po drodze nową butelkę schłodzonego różowego wina.

– Więc gdzie byłeś? – powtórzył Verlaque. Prosper wzruszył ramionami.

– Tutaj, a gdzież by indziej?

– Czy Brice był z tobą?

– A jakie to ma znaczenie? – chciał wiedzieć Prosper.

– Ponieważ – odezwał się *le général*, pochylając się, by nalać wino do kieliszka przyjaciela – potrzebujesz alibi.

– Podobnie jak potrzebuje go Brice – odezwał się Verlaque. – Wy dwaj pojawiliście się w hotelu późnym popołudniem tamtego dnia, pamiętasz?

– Proszę mi przypomnieć, którego dnia to było – dopytywał Prosper, drapiąc się po zmierzwionych rudych włosach.

– W poniedziałek – poinformowała go Marine.

Sędzia położył łokcie na stole i oparł głowę na dłoniach.

– Morze i niebo były... niespokojne – mówiła dalej Marine. – I późnym popołudniem mogłeś usłyszeć strzał.

*Le général* postawił szklaneczki na stole, a Marine ze zdumieniem zauważyła, jak bardzo były brudne.

– Byłem tam! – zawołał Prosper. – Rzeczywiście, słyszeliśmy z chłopakiem strzał. – Z poczuciem ulgi chwycił puste szklaneczki i butelkę różowego wina.

Verlaque szybko wziął ręcznik kuchenny z oparcia krzesła, na którym siedział *le général*, i wytarł kieliszki, zanim gospodarz miał szansę je napełnić.

– Gospodyni Prospera jest na urlopie – powiedział *le général*, mrugając okiem.

Prosper nalał Marine i Verlaque'owi po pełnej szklaneczce jasnoróżowego wina. Sędzia podziękował, wziął swoją, wciąż pokrytą smugami, szklaneczkę i uśmiechnął się do Marine.

– Czy znałeś jakieś dzieciaki z Marsylii, kiedy dorastałeś na Sordou? – zapytał.

Prosper wpatrywał się w Verlaque'a.

– Przepraszam, jeśli zadałem trudne pytanie. Wystarczy proste „tak” lub „nie”.

– Nie znałem żadnego z nich – odpowiedział Prosper, upijając łyk wina.

– Ale bywały tutaj? – chciał wiedzieć Verlaque.

– Kto?



– Dzieciaki z Marsylii – powtórzyła Marine. – Na przykład Alain Denis.  
Prosper wzruszył ramionami.

– Nie miałem z nimi nic wspólnego. – Odwrócił wzrok i dodał: – Jesteście jak ta ładna kobieta z Paryża, która zadawała pytania...

– Jaka kobieta? – zapytała Marine, pochylając się do przodu.

– Urzędniczka prowadząca badania na wyspach – odparł za przyjaciela *le général*. – Prosper chce tylko, by zostawiono go w spokoju. Prawda, druhu?

Prosper chwycił za swoją szklaneczkę i uniósł ją w stronę wojskowego. Potem odstawił wino i pociągnął za rękawy marynarki należącej do generała.

– Uważam, że doskonale na mnie leży – stwierdził.

## 31

### Uczta Antoine'a

Marine i Verlaque weszli do łodzi generała Le Favre i sędziego przejął stery.

– Nie rozumiem, dlaczego upiera się pan przy sterowaniu – powiedział Le Favre, wpadając na Prospera przy wchodzeniu do łodzi.

– Ekscytuje mnie ta możliwość – odparł Verlaque. – Od lat nie prowadziłem łodzi.

– Gdzie się pan wychowywał? – zapytał *le général*, czkając.

– W Paryżu, ale także w Normandii – odpowiedział sędzia. – Tam gdzie są prawdziwe fale.

Prosper uśmiechnął się i uderzył się w kolano.

– Nie podoba mi się, jak wygląda to niebo – odezwał się *le général*.

– W Prowansji nigdy nie ma burz w lipcu – stwierdził Verlaque.

– Morze było dość wzburzone w poniedziałek – zauważyła Marine, odchylając się na oparcie drewnianej ławki łodzi i trzymając się jej boków.

– To prawda – potwierdził sędzia, oddalając łódź od nabrzeża i patrząc na niebo, które nad nimi było niebieskie, ale nad Marsylią czarne. Żałował, że nie może zadzwonić do Le Bonów z wiadomością, że będą mieli dwóch dodatkowych gości na kolacji.

– Powinienem zawrócić – mruknął Le Favre, patrząc w stronę Marsylii.

– Prosperze – zawołał Verlaque, przekrzykując dźwięk silnika i fale uderzające w małą łódź. Marine i generał rozmawiali, więc uwaga Prospera całkowicie skupiała się na sędzi. – Kto według ciebie zabił Alaina Denisa?

Prosper Buffa podniósł głowę i zaśmiał się.

– Na pewno nie chłopak.

– No cóż. Kto i dlaczego?

Prosper pokiwał głową.

– To było tak dawno temu – zaczął.

– Co się stało? – krzyknął Verlaque.

– Nie było mnie tutaj, panie wścibski!

– Jesteśmy! – zawołał *le général*, klepiąc Verlaque'a po ramieniu. – Bądź ostrożny, podpływając do brzegu.

Kiedy przyплыnęli, na nabrzeżu stał Hugo Sammut. Verlaque sterował łodzią, a *le général* rzucił Sammutowi linę, którą ten natychmiast okręcił wokół słupka i wyciągnął rękę w kierunku Marine.

– Będzie burza! – powiedział. – Patrzyliście na niebo?

– Jak w Normandii – skomentował Prosper, uśmiechając się do Verlaque’a.

– Wszyscy na was czekaliśmy – rzekł Sammut, wyciągając rękę tym razem do sędziego.

– Dziękuję, Hugo. – Verlaque chwycił jego dłoń i wyskoczył z łodzi.

– Dziękuję – powtórzył po nim Prosper.

– Ładny mundur, Prosperze – pochwalił Sammut.

*Le général* pogładził się po rękach, nagle zdając sobie sprawę, gdzie była jego marynarka.

– Co robiliście? – zapytał Hugo, patrząc badawczo na czerwone twarze Prospera i generała Le Favre oraz błyszczące oczy Marine i Verlaque’a.

– Zorganizowaliśmy sobie mały aperitif – odparł Verlaque. – A panowie zostaną na kolacji. Zaraz powiem o tym *Émile’owi* i *Le Bonom*.

– Musi pan zadzwonić do pańskiego komisarza. Próbował się z panem skontaktować – oznajmił Sammut.

– A ja wracam do mojego *cabanon* – odezwał się *le général*, patrząc na niebo.

– Nie, dziś wieczorem pan nie musi – zaprotestował Sammut.

– Zorganizujemy panu nocleg tutaj – powiedział sędzia. Miał nadzieję, że teraz, kiedy wyjechał Paulik, *Le Bonowie* będą mogli przygotować wolny pokój. Ale nie miał pojęcia, gdzie będzie spał Prosper, jeśli nie uda mu się wrócić do latarni.

– Czy mam przynieść moją lodóweczkę? – zapytał *le général*.

– Nie, proszę ją tam zostawić – rzekł Verlaque, ukrywając uśmiech. – W restauracji jest mnóstwo dobrego wina. Dzisiaj ja stawiam.

Prosper zatarł ręce.

Sędzia został w tyle, by zamienić kilka słów z Hugo, podczas gdy Marine, Prosper i *le général* wchodzili po schodach do hotelu.

– Dziękuję, że nie opuściłeś wyspy, chociaż otrzymałeś wypowiedzenie.

– Nie ma za co – odparł Sammut, upewniając się, że łódź generała została bezpiecznie przycumowana. – Naprawdę nie mam dokąd iść – dodał. – Głupio mi pojawić się w małym mieszkaniu rodziców w Cassis, chociaż kiedy tutaj wszystko się skończy, pewnie będę musiał.

– Czy mam wstawić się za panem u *Le Bonów*? – zapytał sędzia.

– Byłoby wspaniale – odpowiedział Sammut. – Dziękuję panu. Do zobaczenia.

– *Ciao* – rzekł sędzia, ruszając biegiem, by dogonić Marine.

Max *Le Bon* dostrzegł całą czwórkę zmierzającą w stronę hotelu i otworzył frontowe drzwi w chwili, gdy deszcz się nasilił. Max wyglądał na równie zaskoczonego jak Hugo, widząc dwóch dodatkowych gości. Verlaque odciągnął go na bok i powiedział:

– Dziś wieczorem chcę wydać przyjęcie. Zapłacę za kolację generała

i Prospera. – Popatrzył na nich i dodał: – I za ich drinki.

– Przyjęcie? – zdziwił się Max.

– Tego właśnie potrzebujemy – przekonywał Verlaque, starając się nie okazać desperacji. – To nas wszystkich zrelaksuje.

– No cóż, czy ja wiem...

– Sędzia Verlaque uważa, że powinniśmy zorganizować dzisiaj imprezę – zaczął Max. – Aby...

– Cudownie – przerwała mu Cat-Cat.

– Naprawdę? – upewniał się Max, patrząc na Prospera, który siedział w fotelu ze skrzyżowanymi nogami i czytał „Le Monde”.

– Oczywiście – odparła. – Wszyscy jesteśmy tu uwięzieni, goście są nieszczęśliwi, a personel słania się na nogach. I do tego ten sztorm dziś wieczorem...

– Świetnie – ucieszył się Verlaque. – Tym panom pewnie nie uda się wrócić do siebie z powodu sztormu.

Cat-Cat westchnęła.

– Domyślam się – powiedziała. – Będą musieli dzielić wolny pokój, ale mamy składane łóżko. Na szczęście wydaje się, że Prosper niedawno wziął prysznic.

– Wystroił się na tę okazję – zauważył sędzia z uśmiechem i wskazał palcem na różową muchę Prospera.

– Wielkie nieba!

– Na nabrzeżu powitał nas Hugo Sammut – zaczął Verlaque.

Cat-Cat spojrzała na Maxa, a ten rzekł:

– Rozumiem aluzję, panie sędzio. Tak naprawdę rozważaliśmy ponowne zatrudnienie go tutaj – oznajmił. – Mam zamiar zapytać go, czy chce zostać.

– To wydaje się rozsądne, biorąc pod uwagę fakt, jak dobrze zna to miejsce. Pójdę i powiem Émile’owi o dzisiejszym przyjęciu – powiedział sędzia. W tej samej chwili nadbiegła Niki Darcette.

– Serge zamyka wszystkie okiennice w barze – zawołała Niki. – A ja zacznę tutaj.

Jak na komendę wiatr zatrzasnął jedną z okiennic w hallu. Rozdzwonił się hotelowy telefon, Niki zaklęła i ruszyła biegiem w stronę biurka, by odebrać.

– Pomogę przy okiennicach – zaoferował Max. Podszedł do dużych drzwi balkonowych wiodących na taras. Kiedy je otworzył, wiatr prawie zbił go z nóg, a deszcz wpadł do hallu, mocząc marmurową posadzkę.

– Max! – wrzasnęła Cat-Cat.

– Próbuję jak najszybciej zamknąć okiennice – zawołał Max.

Verlaque uśmiechnął się szeroko, rozbawiony tym, że zazwyczaj spokojni i profesjonalni Le Bonowie zachowywali się teraz jak normalne małżeństwo. Właśnie miał pójść do kuchni poszukać Émile’a, kiedy

ponownie pojawiła się Niki.

– Telefon do pana – oznajmiła. – Może pan odebrać w biurze.

– Dziękuję, Niki. – Sędzia wyszedł z hallu wypełnionego odgłosami kłócących się ludzi i zatraskiwanych okiennic. Wszedł do biura, zamknął za sobą drzwi, usiadł na skórzanym krześle i podniósł słuchawkę. – *Oui*.

– *Salut* – odezwał się Bruno Paulik. – Próbowałem się z panem skontaktować. Mam wieści – dodał. – Jules Schoelcher jest w Paryżu i szuka informacji na temat Sordou, a ja w międzyczasie rozmawiałem z policją w Cannes.

– I?

– Niki Darcette przekazała nam tylko połowę swojej historii – mówił dalej komisarz. – W dniu napadu złapano ich za rogiem sklepu jubilerskiego. Ale nie z powodu napadu. Jeden ze współników Niki – ten Robert, o którym panu opowiedziała – wołał o pomoc i udzielił mu jej policjant w cywilu.

– Co się stało? – zapytał Verlaque, przeglądając stosiki papierów na biurku Niki.

– Robert, jak sam to określał, przystawiał się do Niki – wyjaśniał komisarz. – Ona twierdziła, że to było usiłowanie gwałtu, miała nóż i rozcięła mu policzek.

– To dlatego dostała sześć lat – wtrącił Verlaque.

– Właśnie. Mówiono mi, że jej prawnik był bystry i wyciągnął cały brud, jaki obciążał tamtego faceta. W przeciwnym razie miałyby do odsiedzenia dłuższy wyrok. Policjant w cywilu zeznawał, że Niki krzyczała, że Robert sobie na to zasłużył, i atakowałyby go dalej, gdyby ten oficer się nie pojawił. Powiedział potem sędziemu, że wykorzystał całą swoją siłę i pięć lat treningu sztuk walki, by przytrzymać ją do czasu pojawienia się posiłków.

Verlaque trzymał w ręce kawałek papieru, spojrzał na niego i powiedział:

– Piękna kobieta mogłaby zwabić Denisa do zatoczki.

– Owszem.

– A Niki jest jedyną kobietą, która mogłaby to zrobić – mówił dalej sędzia. – Marine i Sylvie są poza podejrzeniem, Mme Poux jest za stara, Marie-Thérèse za młoda, Cat-Cat Le Bon i Shirley Hobbs nie są w jego typie, a Delphine Viale wygląda na zbyt pruderyjną.

– Emmanuelle Denis musiałaby wymyślić jakiś niewiarygodny powód, by go tam ściągnąć – dodał Paulik. – A skoro już ze sobą nie sypiali, nie mogła posłużyć się swoim seksapilem. Ale Mme Poux... Myślę, że mogła go tam zwabić. Kiedy dowiedział się, kim była, i przypomniał sobie, że kiedyś byli w sobie zakochani, mógł pragnąć na nowo rozbudzić tę starą miłość, z wielu przyczyn. Może z poczucia winy?

– Raczej nie wierzę w poczucie winy – zaproponował Verlaque. – Ale

zgodziłbym się, że mogła to być ciekawość. Dziękuję, Bruno. Zawiadomisz mnie, kiedy Schoelcher wróci z Paryża?

– Oczywiście – odparł komisarz. – Proszę chwilę poczekać. – Verlaque słyszał, jak Paulik rozmawia z kimś innym. – Flamant chce z panem mówić.

– *Bonsoir, Juge Verlaque* – odezwał się Alain Flamant. – Analizowaliśmy filmy Denisa i natknęliśmy się na coś naprawdę interesującego.

– Mów dalej – rzekł Verlaque.

– Alain Denis i reżyser Jean-Louis Navarre nienawidzili się. Otwarcie.

– Reżyser *Inspektora Pernety’ego*?

– Zgadza się.

Flamant opowiedział sędziemu o groźbach, romansie Denisa z żoną Navarre’a i ich walce na pięści na planie filmowym.

– Ale, jak się wydaje, wielu ludzi, którzy pracowali z Denisem, nienawidziło go – mówił dalej młody policjant. – Więc byłem dość zniechęcony, aż tu nasza praktykantka, Sophie Goulin, znalazła pewne zdjęcie w archiwach Téléramy.

– Zamieniam się w słuch.

– To była zbiórka pieniędzy na rzecz pozbawionego praw obywatelskich młodzieńca w Paryżu. A Navarre znajdował się wśród celebrytów starających się o fundusze na ten cel.

– Jak zbierali pieniądze? – zapytał Verlaque.

– Pływając – odparł Flamant.

Verlaque usiadł. Młody policjant mówił dalej:

– W komentarzu do zdjęcia piszą, że Navarre pływa każdego dnia. Kilka lat temu przepłynął nawet kanał La Manche. Dzwoniliśmy do jego domu i do biura, ale nikt nie odpowiadał. Mam nadzieję, że jutro rano będziemy mieć więcej szczęścia.

– Dziękuję, Alain – rzekł sędzia. – I przekaz moje podziękowania Mlle Goulin.

Paulik ponownie przejął telefon.

– Zadzwonimy do pana jak najwcześniej jutro rano – powiedział. – Mam nadzieję, że będzie pan miał tam działający telefon komórkowy.

– Też mam taką nadzieję.

– A Léa mówi, że winogrona są większe, niż były w zeszłym tygodniu, już nie są jak perły, ale jak szklane kulki.

Verlaque roześmiał się.

– Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć. – Rozłączył się i popatrzył na kartkę papieru. Niki Darcette robiła luźne notatki do komunikatu prasowego, w którym przedstawiano Sordou jako oazę, wyspę, na której spędzali wakacje Elizabeth Taylor, Richard Burton, Marcello Mastroianni i nieżyjący Alain Denis.

Verlaque złożył kartkę i umieścił ją w swojej kieszeni. Czy wściekłość

Niki Darcette mogła być wystarczającym motywem morderstwa? Uważał, że nie. Mogła zaatakować zbira z Cannes – kogoś, kogo dobrze знаła. Sędzia nie uważał jednak żalonych umizgów Alaina Denisa za powód, by go zastrzelić. Emmanuelle Denis i Brice byli jedynymi osobami, które znały go wystarczająco dobrze, by nienawidzić go tak, jak nienawidził go zabójca. Mme Denis nie miała alibi, a alibi Brice'a było bardzo mizerne. Paulik zasugerował, że Prosper mógł uciąć sobie drzemkę, kiedy spędzał czas z Brice'em w poniedziałek, zapewniając mu wystarczająco dużo czasu na wyprawę do zatoczki.

Ale teraz mieli kogoś, kto otwarcie nienawidził Denisa i był silnym pływakiem. „Dlaczego ktoś chciałby przepłynąć kanał La Manche?” – pomyślał Verlaque. Czyste szaleństwo. On nie lubił pokonywać tego kanału nawet pociągiem Eurostar z Paryża do Londynu. Wychodząc z biura, pomyślał o pływakach i starannie zamknął za sobą drzwi. Czy ten sport łączył wszystkie fakty? Czy dlatego morderca wybrał wyspę, by dokonać zbrodni? Przyszła mu na myśl Mme Poux. Czy dał o sobie znać jej dawno uspiiony żal, gdy zobaczyła swoją – jak ujął to Bruno – młodzieńczą miłość? Czy może Jean-Louis Navarre w jakiś sposób tu dopłynął, ukrył się i potem wrócił do łodzi zacumowanej przy brzegu? Ale dlaczego miałby czekać tyle lat?

Zobaczył idącą korytarzem Marine. Uścisnął ją.

– Powiedziałaś Émile'owi o przyjęciu – rzekła.

– Dziękuję! Miałem zamiar to zrobić, ale tyle się działo. – Wprowadził ją w szczegóły rozmowy z Paulikiem i Flamantem.

– Szkoda, że nie ma tu lepszego połączenia telefonicznego.

– Stwierdziliśmy dokładnie to samo.

– No cóż, Émile uważa, że party to świetny pomysł – mówiła dalej Marine. – Rozmawialiśmy o filmie *Uczta Babette*. Émile opowiadał, że kiedy był mały, widział go z rodzicami i była to jedna z rzeczy, która sprawiła, że został szefem kuchni. Teraz nazywamy nasze przyjęcie „Uczta Antoine'a”.

– Z tą różnicą, że nie będę w stanie kupić każdemu czterdziestoletniego Clos de Vougeot – zauważył sędzia.

– Czy właśnie to wino Babette serwowała swoim gościom?

– Wtedy było dużo tańsze – odparł sędzia z uśmiechem.

Kiedy szli do Baru Jacky'ego, Marine ujęła Verlaque'a pod ramię.

– Nie mogę uwierzyć w to, że pamiętasz, jakie wino pili w którym filmie.

– Podobnie jak w wypadku Émile'a, to również jeden z moich ulubionych filmów. I jedno z ostatnich wspomnień o moim dziadku, Charles'u, który w połowie projekcji krzyczał, gdy zobaczył Clos de Vougeot. Zgadnij, jaką butelkę przyniósł z piwnicy, kiedy wracaliśmy z kina? A miała ona czterdzieści lat.

Marine uśmiechnęła się.

- Och, jakie wspaniałe musiało być to bordeaux...
- Verlaque zamilkł, a ona się roześmiała.
- Och, drażnisz się ze mną, prawda? – zapytał.
- Tak – odpowiedziała. – Wiem, że to był burgund.

\*

Serge delikatnie wyciągnął korek z butelki szampana, a Max Le Bon zaklaskał.

– Proszę o uwagę – powiedział, rozglądając się po sali. – Teraz, kiedy wszyscy tu jesteśmy, chciałem jeszcze raz przeprosić, że państwa wakacje zostały przerwane przez śledztwo. – Cat-Cat przytaknęła, wcześniej przestrzegając Maxa, by nie używał słowa „morderstwo”, a on na szczęście o tym pamiętał. – Z powodu sztormu wszyscy jesteśmy dzisiaj uwięzieni w domu – albo raczej w hotelu – a sędzia Verlaque wspaniałomyślnie zaproponował nam przyjęcie.

Personel i goście uprzejmie zaklaskali, a Clément Viale i Shirley Hobbs wykrzyknęli: – Hura!

– Chciałbym też powitać naszych wspaniałych gości, generała Le Favre i jedyne rdzennego mieszkańca Sordou, Prospera Buffę.

Serge i Marie-Thérèse chodzili po sali i rozlewali szampana, a Émile Villey wyszedł z kuchni, niosąc tacę z kanapkami. Cat-Cat wzięła ją od kucharza i zaczęła podawać, a Émile zwrócił się do gości:

– *Salut* wszystkim. Chcę państwu opowiedzieć o menu na dzisiejszy wieczór, który nazwałem „Ucztą Antoine’a”. – W sali rozległ się śmiech i ku zaskoczeniu sędziego Niki Darcette wzniosła toast:

– *Merci, Juge Verlaque!*

Émile mówił dalej:

– Chciałbym podziękować Marie-Thérèse i Niki, które przysły mi z pomocą, kiedy najbardziej jej potrzebowałem. Przygotowałem letnie menu, więc zapomnijmy o burzy na zewnątrz. Zaczniemy od gazpacho z ogórka i melona, następnie podamy ceviche z ryby lucjan, a potem warzywne sajgonki. Kiedy już usiądziemy, będziemy jedli okonia pieczonego na oliwie z oliwek, małże z pomidorkami koktajlowymi i kolendrowo-miętowym sosem winegret.

Rozległy się gorące oklaski.

– I nie zapominajmy o deserze. – Szef kuchni podniósł rękę. – Czekoladowe ciasto, podawane ze świeżymi truskawkami i fasolowo-waniliowymi lodami, oblanymi syropem, który nazywam imbirowo-lawendową mżawką.

W tej chwili Serge włączył brazylijski jazz, więc nawet jeśli Émile chciał jeszcze coś dodać, nie było to już możliwe. Podszedł zatem do baru, wziął kieliszek szampana, pomachał Verlaque’owi, który odpowiedział mu tym samym, po czym wrócił do kuchni. Podobnie jak to było w filmie *Uczta*



*Babette*, przedstawiającym purytańską duńską społeczność, dobre jedzenie i wino rozweselało wszystkich obecnych. Jak się wydawało, Viale'owie dobrze się bawili przy wspólnym stoliku z Le Bonami. Niki i Marie-Thérèse na zmianę obsługiwały gości i siadały, by zjeść, i nawet Serge pozwolił sobie na kilka kieliszków szampana Krug, którego wcześniej zamówił Verlaque.

– Przyjęcie okazało się sukcesem – wyszeptała Marine sędziemu do ucha. – Czysta ostatnich dni była nie do zniesienia. I zobacz, nasi samotnicy znaleźli dobre towarzystwo.

Verlaque uściskał jej dłoń i rozejrzał się po sali. Niki Darcette siedziała przy barze i rozmawiała z Serge'em. Mme Poux dzieliła stół z Marie-Thérèse i Sylvie, wszystkie trzy zanosily się śmiechem, a Eric Monnier wylądował z Prosperem i generałem. Marine spojrzęła na stół mężczyzn i powiedziała:

– Prosper i generał bawię się w najlepsze, ale Eric Monnier nie wydaje się równie szczęśliwy.

– Jest poetę – odparł Verlaque. – Nie wyobrażam sobie, by poeta kiedykolwiek był naprawdę szczęśliwy.

– A ten człowiek z północnej Anglii? – zapytała.

– Philip Larkin? – upewniał się sędzia. – Nie, wątpię, aby był szczęśliwy, ale dowiem się więcej, kiedy przeczytam jego biografię. Właśnie ją zamówiłem z tej angielskiej księgarni w mieście, „Book in Bar”.

– Och, to cudowna księgarnia – zachwycęła się Marine. – Mam kolegów i koleżanki, którzy chodzą tam, żeby po prostu wypić herbatę i znaleźć się w otoczeniu tych wszystkich księzek.

– Powiedz im, że te księzki są także do kupowania.

– Ale są po angielsku.

– Mogę je kupować dla przyjaciół, którzy znają ten język. W każdym razie, kiedy skończę, dam ci znać, czy Larkin był zadowolony z życia, czy smutny.

– Dlaczego myślisz, że wszyscy poeci są smutni?

Pomyślał o wierszu Franka O'Hary o Billie Holiday.

– Ponieważ starają się zrozumieć kondycję ludzką i przelać swoje refleksje na papier przy użyciu rytmu i najpiękniejszych, najbardziej odpowiednich słów, jakie mogą znaleźć?

– Nie musisz już nic więcej mówić – rzekła Marine z uśmiechem.

\*

– To przypomina mi Wietnam – powiedziała Shirley Hobbs, kończąc deser. Zjadała imbirowo-lawendową mżawkę palcem prosto z talerza. Goście po raz kolejny zmienili miejsca i Verlaque siedział teraz z amerykańską parę.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Nie, nie jedzenie. Ale to, że wszyscy się włączają – wyjaśniła. – Kojarzy mi się z zamieszaniem w salach chorych i prowizorycznych salach operacyjnych. Takie sytuacje ujawniają to, co w ludziach najlepsze.

Sędzia uśmiechnął się i właśnie miał zadać więcej pytań o jej przeżycia w Wietnamie, kiedy pojawił się Clément Viale z talią kart w ręce.

– Poker – powiedział. – Wchodźcie w to?

– Ja dołączę później – odparł Verlaque.

– Brice, kolego – zawołał Clément. – Ty grasz.

– Chłopak jest za młody – zaprotestował sędzia. – To nie fair.

– *Oh, Brice is as sharp as a whip* – odezwał się Bill Hobbs, starając się powstrzymać czkawkę.

– *Whip?* – zapytał Clément.

– *Cravache* – odpowiedzieli Verlaque i Bill Hobbs jednym głosem.

– Bill, ty znasz po francusku takie trudne słowo? – zdziwiła się Shirley.

Hobbs roześmiał się i wzruszył ramionami.

– Słucham tych kaset, które wzięłaś ze sobą – odparł. – Chyba szybko się uczę! *Vive la France!* – wykrzyknął z takim akcentem, że Shirley się roześmiała, a sędzia się wzdrygnął. – Myślę, że rozegram kilka rozdań!

\*

– Dziękuję, że pokazał mi pan tamte wiersze, panie Ericu – rzekł Verlaque. Wcześniej pomagał sprzątać ze stołów, by Marie-Thérèse i Niki mogły odpocząć. Émile oprowadził go też po supernowoczesnej kuchni. Wydawało się, że sztorm staje się coraz głośniejszy, podobnie jak muzyka. Mężczyźni przy stoliku pokerowym uczyli teraz Emmanuelle Denis zasad gry, a Mme Poux siedziała w fotelu, opierając nogi o podnózek. Miała na sobie pończochy, a w ręku trzymała mały kieliszek *limoncello*. Słuchała, jak *le général* i Prosper opowiadają różne historie. Verlaque widział, że kobieta się śmieje.

Eric Monnier nalał sędziemu kolejną szklaneczkę whisky.

– Cieszę się, że mogłem się czymś z panem podzielić – powiedział.

– Przy kolacji rozmawialiśmy z Marine o poetach – odezwał się Verlaque. – Odnoszę wrażenie, że to raczej smutne towarzystwo. Czy to prawda?

Monnier próbował się uśmiechnąć.

– Może pan mieć rację.

– Przepraszam – rzekł sędzia. – Nie chcę być wścibski. – I zmienił temat:

– Jak było na Sordou w latach pięćdziesiątych?

– Och, drogi chłopcze, nie mieliśmy śmiałości, by wchodzić na wyspę. Hotel był dla bogatych, taka mniejsza wersja śródziemnomorskich hoteli na Lazurowym Wybrzeżu czy we Włoszech. Powiedzmy, na Capri. Ale pływaliśmy wzdłuż brzegu... – Upił łyk trunku, uśmiechając się do wspomnień. – Staraliśmy się choć przelotnie ujrzeć kogoś sławnego.

Verlaque uśmiechnął się, wyobrażając sobie chudych, ale zdrowych i opalonych chłopców z Marsylii, którzy pływają wzdłuż skalistego brzegu wyspy.

– Czy kiedykolwiek wam się udało?

– Chyba widziałem pierś Meliny Mercouri – odparł Monnier. – Wysunęła się jej z kostiumu kąpielowego. A przynajmniej tak powiedziałem kumplom.

– Eric! – zawołał Bill Hobbs, podnosząc do góry trzymane w ręce karty. – Potrzebujemy cię – dodał po angielsku.

– Oczekuję mnie przy stoliku karcianym – rzekł Monnier.

– Tak się wydaje. Więc proszę iść.

Eric wstał, jeszcze raz stukając swoją szklaneczką w szklanek rozmówcy. Odchodząc, uderzył się o stolik, a Verlaque roześmiał się i ponownie zapalił swoje cygaro.

– *Les nageurs* – mruknął do siebie. – Cholerni pływacy – powtórzył po angielsku.

– Przepraszam – odezwał się Brice Dortignac. – Czy mogę przez chwilę z panem posiedzieć?

– Oczywiście, Brice. – Verlaque starał się nie pokazać zbyt dużego entuzjazmu. Wysunął spod stołu sąsiednie krzesło. Miał nadzieję, że w czasie przyjęcia nadarzy się okazja, żeby porozmawiać z chłopakiem w cztery oczy, choć być może następnego dnia nikt nie będzie tego pamiętał ani widział w tym sensu.

– Dziękuję, panie sędzio – powiedział chłopak i ciężko klapnął na krzesło. Verlaque uśmiechnął się – Brice wyrażał się jak dorosły z wyższym wykształceniem, ale jego ciało było typowe dla nastolatka, z jego tyczkowatością i skrępowaniem. – Powiedział pan „cholerni pływacy” – zauważył Brice.

Sędzia zaciągnął się cygarem.

– Owszem – potwierdził.

– Biorąc pod uwagę pogodę – rzekł chłopak, ruchem głowy wskazując w stronę uderzających o ściany okiennic – zakładam, że nie wybiera się pan popływać.

– Nie. Myślałem o tym, czy tajemnicza śmierć twojego ojczyma nie ma czegoś wspólnego z pływaniem. – Wpatrywał się w młodzieńca, by dojrzeć jego reakcję.

– Niezła teoria – skomentował Brice.

– Nie jesteś ciekaw?

– Nie. – Brice ostrożnie postawił przed sobą swoją szklanekę, trzymając ją w obu dłoniach. Verlaque pochylił się do przodu z udawaną ciekawością.

– Sok jabłkowy – wyjaśnił chłopak. Spojrzał na pustą do połowy butelkę lagavulina i dodał: – W przezroczystym szkle wygląda prawie jak pańska single malt.

– Znasz single malt?

– Oczywiście – odparł Brice. – Obecnie to ulubiony trunek rozpuszczonych bogatych dzieciaków z Neuilly.

– Czasy się zmieniły – zauważył Verlaque. – Byłem rozpuszczonym bogatym dzieciakiem z pierwszej *arrondissement*, ale naszymi ulubionymi alkoholami były te okropne słodkie likiery, jak Frangelico czy Drambuie.

Brice roześmiał się i włożył dwa palce do ust.

– Zostawmy trunki – rzekł. – Chciałbym panu coś wyznać. Nie chcę stawiać M. Hobbsa w kłopotliwej sytuacji.

– Nie powiedział mi, o czym rozmawialiście na rybach – oznajmił sędzia.

– Wiedziałem, że nic nie powie. To dobry człowiek. Dlatego naprawdę się przed nim otworzyłem, znalazłem się sam na sam z osobą, która była obca, ale bardzo miła. Słuchał mnie. Rozumiał i nie oceniał. Ponieważ mnie nie znał. Czy pan to rozumie?

Verlaque skinął głową.

– Więc powiedziałem mu, że nienawidziłem Alaina. Opowiedziałem ze szczegółami, jak straszny był mój ojczym. O okropnych kłótniach pomiędzy mamą a nim, zazwyczaj o mnie. O wieczorach, kiedy nie wracał do domu, a mama płakała. O ich problemach finansowych. Cały czas się mazałem, zwłaszcza kiedy doszedłem do tego, jak Alain uderzył moją matkę.

Verlaque pochylił się do przodu, ale zatrzymał się w połowie. Było już jednak za późno, chłopak rozumiał, że prawdopodobnie obciąża matkę i siebie, i przestał mówić. Siedzieli w milczeniu, słuchając, jak Clément Viale próbuje namówić Delphine do tańca, Prosper stara się nalać sobie kolejnego drinka, ale przegania go Serge, a Shirley Hobbs usiłuje odciągnąć Billa od gry w pokera. Marine i *le général* tańczyli ramię w ramię do dźwięków walca.

– Czy to Strauss? – zapytał Verlaque.

Brice uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami.

– Muzyka wiedeńska to nie moja bajka – powiedział. – Zamierzam uderzyć w kimono. Dobranoc.

– Dobranoc, Brice – pożegnał go Verlaque. Powstrzymał się przed dodaniem „słodkich snów”, co zrobiłaby Emmeline. Brice był na to zbyt dorosły.

Nie minęło nawet pół minuty od jego wyjścia, gdy przy Verlaque’u usiadła Sylvie, z mojito w rękę.

– Mogę? – zapytała.

– Oczywiście – odpowiedział. – Marine bardzo się zaangażowała w rolę Marii von Trapp.

Sylvie roześmiała się.

– Antoine, czasem potrafisz być taki zabawny.

Verlaque spojrział na nią i zaciągnął się cygarem.

– Nasza znajomość zaczęła się niezbyt szczęśliwie – stwierdził. – Ale

wiem, że chciałaś dla Marine jak najlepiej.

– Uważałam cię za zarozumiałego dupka.

– Dzięki. Prawdopodobnie nim byłem. Widzisz, zarozumiały dupek jest dobrym sędzią. Dobrym detektywem.

– Więc w czym problem? – zapytała Sylvie. – Cholera, chciałabym, żeby zmienili muzykę.

Sędzia pochylił się do przodu.

– Łagodniej. – Wzruszył ramionami i upił łyk drinka.

– Może to dobrze.

Verlaque spojrział na Sylvie, czując nagłe zmęczenie.

– Dla sędziego śledczego to niedobrze.

– No tak.

Rozbrzmiała karaibska piosenka, *le général* zawołał coś w proteście, a Sylvie się uśmiechnęła.

– Chodzi o to, że nie widzę w żadnej z tych osób zabójcy – powiedział i rozejrzał się po sali, zatrzymując wzrok na Clémencie Viale, który tańczył teraz limbo z Marie-Thérèse, pod miotłą trzymaną przez Niki i Maxa. – Clément powinien się teraz pilnować – mruknął.

– No cóż, zamierzam zejść do chaty Hugo, pomimo deszczu – oznajmiła Sylvie, kończąc swoje mojito. – Niki powiedziała mi, że Le Bonowie chcą przyjąć go znowu do pracy, ale z powodu sztormu on jeszcze tego nie wie.

– Czy to dlatego nie ma go tu teraz? – zapytał sędzia.

– Tak – odrzekła Sylvie. – Jego duma ucierpiała.

– Nie powinnaś wychodzić. Jest zbyt silny wiatr.

Kobieta wstała.

– Dziękuję za przyjęcie. A łagodnością bym się nie martwiła, może morderca też jest jej wcieleniem.

– Co masz na myśli?

– Być może nawet miły człowiek może kogoś zabić – wyjaśniła. – Jeżeli bardzo tego chce.

I wtedy światło zamigotało, rozległ się głuchy dźwięk, wszystkie lampy zgasły i muzyka zamilkła.

## Bieg do pociągu

Jules widział stojący przy peronie pociąg. Czerwone drzwi powoli się zamknęły, a konduktor, znajdujący się obok *voiture 1*, czyli pierwszego wagonu pierwszej klasy, podniósł do ust gwizdek. Jules ruszył biegiem i po raz drugi tego dnia wyciągnął swoją odznakę.

– Policja! – zawołał.

Konduktor krzyknął coś w stronę końca pociągu i dał znak ręką drugiemu konduktorowi, który wychylał się przez drzwi jednego z dalszych wagonów.

– O co chodzi? – zapytał. – Czy chce pan wyciągnąć kogoś z pociągu? Właśnie mamy ruszać.

– Nie – odpowiedział Jules, sapiąc i pochylając się, by położyć ręce na kolanach. – Muszę wsiąść.

Konduktor uruchomił przycisk automatycznego otwierania drzwi i rzekł:

– Trzeba było od razu tak mówić.

– Dzięki. – Jules wszedł do środka, a wtedy rozległ się dźwięk gwizdka, pociąg szarpnął i powoli ruszył.

Policjant usiadł na stopniach i wyciągnął z kieszeni bilet. Miał miejsce w *voiture 3*, ale znajdzie go za kilka minut. Teraz musi zadzwonić. Wiedział, że rozmowy telefoniczne są źle widziane w wagonach pierwszej klasy, poza tym chciał mieć podczas rozmowy jak najwięcej prywatności. Wyjął swój czarny notes i telefon komórkowy i wybrał numer Brunona Paulika.

– Halo – odezwał się komisarz.

– Dzień dobry, komisarzu. – Jules próbował normalnie oddychać. – Jestem w pociągu.

– Było warto? – zapytał Paulik. – Wybrać się tam?

– Tak – odpowiedział młody policjant, przyciskając telefon do ucha prawym ramieniem i jednocześnie przerzucając kartki swojego notesu. – Zadzwoniłbym do pana wcześniej, ale spieszyłem się na Gare de Lyon, a w metrze nie było zasięgu. Czy teraz dobrze mnie pan słyszy?

– Doskonale.

– To w porządku. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym na Sordou doszło do podwójnego zatonięcia – referował Jules. – Siedemnastoletnia dziewczyna i starsza od niej kobieta. Dziewczyna miała na imię Élodie.

– Mów dalej – poprosił Paulik.

– Kobieta miała trzydzieści siedem lat i nazywała się Cécile-Marie...

Koła pociągu zapiszczały i Paulik musiał poprosić Jules'a o powtórzenie nazwiska kobiet. Jules powtórzył.

– Żartujesz? – zapytał komisarz.

– Nie.

– Przeliteruj mi to, proszę.

Jules powoli przeliterował nazwisko i wytarł brwi papierową chusteczką, którą znalazł w kieszeni spodni. Był tak spragniony, że ledwo mógł mówić.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Jules – powiedział Paulik. – Teraz przestań sapać i idź kupić sobie piwo w wagonie restauracyjnym, a potem gorący posiłek.

– Ale to jest za dro...

– To rozkaz, Jules.

Bruno Paulik odłożył słuchawkę i pobiegł do swojego biura. Zobaczył Rogera Caromba, który dwoma palcami pisał coś na klawiaturze komputera. Oficer Caromb mniej był znany ze swoich umiejętności śledczych, a bardziej z siły swoich mięśni. Był też niezwykle sprawnym kierowcą.

– Jedziemy do Marsylii, Roger – zakomenderował Paulik.

## Stara historia

– To nie brzmiało dobrze – odezwał się w ciemności Max Le Bon.

– Dziękuję, że stwierdziłeś to, co oczywiste – skomentowała Cat-Cat.

– To mi się nie podoba! – krzyknęła Emmanuelle Denis. Z zewnątrz dobiegł głośny dźwięk uderzeń o ścianę. – Co to było? – zapytała kobieta.

– Okiennica – wyjaśnił Verlaque. Teraz, kiedy muzyka ucichła, usłyszeli siłę wiatru i deszczu, smagających hotel.

Sędzia wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalając ją, powiedział:

– Proszę, pozostańcie tam, gdzie jesteście. Serge, masz za barem jakieś świece?

– Właśnie ich szukam – odparł barman, wyciągając kolejne szuflady. – *Voilà!*

Verlaque przeszedł przez salę i zapalił trzy świece do podgrzewacza, które Serge położył na barze.

– Czy macie zapasowy generator prądu? – zapytał.

– To właśnie był ten generator – odparł Max.

– Cała energia na Sordou pochodzi z jednego źródła? – dopytywał Clément Viale. – Nigdy nie słyszałem, jak pracuje.

– Znajduje się na południowy wschód od hotelu, na zboczu niewielkiego wzgórza. Trochę dalej, z powodu hałasu. Kupiliśmy najlepszy, a przynajmniej tak nam powiedziano. Jest w kamiennej chacie, zbudowanej specjalnie w tym celu.

– A latarnia ma własny generator – dodał Max.

– W biurze są dwie latarki – odezwała się Niki. – Wezmę jedną świeczkę i je przyniosę.

– Mam więcej świeczek – powiedziała Mme Poux. – Gdyby tylko ktoś pomógł mi dojść do pralni.

– Pani pozwoli – rzekł Eric Monnier. Uruchomił zapalniczkę i ujął kobietę pod ramię.

– Nie będziemy mieli gorącej wody, prawda? – chciała wiedzieć Delphine Viale.

– Obawiam się, że w ogóle nie będziemy mieli wody – odparł Max. – Hotelowa pompa wody jest zasilana prądem.

Delphine jęknęła.

– Ale ja będę mógł gotować na kuchenkach gazowych – radośnie oświadczył Émile Villey.



– Najlepiej będzie, jak wszyscy pójdziecie do swoich pokoi, kiedy tylko Mme Poux i Eric wrócą ze świecami – rzekł sędzia. – I tak jest już późno. Ja z Maxem przyjrzę się generatorowi.

Marie-Thérèse gwałtownie zaczerpnęła powietrza, zakrywając dłonią usta.

– O mój Boże!

– O co chodzi, Marie-Thérèse? – zaniepokoiła się Cat-Cat.

– Był telefon do pana sędziego Verlaque’a – zawołała dziewczyna. – Mniej więcej w połowie przyjęcia! Zapomniałam powiedzieć!

– Nie szkodzi – odezwał się Verlaque. – Kto to był?

Dziewczyna skuliła się.

– Komisarz – powiedziała cicho.

– No cóż, to będzie musiało poczekać.

Było w tym wieczornym świętowaniu coś jeszcze, co nie dawało Verlaque’owi spokoju, ale odesłał tę myśl w zakamarki umysłu. Generator był pilniejszym problemem.

– Kapitalne przyjęcie, panie sędzio – odezwał się Prosper Buffa.

Verlaque prawie zapomniał o jego obecności. Podniósł zapalniczkę, by zobaczyć latarnika, który siedział przy stole i pił szampana. Za jego plecami na sofie leżał *général* Le Favre pogrążony w głębokim śnie.

– Przyniosę koc dla generała – powiedziała Cat-Cat. – Najlepiej będzie, jak tu zostanie. Prosperze, pokażę ci twój pokój.

– Apartament prezydencki? – zapytał mężczyzna, ponownie napełniając swój kieliszek szampanem.

Wrócili Mme Poux i Eric Monnier i rozdali świece. Goście rozpięchli się, życząc sobie dobrej nocy i dziękując Verlaque’owi za przyjęcie.

– Wie pan – powiedziała Shirley Hobbs, ujmując sędziego za ramię. – Po dzisiejszym wieczorze można uznać, że wszyscy jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i że nic strasznego nigdy się tu nie wydarzyło.

Verlaque uśmiechnął się i skinął głową. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Być może jego plan wydania uczyty Babette obrócił się przeciwko niemu i morderca poczuł się zbyt swobodnie, a on z kolei był zbyt miękki.

\*

Wiatr wył i wiał z taką siłą, że Verlaque i Max Le Bon musieli opierać się o siebie nawzajem. Cat-Cat znalazła dla nich płaszcze, z hotelu wyszli przez drzwi pralni i teraz szli kamienną ścieżką wiodącą do generatora.

– Wydawało nam się, że jeśli umieścimy generator z dala od hotelu, będziemy tacy sprytni – krzyczał Max po drodze.

– Bo byliście – odkrzyknął sędzia. – One robią straszny hałas.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedział Max, świecąc do przodu latarką. – Proszę tylko uważać, schodząc tą ścieżką w dół. To jest u stóp tego wzgórza.

Mężczyźni zbliżali się do chaty z ciosanych kamieni, oświetlając jej ściany. Max świecił latarką po całym budynku, a następnie powoli skierował światło na jego szczyt.

– To tutaj jest problem – odezwał się Verlaque. – W dachu pojawiło się wgniecenie.

Max poświecił latarką po stromym wzgórzu za budynkiem.

– Założę się, że podczas sztormu z tego wzgórza stoczyła się skała – powiedział. – Nie wiem, co myśleli architekci i co myśleliśmy my, umieszczając go tutaj, u stóp wzgórza. Drzwi są z tyłu – krzyknął Max. – Proszę iść za mną.

Za budynkiem wiatr nie był tak odczuwalny. Mężczyźni podeszli do drzwi, lecz nagle stanęli jak wryci – drzwi były otwarte, a w środku błyskało światło. Promienie światła pojawiły się na ich twarzach.

– *Merde!* – krzyknął Hugo Sammut. – Przestraszyliście mnie!

– I vice versa, Hugo – odparł Max Le Bon. – Co się stało? – zapytał, wchodząc do chaty.

– Zgasły u mnie światła i zobaczyłem, że w hotelu też jest ciemno – odparł Hugo. – Więc chwyciłem za latarkę i zszedłem tutaj.

– Dziękuję – powiedział Le Bon. – Czy to była skała?

Hugo zaświecił latarką w kąt pomieszczenia i z mroku wyłonił się głaz o średnicy pół metra.

– Tak, zsunęła się ze wzgórza podczas deszczu i przebiła dach.

– Byliśmy o włos od nieszczęścia – odparł Hugo. – Gdyby skała spadła trochę bliżej generatora, byłby niesprawny przez dłuższy czas. A tak myślę, że rano będę mógł go naprawić. W łodzi mam kilka części zamiennych.

– Dobrze więc – rzekł Max Le Bon. – Miejmy nadzieję, że masz rację. Czy dasz radę wrócić do swojej chaty, Hugo?

– Bez problemu. Wydaje się, że wiatr nieco przycichł, a ja mam najsilniejszą latarkę na wyspie. Dobranoc, panowie.

Wyszli na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi, i wymienili uściski dłoni, zanim Le Bon i Verlaque ruszyli w stronę szczytu wzgórza.

\*

Verlaque stąpał wolno po marmurowych schodach w stronę swojego pokoju. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Idąc, uderzył się w fotel i zaklął.

Marine obróciła się na drugi bok i szepnęła w ciemności:

– Jak poszło?

– Na dach budynku z generatorem spadła skała – odpowiedział Verlaque. – Hugo uważa, że potrafi to naprawić.

– W łazience jest świeczka – rzekła Marine. – Na blacie.

– Dzięki. Zaraz wracam.

Już po chwili wsunął się do łóżka i oparł głowę o lniane wyściełane wezgłowie.

– Gdy wróciliśmy, dwaj policjanci, którzy strzegli nabrzeża, byli w barze – powiedział.

– Minęliście się z nimi, wychodząc, by sprawdzić generator – wyjaśniła Marine. – Zobaczyli, że zgasły światła w hotelu, i od razu przyszli. Biedacy, byli kompletnie przemoczeni. Każdego z nas odprowadzili do pokojów.

– To dobrze.

– Nie jestem zmęczona – powiedziała Marine.

– Ani ja – rzekł Verlaque. – Ten spacer postawił mnie na nogi.

– Po twojej stronie łóżka jest butelka wody – odezwała się Marine. – Cat-Cat je wręczała.

– To dobry pomysł – odparł Verlaque, sięgając po butelkę. – Po takiej ilości szampana jestem bardzo spragniony.

– Czy to możliwe, by ktoś celowo uszkodził generator?

– Nie – odparł sędzia. – To między innymi dlatego chciałem tam iść i na niego popatrzeć.

– To głupie pytanie – odezwała się kobieta. – Ale czy hotelowy telefon będzie nadal działał?

– To nie jest głupie pytanie. – Verlaque chwycił ją za dłoń. – Linia telefoniczna jest niezależna. Jak mówił Max, przebiega przez stary podwodny kabel, który zainstalowano na początku lat sześćdziesiątych.

– Wyobraź sobie kabel – rzekła Marine – który znajduje się pod wodą i sięga od Sordou do Marsylii. Pod wodą, przez wszystkie te lata rozmów i historii.

Verlaque znów uścisnął jej dłoń.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Antoine – odparła Marine. – Te kable pod wodą przypominają mi o książce, którą ma Charlotte. To historia amerykańskiej wioski, która została zalana, gdy budowano tamę przed Bostonem. Mieszkańcy zostali przesiedleni, wiele kilometrów dalej zbudowano dla nich nowe domy. Ale od czasu do czasu rodzina płynęła łodzią po nowym zbiorniku wodnym i patrzyła w wodę tam, gdzie niegdyś był ich dom, szkoła i kościół. Dziewczynka nie mogła zapomnieć o swojej wiosce i starych przyjaciółach, którzy trafili w różne miejsca. Jej ojciec mówił jej, by dała spokój. Sylvie zawsze płacze, kiedy czyta ten fragment. W książce ojciec mówi: „Musisz pozwolić im odejść”.

– Powiedz to jeszcze raz.

Marine przysunęła się do Verlaque’a, objęła go i pogłaskała po brzuchu.

– Musisz pozwolić im odejść.

– Tu chodzi o starą historię – powiedział Verlaque, odkrywając kołdrę i wyskakując z łóżka. – Tę, o której napomykał Prosper.

– Mme Poux?

– Nie wiem, nie wiem. – Otworzył szufladę biurka, wyjął kopertę z szarego papieru i wrócił do łóżka. – Przyjrzyjmy się temu wszystkiemu przy świetle świeczki – powiedział, wyjmując na koc kilka paszportów.

– Morderca jest w podobnym wieku jak Alain Denis. Czeką do późnego wieku, by dokonać morderstwa – rzekła Marine, patrząc na Verlaque’a. –

Bo kiedy jest się młodym, masz jeszcze wiele przed sobą. Rodzinę. Pracę. Życie.

– Ale dlaczego nie zwiększa to pragnienia życia wówczas, gdy jesteś starszy? A nawet w średnim wieku? – zapytał Verlaque. – Każdy dzień jest cenny, więc dlaczego mordować teraz i ryzykować ostatnie swoje lata w więzieniu?

– Bo jesteś chory – odpowiedziała wolno. – A może umierający.

Verlaque skinął głową.

– Może masz rację.

– Cholera, szkoda, że jest środek nocy. Chciałabym zadzwonić do ojca.

– Martwisz się o rodziców z powodu sztormu?

– Nie, nie – odparła Marine, odchyłając się na wezglowie łóżka. – Rzeczywiście, dzwonię do nich co drugi dzień. Ale teraz chcę zapytać papę o jego pacjentów. To tylko przecucie. No, ale musi poczekać do jutra rana.

Verlaque, milcząc, spojrzał w dół na paszporty. Nie kwestionował przecucia Marine, jego myśli powędrowały do jego rodziców, dobrze było, jeśli dzwonił do nich co dwa miesiące.

– Czy podczas dzisiejszego przyjęcia – odezwał się, a w jego głosie dało się słyszeć podniecenie – byłaś blisko, kiedy Clément zbierał chętnych do gry w karty?

– Siedziałam przy barze – odparła Marine. – Rozmawiałam z Marie-Thérèse i Serge’em, który zorganizował nam błyskawiczny kurs robienia doskonałego martini. – Potarła głowę. – Pierwszy drink to był dobry pomysł...

Verlaque przeglądał paszporty, aż trafił na właściwy.

– *Voilà* – powiedział, otwierając dokument. Popatrzył na zdjęcie, datę urodzenia i wskazał na imię właściciela paszportu.

Marine wzruszyła ramionami:

– No to co? Wielu ludzi posługuje się swoim drugim imieniem.

Verlaque nadal wskazywał na to imię. Powiedział jej o rozmowie w czasie przyjęcia.

– O rany – rzekła. – Chyba nie myślisz...?

## 34

# Pływanie

Antoine Verlaque zostawił Marine w Barze Jacky'ego, gdzie Émile i Marie-Thérèse przygotowywali dla wszystkich kawę. Verlaque zapewnił Marine, że Paulik jest w drodze, a z powodu sztormu razem z innym oficerem z Aix spędził noc w hotelu w Marsylii. Komisarz zadzwonił na Sordou o ósmej trzydzieści i potwierdził to, co Verlaque i Marine już odgadli. Sędzia rozkazał personelowi i gościom pozostać w barze aż do jego powrotu. Marine próbowała protestować, ale zapewnił ją, że to bezpieczne, i sam w to wierzył. Alain Denis zginął z konkretnego powodu – „trzeba pozwolić mu odejść” – i już nikt inny nie umrze. Verlaque miał niemal absolutną pewność, że pływanie miało z tym wszystkim związek.

– A co mam powiedzieć o dwóch osobach, których tu nie ma? – zapytała Marine, rozglądając się. – I o tobie?

– Coś wymyślisz – rzekł sędzia, delikatnie głaszcząc wierzchem dłoni jej policzek. – Dziękuję, że pomyślałaś o tym, by zadzwonić do swojego ojca. Byłaś o krok przede mną.

– Nie, byliśmy obok siebie – zaprzeczyła.

– Jak Sartre i Beauvoir.

Verlaque wyszedł z hotelu i stanął na szczycie schodów, patrząc w morze. Widział łódź policyjną płynącą w stronę wejścia do portu. Bruno na pewno jest na pokładzie, trzyma się relingu, by go nie zemdlilo. Sędzia uśmiechnął się, choć wiedział, że to z jego strony złośliwość. Odwrócił się w prawo i ruszył ścieżką prowadzącą do zatoczki. Tam będą na niego czekać.

Kiedy schodził po stromym wzgórzu, słyszał, jak łódź wpływa do portu, a po chwili jej silnik gaśnie. Spod stóp wyskakiwały mu małe białe kamyczki i w połowie wzgórza prawie się pośliznął, przeklinając pod nosem. Nie wiedział, dlaczego się spieszy, podpowiadał mu to ucisk w żołądku. Dotarł do kamienistej plaży i dostrzegł postać człowieka siedzącego na płaskich skałach. Przeszedł przez plażę i wskoczył na pierwszy najniższy kamień, a potem, przez kolejne skały, dotarł do celu. Z tyłu nie widział, kim jest siedzący człowiek, ale ten obrócił się i przywitał. Verlaque stanął obok Billa Hobbsa i spojrzał w dół. Na pobliskim kamieniu leżał stosik starannie złożonych ubrań z czarnym notesem Moleskine i tomikiem poezji Franka O'Hary. Verlaque osunął się na kolana.

– Od jak dawna tam jest? – zapytał.

– Wystarczająco długo – odparł Bill Hobbs bardzo dobrym francuskim, choć z amerykańskim akcentem.

– Biedny Eric – powiedział Verlaque. – Martwiłem się, że może to zrobić. Chorował na nowotwór, był pacjentem ojca Marine w szpitalu w Aix. Dziś rano doktor Bonnet powiedział Marine, że poinformował go, że zostało mu niewiele życia, być może tygodnie, może miesiące. – Verlaque zauważył, że mówi o poecie, używając jego imienia, tak jakby byli przyjaciółmi.

– Teraz osiągnął spokój – odezwał się Hobbs. – Nie wiedziałem, że był chory.

– Wczoraj późnym wieczorem – rzekł Verlaque – uważnie przyjrzałem się pańskiemu paszportowi i myślałem, że pan jest mordercą.

– Nie.

– Ale był pan częścią tej historii – zauważył sędzia. – Pańska żona, czy ona... – zapytał Verlaque, zasłaniając oczy przed słońcem, by móc spojrzeć na Billa Hobbsa.

– Czy wiedziała, że jestem w połowie Francuzem? Nie – odpowiedział. – Kiedy się spotkaliśmy, nigdy nie mówiłem o moim dzieciństwie – wyjaśnił. – To częściowo z powodu strasznej śmierci mojej matki, do której, jak powiedziałem Shirley, doszło w Oceanie Spokojnym u wybrzeża Seattle.

– Ale to było na Sordou – zauważył Verlaque. – Z Élodie, miłością życia Erica. – Verlaque pamiętał, że Eric Monnier na łodzi, którą przyплыnęli na wyspę, wspominał o pewnej kobiecie. Była podobna do Marine, ale nie wymienił jej imienia. Gdyby wtedy wiedział, że Verlaque jest sędzią śledczym, prawdopodobnie nawet by o niej nie wspomniał.

– Tak – odpowiedział cicho Bill. – Élodie też.

– Czy to była wina Alaina Denisa? – zapytał sędzia.

– W głównej mierze – odparł Hobbs drżącym głosem. – Wtedy wszyscy nurkowaliśmy.

– Znaliście się?

– Tak, nasi rodzice mieli domki na Frioul – odparł Hobbs. – Moja matka dorastała w Marsylii. Mojego ojca, amerykańskiego żołnierza, poznała w czasie wyzwolenia Marsylii w czterdziestym czwartym. Zabrał ją do Stanów Zjednoczonych, ale przyjeżdżali tu co drugie lato.

Verlaque milczał, nie chcąc przerywać opowieści Hobbsa. Wyciągnął rękę i dotknął tomiku poezji.

– Alain przyjeżdżał na wyspę z kumplami z klubu pływackiego – mówił dalej Hobbs. – Tak jak powiedziałem, nurkowaliśmy bez sprzętu... Nikt z nas nie miał pieniędzy na maski, a Alain był takim dobrym pływakiem, że jej nie potrzebował.

– A czego szukaliście, nurkując? – zapytał Verlaque.

– Amfor.

– Greckich?

– Przede wszystkim – odparł Hobbs. – Greckie przynosiły nam najwięcej

pieniędzy, podobnie jak etruskie. Był taki facet z Armenii niedaleko od Cours Julien, który dawał nam za nie trochę gotówki i rozsyłał je po całym świecie. Trochę kasy. To dlatego to robiliśmy. Uniesienia nastolatków i jakieś pieniądze.

Verlaque spojrział na swoje buty.

Hobbs mówił dalej:

– Alain odkrył w tym miejscu kilka amfor, tuż przy brzegu Sordou. Przyjeżdżaliśmy tu po kilka razy w tygodniu, kiedy tylko udało nam się znaleźć starszego kuzyna czy kogoś innego, kto przypłynąłby tu łodzią. Musieliśmy być ostrożni. Ale pewnego razu moja matka i Élodie zdecydowały, że także chcą tu przyjechać, myślały, że tylko pływamy.

– Pański francuski jest bardzo dobry po tych wszystkich latach – zauważył sędzia.

Hobbs roześmiał się.

– To męczące mówić w tym języku – powiedział po angielsku. – Złapał mnie pan na tym, że rozumiem francuski, prawda?

– Więcej niż raz – odparł Verlaque. – Nie dawało mi spokoju to, że znał pan odpowiednik słowa *whip*. A wczoraj jeden z naszych policjantów znalazł w paryskim archiwum informacje o wypadku. Imię Élodie nic mi nie mówiło, ale nazwisko pańskiej matki oczywiście tak: Cécile-Mary Hobbs. I wtedy przypomniałem sobie, że widziałem pański paszport: Cyril William Hobbs. Miałem wujka o imieniu Cyril, ale ponieważ jest to także angielskie imię, nie wydało mi się to dziwne. Wielu ludzi woli posługiwać się drugim imieniem.

Hobbs uśmiechnął się.

– A ja nie jestem Cyril. Poza tym po wypadku mój ojciec i ja chcieliśmy wymazać Francję z naszego życia.

– Rozumiem.

– To nie ma nic wspólnego z tym pięknym krajem – mówił dalej Hobbs, zmieniając język na francuski. – Ale to za bardzo boleło. On *était blessé*.

– Czy w tamtym czasie Alain Denis nazywał pana Cyril?

– *Oui, bien sûr* – odparł Hobbs. – Dlatego byłem pewny, że mnie nie rozpozna. Zmyliło go to, że używam imienia Bill, no i nie jestem już taki szczupły jak kiedyś. – Poklepał się po brzuchu i próbował się uśmiechnąć.

Verlaque skinął głową.

– A Eric? – zapytał. – Czy M. Denis go rozpoznał?

– Jeśli tak, to nie dał tego po sobie poznać – powiedział Hobbs. – Byliśmy przekonani, że nie zauważy kogoś ze swojej przeszłości, jak choćby Erica czy nawet mnie. Aż do chwili, gdy Eric przesłał mu wiadomość, że ma zejść do zatoczki.

– Co zdarzyło się tego dnia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym?

– Skoro były z nami *maman* i Élodie, wiedzieliśmy, że musimy

zrezygnować z poszukiwania amfor – powiedział Hobbs. – Przybyliśmy na Sordou z kuzynem Erica, który prowadził łódź, i nurkowaliśmy z łodzi, by pokazać *maman* i Élodie podwodną jaskinię, która nam się podobała. Żadna z nich nie była dobrą pływaką, my mieliśmy dużo doświadczenia, ale wiedzieliśmy, że mogły dopłynąć do jaskini bez naszej pomocy. Zanurkowaliśmy, dotarcie do jaskini zabierało około minuty. *Maman* i Élodie były zachwycone. Był tam mały kamienny występ, na którym dało się usiąść, znajdował się około trzydziestu centymetrów ponad głową. Ale kiedy dotarliśmy, okazało się, że Erica ukąsiła meduza. Powiedziałem kobietom, że podpłynę z nim do łodzi – tam zawsze mieliśmy butelkę octu winnego na ukąszenia – i że zaraz wrócę. Alain miał z nimi zostać.

– Ale nie został – zgadywał Verlaque.

– Nie, zostawił je tam same – odparł Hobbs, głos znów mu się załamał. – Miał tam być, gdyby tak zrobił, mogłyby... – Przełknął ślinę i mówił dalej: – Tuż za rogiem w jaskini było miejsce z amforami. Alain nie mógł się powstrzymać, by nie zdobyć jednej dla siebie... czy to na sprzedaż, czy po to, by popisać się przed kobietami. Więc tam popłynął. Później powiedział nam, że amfora utknęła, więc wyjęcie jej zajęło więcej czasu niż zazwyczaj. A kiedy wziąłem Erica na łódź, zaczął wymiotować, jego kuzyn przestraszył się i chciał zabrać go z powrotem na Frioul, gdzie letni domek miał lekarz z Marsylii. Błagałem, by poczekał, bym miał czas zanurkować i wrócić do jaskini. Ale woda była mętna, to był zły znak... – Znów przerwał i popatrzył na swoje kolana. – Ktoś poruszył dno morza i nie dało się nic zobaczyć. Zazwyczaj wykorzystywaliśmy światło słoneczne na powierzchni wody. Ale wtedy woda była szaroczarna.

– Musieliście zawrócić?

– Tak – szepnął Hobbs. – Kilka sekund później głowa Alaina pojawiła się nad wodą, miał w rękach tę cholerną amforę. Ale kobiety nigdy nie pojawiły się na powierzchni.

– O Boże – powiedział Verlaque, patrząc na morze.

– Uznaliśmy, że spanikowały – rzekł Hobbs. – Nurkowanie do jaskini było takie łatwe, łatwiejsze, niż się spodziewały, że zdecydowały się same płynąć do łodzi. Może uważały, że tak to zaplanowaliśmy.

– I w jakiś sposób popłynęły w złą stronę i poruszyły piasek?

– Albo zrobił to Alain, starając się wyciągnąć amforę – odparł Hobbs. – Łatwo się tam zagubić, jeśli się nie widzi.

– Dlaczego teraz? – zapytał Verlaque. – To stało się tak dawno temu.

– Była jedna nieudana próba, kiedy mieliśmy po trzydziści kilka lat – powiedział Hobbs, prawie ze śmiechem. – Eric śledził Alaina na Biennale w Wenecji, ale było tam zbyt wielu ochroniarzy. Alain był wtedy wielką gwiazdą.

– Przez cały ten czas pozostawialiście w kontakcie?

– Tak, to nie nastroczało trudności, skoro żaden z nas nie przeprowadził



się przez czterdzieści lat. Staraliśmy się nigdy nie wysyłać esemesów. Czasem dzwoniłem do Erica albo on do mnie i udawał, że to pomyłka, jeśli odebrała Shirley. Od czasu Biennale w Wenecji miałem nadzieję, że Eric zarzucił pomysł zabicia Alaina. Ale w maju zobaczył go w telewizji. Powiedział, że Alain nie mówił wyraźnie, na którą wyspę chce pojechać, ale po kilku dniach Eric przeczytał w „La Provence”, że tutejszy hotel znów się otwiera.

– I zadzwonił do pana, by powiedzieć, że M. Denis spędzi wakacje na Sordou – domyślił się Verlaque.

– Tak – odparł Hobbs. – Już mieliśmy wykupione loty do Prowansji. Shirley uwielbia tu być, a im starszy jestem, tym bardziej chcę tu wracać, to nigdy nie było łatwe, kiedy żył mój ojciec. Traf chciał, że Shirley zobaczyła w dekoratorskim piśmie podobny hotel na Capri, a ja powiedziałem, że wykupię hotel na naszą rocznicę. Dobrze mi szło w branży hydraulicznej. Mam sklepy w całym stanie Waszyngton.

Verlaque uśmiechnął się, prezes jego klubu palaczy cygar także był dobrze sytuowany dzięki pracy w „branży hydraulicznej”, jak nazwał to Hobbs.

– Dizajnerskim piśmie.

– Właśnie – odparł Bill, siląc się na uśmiech. – To wydawało się świetnym pomysłem – Shirley będzie zachwycona, a ja wyperswaduję Ericowi zamordowanie Alaina.

– To o tym rozmawialiście tamtego wieczoru na nabrzeżu? – zapytał Verlaque.

– Tak. Eric żartował i prawie uwierzyłem, że zarzucił swój plan. Nie miałem pojęcia, że już napisał do Alaina.

– Czy słyszał pan strzał?

– Myślałem, że to Prosper – odrzekł Bill. – Naprawdę sądziłem, że odwiódłem Erica od zabójstwa, ale on nie potrafił zapomnieć o tym, co się stało w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Eric powiedział, że na łodzi od razu mnie poznał i zazdrościł nam naszego szczęścia, kiedy Shirley piszczala na widok fal. Szkoda, że nie potrafił zapomnieć tak jak ja. Ale jeśli ma się rodzinę, to przychodzi łatwiej, nie sądzisz?

Verlaque spojrział na morze i potem na Hobbsa.

– Tak sobie wyobrażam.

Hobbs mówił dalej:

– Nie widziałem, żeby Alain szedł wzdłuż nabrzeża, więc kiedy Eric oznajmił, że chce się przejść, nie zmartwiłem się. Ale teraz sobie uświadamiam, że Alain pewnie poszedł do zatoczki ścieżką za hotelem.

Verlaque przypomniał sobie opowieść pani Poux o tym, jak Alain Denis szedł za hotelem i widziała go z okna pralni. Jako gwiazdor o paranoidealnej osobowości Denis celowo przemykał mniej uczęszczanymi drogami na wyspie.

– Dopiero następnego ranka, kiedy kelnerka znalazła ciało, zrozumiałem, co się stało.

Verlaque głęboko zaczerpnął powietrza i zaczął:

– Zdaje pan sobie sprawę, że...

– Zatajałem istotne informacje – przerwał mu Hobbs. – Jak to mówią w telewizji. Eric był moim przyjacielem. To wymagało wysiłku, by przez pięćdziesiąt lat pozostawać w kontakcie – przez ocean. Wiem, że to, co zrobił, jest złe – mówił dalej – ale przez lata chciałem zrobić to samo. –

Podniósł drżącą rękę i powiedział: – Na szczęście przez to nie mógłbym pociągnąć za spust. Ale niewiele też zrobiłem, by powstrzymać Erica.

\*

Marine zbiegała po hotelowych schodach, kiedy zobaczyła Verlaque'a i Billa Hobbsa idących w stronę ogrodów. Antoine niósł coś w rękach. Szła szybko, jak we śnie, w otoczeniu czerwieni, rózu i fioletu kwitnących roślin, tak starannie wybranych przez Le Bonów. Palmowe liście ocierały się o jej gołe nogi, prawie je drapiąc, ale zignorowała to. W pięknym popołudniowym słońcu kolory zbladły, tak jakby były filmowane na początku lat sześćdziesiątych. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że Antoine trzyma jakieś ubrania i czarny notes. Jej serce zamarło.

– Eric – rzekła, zbliżając się do mężczyzn. Verlaque skinął głową i zrobił krok na bok, by Shirley Hobbs, która szła za Marine, mogła uściskać męża.

– Co się stało, Bill? – zapytała pani Hobbs.

Bill Hobbs spojrział na Verlaque'a. Sędzia odpowiedział:

– Eric Monnier zastrzelił Alaina Denisa i dzisiaj popełnił samobójstwo. Utopił się.

Shirley Hobbs podniosła rękę do ust.

– Skąd wiedziałeś, Bill?

– Shirl – zaczął – chodźmy do hotelu. Jest mnóstwo rzeczy, które muszę ci powiedzieć.

– Znałeś Erica? – chciała wiedzieć kobieta. – Z twoich marsylskich czasów?

Marine popatrzyła na Verlaque'a znacząco.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Bill Hobbs, szeroko otwierając oczy.

Shirley położyła mu dłoń na ramieniu.

– Coraz trudniej ci było udawać, że nie znasz francuskiego – rzekła. – Ale ja wiedziałam od lat, od kiedy znalazłam metrykę twojej matki. Wtedy, kiedy kupiliśmy pierwszy dom, w latach sześćdziesiątych, a ty potrzebowałeś wszystkich takich informacji, by dostać kredyt... Pamiętasz?

Bill skinął głową.

– Staralem się to przed tobą ukryć.

– Byłeś tak zdenerwowany i podekscytowany tym domem, że przez

przypadek zostawiłeś dokumenty na wierzchu.

– I nic nie powiedziałaś?

– Nie, po co? – odparła Shirley. – Wiedziałam, że to ma coś wspólnego z tragiczną śmiercią twojej matki i że wspomnienia były zbyt bolesne, wtedy zdałam sobie sprawę, że do śmierci doszło tutaj, we Francji. Za bardzo szanowałam ciebie i twojego ojca, by się wtrącać.

Twarz kobiety posmutniała. Popatrzyła na sędziego i zapytała:

– Czy Bill zostanie oskarżony o zatajanie dowodów?

– Tak – potwierdził Verlaque. Choć bardzo pragnął chronić Billa Hobbsa, jego praca była na pierwszym miejscu. – Ale zarzuty będą dużo łagodniejsze, niż gdyby pan Hobbs pomagał w morderstwie – dodał.

\*

Dwie godziny później Bill i Shirley Hobbsowie byli już spakowani i stali na nabrzeżu, gotowi wsiąść do policyjnej łodzi z Brunonem Paulikiem.

– Kiedy wasz starszy syn przylatuje do Marsylii? – zapytał Verlaque. – Jason, prawda?

– Jutro w południe – odparła Shirley. Spojrzała na męża, który całkiem umilkł. Stał na skraju nabrzeża i wpatrywał się w wodę.

– Wyślę oficera, by go odebrał – zaoferował sędzia.

– To bardzo miłe.

– Rozmawiałem też z Billem o prawniku, z którym kiedyś pracowałem w Paryżu. Być może podejmie się obrony pana Billa – mówił dalej Verlaque. – Jeżeli oczywiście chcecie. Pani mąż powiedział mi, że pieniądze nie stanowią problemu. Dziwna rzecz, Niki Darcette znała tego prawnika, kiedy była młodsza.

Młody policjant podał Shirley Hobbs ramię i pomógł jej wejść na pokład łodzi. Bill Hobbs poszedł za nimi, podnosząc swoją drżącą rękę, by pomachać Verlaque'owi.

– Czy pozostanie pan tu do końca tygodnia? – Paulik zapytał szefa.

Sędzia przytaknął.

– Mme Denis i Brice odpływają za kilka minut... Hugo zawiezie ich na dworzec kolejowy w Marsylii, gdzie złapią TGV do Paryża, razem z Viale'ami. Ale my zostajemy, podobnie jak Sylvie.

– Bawcie się dobrze – Paulik starał się przekrzyczeć motor łodzi.

– Patrz przed siebie na horyzont, Bruno – powiedział Verlaque, głaszcząc się po brzuchu.

\*

Pozostali goście i członkowie personelu czekali w Barze Jacky'ego, Verlaque wziął głęboki oddech, zanim tam wszedł. Wcześniej oficer policji towarzyszył Hobbsom w drodze do pokoju, by mogli się spakować. Verlaque zadbał o to, by przeszli przez główne drzwi, omijając bar. Wiedział, że gdy

tylko wejdzie do baru, zostanie zbombardowany pytaniami. Otworzył drzwi, ale ku jego zaskoczeniu w pomieszczeniu panowała cisza. Z wyrazu twarzy wszystkich obecnych wyczytał, że już wiedzieli o związku Billa Hobbsa ze sprawą.

– Widziałem ich – zaczął Max Le Bon, idąc w kierunku sędziego. – Byłem w biurze i zobaczyłem, że do pokoju idzie z nimi policjant. Co się, u licha, dzieje?

Verlaque zebrał całą grupę przy barze i opowiedział historię greckich amfor, ujawnił związek pomiędzy Erikiem Monnierem, Billem Hobbsem i Alainem Denisem. Kiedy skończył, Marie-Thérèse rzekła cicho:

– To najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. – Po tych słowach powoli usiadła. Serge Canzano zaczął wycierać bar, a Émile Villey westchnął i wszedł do kuchni.

Pierwsza podeszła do Verlaque’a Emmanuelle Denis i powiedziała:

– Chcę panu podziękować za wszystko, co pan zrobił. Myślę, że Brice i ja pojedziemy do Paryża wcześniej.

– Rozumiem – odparł sędzia.

– Jeśli kiedykolwiek będzie pan w Paryżu... A właściwie w Neuilly...

– Nieczęsto tam bywam – odpowiedział Verlaque niezgodnie z prawdą.

– No cóż – rzekła z westchnieniem. – Brice – zawołała.

Brice podeszedł do sędziego i uściskał mu dłoń. Verlaque sięgnął do kieszeni i dał mu tomik *Lunch poems* Franka O’Hary należący do Erica Monniera.

– Spróbuj poczytać poezję dla odmiany – powiedział. – Jest tu piękny wiersz o Billie Holiday.

– To bardzo miłe, dziękuję – odparł Brice, biorąc książkę. – Lubię jej słuchać.

– Ja też – rzekł Verlaque. – Zatem do widzenia, Brice. Do widzenia, Mme Denis.

Obrócił się i właśnie miał poszukać Marine, gdy Clément Viale poklepał go po ramieniu.

– Do widzenia, stary *Dough Boyu*.

– Wyjeżdżacie wcześniej? – Sędzia liczył na to, że Viale’owie nie będą jechali TGV do Paryża razem z Emmanuelle i Brice’em.

– Obawiam się, że tak – odparł Viale. – Delphine tęskni za dziećmi i szczerze mówiąc, ja też.

Sędzia uśmiechnął się i uściskał dłoń starego przyjaciela. Miał nadzieję, że Viale’owie uratują swoje małżeństwo.

– Powodzenia, Clémencie.

Marie-Thérèse siedziała w miejscu, które zwykle zajmował Eric, a Niki obejmowała ją ramionami. Émile Villey pomachał z jednego z *hublots*, praca szefa kuchni nigdy się nie kończy, teraz musiał przygotować dla nich kolację.

– Dziękuję panu za pańską pomoc, panie sędzio – powiedział Max Le Bon. – A tak przy okazji – pierścionek ze szmaragdem Mme Denis się znalazł. Nie wiem, czy pan zauważył, że ma go na palcu. Serge znalazł go w misie z cytrynami, którą trzyma na barze.

– Tak, zauważyłem, że go miała. Prawie o nim zapomniałem aż do tego ranka. Bill Hobbs powiedział mi, że go zabrał. Mme Poux zostawiła drzwi do pokoju Denisów otwarte, kiedy pobiegła po więcej ręczników. Bill mówił, że widział pierścionek z korytarza, więc wszedł, chwycił go i natychmiast wrzucił do misy z cytrynami.

– Ale, na litość boską, po co?

– By kupić Ericowi trochę czasu – wyjaśnił Verlaque. – By odwrócić uwagę. Bill miał nadzieję, że zrobimy więcej hałasu o pierścionek, niż to było warte, a Eric będzie mógł wydostać się z wyspy.

– Och, prawie zapomniałem. – Le Bon wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczył ją sędziemu. – Wcześniej odebraliśmy tę wiadomość dla pana – powiedział. – Oficer stwierdził, że pan zrozumie.

Verlaque przeczytał wiadomość i uśmiechnął się. Brzmiała tak: „Właśnie rozmawiałem z Mme Navarre, jej mąż przez ostatnie piętnaście dni kręcił film w Tajlandii. Oficer Flamant”.

– Może mam panu podać porządnego drinka? – zapytał Le Bon.

Verlaque zawahał się, nim odpowiedział:

– Może później. Tak naprawdę mam teraz ochotę popływać, skoro wciąż nie mamy tu bieżącej wody. Popływać w morzu.

– Ja też mam na to ochotę – odezwał się Max Le Bon. – Wszedłem do morza tylko raz, od kiedy przybyliśmy na Sordou. Czy zaprosimy innych?

– Dobry pomysł – podchwycił Verlaque. – Zorganizujemy nieformalne pływanie, zakończone szampanem na tarasie za jakieś... – Spojrzał na zegarek. – Pół godziny.

– Czy mogę dołączyć? – zawołała Marie-Thérèse, po czym szybko zakryła usta.

– Może? – zapytał Verlaque.

– Oczywiście – odparła Cat-Cat Le Bon. – Kto jeszcze chce popływać?

– Ja – rzekła Niki.

– Zostanę tutaj i dotrzymam towarzystwa Émile’owi – powiedział Serge Canzano, wycierając kieliszek do wina. Uznał nowy pomysł swojego szefa za dziecinny, nawet trochę śmieszny. Poza tym on sam nie pływał od trzydziestu lat.

– Mme Poux, pani powinna do nas dołączyć! – powiedziała Marie-Thérèse.

Mme Poux, siedząca obok Cat-Cat Le Bon, odruchowo dotknęła starannie ułożonych włosów.

– Tylko żeby popatrzeć, moja droga. I może zażyć trochę słońca.

– Więc ustalone – podsumował Max. – Za pół godziny spotykamy się

wszyscy przy drabince.

Przebierali się w stroje kąpielowe, a równocześnie Verlaque opowiadał Marine bardziej szczegółowo historię Hobbsa. Kiedy już byli gotowi, Marine usiadła na skraju łóżka z łokciami opartymi na kolanach. Zgarbiła się i zaczęła płakać. Verlaque siedział obok niej i ją obejmował.

– Nie zjedliśmy kolacji z Erikiem Monnierem – powiedziała w końcu, gdy wytarła nos. – Proponowałam mu to tego wieczoru, gdy piliśmy wino z Calabrii i jedliśmy *puttanesca*, ale odmówił. Nie chciał do nikogo się zbliżać.

– Tak. Ale grałaś z nim w karty.

– Poprosiłam go, by zagrał ze mną w cribbage, chciałam go obserwować – powiedziała. – Ale pod koniec gry zapomniałam, że jest podejrzany o morderstwo. Tak dobrze się bawiliśmy. Doskonale się z nim czułam. Myślałam nawet o tym, by dać mu numer telefonu mojej mamy, by mógł dołączyć do jednego z jej klubów książkowych, ona należy chyba do trzech. Ale kiedy ojciec powiedział mi, że Eric ma raka, wiedziałam, że to on jest mordercą.

– Byłem przekonany, że jest nim Bill Hobbs – odezwał się Verlaque. – Mam nadzieję przez długi czas nie pracować nad sprawą zabójstwa.

– Ty też lubiłeś Erica.

Verlaque skinął głową.

– Być może następny morderca okaże się strasznym człowiekiem – rzekła Marine, próbując się uśmiechnąć.

– Tak, miejmy nadzieję – odparł Verlaque. – Kimś, kogo oboje nienawidzimy.

– Wiesz, raz czy dwa Bill Hobbs zrozumiał coś po francusku. Myślałam po prostu, że się uczy... Tego samego wieczoru, kiedy jedliśmy *puttanesca*, pamiętasz?

– Tak, wiedział, jak przetłumaczyć *supions* na *squid* – powiedział sędzia.

– Do tamtej chwili nie miałem pojęcia, że odegrał w tym wszystkim jakąś rolę. Ale było coś, co na początku tamtego tygodnia Sylvie powiedziała do Brunona o generale i Shirley Hobbs, którzy po tych wszystkich latach nie byliby w stanie się rozpoznać – nawet gdyby ich ścieżki skrzyżowały się w Wietnamie. Myślałem o tym, jak dobry był to plan – mężczyzna tak skupiony na sobie jak Denis nie rozpoznałby kogoś ze swojej przeszłości. Mieliśmy na wyspie wszystkich tych ludzi, którzy urodzili się mniej więcej w tym czasie co on i którzy w pewnym momencie życia mieszkali w Marsylii. Zmieniamy się, ośmielę się powiedzieć, od mniej więcej osiemnastego do sześćdziesiątego roku życia. Dlatego myślałem, że to Mme Poux zabiła Denisa. Nie miała alibi. Ale kiedy wczorajszej nocy spojrzeliśmy na paszport Billa Hobbsa, oboje pomyśleliśmy, że to on go zastrzelił.

– Poczekaj – odezwała się Marine. – A co z ich alibi? Ludzie widzieli

Erica i Billa razem, na nabrzeżu.

– I tak, i nie – odparł Verlaque, wstając i podnosząc ich ręczniki. – Pomyśl: różni ludzie widzieli tych dwóch mężczyzn razem na nabrzeżu, udających, że się nie rozumieją. Bill i Eric zapewniali sobie nawzajem alibi, co powinno zapalić u mnie czerwoną lampkę ostrzegawczą, ponieważ do tamtej chwili nie spędzali ze sobą dużo czasu. Ale nikt nie był tak naprawdę przekonany, kiedy dokładnie widział ich razem. Tylko tyle, że to było w pewnej chwili. A kiedy Hugo patrzył na nabrzeże ze swojej chaty, przyznał, że widział tylko Billa Hobbsa, nie Erica.

\*

Marine siedziała na płaskiej skale, czując, jak morska woda podmywa skały i zalewa jej nogi. Widziała Antoine'a i Sylvie pływających wzdłuż południowego brzegu Sordou, przecinających wodę i pogrążonych w rozmowie. Był piątek, ostatni pełny dzień pobytu na wyspie. *Le Sunrise* będzie czekała na nich jutro po śniadaniu, choć zabraknie kilku gości. Zamknęła oczy, nie chcąc myśleć o Hobbsach, teraz przebywających w marsylskim hotelu, wypytywanych przez prawnika. A przede wszystkim o Ericu Monnierze. Poprzedniego wieczoru do nabrzeża Sordou przybiła łódź straży przybrzeżnej. Kapitan wysiadł i trzymając w ręce czapkę, poprosił o rozmowę z sędzią Verlakiem. Marine siedziała z Sylvie i Hugo Sammutem, kiedy ten powiedział:

– Wygląda na to, że znaleźli ciało Erica. Straż przybrzeżna nigdy się tu nie pojawia.

Marine pomachała do swoich przyjaciół i odchyliła się do tyłu. Upajała się ciepłem wody na skórze, choć wiedziała, że powinna była nałożyć więcej kremu z filtrem. To było tak odświeżające, że prawie nie czuła lipcowego słońca palącego jej twarz. W Aix przez dwa letnie miesiące unikała bezpośrednich promieni i chodziła po zacienionej stronie ulicy. Tutaj dobrze było czuć słońce.

– Cześć.

Marine spojrzała do góry i zobaczyła, że obok niej stoi Émile Villey.

– *Salut*, Émile – przywitała się. – *Ça va?*

– Przechadzam się w poszukiwaniu czegoś na naszą ostatnią kolację – powiedział, klękając na skale i przechylając w jej stronę swój koszyk. – A tak przy okazji, generator został naprawiony.

Marine wyjęła z koszyka pęczek ciemnozielonych liści.

– To wygląda jak skrzyżowanie szpinaku i botwiny.

– *Betterave maritime* – wyjaśnił Émile.

– Nadmorski burak?

– Tak. Rośnie tu wszędzie, przy skalnych i piaszczystych brzegach. Poznałem go, kiedy pracowałem w Arcachon.

– Tak jadali nasi przodkowie – skomentowała Marine.

– Z pewnością pierwsi mieszkańcy Sordou – zgodził się kucharz. – Zamierzam usmażyć go z cytryną, czosnkiem i oliwą z oliwek.

– Co jeszcze w menu?

– To tajemnica – odparł Émile. – Dla niego będzie trochę mięsa. – Wskazał dłonią Antoine’a Verlaque’a, który teraz płynął razem z Sylvie w stronę skał.

– On to doceni – stwierdziła. – Jak każdy, kto spędził młodość w Normandii, blisko oceanu, uwielbia mięso i ziemniaki.

– Do zobaczenia później – rzekł kucharz, podnosząc swój kosz. – Muszę poszukać jeszcze dwóch składników, potem idę do kuchni. – Popatrzył na morze i dodał: – Cieszę się, że znaleźli ciało.

– Ja też.

– Nie chciałbym myśleć, że jest gdzieś tam.

– Nie – odpowiedziała.

– Widziałem, że grała pani z nim w karty – odezwał się Émile. – Przez jedno z *hublots*. Wyglądało na to, że pani go ograła.

Marine uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście. Ale przyjął to z godnością.

\*

Max Le Bon małą łyżeczką postukał w krawędź kieliszka.

– Nie stłucz szkła – upomniała go Cat-Cat.

– Uważam – szepnął Max, poirytowany. – Dobry wieczór wszystkim – zawołał. – Witamy na ostatniej kolacji na Sordou. Émile dał kolejny gwiazdorski popis i mam nadzieję, że posiłek będzie państwu smakował. Cat-Cat i ja dołączymy do państwa na kolację i pozwoliliśmy sobie zaprosić pozostały niewielki personel. Pomyśleliśmy, że biorąc pod uwagę wydarzenia tego tygodnia, zasłużyli na kolację.

– Poza tym nie zostało wielu gości – szepnęła Sylvie. Goście zaczęli bić brawo, a Marie-Thérèse, Niki, Mme Poux, Hugo, Serge i Émile wstali i ukłonili się.

– Będą od czasu do czasu wstawać i pomagać w obsłudze gości – powiedział Max z uśmiechem. – Chciałbym także powitać M. Buffę i generała Le Favre’a. Obaj wyglądacie dziś po królewsku, panowie.

Prosper Buffa rozjaśnił się i dotknął swojej muszki. *Le général* wyprostował plecy, jak gdyby to miało pomóc gościom w obejrzeniu jego medali w pełnej okazałości.

– Większość z nas, w tym Cat-Cat i ja, chciałyby podziękować sędziemu Verlaque’owi i dr Bonnet za ich pomoc w tym tygodniu – mówił dalej Le Bon. Członkowie personelu bili brawo. – Udało wam się nas uspokajać, zachować dyskrecję w śledztwie i przez cały czas nie opuszczał was uśmiech i poczucie humoru. Dziękuję.

Cat-Cat wyszła do przodu, by przemówić:



– Z głębi serca dziękujemy. A jeśli chodzi o nasze poczynania, chciałabym pogratulować Niki Darcette, której działalność marketingowa bardzo się opłacała. Mamy pełną rezerwację do końca września. – Zrobiła przerwę, aż do chwili, gdy goście przestali bić brawo. – Chociaż niektórzy z państwa uważali, że śmierć Alaina Denisa może przyciągnąć gości do Sordou – mówiła dalej, unikając wzroku Verlaque’a i Bonnet. Marine kopnęła Antoine’a pod stołem. – To jednak arcyciekawe komunikaty prasowe Niki i wspaniałe fotografie dokonały tego cudu, a teraz sześć spośród najlepszych pism podróżniczych i architektonicznych będzie publikowało artykuły o Sordou, w tym „Architectural Digest”, ulubiony magazyn Mme Poux. I to dzięki uporczywym telefonom Mille Darcette w przyszłym tygodniu w „Le Figaro” ukaże się wywiad z szefem kuchni, Émile’em, oraz fotografii z nim w roli głównej.

Antoine Verlaque zaklaskał w dłonie, przypominając sobie, że w czasie śledztwa Niki prowadziła dużo rozmów telefonicznych. Starła się promować hotel, rozpisując się o jego pięknie i o talencie Émile’a Villeya i – wbrew jego oskarżeniom – nie wykorzystując morderstwa do pozyskania gości.

– Chciałam też pogratulować Marie-Thérèse – mówiła dalej Cat-Cat – która właśnie dziś po południu dowiedziała się, że została przyjęta do prestiżowej École Hôtelière de Lausanne.

Marie-Thérèse wstała i dygnęła pospiesznie, następnie wzruszyła ramionami, usiadła i zaczęła wpatrywać się w obrus.

– To wielki zaszczyt dla Marie-Thérèse, że została wybrana spośród tysięcy kandydatów, którzy co roku ubiegają się o miejsce w tej szkole – powiedziała Cat-Cat. – I chociaż nie jest ona w stanie przyjąć ich zaproszenia, to i tak jesteśmy z niej bardzo dumni.

– Czas na kolację – odezwał się Le Bon, ujmując żonę pod ramię. – Szef kuchni przygotował przystawki z wykorzystaniem lokalnej rośliny z Sordou, prawda, Émile?

Villey wstał.

– Tak – potwierdził. – Zbieraliśmy ją razem z Marie-Thérèse. Zrobiłem ciasteczka maślane z małymi kawałkami suszonej solonej szynki serrano, z płatkami zmielonej czarnej porzeczki i pochodzącej z Sordou *pourpier*.

– *Pourpier?* – zawołała Sylvie.

– To nadmorska sałata – wyjaśnił szef kuchni.

– Emmeline zbierała ją w Normandii – szepnął do Marine Verlaque. – Nazywała ją *purslane*.

– *Bon appétit, tout le monde* – rzekł Max, wznosząc w górę kieliszek szampana.

\*

Później tego wieczoru Marine i Verlaque siedzieli na balkonie swojego

pokoju i pili ziołową herbatę. Sylvie poszła do chaty Hugo na – jak to nazwała – „ostatnie hurra”.

– Masz ochotę jutro wyjeżdżać? – zapytał Antoine.

– Opuścisz Sordou z mieszanymi uczuciami – odparła.

– Ja też.

– Uwielbiam tę wyspę – mówiła dalej. – Ale czuję, że gdybyśmy mieli jeszcze raz tu przyjechać, nie byłoby tak wspaniale.

– No cóż, najprawdopodobniej nie popełniono by morderstwa – zażartował Verlaque.

– Bardziej chodzi mi o ludzi – powiedziała Marine, jak gdyby nie usłyszała jego komentarza. – Tęsknię za Erikiem i Hobbsami.

– Nawet Mme Denis i Brice wnieśli coś niezwykłego do naszego niewielkiego grona – zauważył Antoine. – Nie tęsknię jedynie za Viale’ami.

– Zgadzasz się – przytaknęła kobieta. – Niektórzy ludzie pozostawiają po sobie większy ślad niż inni, prawda?

– Uwielbiam tę ciszę i tę bryzę.

– I zapachy – dodała Marine. – Częściowo od morza, częściowo od roślin. Nie tęsknię do letniej gorączki i braku powietrza w centrum Aix.

– Może to czas, byśmy kupili mieszkanie nad morzem – zasugerował Verlaque. – W Prowansji albo we Włoszech. Przypomnij mi w poniedziałek po południu, bym zadzwonił do mojej księgowej.

Marine obróciła się do niego.

– Nie mówisz poważnie?

– Chodzi o coś innego – odparł nieco ciszej. – Mme Médéric denerwuje się, jeżeli nie odzywam się do niej co tydzień.

– Och, rozumiem – powiedziała, kiwając głową. – Zamierzasz zapłacić czesne Marie-Thérèse, prawda?

– A ty byś tego nie zrobiła?

– Tak – odparła Marine. – Zrobiłabym. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. – Wiesz, nasze charaktery ujawniły się w sposobie, w jaki wskakiwaliśmy wczoraj do morza. – Roześmiali się, wspominając spontaniczne grupowe pływanie: Marie-Thérèse przebiegła cały pomost i skoczyła, zatykając nos. Wynurzyła się, krzycząc z radości. Niki Darcette zanurkowała ostrożnie po zbadaniu wody palcami stóp, z nogami i rękoma doskonale równoległymi. Skok Cat-Cat był prawie tak doskonały, jak ten w wykonaniu Mlle Darcette, a Max próbował, bez powodzenia, skoczyć na bombę. Mme Poux siedziała, jej szczupłe nogi dyndały na skraju pomostu. Marine wskoczyła do wody, chociaż nie z taką dziecięcą radością jak Marie-Thérèse, a Sylvie wykonała salto do tyłu, któremu towarzyszyły okrzyki zachwyty innych pływaków.

– Dawaj, sędzio – krzyknęła Marie-Thérèse.

– Nadchodzi kolejna bomba – odkrzyknął Verlaque. – I ta przemoczy Mme Poux.

Przebiegł całą długość pomostu, starając się zapomnieć o twarzach Élodie, Cécile-Marie Hobbs, Erica, Billa i Alaina Denisa. Wybił się w górę i przyciągnął nogi do klatki piersiowej, przygotowując ciało na szok spotkania z taflą wody. Bolało bardziej, niż pamiętał. Kiedy się wynurzył, całe towarzystwo się śmiało, a Mme Poux stała kompletnie przemoczona.

– Przepraszam – zawołał. – Nie sądziłem, że skoczę z taką siłą.

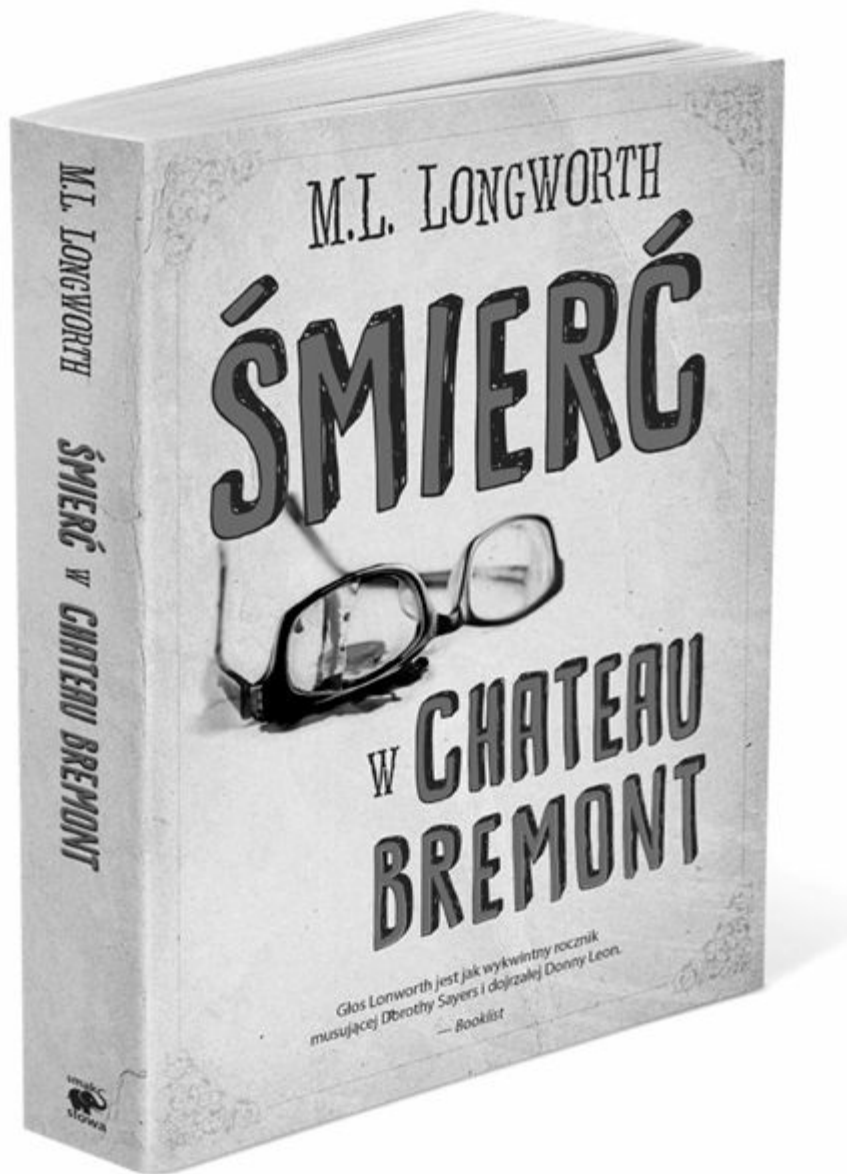
– Proszę skoczyć, Mme Poux! – zachęcała ją Marie-Thérèse. – Jest fantastycznie!

Starsza kobieta uśmiechnęła się i zsunęła kimono, odsłaniając skromny jednoczęściowy strój i prężne ciało, którego nie powstydziliby się nawet trzydziestolatka.

– O rany – szepnęła Sylvie, pływając w miejscu.

– Yolaine, zjeżdż po drabince – krzyknęła Cat-Cat. – Nie zamoczysz włosów.

Yolaine Poux nie odpowiedziała. Stała wyprostowana i nieruchoma na skraju pomostu. A potem jednym szybkim ruchem pochyliła głowę i skoczyła do wody.



### ***Śmierć w Château Bremont***

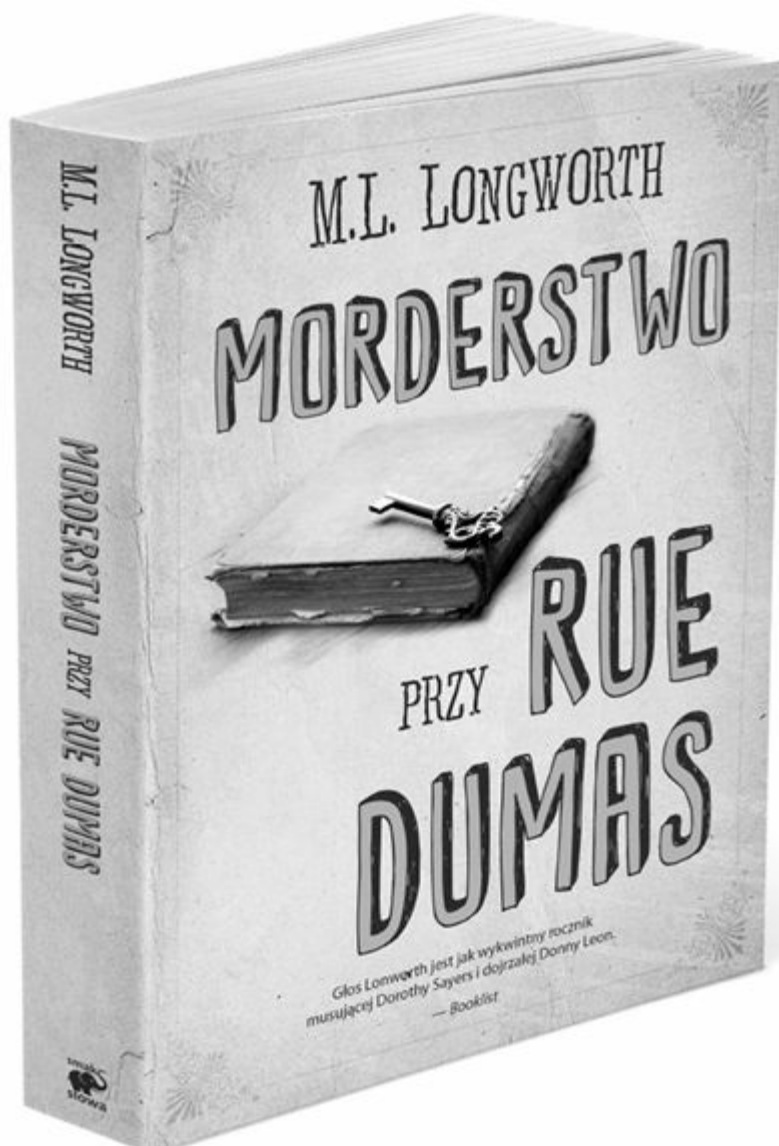
Mary Lou Longworth

Przekład: Anna Krochmal

**ISBN 978-83-65731-40-1**

Akcja powieści kryminalnej *Śmierć w Château Bremont* rozgrywa się w uroczej, zabytkowej miejscowości Aix-en-Provence we Francji. Czytelnicy poznają Antoine'a Verlaque'a, przystojnego i uwodzicielskiego głównego sędziego w Aix, oraz profesor prawa, Marine Bonnet, jego dawną miłość. Kiedy miejscowy szlachcic Étienne de Bremont wypada z okna rodzinnego zamku i ginie na miejscu, całe miasto aż huczy od plotek. Verlaque podejrzewa, że śmierć nie była przypadkowa. Dowiedziawszy się, że Marine jest bliską przyjaciółką Bremontów, prosi ją o pomoc. *Śmierć w*

*Château Bremont* to wartki kryminał, zanurzony w romantycznej atmosferze południowej Francji.



### ***Morderstwo przy rue Dumas***

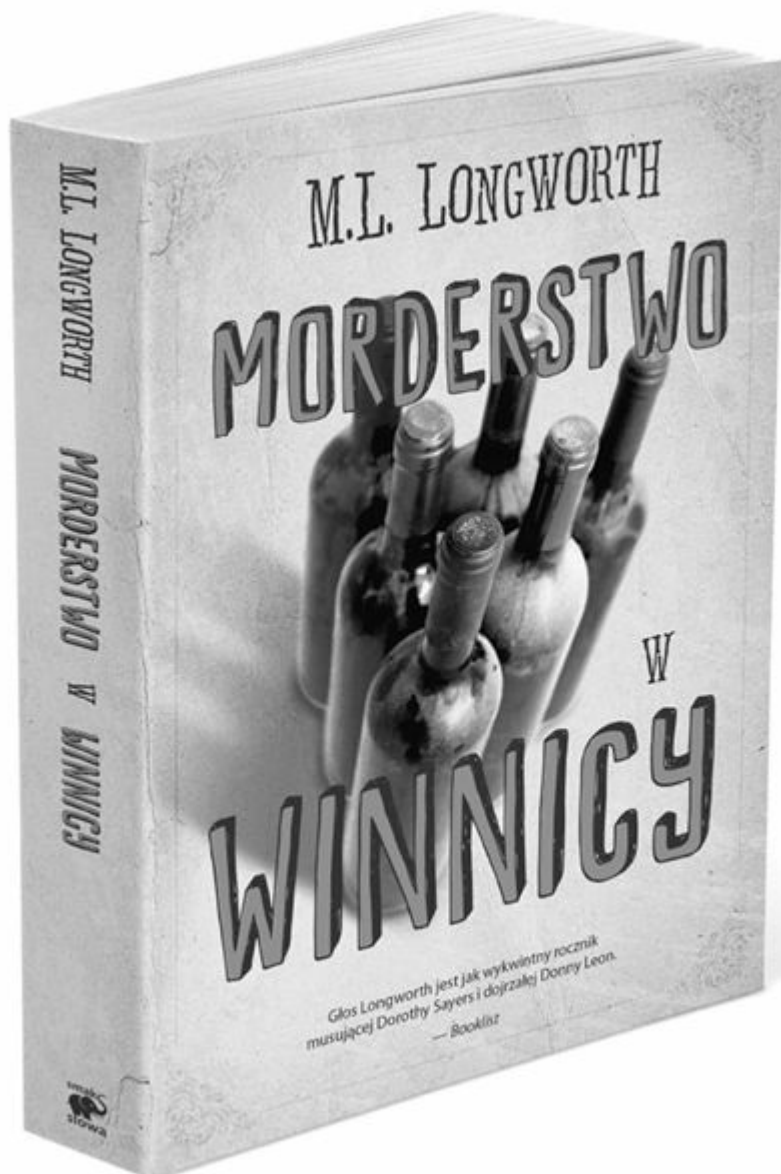
Mary Lou Longworth

Przekład: Małgorzata Trzebiatowska

**ISBN 978-83-65731-51-7**

Kiedy dziekan Wydziału Teologii na Uniwersytecie w Aix zostaje znaleziony martwy, sędzia Verlaque nie może wyjść ze zdumienia. Profesor Moutte miał właśnie ogłosić nazwisko zdobywcy prestiżowego stypendium, a także mianować swojego następcę, który zamieszka w budzącym powszechne pożądanie apartamencie w siedemnastowiecznej rezydencji.

Na długiej liście podejrzanych znaleźli się potencjalni beneficjenci stypendium i inne osoby bliskie profesorowi, jednak Verlaque wątpi, że ktokolwiek spośród gorliwych studentów lub ich zdesperowanych nauczycieli jest zdolny do morderstwa. Musi więc kopać głębiej. Z pomocą Marine oraz jej dzielnej matki Verlaque odkrywa świat, który jest bardziej skomplikowany niż polityka uniwersytetu.



## ***Morderstwo w winnicy***

Mary Lou Longworth

Przekład: Małgorzata Trzebiatowska

**ISBN 978-83-65731-86-9**

Właściciel winnicy Olivier Bonnard jest zdruzgotany, gdy odkrywa, że z jego piwnicy zostaje skradziony zapas bezcennego, starego wina. Wkrótce potem w Palais de Justice pojawia się Monsieur Gilles d'Arras, by zgłosić kolejne tajemnicze zaginięcie. Jego żona Pauline zniknęła. Madame zawsze była bardzo silną kobietą, ale w ostatnich tygodniach wałęsała się po mieście w kapciach i bez powodu wybuchała płaczem.

Kiedy pojawia się mistral i łagodzi upały późnego lata, komisarz Paulik odbiera pilny telefon od Bonnarda – właśnie odnalazł on Pauline d'Arras w winnicy. Martwą. Verlaque i Bonnet po raz kolejny prowadzą dochodzenie w ich jak dotychczas najbardziej skomplikowanej sprawie.